

LOUISE
VOSS
UPRAGNIONE
ŻYCIE

Z angielskiego przełożyła
Maciejka Mazan



Świat Książki

PROLOG

Zatrzymałam go, kiedy szedł do frontowych drzwi, z roztargnionym, lecz skupionym spojrzeniem, jakie zawsze miał, kiedy jego myśli daleko wyprzedzały ciało.

- Mam ci coś do powiedzenia.

Moje niepewne słowa wydawały się strasznie banalne, tylko odrobinę lepsze od słynnej kwestii z opery mydlanej: „musimy porozmawiać”, choć niezbyt duża to odrobina. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że moje życie ostatnio stało się bardzo podobne do opery mydlanej.

- Trochę się spieszę, kochanie, możemy poczekać?

- Nie. Przepraszam. Nie możemy.

Odwrócił się w drzwiach, z cieniem niepokoju na twarzy, a ja stałam, przerażona, z pudełkiem starannie dobranych rekwizytów pod pachą. Jeszcze nigdy nie byłam tak gotowa do działania. Wyobraziłam sobie moje kłamstwa w postaci ciemnych kształtów złotych rybek, do tej pory kryjących się w zarośniętym rzęsą stawie, jak nagle wszystkie ruszają jednocześnie i przebijają się przez kożuch na powierzchni.

Spisałam wszystkie usprawiedliwienia. Chciałam pomagać sobie kartkami, udawać, że to tylko handlowa prezentacja, chwytliwe formułki, schludne zdanka. A potem nie mogłam znaleźć tych cholernych kartek. Jedynym materiałem piśmiennym, jaki wpadł mi w ręce, był komplet pocztówek ze słynnymi tenisistami dwudziestego wieku. Wydarłam je wszystkie, jedną po drugiej, nasłu-

chując cichego terkotu przy rozrywaniu perforacji: skupiony grymas Nastase, opaska Borga, smecz Agassiego i serw Samprasa. Świat tenisa wydawał się jakoś dziwnie czysty, jak destylat energii, ambicji i talentu, świat daleki od chaotycznych, skomplikowanych wyznań, na jakie musiałam się zdobyć.

Raz wystąpiłam w clipie popowej piosenki. Można powiedzieć, że był to szczyt mojej kariery aktorskiej - dość przygnębiające wyznanie. Grałam także w wielu sztukach, czasami główną rolę, na ogół nie. Ale w tym clipie wokalistą był bardzo sławny piosenkarz country, troszkę zezowaty kowboj, niejaki Dwight Unsworth. Grałam jego dziewczynę. Już nie wiem, o co chodziło, choć zapamiętałam, że musiałam stać nieruchomo wśród tłumów mijających mnie statystów. Reżyser kazał potem przyspieszyć film, więc wyglądało to tak, jakby ludzie przepływali obok mnie niczym wzburzony nurt, a ja stoję nieruchomo, czekając na Dwighta.

To poczucie nieruchomego trwania wśród wzburzonego nurtu życia - dokładnie tak się czułam od pewnego czasu. A potem spotkałam Adama i Maksa i wszystko się zmieniło.

Teraz zmieniało się znowu.

CZĘŚĆ
PIERWSZA

Osiem miesięcy wcześniej

- Anno, bardzo cię proszę, przyjdź jak najszybciej. To sytuacja awaryjna, nie wiem, co robić. Dobrze? Potrzebuję pomocy.

Właśnie wróciłam z przebieżki i musiałam opanować oddech, żeby wysłuchać nagrania na sekretarce. Potem resztki powietrza uciekły mi z płuc w spanikowanym wydechu.

To była moja cioteczna babka Lil. Wyrzuty sumienia dziabnęły mnie mocniej niż kolka, bo nie dalej jak kwadrans temu minęłam jej dom i mogłam do niej zajrzeć. Ale prawda wyglądała tak, że pominiawszy wysilone powitania, jeśli na siebie wpadłyśmy, od dziesięciu miesięcy nie potrafiłam spojrzeć Lil w oczy. Przechodziłam przez ulicę, odwracając głowę, bo nie mogłam patrzeć na jej schludny ogródek z fioletowymi bratkami kwitnącymi w donicach na oknach. Fiolet to kolor uzdrawiania, powiedziano mi kiedyś. Nie znosiłam fioletu, kojarzył mi się z sińcami, z krwią, która nie może swobodnie krążyć. Według mnie to raczej kolor przepukliny.

Moja krew krążyła jak jasna cholera, nogi miałam jak z waty, podkoszulek przykleił się do spoconych pleców, ale natychmiast odwróciłam się i wybiegłam, nie tracąc czasu na dwukrotne obrócenie klucza w zamku. Szybciej będzie pobiec niż wytaczać samochód w godzinie szczytu. Przegalopowałam koło ludzi z psami, usiłując jednocześnie wymijać dziecięce wózki i nie zauważać ich. Z trudem udawało mi się zachować tak szybkie tempo, by nie spoglądać na te buzie, na pyzate policzki zwrócone ku słońcu jak płatki kwiatów.

Patrz przed siebie, myślałam. Nie rób tego. Nabierałam niezłej biegłości w taktyce uników. To instynkt samozachowawczy, uznałam, kasując z pamięci zbolaty głos ciotki Lil z poprzednich wiadomości na sekretarce.

Tylko niech to nie będzie wypadek ani napad, modliłam się, mijając pędem róg ulicy i zdyszana dopadając jej drzwi. Mdlilo mnie ze strachu. Nigdy bym sobie nie wybaczyła. Z okna jej sypialni nie buchał dym, nie było samochodów strażackich ani karettek, nie było grupek gapiów na chodniku, ale to nie uciszyło mojego strachu. Może zemdlą, pomyślałam, łomocząc w drzwi numeru dwadzieścia jeden.

- Cześć, kochanie - powiedziała Lil, kiedy stałam jeszcze z ręką na kołatce. - Wejdźże. Właśnie wstawiłam wodę.

Stałam jak wmurowana, nie wierząc własnym uszom, pierś mi falowała, z czoła lał się pot (dopiero niedawno zdobyłam się na to, by znowu zacząć biegać, i byłam jeszcze daleka od formy).

- Co się stało? - wydyszałam, szukając w wyglądzie ciotki oznak katastrofy. Gołębioszare włosy miała ufryzowane i, co zauważyłam, kiedy schyliła się po papierek po cukierku, który wiatr przywiał pod jej drzwi, spięte z tyłu w dość kokieterijny sposób. Jasnokoralową szminkę nałożyła precyzyjnie jak wizażystka; była ubrana w lawendowy wełniany kostium i eleganckie pantofle w kolorze stali. Wyglądała idealnie. Nie, jeszcze lepiej - nieskazitelnie.

- No, pospiesz się - ponagliła, prostując się z gibkością kobiety młodszej o dwadzieścia lat. - Nie będziemy tu stać przez cały dzień, prawda? Przyniosę ci ręcznik i wytrzesz sobie włosy. Taki wysiłek nie może ci wyjść na zdrowie.

A i owszem, pomyślałam. Jak również zawał, który mi prawie zafundowała. Pozwoliłam, by zaprowadziła mnie do środka, i oparłam się o balustradę schodów, głośno dysząc w cichym korytarzu.

- Więc nic ci nie grozi, tak? - wydukałam, kiedy wrócił mi głos.

Lil uśmiechnęła się rozbrajająco - w wieku siedemdziesięciu dziewięciu lat nadal miała zdumiewająco piękne zęby - i podała mi mały ręczniczek w kolorze burgunda, którym wytarłam twarz i kark.

- Naprawdę nie wiedziałam, co robić. I potrzebuję pomocy. W spizarce trzeba wykręcić żarówkę, a ja nie mam siły. Boję się, że mi pęknie w palcach i będę musiała godzinami siedzieć na pogotowiu, żeby mi powyciągali wszystkie odłamki szkła z ręki. Więc kiedy przypadkiem zauważyłam, że biegniesz koło mojego domu i zgadłam, że już wracasz...

Schowałam rozpaloną twarz w ręczniku. Pachniał jej kredensem: drożdże, rozmaryn i płatki róż, tweed i coś niezidentyfikowa-

nego z czasów mojego dzieciństwa. Wiedziała, że nie oprę się zapachom przeszłości. Ogarnęła mnie fala emocji: gniew, poczucie winy, tkliwość, żal.

- Bardzo sprytnie - powiedziałam, idąc za nią do kuchni. Siadłam z rozmachem na pomarańczowym stołku z laminatu, który stał tu od lat siedemdziesiątych. Strasznie mi się podobało, że w domu Lil jest bar i wysokie stołki: to było takie inne. egzotyczne.

Stołki, dość wysokie, miały długie drewniane nogi z lakierowanego drewna, które udawało plastik. Kiedy sadowiłam się na nich jako dziecko, czułam się jak artystka z *Drogi do gwiazd*. Brakowało mi tylko gitary, powiewnej sukni i jasnej kaskady włosów. Razem z młodszym bratem Ollym usiłowaliśmy się na nich huśtać. Podobało się nam, że siedzimy wysoko i dyndają nam nogi. Siedzieliśmy i jedliśmy podwieczorek, ze spuszczonymi głowami, twarzami do ściany.

- Wyglądacie jak konie przy poidle - mawiał wujek Norm, kiedy wracał z pracy.

A teraz Norm nie żyje, a ja się martwię, że Lil pewnego dnia złamie sobie miednicę, wchodząc albo schodząc z tego stołka.

- O co chodzi, kochanie? - spytała niewinnie.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Wbiłam palec wskazujący w rozdarty winyl siedzenia i poczułam kruszącą się, żółtawą gąbkę. To rozdarcie było tu od lat i zawsze kusiło mnie, żeby wydłubać z niego całą gąbkę, tak jak się skubie strupek, ale winyl był zaskakująco odporny i trzymał się drewnianego siedziska jak wrosnięte w skałę mięczaki. Przypominał mi Lil.

Lil postawiła przede mną kubek mocnej brązowej herbaty, całkiem nie na miejscu w delikatnej filizance z cienkiej porcelany - a także wielką szklanicę zimnej wody, którą natychmiast wypiałam. Kiedy odstawiłam ją na bar, ciocia położyła dłonie na moich rękach.

- Mieszkasz jakiś kilometr stąd. Kiedyś byliśmy tak bardzo przyjaźnione... Błagam cię, Anno, nie odwracaj się już ode mnie. Tęsknię za tobą. Minęło tyle miesięcy... to już prawie rok... a wiesz, jak strasznie się czuję...

Zagryzłam wargę. Nie mogłam jej spojrzeć w oczy. Coś mi mówiło, że nie sprostam tej sytuacji, nie o dziewiątej rano w przepocnym dresie; ale coś innego, większego, cieszyło się, że wzięła sprawy w swoje ręce. W te kruche ręce, które teraz spoczywały na

moich, w ręce z sinawymi żyłami i konstelacjami wątrobianych plam. Te ręce sprowadziły na świat tak wiele istnień.

- Nie chodzi o ciebie... - wykrztusiłam.

- Wiem. Ale to nie pomoże. Z nikim o tym nie rozmawiasz. Bo nie rozmawiasz, prawda?

- Przez jakiś czas chodziłam do jednego psychiatry - wymamrotałam. Herbata rozpalala moje i tak już czerwone policzki.

- A co z tą grupą wsparcia?

- Poszłam parę razy. To było nie do zniesienia. Wszyscy czekali, kiedy zaczną płakać tylko dlatego, że oni też płakali. Mówili, że wiedzą, jak się czuję, jakby od tego od razu miało mi być lepiej.

Lil wstała, włożyła fartuszek w kwiatki i żółciutkie rękawice i zaczęła pracowicie szorować garnek w zlewie. Wypłukała go, położyła na suszarce, znowu ściągnęła rękawice, starannie zdjęła fartuszek przez głowę, po czym powiesiła go na haczyku na drzwiach spiżarki. Pomimo przygnębienia i skrępowania, nie mogłam nie podziwiać kogoś, kto zadał sobie tyle trudu tylko po to, żeby umyć jeden garnek. Brakowało mi tego, pomyślałam.

- Przykro mi - wydukałam w końcu.

- Mnie też, kochanie - powiedziała i wyciągnęła do mnie ręce.
- Mnie też.

Uściskałyśmy się. Z przyjemnością wciągnęłam w nozdrza zapach wełny pachnącej lawendą i wtuliłam się w objęcia Lil, nie sprawdzając, czy płacze. Raz widziałam jej łzy i miałam dość na całe życie. Jej objęcia sprawiały mi ogromną ulgę - bliskość tego wysokiego, chudego ciała.

- No, to co nowego? - spytała później, w fazie pouściskowej. Kiedy zmieniłam żarówkę, przeniosłyśmy się do salonu, gdzie usiadłyśmy naprzeciwko siebie w głębokich kwiecistych fotelach.

Wzruszyłam ramionami; czarny welon depresji znowu łagodnie nadpłynął nad moją głowę, lepki jak pajęczka sieć.

- Nic. Zupełnie nic. Nie ma pracy, jutro jestem umówiona na przesłuchanie do serialu, ale to tylko miejscowa telewizja, zdjęcia w Bristolu czy jakoś tak.

Miałam dodać: „Zresztą i tak nie dostanę tej roli”, ale w samą porę się zorientowałam, że to już by było zbyt żałosne i wykonałam kolosalny wysiłek, żeby usunąć rozpacz z głosu. Nie chciałam, by ciotka Lil poczuła się jeszcze gorzej.

- Ale zawsze to coś - dodałam bez przekonania. - I trochę częściej spotykam się z Vicky, bo już łatwiej mi znieść dzieci. Odwiedzili mnie w niedzielę. Z dwójką dzieciaków ma dużo kłopotów.

Lil pokiwała głową ze współczuciem. Zawsze bardzo lubiła moją przyjaciółkę Vicky (głównie dlatego, pomyślałam, że Vicky była niezwykle podobna do Thory Hird, ulubionej aktorki Lil).

- Pozdrów ją ode mnie, kiedy się znowu zobaczycie, dobrze?

- Dobrze. Dziś spotkam się z nią i Crystal. Idę z nimi na piątą urodziny w kręgielni. Vicky się boi, więc zabrała mnie jako wsparcie.

- Może być wesoło - zauważyła Lil bez przekonania. - A jak Ken? Nadal za dużo pracuje?

Westchnęłam.

- Tak. Prawie go nie widuję. Pracuje nawet w weekendy, albo wyjeżdża, albo zabawia dyrektorów z innych okręgów. Jeśli, oczywiście, nie gra w tenisa - jest teraz w pierwszej lidze w tym swoim klubie. Bardzo poważnie to traktuje.

Rozejrzałam się po pokoju. Poczułam jego bezruch. Jedyнным źródłem dźwięku było radio, z którego sączyła się cicho muzyka klasyczna. Coś mi tu nie pasowało, choć przez parę chwil nie potrafiłam się zorientować co. Potem zrozumiałam.

- Nie ma wystawki - wyrwało mi się.

Tam, gdzie przedtem stały dziesiątki fotografii, przeważnie czarno-białych, przedstawiających niemowlęta i małe dzieci w niezgrabnych, ręcznie dzierganych ubrankach, obecnie lśnił pusty blat mahoniowego stołu. Był gładki, mroczny i dziwnie niepokojący, jak ciemnobrązowy lód.

Ciotka Lil spojrzała na mnie; z uznaniem odnotowałam, że nie odwróciła wzroku.

- Sprzątnęłam je parę miesięcy temu. Dawno cię tu nie było.

- Ale dlaczego? - spytałam, doskonale znając odpowiedź. Nie mogłam się powstrzymać. - Uwielbiałaś te zdjęcia.

- Tak. Nadal je mam. Ale nie chciałam na nie patrzeć codziennie. Wszystkie te dzieci są już dorosłe. Na ogół mają własne dzieci...

Poczułam fizyczny ból. Zaczął się pod mostkiem, potem sięgnął przez łopatki i objął klatkę piersiową. Skinęłam głową.

Ciotka Lil była od sześćdziesięciu lat położną. To straszna rzecz dzieci: przez te lata nabierały się setki setek. Nadzwyczajne było to, że zdołała tak długo pozostawać w kontakcie z wieloma

spośród nich: najpierw z ich matkami, oczywiście, potem z samymi dziećmi. Nazywano je dziećmi Lil. Niektóre poznały się i trzymały razem, jak członkowie zamkniętego klubu. Dzieci Lil były obecnie prawnikami, matkami, zonglerami, nauczycielami, duchownymi. Parę miało już własne wnuki, co nie mieściło mi się w głowie.

Już jako nastolatka mówiłam Lil, że chciałabym, aby była także przy narodzinach moich dzieci. Chciałam rodzić w domu, mając przy sobie tylko ją i mojego przyszłego, na razie nieznanego męża.

I tak się stało, choć była też druga akuszerka - młoda, pulchna Irlandka Teresa, ponieważ Lil uznała, że będziemy potrzebować dodatkowej pomocy. Na wypadek, gdyby coś poszło nie tak. Przez cały czas wyobrażałam sobie Teresę na początku jej kariery i myślałam o wszystkich tych dziecięcych duszach, które bezpiecznie sprowadza do ziemskich ciał, by stały się „dziećmi Teresy”. Zastanawiałam się, czy będzie z nimi utrzymywać kontakt, tak jak Lil od połowy wieku.

Lil przyjęła naszą córeczkę. Nazwaliśmy ją Holly i była nieopisanie piękna. Ale dwadzieścia siedem minut po przyjsciu na świat przestała oddychać i wszystkie wysiłki Lil, by ją reanimować, nie zdały się na nic. Holly umarła przed przybyciem karetki. Nigdy nie określono przyczyny - sekcja zwłok nie dała jednoznacznych wyników.

Później dowiedziałam się, że krótko po śmierci Holly Teresa zrezygnowała z pracy akuszerki i zaczęła pracować w sklepie. Trudno mi było ją sobie wyobrazić bez błękitnego uniformu akuszerki, w wąskiej spódniczce i schludnej bluzce. Dokładałam starań, żeby w ogóle jej sobie nie wyobrażać.

- Lepiej już pójdę - powiedziałam, wstając gwałtownie. - Mam mnóstwo pracy. Sąsiedzi przyjdą na obiad i muszę zrobić zakupy. No, a potem te urodziny...

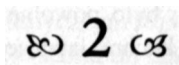
Później, kiedy przypomniałam sobie wzmiankę o sąsiadach, uświadomiłam sobie, że kłamstwa zawsze przychodziły mi łatwiej, niż sądziłam. Wierzyłam, że takie kłamstwa to tylko słowa, które oszczędzają innym przykrości i że właściwie wyświadczam im przysługę, kłamiąc - byłam ze szkoły białych kłamstw: „Skąd, ta sukienka wcale cię nie pogrubia”. Naprawdę nie chciałam, żeby Lil się dowiedziała, że wracam do pustego domu. Ale teraz już wiem,

że kłamstwa to kłamstwa. Najpierw są małe, jak splątane ze sobą gumki, a robią się coraz większe, aż węzełek nabiera rozmiarów grejpfruta, a każde kłamstwo musi się naciągać coraz bardziej.

Lil też wstała i mocno ścisnęła moje dłonie. Tego właśnie bałam się najbardziej: myślałam, że nie dam sobie rady z tym, co poczuję, znowu widząc te duże dłonie: dłonie, które - jak się okazało - nie mogły pomóc dziecku, choć tak bardzo chciały sprowadzić je na świat.

Ale kiedy żegnaliśmy się przy drzwiach, poczułam nagle ogromną falę wdzięczności za ten fałszywy alarm i za to, że Lil mnie tu ściągnęła.

Przecież to nie była jej wina, pomyślałam, wychodząc, i po raz pierwszy naprawdę w to uwierzyłam. Holly nie była na nas gotowa, to wszystko.



Kiedy znowu wróciłam do domu, stał pusty i cichy. Oczywiście, tego się spodziewałam, ale, nie wiem dlaczego, zawsze przez ułamek sekundy jestem zdezorientowana, jakby pod moją nieobecność ktoś powinien się tu zakraść i zawiesić dekoracje, a potem przyczaiwszy się za sofami i krzesłami, wyskoczyć z okrzykiem: „Niespodzianka!”. Chciałabyś, pomyślałam żałośnie, wlokąc się po schodach i zdzierając z siebie po drodze przepocone ubranie.

Cisza dokuczała mi nie tylko ze względu na nieobecność Kena - do tego już się przyzwyczaiałam. Mąż kojarzy mi się - przynajmniej od czterech lat - z gościem, który właśnie zamyka za sobą drzwi. Zawsze dokądś wychodził: do pracy, na tenisa, w podróż, jakby dom był klatką, z której należy uciekać, kiedy tylko się da, żeby można było zacząć naprawdę żyć. Może ma to coś wspólnego z faktem, że pochodzi z rodziny uchodźców: w latach siedemdziesiątych przyjechali do Anglii z Ugandy, by uciec przed reżimem Idi Amina.

- Muszę uciekać - powiedział dziś rano. Czasami wydaje mi się, że nigdy nie przestał uciekać, zwłaszcza od śmierci Holly. Nie

rozmawiamy o niej, choć chciałabym. - Zagram z Chrisem szybkiego seta, zanim złapię pociąg. Wrzucić dziś na luz, dobrze?

Kiedy wciskałam korek w odpływ wanny i odkręcałam kran. myślałam o Kenie na korcie, o jego pięknych ciemnobrązowych i muskularnych nogach w białych szortach, i o bluzce, która przy serwach podjeżdża do góry. ukazując owłosiony brzuch. Kiedyś kochaliśmy się rano, ale to już od dawna się nie zdarzyło. Ken przeważnie wychodzi, gdy jeszcze śpię.

Potem wyobraziłam go sobie w pociągu, wykapanego, o lśniących czarnych włosach, z komórką cicho świergoczącą w kieszeni jak jakieś elektroniczne zwierzątko. Zobaczyłam, jak brudzi sobie palce farbą drukarską z czyjejś porzuconej gazety. Natomiast bez sympatii pomyślałam o tych wszystkich kobietach w biurze, które mogą na niego patrzeć z podziwem, dyskretnie sprawdzając, czy ma na palcu obrączkę, i z rozczarowaniem konstatując, że ma.

Położyłam się w wannie i bardzo długo w niej leżałam. Jedy-
nym dźwiękiem w domu było powolne miarowe kapanie wody z kranu i brzęk muchy w kuchni, latającej tak szybko, że zmieniała się w ciemną smugę. Usiłowałam przez chwilę skupić na niej wzrok, prześledzić jej zygzaki, a potem koncentryczne kręgi, które zataczała, jakby była przywiązana na nitce do sufitu. Nic dziwnego, że ciągle wpada na różne przeszkody - jak przy tej prędkości miałyby dostrzec, dokąd leci? Ale jakim cudem nie straciła przytomności po zderzeniu z szybą?

W wielu „podnoszących na duchu” książkach o życiu po śmierci, jakie przeczytałam przez te dziesięć miesięcy, ludzi, którzy utracili ukochanych odwiedzał niezwykle ptak względnie motyl w zimie, i unosił się nad nimi, dając do zrozumienia, że duch zmarłego jest przy nich. Napisałam to w cudzysłowie, bo od tych podnoszących na duchu książek dostawałam depresji jak cholera. Dlaczego mnie nie odwiedził żaden piękny obcy kot, który pojawiłby się w chwili największego załamania? Ja miałam tylko to tłuste wkurzające muszysko i wątpiłam, żeby chciało mi przekazać jakąś kojącą wiadomość od czynników nadprzyrodzonych.

Pomyślałam, czy nie wyjść z kąpieli, ale zamiast tego zamknęłam oczy i zanurzyłam się. Woda zamknęła się nad moją głową i twarzą, włosy rozłożyły się wokół twarzy, łaskocząc mnie w policzki. Aż do przyjęcia po południu nie miałam nic lepszego

do roboty. Pewnie mogłabym przeczytać scenariusz do jutrzejszych przesłuchań, ale mi się nie chciało. Taki tam serial w kablówce, żadne dzieło.

Był to casting do roli uroczej, lecz zmęczonej matki bliźniaków - co brzmiało jak wredny dowcipas. Kiedy moja agentka Fenella mówiła mi o niej, miała głos, jakby chodziła po tłuczonym szkłe. W kółko mnie przeproszała i zapewniała, że wie, jak się czuję, lecz to przyzwoite pieniądze jak na kablówkę, a stała praca dobrze mi robi. Ale gdybym miała tulić do siebie dzieci... no, nie wiem.

Ciekawe, co Ken myślał o tym castingu. W dawnych czasach pomagał mi się uczyć roli, zachęcał i dopingował, robił herbatę i wysyłał karteczki z życzeniami połamania nóg. Nawet nie pamiętam, czy napomknęłam mu o tym przesłuchaniu. W każdym razie on z pewnością nie wypowiadał się na ten temat. Powiedział mi tylko, żebym wrzuciła na luz, i poleciał na tego swojego tenisa.

Ken uważał, że skoro tyle czasu snuję się po domu, „wrzucenie na luz” jest dla mnie fantastycznym rozwiązaniem. Nie zdawał sobie sprawy, że tak sobie wyobrażam czyszciec: pusty dom, mnóstwo czasu, przygnębienie, nuda, depresja. I poczucie winy... Wiem, że powinnam wyjść na spacer, ale wołałam siedzieć w domu samotna i znudzona, ponieważ za dnia na dworze grasują matki z dziećmi. Są wszędzie, i to z całym arsenałem: z wózeczkami spacerowymi, na trzech kółkach, z budką, z parasolką, z nosidełkami, z samochodowymi fotelikami. „To tak, jakby się było kierowcą najmniejszej gwiazdy rocka na świecie”, żartował Ken, kiedy jeszcze mu się wydawało, że będzie ojcem. Dziś ten żart już nas nie śmieszył. Teraz byle co mogło być zapalnikiem: skrzyp wózeczka, maleńka zgubiona skarpeteczka, kropelka roztopionych lodów, spływająca po bródce z dołeczkiem.

Jeśli wychodziłam w domu za dnia, moje ręce ciążyły mi. bezwładne i niepotrzebne, bo nie miały kogo nieść ani wieźć w wózeczku. I od razu dopadało mnie pragnienie, żeby schować się w domu.

Leżałam w kąpielni i obserwowałam muchę, aż oczy mnie rozboleły od ciągłego ścigania jej wzrokiem, a woda zlodowaciała. Nagle strasznie zapragnęłam dostać tę rolę w serialu. Chciałam znowu mieć ręce pełne dzieci. Wysłałam z chlupotem z wanny i wytarłam się ręcznikiem, który należało wyprać ze trzy tygodnie temu.

Telefon zadzwonił w chwili, kiedy wróciłam do sypialni, wiążąc pasek szlafroka Kena. Podniosłam słuchawkę aparatu przy łóżku.

- Halo?

- Cześć! Dzwonię, żeby spytać, czy nadal zamierzasz przyjść na te urodziny. Crystal nie może się ciebie doczekać! A przy okazji, dzięki za sobotę. Było fajnie.

- Cześć. Vic, tak, było fajnie - skłamałam. - Dzięki, że przyszlście.

Zaprosiliśmy na kolację Vicky i jej męża Petera. Może wyszliśmy trochę z wprawy w wydawaniu przyjęć, a może chodziło o obecność mojej córki chrzestnej Crystal i jej małego braciszka Pata, ale całe to zajście okazało się potwornie męczące. Niania Vicky i Petera zawiodła w ostatniej chwili i Vicky wpadła na zabawny pomysł, że jej dzieci zasną w naszym domu. Mała szansa. Crystal i Pat uznali, że walka i domaganie się uwagi Vicky wrzaskiem to o wiele lepszy pomysł niż spanie.

Ken i ja nie lubiliśmy Petera, a to nie poprawiło sytuacji. Peter miał wielką rudawą czuprynę i piegi i moim zdaniem nie pomagał wystarczająco Vicky przy dzieciach. Na jego widok zawsze przypominał mi się wierszyk z mojej ulubionej książeczki dla dzieci: „Wolę spotkać grzechotnika niż Kudłatego Pietrzyka”. Crystal to skóra zdarta z niego, ale w wieku czterech lat była jeszcze niewiarogodnie słodka.

Choć ją uwielbiałam, dopiero niedawno zdobyłam się na to, żeby znowu na nią spojrzeć, a nawet trochę z nią побыć. Nadal bolała mnie każda nowa rzecz, jaką robiła, mówiła czy jakiej się nauczyła. Nie mogłam się pozbyć myśli o mojej maleńkiej Holly i o tym, co straciła. Byłaby zapatrzona w Crystal. Crystal nauczyłaby ją wszystkich swoich brzydkich nawyków. Dawałaby jej lekcje hipochondrii dla zaawansowanych, wrzasku w zakresie podstawowym i, oczywiście, awantur stosowanych.

Trochę to niesprawiedliwe, choć Crystal rzeczywiście przeżyła trochę trudny okres. Do mnie odnosiła się cudownie, ale biedna Vicky dostawała ostrą szkołę; określenie „gwiazda dramatu” zostało wymyślone specjalnie na użytek jej córki.

- Co robiłaś wczoraj?

Spróbowałam sobie przypomnieć.

- Hm. Niewiele. Ken grał w golfa z kimś tam z biura. Ja czytałam scenariusz na casting.

- Jak i casting? Nic nie powiedziałaś! Kiedy? Do czego?

Vicky miała urażony głos, a ja byłam zbyt ospała, by się upierać, że na pewno jej o tym mówiłam.

- Jutro. To tylko miejscowa kablówka. Musiałabym wyjechać na zdjęcia na wiele dni, nawet tygodni, do Bristolu. Nie wiem, czy chcę.

- Chcesz! Mogłabym zabić za coś takiego, regularna praca i sława, ale tylko miejscowa, więc nie będziesz na pierwszych stronach za każdym razem, jak się wytoczysz z baru ze spódnicą wetkniętą w majtki i rozmazaną szminką.

Tęsknota w jej głosie nadała sytuacji inny wymiar: hologram pożądania. Vicky dałaby wszystko za pracę, ale nie zaproponowano jej niczego, odkąd zaszła w ciążę z Patem. Trudno jej było się wyrwać na przesłuchania, nie mówiąc już o próbach w teatrze czy zdjęciach do filmu.

- No tak. Sława mnie nie przytłoczy.

- To lubię. Czyli co, o czwartej, tak? Przyjdź, pojedziemy moim samochodem.

Dziesięć minut po tym, jak obie odłożyłyśmy słuchawki, nadal siedziałam w szlafroku Kena na niepościelonym łóżku. W końcu zmotywowałam się do spełnienia w dół po schodach, nalania wody do czajnika i włączenia radia, w którym trwała właśnie ożywiona telefoniczna debata na temat korków. Liczne głosy przepływały przeze mnie, uwalniając mnie od siebie samej. Woda zaczęła wrzeć, ale tego nie zauważyłam. Zapomniałam o przesłuchaniu. Wyłączyłam się, wcisnęłam jakiś guzik jak w czajniku i tylko sobie siedziałam. Przez te dziesięć miesięcy często mi się to zdarzało. Natychmiastowe odrętwienie, jak znieczulenie zewnątrzoponowe na życzenie. Łaknęłam go i doszłam do niezłej wprawy w jego osiągnięciu. Potraktowałam to jak technikę, którą należy wyćwiczyć, jak w metodzie Stanisławskiego albo w jodze.

Wydawało mi się, że siedzę tak od dziesięciu minut, ale spojrzałam na zegar i zrozumiałam, drgnąwszy nerwowo, że minęła prawie godzina, a ja się ani razu nie poruszyłam. Nic dziwnego, że zeszytywniałam. Ostatnio czas traktował mnie dziwnie. Albo rozciągał się w nieskończone ciągi elastycznych minut, z którymi nie miałam co zrobić, albo kompresował się w twarde atomy, pędzące tak szybko, że za nimi nie nadążałam.

Chciałabym nie musieć walczyć z czasem. Nie powinnam sobie nawet zdawać sprawy z jego upływu. Powinnam robić teraz papierowe motylki albo wykładać podłogę arkuszami korka, albo bawić się z dziećmi, albo przyszywać im do ubranek tasiemki z imionami, albo myć brudne łapki, albo ścierać ślady paluszków z okien, albo robić jakkolwiek z tych dziesiątków rzeczy, na które narzekała Vicky. Gdyby sprawy potoczyły się inaczej, nie miałabym czasu, by przez godzinę sterczeć nieruchomo na kuchennym stole, ciągle w szlafroku.

Przynajmniej, pomyślałam, ja i Lil znowu jesteśmy przyjaciółkami. Muszę myśleć pozytywnie.

Właśnie kończyłam drugą, tym razem uwieńczoną sukcesem próbę przyrządzenia kawy, kiedy z zewnątrz dobiegł mnie przeraźliwy zgrzyt. Śmieciarze! Skoro słyszę ten zgrzyt, to znaczy, że już zabrali czarne worki sąsiadów, zbierają się do odjazdu i wrócą dopiero w przyszłym tygodniu.

Rzuciłam się do działania - nagły ruch przyniósł mi niemal ulgę - wyskoczyłam na zewnątrz, zerwałam przykrywkę z kubłów i wypadłam na drogę z dwoma worami w rękach. Śmieciarze wydali niemrawy okrzyk aprobaty, kiedy wrzuciłam wory w paszczę śmieciarki, a ja odpowiedziałam równie niemrawym uśmiechem i poczłapałam do domu w cieplej gęstniejącej mżawce.

Naprawdę, pora się w coś przyodziać. Nawet ja uznałam, że pętanie się po dworze w szlafroku i błyszczących klapkach to lekka przesada - choć sąsiedzi i tak uważali nas za margines. Nasz dom był ślicznym wysokim wiktoriańskim budyneczkiem, ale ani Ken, ani ja nie mieliśmy serca, żeby coś z nim zrobić, wyjąwszy wielkie plany, jakie snuliśmy, kiedy sprowadziliśmy się do Hampton, a ja byłam w siódmym miesiącu. Wisteria zarosła rynsztoki i zasłoniła parterowe okna na tyłach domu; niegdyś białe drzwi frontowe i garażowe wyglądały jak dotknięte luszczycą, a chwasty radośnie zaanektowały zwirowany podjazd. Pochyliłam się i wyrwałam mlecz, jakbym w ten sposób rekompensowała sąsiadom mój niekompletny strój.

Sąsiedzi nigdy nie wspominali o Holly. Nie znali mnie na tyle, żeby złożyć mi wyrazy współczucia, kiedy stało się jasne, że poród był, a dziecka nie widać. Czas płynął i było im coraz trudniej wracać do tematu, więc nie wracali. W związku z tym nie zawarli-

śmy żadnej znajomości przy tej ulicy. Oczywiście, Kenowi było wszystko jedno, bo on tutaj i tak nie bywał. Ale ja czasami myślałam, że miło byłoby zaprosić kogoś na kawę i pogaduszki o kiepskim oświetleniu w Grosvenor Drive czy o ogromnych stertach psich kupek na chodnikach.

Upychałam właśnie mlecz za szczęśliwie opróżnionymi kubkami, kiedy pojawił się listonosz na rowerze. Długie wiotkie włosy miał związane w kucyk, a wiecznie obecny pet przywarł mu do wargi jak element munduru. Listonosz zaparkował czerwony rower przy furtce, pogrzebał w torbie i wręczył mi garść kopert różnych kolorów i rozmiarów. Ta na wierzchu natychmiast przemokła i zwiędła na deszczu, adres się rozmył.

Nie odzywał się do mnie nigdy, listonosz, nie list, ale za to kiwał głową i uśmiechał się, a pet poruszał się i sypał czasem popiołem. Nasza korespondencja zawsze pachniała dymem, ale przynajmniej listonosz był sympatyczniejszy niż sąsiedzi.

- Dzięki - powiedziałam, wycierając w szlafrok Kena palce zabrudzone sokiem mlecza. Zaczęłam przeglądać stosik: „Vogue”, magazyn z klubu książki, reklamówka linii lotniczych, pocztówka dla nas obojga od mojego brata Olly'ego, który wyruszył w podróż ze swoim chłopakiem Russem i teraz, jak się okazało, zamieszkał na Ibizie, a także list do mnie: gruba, prawdziwa koperta, adres napisany nieznaną ręką. Mój zardzewiały mózg wyprodukował ze zgrzytem parę możliwych wytłumaczeń, które przychodzą do głowy po otrzymaniu niespodziewanego listu: agentka? Nie, ona by zadzwoniła. Zaproszenie na przyjęcie? Możliwe, choć zaproszenia nie mają takiego kształtu. Daleki krewny? Nieprawdopodobne - znałam charakter pisma większości moich krewnych.

Otrzymanie prawdziwego listu w erze poczty elektronicznej miało w sobie coś ekscytującego. Miałam nadzieję, że to nie jest nic nudnego, na przykład zaproszenie na wizytę u ginekologa.

Wróciłam do domu, usiadłam na schodach i obejrzałam kopertę. Nie miała adresu zwrotnego, a stempla nie zdołałam odczytać. Literały były duże i okrągłe. Niezwykłe. Nie miałam pojęcia, kto do mnie napisał.

Powoli, rozkoszując się tym doznaniem, wsunęłam kciuk w rozchylenie koperty i rozerwałam papier. Wyjęłam dwie złożo-

ne liniowane stroniczki - wypełnione, co dziwne, innym pismem niż to na kopercie. Wyglądało na to, że list jest z college'u dla dorosłych, co jeszcze bardziej zbiło mnie z tropu - aż zaczęłam czytać.

27 lipca 2002 r.

Droga Pani Sozi.

Nie zna mnie Pani - a raczej nas. Nazywam się Adam Ferris, a mój syn ma na imię Max. Ma cztery lata - niedługo skończy pięć - i to z jego powodu piszę do Pani.

Dwa lata temu Max miał ostry przypadek białaczki. Uratowała go Pani, oddając swój szpik kostny do przeszczepu. Na pewno Pani wie, że Trust Anthony'ego Nolana nie zezwala na kontakt dawcy i biorcy przez co najmniej dwa lata po przeszczepie, ale od chwili, kiedy osiem miesięcy temu badania wykazały, że Max jest zupełnie zdrowy, chciałem się z Panią skontaktować. Zanotowałem w kalendarzu dokładną datę, kiedy będzie mi wolno napisać do Pani ten list, co czynię z radością i wdzięcznością.

Mógłbym zapelnąć te kartki samymi podziękowaniami, ale i tak nawet w części nie wyraziłbym mojej wdzięczności. Podarowała Pani życie mojemu synkowi. Oddała mi go Pani, kiedy sądziłem, że już go straciłem - do diabła, i oczywiście się rozplakałem...! Czy mógłbym nie płakać? Max jest dla mnie wszystkim. To moje jedyne dziecko. Ja i żona żyjemy w separacji i choć wiem, że ona także bardzo go kocha, inaczej podchodzi do sprawy. Od jakiegoś czasu jej nie widzieliśmy. Przepraszam, na pewno nie chce Pani tego słuchać! Pragnę tylko powiedzieć, że jest mi Pani bliska, bo stała się Pani częścią mojego syna - tą częścią, która uratowała mu życie.

Nic o Pani nie wiem, Anno (mam nadzieję, że nie obrazi się Pani o tę poufalskość), nie znam nawet Pani obecnego adresu - jak Pani widzi, ten list przesyłam przez Trust Anthony'ego Nolana. Jeśli ma Pani własną rodzinę, to zrozumie Pani ten straszny lęk, a potem radość, uczucia, jakich doznaję, odkąd usłyszeliśmy diagnozę, gdy Max miał dwa latka. Muszę przyznać, że jestem Pani bardzo ciekaw i bardzo chciałbym się czegoś o Pani dowiedzieć.

Oczywiście uszanujemy Pani życzenie, jeśli nie będzie Pani chciała mieć z nami kontaktu - w Truście powiedzieli mi, że to dość powszechne i zrozumiałe, zwłaszcza w przypadku, kiedy przeszczep nie ratuje życia. W przypadku Maksa to się dopiero okaże, ale w tej chwili, dzięki Bogu, choroba jest na pewno w fazie remisji, a mój synek jest najbardziej zdrowym, szczęśliwym i rozbrykanym dzieckiem, jakie można sobie wyobrazić. Więc jeśli zechce Pani napisać list lub e-mail, proszę to zrobić (adres na górze strony to mój firmowy e-mail. Uczę garncarstwa i ceramiki. Nie na pełny etat, ale dzięki temu mam mnóstwo czasu na bycie tatą). Max i ja bardzo byśmy chcieli kiedyś spotkać Panią i osobiście podziękować.

Wiecznie wdzięczny Adam Ferris (z Maksem)

Nawet nie wiedziałam, że czytając list, weszłam po schodach i znalazłam się w mniejszej z naszych dwóch wolnych sypialni. Nie wiedzieliśmy, że będzie wolna. Zażądałam, żeby dekoracyjny fryz w słonie i motylki, pasujący do zasłon i żonkilowych ścian, znikł pod grubą warstwą neutralnej kremowej emulsji. Ale błękitny dywan był tym samym, który kupiliśmy dla Holly. Jedyny ślad po pokoju dziecinnym. Jedyny odnowiony pokój w domu. Stało tu także nowe łóżeczko, ale nikt w nim nigdy nie spał.

Brakowało mi tych słoników, ściany bez nich były nagie. Ale nie żałowałam, że kazałam je zamalować. Niektórzy zachowują sypialnie swoich dzieci jak świątynie, ja nie widzę w tym żadnego sensu. Może byłoby inaczej, gdyby w pokoju znalazły się pamiątki po Holly, ale ona tu nigdy nie była i nie zobaczyła swoich słoników i motylków.

Upuściłam list na błękitny dywan i osunęłam się po ścianie, objęłam głowę rękami. Nie słyszałam niczego z wyjątkiem huku krwi w uszach i dalekiego szmeru samolotu wysoko na niebie.

Stopniowo dotarło do mnie, że zaczynam się uśmiechać. Przeczytałam list dwa, trzy razy i choć gardło mi się zaciskało, z wolna uśmiechałam się coraz szerzej. Uśmiechnęłam się w tym pokoju po raz pierwszy od czasu, gdy kazałam go zamalować.

- Zdaje się, że umarłam i poszłam do piekła! - wrzasnęła Vicky przez hałas kręgielni. Nawet Crystal, zwykle tak pewna siebie, ścisnęła mocno moją rękę i chowała się za mnie. Hałas był ogłuszający: maszyny do gier kwiczały i trzaskały, kule bilardowe łomotały na dziesięciu stołach po lewej stronie, nastolatki z ogolonymi głowami siedziały na przytwierdzonych do podłogi motorach, wgąpione w monitory, kołysząc się gwałtownie, kiedy mijaly jednowymiarowe zakręty nieistniejących torów wyścigowych... zaczęłam się czuć nieswojo bez podkoszulka z nazwą metalowej kapeli i bez kolczyków w różnych częściach ciała.

- Fantastyczne miejsce na urodziny pięciolatki, co? - ryknęłam.

- Nieee, ciociu, nieee! - wrzasnęła Crystal. - Mamusiu, ja tu nie chcę urodzin. Chcę do domu!

- Ja tylko żartuję, kochanie, nie przejmuj się. Ty będziesz miała na urodziny dmuchany zamek do skakania i klauna, prawda, Vic?

Crystal z ulgą skubnęła strup na łokciu.

- Gdzie te urodziny?

Vicky wskazała migoczący neon „Kącik dzieciaka”.

- Chyba tam. Nie skub, bo się nie zagoi.

Ominęłyśmy stado jednorękich bandytów i przeszłyśmy po wykładzinie z logo kasyna, a potem po krótkich schodach, gdzie hałas się zmienił. Łomot maszyn miłosiernie przycichł, ale zastąpiły go wrzaski napchanych słodyczami uczestników sześciu przyjęć, które odbywały się jednocześnie, każde na osobnym torze kręglarskim. Monitory wyświetlające wyniki także brzęczały, a nad wszystkim unosił się, niczym toksyczne wyziewy, zniekształcony, ale łomoczący pop.

Crystal stała niepewnie, ubrana w świąteczną sukienkę, ściskając prezent urodzinowy. Na widok intensywnej różowości pod zerwanym strupem ścisnęło mnie w gardle aż do bólu. Była taka bezbronna...

- Przynajmniej nie zakrwawi całej sukienki - powiedziała Vicky, podchwytyjąc moje spojrzenie. - Patrz, Crystal, tam jest Lottie!

Lottie była krzepką dziewczuszką o przekłutych uszach. Miała panokcie pomalowane szkarłatnym lakierem, buty na wysokich koturnach, ręce pełne naklejanych tatuaży i różową szminkę.

- Wszystkiego najlepszego, Lottie - powiedziała Vicky, a Crystal podała prezent. Lottie wyszarpnęła go bez słowa i rzuciła na stertę innych pod ławką, po czym ruszyła ku torowi, odepchnąwszy Crystal z drogi.

- Jedyna pięciolatka z cellulitem, jaką zdarzyło mi się spotkać - szepnęła do mnie Vicky. - Lottie na pewno bardzo się spodoba twój prezent - dodała, pochylając się nad zmartwioną Crystal. - Jest bardzo zajęta.

- Ja chcę do domu - powiedziała żałośnie Crystal.

Po mało zachęcającym początku sytuacja w końcu się poprawiła. Crystal przyglądała się, jak dzieci rzucają kulami w kręgle i po paru chwilach dała się tam zaprowadzić i pokazać, jak to się robi. Natychmiast zdobyłyśmy punkt, co ją okropnie ucieszyło. Zostałam ją tam, stojącą wesoło w kolejce do następnego tryumfu.

- Dzielną dziewczynka! - zawołała Vicky, podnosząc kciuk.

- Kręgle są fajne, nie? - zauważyłam. - Tylko ten łomot nie jest fajny.

- I to... towarzystwo - dodała Vicky wyniośle.

Siedziałyśmy na chybotliwej ławeczce przy torze i przyglądałyśmy się, jak dzieci robią się coraz bardziej nadaktywne, w miarę jak piją lemoniadę z wielkich papierowych kubków, które przyniosła i rozdawała matka Lottie. Nie mogłam patrzeć, jak Crystal pije to świństwo, ale wiedziałam, że Vicky nie da sobie nic powiedzieć. Mimo to nie mogłam się powstrzymać od wymamrotania:

- Szkoda, że nie mają tu innych napojów.

- Słuchaj, przecież to ma być przyjęcie. To nieuniknione, że Crystal dostanie jakąś używkę. Zresztą, gdyby był wybór, to tylko pomiędzy colą, colą light i 7-up. W takich miejscach nie podają naparu z czarnego bzu.

A powinni, pomyślałam, choć zdołałam się ugryźć w język. Szkoda, że nie przyszło mi do głowy, by wziąć butelkę mineralnej.

Vicky zmieniła temat.

- Jak leci? Wszystko gotowe do przesłuchania? Ależ ci za-zdroszczę.

- Mm - wydusiłam z siebie, choć nie myślałam o castingu. Myślałam o spoczywającym w wewnętrznej kieszonce mojej torebki liście od Adama Ferrisa. Spojrzałam na Vicky, na jej znajomą, zmęczoną, lecz ładną twarz. Coś mnie kusiło, żeby jej powiedzieć - czułam w żołądku dziwne łopoty, jakby fruwały po nim motylki z pokoju Holly - ale coś silniejszego kazało mi siedzieć cicho. Może powiem jej później, kiedy zdecyduję, co zrobię. Niektóre sprawy są zbyt ważne, by o nich mówić: przynajmniej dopóki nie poukładają się w głowie. Tak myślałam o Maksie.

- Niepotrzebnie. Na pewno nie dostanę tej roli. - Teraz to ja zmieniłam temat. - Jak tam mój mały Pat?

Pociągnęłam długi łyk lemoniady Crystal, myśląc, że im więcej wypiję, tym mniej trucizny zostanie dla niej.

Vicky westchnęła.

- W tej chwili strasznie się do mnie klei. Nie mogę go ani na chwilę zostawić. Kiedy podrzuciłam go do sąsiadki, wrzeszczał tak, że o mało nie popękały okna.

Przez chwilę walczyła ze łzami, ale kiedy wyciągnęłam nieśmiało rękę, żeby dotknąć jej kolana, cofnęła się, więc ja też się cofnęłam.

Pomyślałam o Pacie, który liczył sobie trzynaście miesięcy i był słodki. Gdyby był mój, mógłby się do mnie kleić do woli. Jak to cudownie, kiedy ktoś cię tak kocha. Tego także nie mogłam powiedzieć Vicky.

Przez chwilę siedziałyśmy w milczeniu, przyglądając się, jak Lottie wlece wielką kulę do metalowego toru i rzuca ją. Kiedy przewróciła sześć kręgli, odtańczyła indiański taniec radości, trzęsąc tyłkiem. Zaczęła biegać i ścisnąć wszystkie stojące nieopodal dzieci, jak grubiutki Beckham, który właśnie strzelił gola dla Anglii. Odwróciłam się, żeby to powiedzieć Vicky, ale ona znowu siedziała z tym dziwnym zamkniętym wyrazem twarzy.

- Patrz, co to za nowe świństwo? - rzekłam tylko, bo przyniesiono poczęstunek.

W plastikowych koszyczkach spoczywały brązowe, twarde, zimne frytki i jakieś panierowane kulki niewiadomego pochodzenia. Nie spodziewałam się zielonej sałaty ani niczego w tym rodzaju, ale można by pomyśleć, że dorzucą chociaż kawałek ogórka albo parę marchewek... choć może to już nadmierny opty-

mizm. Dzieci pewnie by nie tknęły nic zdrowego. Wstałyśmy, by wraz z innymi rodzicami rozdzielić poczęstunek.

- Jak ci się zdaje, co to? - spytałam, wskazując z niesmakiem na brązową kulkę.

- Nie mam pojęcia - mruknęła Vicky. - Mój kot czasami takie robi.

Inna matka, atrakcyjna szczupła kobieta z falistymi jasnymi włosami i bransoletką na kostce, stanęła obok nas.

- To chyba miał być kurczak. Choć głowy bym za to nie dała. Tak przy okazji, jestem Diana, mama Susie - to tamta w sukience w paski. A które jest twoje? - zadała to pytanie mnie, ale odpowiedziała Vicky.

- Crystal. To tamta, bez odpowiednich butów. W wypożyczalni nie mieli już dziesiątek, więc ten chłopiec pozwolił jej nosić sandały - i dobrze, bo nie wzięła skarpetek. Nie chcę myśleć o jej nóżkach w tych dziwnych butach. Na pewno zrobiłyby się jej pęcherze.

Zmusiłam się do słuchania. Zdałam sobie sprawę, że plastikowy koszyk w moim ręku przechylił się niebezpiecznie.

- I kto wie, co jeszcze. Dobrze, że Susie ma skarpetki. - Kobieta odwróciła się do mnie. - A twoje które?

Zapadła cisza. Vicky spojrzała na mnie i odwróciła oczy.

- Jestem matką chrzestną Crystal - powiedziałam wreszcie. - Przyszłam jako wsparcie moralne. Czy jest tu jakiś bar? Usycham z tęsknoty za dżinem z tonikiem.

- Nie sądzę. Widzę tylko napoje bezalkoholowe.

Przewróciłam oczami.

- Straszne miejsce. Tyle hałasu i ani kropli alkoholu? Wstyd - kręgle to taka świetna zabawa.

Vicky włączyła się z wyraźną ulgą, że kryzys zażegnany.

- Aha. Wiesz, ktoś powinien otworzyć kręgielnię dla klasy średniej. Żadnych maszyn. Schłodzone sauvignon i kanapki.

Diana się roześmiała.

- Muzyka klasyczna zamiast tego koszmarnego eurodisco.

- Wstęp tylko dla członków klubu, ale żeby do niego przyjęto, ktoś musi za ciebie poręczyć...

- Napar z czarnego bzu dla dzieci - z gospodarstw ekologicznych.

Zauważyłam kpinę w oczach Vicky. Pewnie sama się prosiłam, krytykując lemoniadę, ale nagle poczułam, że dłużej nie wytrzymam. Depresja, nad którą zwykle udawało mi się panować w miejscach publicznych, podniosła się jak przyływ, grożąc, że mnie pochłonie.

- Muszę do ubikacji - wymamrotałam i odeszłam. Po drodze przewróciłam porzucony koszyczek z frytkami, i choć go podniosłam, frytki zostawiłam na podłodze.

Łazienka dla pań znajdowała się po drugiej stronie hali, koło maszyn, w które wrzuca się dziesięć pensów, żeby zepchnąć pieniądze, jakie się nabierały. To się nigdy nie udaje; nawis pieniędzy robi się coraz większy, coraz bardziej się chwieje - przynajmniej tak to zapamiętałam z młodych lat. Napięcie, narastanie ciężaru - tak właśnie się czułam. Coraz bliżej krawędzi, choć jeszcze nie poza nią. Na razie. Od śmierci Holly minęło dziesięć miesięcy, a dla mnie to było jakby wczoraj.

Weszłam do łazienki i stanęłam przed lustrem, gapiąc się na siebie w sztucznym świetle. Tu wszystko jest sztuczne, pomyślałam. Światło, lemoniada, jedzenie. Moje zachowanie.

Drzwi otworzyły się i do środka weszła Vicky, ciągnąc za sobą szczek automatów. Stała obok mnie.

- Śledzisz mnie?
- Nie całkiem. Też muszę siusiu.
- Gdzie Crystal?

Vicky zerknęła na mnie z ukosa.

- Ta cała Diana na nią uważa. Nic jej nie będzie. Co się dzieje?
- Nic. Naprawdę. Nic nowego. - To prawda, pomyślałam. Dostałam wspaniałe wiadomości. Dlaczego jestem tak wytracona z równowagi? Moim zdaniem, Vicky coś przede mną ukrywała. Zachowywała się dziwniej ode mnie - raz była naburmuszona i wyraźnie chora, za chwilę znowu tryskała energią i radością.

- Pamiętaj, jak będziesz chciała pogadać, to wiesz, gdzie mnie znaleźć.

- Dzięki. - Chciałam jej powiedzieć to samo, ale dla Vicky to bez znaczenia. Powie mi, kiedy będzie gotowa i ani chwili wcześniej.

Vicky dotknęła szarawych nabrzmiąłych worków pod oczami, przyglądając się z rezygnacją swojemu odbiciu w ostrym świetle jarzeniowym.

- Patrz, w jakim jestem stanie. Wyglądam strasznie. Jestem cholernie zmęczona, a w tym jazgocie dostałam migreny.

To prawda, że Vicky nie była już tak atrakcyjna jak kiedyś, ale wszyscy wiedzą, że kiedy ma się dzieci, brakuje czasu na zabiegi pielęgnacyjne. Może uda mi się ją przekonać, żeby ufarbowała od-

rosty. pomyślałam, albo nawet wzięła masaż. To zawsze pomaga. Ale wolałabym, żeby tak ciągle nie skarżyła się na zmęczenie. Ja bym się nie skarżyła. Moim zdaniem, to niewielka cena za dwoje pięknych dzieci. Zresztą, sama też się nie wysypiam - chyba że po pożarciu hurtowych ilości środków uspokajających, ale zawsze następnego dnia jestem otępiąła i rozdrażniona.

- Dlaczego jesteś taka zmęczona? Pat chyba nie jest chory?

- N i e, choć ciągle kaszle. Wczoraj w nocy budził mnie cztery razy, a potem Crystal postanowiła wstać kwadrans po piątej. Mówiłam jej, że ma zostać u siebie do siódmej, ale nie chciała. Potem obudziła Pata i po zawodach. Nie wiem, jak oni wytrzymują cały dzień - ja koło południa już wysiadam.

Nadal nie rozumiałam. Do braku snu na pewno można się przyzwyczaić? Te małe cudne ciała mogłyby wskakiwać do mojego łóżka o każdej porze dnia i nocy. Nigdy bym ich nie wyrzuciła, nigdy. Wspomnienie małych gorących ramionek, oplatających moją szyję, kiedy Crystal została na noc, na zawsze wypaliło się w mojej pamięci. To, jak niezdarnie głaskała mnie po twarzy, było najpiękniejszym darem.

Ciągle proponowałam, żeby Vicky przyprowadziła do mnie Crystal, Pata zresztą też, a ona i Peter mogliby spędzić noc w jakimś hotelu. Ja z radością przenocowałabym ich dzieci, choć Pat się klei, a Crystal przechodzi fazę buntu. Ale Vicky ciągle odmawiała. Prawdę mówiąc, niemal się pokłóciliśmy. Vicky miała pretensje, że teraz Crystal nie chce już spać we własnym łóżeczku i nie rozumie, dlaczego rodzice nie mogą z nią spać tak, jak ciocia Anna.

- Czy Peter nigdy nie wstaje w nocy do dzieci? - spytałam, znając odpowiedź.

Vicky parsknęła.

- H m . . . niech pomyślę... Nie. No, czasem w weekendy. Ale wiesz, stolarz ma cholernie stresującą pracę...

Odwróciła się i weszła do kabiny.

- Powinnaś od niego więcej wymagać. Może niech wstaje co drugą noc. Musicie coś zrobić, jeśli czujesz się aż tak źle.

Westchnienie Vicky uniosło się nad drzwiami kabiny i utonęło w szumie wody.

- Z czasem będzie lepiej - powiedziała, wychodząc zmęczonym krokiem. - Za jakieś szesnaście lat.

Wyjęłam kosmetyczkę i poprawiłam szminkę. Nie było to bardzo życzliwe, ale czasami nie mogłam się pozbyć wrażenia, że po minąwszy kwestię Petera, Vicky robi widły z igły; jej dzieci były zdrowe i śliczne. Czego jeszcze można wymagać? Nawet jeśli wyglądała na trochę przygaszoną, rozstępy i cellulit ją ominęły, a brzuch miała bardziej płaski od mojego.

- No, chodźmy - zawołała, przekrzykując hałas suszarki. - Do boju.

Kiedy wreszcie wyszliśmy z kręgielni, nie tylko Vicky miała migrenę. Pokłóciła się z Crystal, która zauważyła plac zabaw dla dzieci i chciała go odwiedzić. Od wszechobecnego hałasu mój mózg zaczął się obijać o czaszkę.

- Po moim trupie - wymamrotała Vicky. - Bóg jeden wie, jakie wirusy czyhają w tym basenie z piłkami. - Odwróciła się do córki. - Nie, kochanie, musimy iść po Pata. Bardzo za nami tęskni!

W rezultacie musiałyśmy zanieść Crystal do samochodu, wrzeszczącą i protestującą, gdzie zaczęła bić głową w drzwi. Vicky usiłowała przekupić ją kawałkiem grubo lukrowanego, lecz ciężkiego jak ołów tortu, który dostaliśmy na drogę.

- Cioooooociu! - załkała Crystal, prychając okruszkami. - Usiądź ze mną! Boli mnie główka!

- Nie, kochanie, dorośli siedzą z przodu - zaczęła Vicky, ale ja już przeciskałam się obok pustego fotelika Pata i tuliłam Crystal. Tak trudno było mi jej odmówić.

Usłyszałam ciche cmoknięcie Vicky i poczułam lekkie wyrzuty sumienia. To prawda, Crystal stała się maniakalną hipochondryczką i pewnie ustępowanie jej tylko pogarszało sprawę. Boże ucho- waj, żeby Crystal kiedykolwiek zachorowała na coś poważnego - pewnie by się załamała. Na razie roztkliwiała się nad każdym zadrapaniem, domagając się maści i plastrów świecących w ciemnościach. Za rolkę bandaża pewnie sprzedałaby duszę.

Ja na pierwsze oznaki choroby zaczęłabym jej dawać homeopatyczne lekarstwa: na ból gardła, stłuczoną głowę, „brzul bucha”, jak kiedyś mówiła - i choć Vicky mówiła, że to nie szkodzi, zauważałam, że sama nie ma zamiaru ich stosować. Wyjęłam z torebki arnikę w tabletkach.

- Ooo, mniam! - zawołała Crystal. - Lekarstewko! Dostanę dużo, ciociu? Bo główka mnie bardzo, bardzo boli.

- Nie, tylko dwie tabletki. Wyciągnij język.

Vicky przekręciła kluczyki w stacyjce, ale staruszek escort zaskoczył dopiero po trzeciej próbie.

- Rozpaczliwie potrzebujemy nowego samochodu - mruknęła.

- Mamusiu, nowe samochody są bardzo, bardzo drogie - poczuła ją Crystal z wyduętymi ustami.

- A ty co, jesteś teraz dyrektorem finansowym? - warknęła Vicky, z wolna przejeżdżając po „śpiących policjantach”.

Crystal wyprostowała się na całą wysokość i przemówiła, jakby starała się wyjaśnić coś bardzo prostego kompletnemu idiotcie:

- Mamusiu. Jestem w połowie wróżką. Dlatego nie mogę być dyrektorem finansowym.

Dopiero teraz Vicky uśmiechnęła się po raz pierwszy tego dnia; ale zaraz potem na jej twarz znowu wrócił surowy grymas i poczułam, że zbliża się konflikt.

- Anno...

- T a k ?

- Wracając do arniki: nie chodzi o to, że potępiam homeopatię, bo wiesz, że nie, ale te pigułki mają słodki smak i to ją przekonuje, że jeśli będzie się roztkliwiać nad swoimi stłuczeniami, wszyscy zaczną zwracać na nią uwagę. Zacznie o nie prosić również wtedy, kiedy nic jej nie będzie - nawet według jej standardów...

- Przepraszam - powiedziałam z urazą. Schowałam arnikę do torebki. - Chciałam tylko pomóc...

- Dostanę jeszcze lekarstewko? - spytała Crystal.

Vicky wrzuciła lewy kierunkowskaz i zostawiła za sobą ponury hangar, będący siedzibą kręgielni. Jej komórka zadzwoniła w chwili, gdy mieliśmy wyjechać na ulicę, więc zjechała na pobocze i znowu wyłączyła silnik.

- Mam odebrać? - spytałam z tylnego siedzenia, już sięgając do przepastnej torby, pomiędzy paczki chusteczek, smoczki, zapasową parę kwiecistych majtek Crystal i kosmetyczkę, żeby wyłuskać mały srebrny telefon. Zdołałam go podać, zanim włączyła się poczta głosowa.

- Hej! - zawołała Vicky, nagle ożywiona. - Jak leci?

Katriona, powiedziała bezgłośnie, patrząc na mnie. Skinęłam głową i wyrzalam przez okno. Nie lubiłam jej przyjaciółek z Centrum Macierzyństwa wyłącznie dlatego, że to jedyna grupa, z któ-

rej byłam wykluczona - z wyjątkiem okresu ciąży, kiedy chodziłam na wszystkie spotkania.

Crystal na chwilę zajęła się odrywaniem z okna naklejki WIDZIAŁEM LWY I LABIRYNTY LONGLEAT, więc wykorzystałam tę chwilę, by zrzucić kawałek nafaszerowanego konserwantami ciasta na podłogę, gdzie rozdeptałam je, żeby na pewno nie dało się go zjeść. W torebce miałam rodzynki, które mogły odegrać rolę panaceum. Ciekawe, czy Adam Ferris pozwala Maksowi jeść niezdrową żywność. Nauczyciel garncarstwa? Wyobraziłam sobie, że jest bardzo wysoki i chudy, we włochatym, ręcznie wydzierganym swetrze i z brodą. Pewnie karmi Maksa wyłącznie warzywami z gospodarstwa ekologicznego. Oby. Biedne dziecko ma pewnie w organizmie wystarczająco wiele trucizn po chemii. No, ale chemia podziałała. Ona i mój szpik.

Vicky się roześmiała. Wyglądała na o wiele bardziej rozradowaną.

- Tak, wiem - mówiła. - Marzyłam o tym przez cały dzień: ze świecami i muzyką, jak należy. To najgorszy moment, prawda? Te niekończące się trzy godziny przed spaniem; nie wytrzymuję.

- Gdzie mój tort? - wrzasnęła Crystal.

Odrzuciłam się do niej.

- Przepraszam, kochanie, upadł na podłogę. Fuj, patrz, jaki brudny. Nie szkodzi. Zagrajmy w zgadywanki. Możesz zacząć.

Twarz Crystal zapadła się, jak u starej kobiety, która wyjęła sztuczną szczękę.

- Ja - chcę - tort!!!

- Muszę kończyć - powiedziała Vicky. - Tak, oczywiście, będę jutro. Do zobaczenia o jedenastej.

Zamknęła kłapkę komórki i odwróciła się ze znąkaną miną, skierowaną zarówno do Crystal, jak i do mnie.

- Daj jej ten tort, dobrze?

- Nie. Popatrz, jak wygląda, cały zgnieciony. Dam ci rodzynki.

- Nie chceeee! Toooooort!

Vicky westchnęła.

- Tort masz w domu, kochanie.

- Co, masz romans? - rzuciłam od niechcenia, choć wiedziałam, że nie ma. Nie podobało mi się, że żartuje z innymi koleżankami. Vicky zrobiła odpowiednio przerażoną minę.

- Skąd! Dlaczego tak mówisz?

Wyszczерzyłam zęby.

- No, bo opowiadałaś tej Katrionie, że tak o czymś marzysz. Świece, muzyka...

- No wiesz? Naprawdę. Chodziło o kąpiel. Samotną, bez kaczuszek, gołych Barbie albo, gorzej, małych śliskich dzieci, które ugniatają i komentują każdy centymetr mojego ciała, i włożą mi na głowę. Już się nie mogę doczekać. - Roześmiała się gorzko. - Romans! Jakbym miała na to siłę.

W nagłym porywie wściekłości podkręciła radio tak, żeby zagłuszyć wrzaski Crystal.

- A teraz następna pozycja na naszej liście! - wrzasnął na nas spiker. - Piosenka *Prawdziwe życie!!!*

Bardzo słusznie, pomyślałam w samochodzie kołyszącym się od huków, ale Crystal spokojnie zwiększyła natężenie wrzasku. W tej wojnie charakterów, powiedziałam do siebie, Vicky nie ma żadnej szansy. Przykręciła radio.

- Wyluzuj, Vic - zaryzykowałam. - Słuchaj, jeśli jesteś naprawdę wykończona, może pójdziemy na dzień do SPA? Albo nawet na dwa dni. Grayshott Hall jest podobno świetne.

Vicky parsknęła.

- Akurat się uda - prychnęła.

Nie wiedziałam, czy chodzi jej o to, że nigdy nie zdołam się pozbiierać na tyle, by wszystko załatwić, czy też o to, że Peter jej nie pozwoli.

Dodała gazu i popędziłyśmy pustymi ulicami dzielnicy przemysłowej. Crystal i ja wymieniliśmy zmartwione spojrzenia. Rzuciło nas od ściany do ściany, opony piszczały na zakrętach, przednie koła wpadały na krawężniki. Niemal się spodziewałam, że zaczniemy wywracać kubły na śmieci a la Starsky i Hutch. Nieśmiało położyłam jej rękę na ramieniu - i zacisnęłam ze wszystkich sił, kiedy nagle znikąd wypadł na nas nastolatek na desce.

- Vicky!

- Mamo!

Vicky wdepnęła hamulec, wyminęła chłopaka o włos. Zaklął głośno i pokazał jej palec, potem zabrał deskę i wrócił na chodnik, podciągając za duże spodnie.

- Mogłabyś poprowadzić? - wymamrotała Vicky. - Niedobrze mi.

- Mamusiu, co to jest kurwa? - spytała Crystal.

Vicky otworzyła drzwi, wysiadła chwiejnie i zwymiotowała do rynsztoka. Wygrzebałam się na zewnątrz i objęłam ją, odgarnęłam włosy.

- Chyba znowu jestem w ciąży - szepnęła z twarzą białą jak kreda.

4

Wróciłam do domu i poczułam się tak paskudnie, jak mi się to nie zdarzyło od wielu tygodni. Vicky kazała mi dotrzymać tajemnicy do czasu, gdy kupi test ciążowy i zyska pewność - choć już teraz chyba nie miała wątpliwości. Omal nie odgryzła mi głowy, kiedy zaczęłam jej gratulować z mieszaniną prawdziwego i fałszywego entuzjazmu. Miała spojrzenie uwiezionego zwierzęcia.

- To będzie, kurwa, katastrofa - syknęła z taką zaciekłością, że cofnęłam się o krok i omal nie spadłam z krawężnika. Obudził się we mnie płomyk czystej wściekłości. Rozstałyśmy się we wrogim milczeniu. Vicky rzuciła zwięźle, że zadzwoni, jak zrobi test.

Z telefonem w dłoni padłam na sofę i wybrałam numer Lil.

- Halo?

Lil zawsze zaczynała od podania swojego numeru telefonu, jak-by to był otwierający ruch w grze. Bardzo mi tego brakowało. Nikt już tego nie robi, ciekawe dlaczego.

- To ja, Anna.

- Anna! - Usłyszałam w jej głosie uśmiech i natychmiast poczułam się lepiej. - Cudownie. Jak się miewasz, kochanie?

Zamilkłam. Powiodłam wzrokiem po plafonie z różyczkami na suficie.

- W porządku. Chyba.

- Coś się stało?

Zaczęłam żałować, że zadzwoniłam - jak miałam odpowiedzieć, nie łamiąc obietnicy milczenia? Przypomniał mi się list.

- Ktoś do mnie napisał - rzuciłam i opowiedziałam jej o Maksie i jego tacie, i jak bardzo chciałam się z nimi spotkać.

- To cudownie! - zawołała. Widziałam ją, jak przytrzymuje słuchawkę ramieniem, żeby złożyć ręce; gest rzadko spotykany u ko-

goś z młodszego pokolenia. Tego także mi brakowało. - Często się zastanawiałam, kto był biorcą i czy się kiedykolwiek dowiesz. Naturalnie, że musisz się z nim spotkać!

Zdecydowanie trzeba by odnowić ten plafon, pomyślałam leniwie. Było na nim tyle warstw farby, że to, co kiedyś było winnymi gronami, teraz stało się dziwnymi gruzłami. Gdyby je umyć rozcieńczalnikiem, może by się je uratowało. Ale to by zajęło wiele tygodni, a ja z trudem zmuszałam się do umycia zębów, co dopiero do tak męczących prac.

- Anno?

Zmusiłam się, żeby odpowiedzieć.

- Och, ciociu... Nie mogę.

Nie musiałam jej tłumaczyć, dlaczego się tak boję. Zrozumiała.

- On jest zdrowy? - spytała.

- T a k . A l e j e ś l i . . .

- Jesteśmy takie podobne. Dokładnie tego bym się bała, gdybym była tobą. Te wszystkie „jeśli” cię wykańczają.

- T a k s t r a s z n i e c h c ę g o p o z n a ć . A l e n i e c h c ę , z e b y s i ę d o w i e d z i a ł , k i m j e s t e m . A j e g o o j c i e c n i e p o d a ł a d r e s u d o m o w e g o , t y l k o a d r e s s z k o ł y , w k t ó r e j u c z y . W y k ł a d a s z t u k i p i ę k n e , d l a d o r o s ł y c h . C o b y ś z r o b i ł a n a m o i m m i e j s c u ?

Nastąpiła chwila ciszy. Lil zastanawiała się przez chwilę.

- Gillingsbury nie jest aż tak daleko. Skoro akurat nie pracujesz, może byś się tam wybrała i poprosiła o spotkanie. Udaj, że chcesz się zapisać na jego zajęcia. Na pewno nie zaczniesz mówić o swoim synu, ale mogłabyś go - jak to się teraz mówi - wyczuć? Może dowiesz się, gdzie mieszka? No, nie wiem. Zawsze podobało mi się udawanie detektywa.

Roześmiałam się.

- Straszny pomysł, ale dziękuję. Tylko jutro czeka mnie casting. Kto wie, może niedługo będę mieć pracę.

Nie rozmawialiśmy już o Maksie, choć zrobiło mi się dużo lepiej, kiedy opowiedziałam o nim Lil. Jakby dzięki temu stał się prawdziwym małym chłopcem, bo czarodziejski oddech Lil tchnął życie w kruche umowne ciało, które sobie wyobraziłam - tak jak Dżepetto tchnął życie w Pinokia.

- Złam nogę, kochanie - powiedziała Lil na koniec i znowu poczułam ogromną ulgę, że wróciła do mojego życia.

- Zadzwonimy do pani - powiedział reżyser, kiedy odczytałam parę stron tekstu, nieudolnie naśladowując zachodni akcent. Nie miałam wielkich złudzeń. Pomimo życzeń Lil okazało się, że trudno jest mi się skupić - nie wiem, czy dlatego, że wyszłam z wprawy, martwiłam się o Vicky, a może - najprawdopodobniej - głowę miałam pełną wizji Maksa, jakby przewijał się w niej ziarnisty stary film, podczas gdy powinnam się skupić na roli.

Wiedziałam, że posługuję się schematami: w moim filmie Max nosił kowbojski kapelusz i strzelał z pistoletu na kapiszony. Miał piegi, jak dziecko z reklamy Milky Bar, choć dałam mu rudawe włosy zamiast blond czupryni. I choć nie miał jeszcze pięciu lat, posiadał już nadprzyrodzoną mądrość. Cenił życie. Nie był kapryśny jak Crystal, która jęczała, że bołą ją „stopeczki”, jeśli musiała przejść pieszo więcej niż dziesięć kroków. Vicky musiała udawać, że mierzy jej czas, jeśli chciała, żeby jej dziecko dokądkolwiek doszło. „Patrz, stąd do latarni: już!” i Crystal pędziła jak szalona, a ból nóg opuszczał ją w cudowny sposób. Max z moich wyobrażeń nigdy nie narzekał i nie zachowywał się jak primadonna. Był tak przyzwyczajony do bólu agresywnej terapii, że teraz już nic mu nie przeszkadzało.

No dobrze, wiedziałam, że to mało prawdopodobne. Właśnie dlatego powinnam się z nim spotkać, myślałam - żeby pozbyć się tych fantazji. Dzieci to dzieci. Jęczą, narzekają, żadne nie jest idealnym. Szkoda, że Adam nie dołączył zdjęcia do listu, mogłabym przynajmniej zobaczyć, jak wygląda Max.

Zdumiało mnie to przemożne pragnienie, by się z nim spotkać. Czulałam tęsknotę mojego pustego łona, jakby zmieniło się w czarną dziurę: głodna czeluść, której granice opisuje moje ciało, jak te rzeźby Giacomettiego z dziurami w środku. Jak moje beczynne ręce, które nie mogą się zamknąć na rączce wózka.

W każdym razie to było o wiele ważniejsze od tego głupiego castingu.

Tego wieczoru, zanim Ken wrócił, byłam już w łóżku, zmęczona po nieznanym doświadczeniu podróży do Londynu i stresie przesłuchania. Wieczór był gorący, a pościel gwałtownie straciła chłód. Kołdra mnie przygniatała niczym kamienna płyta, więc wy-

sunęłam spod niej nogę i zaczęłam się zastanawiać, czy nie zdjąć też narzuty, ale nie starczyło mi sił.

- Zgadłem, że cię tu zastanę - powiedział Ken, wchodząc do pokoju i siadając ciężko na łóżku, żeby mnie pocałować. Pachniał jak sprzedawca fotokopiarek - piwem, pociągami i rozgrzanym papierem. Usta miał ciepłe i kwaśne. Ale i tak się ucieszyłam. Mój pachnący pastą do zębów język powędrował między jego wargi. Może jednak nie byłam taka zmęczona...

- Mmmm... - mruknął cicho i oddał pocałunek. - Przepraszam, że nie wróciłem na kolację. Było przyjęcie pożegnalne dla Colina, wiesz? To ten, którego przyłapali z rozebraną praktykantką w sali konferencyjnej.

- A, ten - powiedziałam, nie mając pojęcia, o jakiego Colina chodzi, ale pomyślałam, że skoro odchodzi, nie muszę się dopytywać. Ken czasem opowiadał mi o swoich kolegach z pracy, choć przeważnie zwiędłe, a ja zawsze kiwałam głową i udawałam, że wiem, o kogo chodzi. Jeśli mam być całkiem szczerą, nie wiem nawet, co Ken porabia całymi dniami poza tym, że chodzi na mnóstwo drogich obiadów.

- No to co tam dziś zmalowałaś? - Wstał, zdjął koszulę i rzucił w stronę kosza na pranie. Nie trafił, ale jej nie podniósł.

- Pojechałam do Londynu na przesłuchanie. Wiesz, do serialu.

Przestał rozwiązywać sznurówki i spojrzał na mnie z natychmiastową skruchą.

- Och, Annie, przepraszam. Zapomniałem. Jak poszło?

- Sama nie wiem. Jak zwykle. Ale przynajmniej się nie denerwowałam. Nie obchodziło mnie, co będzie, więc zobaczymy. Ale zdjęcia są w Bristolu, więc pewnie wracałabym tylko na weekendy.

Czekałam na jego protest, bez rezultatu.

- No - powiedział - to zadzwoń, jak Fenella da ci znać. Słuchaj, nie zapomniałaś chyba o jutrze, co?

Spojrzałam na niego tępo, gorączkowo kartkując mentalny notes.

- O jutrze...?

Westchnął.

- Występ The Cherries. Tego zespołu, z którym podpisaliśmy kontrakt.

Serce mi się ścisnęło; a tak, teraz sobie przypomniałam. The Cherries: trzy smukłe kakaowe dziewczyny z nogami po biust

i wyniosłym zachowaniem, wyrobionym już w dojrzałym wieku siedemnastu lat. Słyszałam ich demo i widziałam zdjęcia: głosu nie miały, ale co z tego? Wyglądały oszałamiająco.

- Zaczyna się o wpół do siódmej, więc powinniśmy zdążyć coś przekąsić, jeśli chcesz. Ale chyba nie musimy z nimi iść na kolację.

- Co mam włożyć? - spytałam z przyzwyczajenia, choć nie wiem, dlaczego nadal to robiłam. Jeszcze ani razu przez sześć lat trwania naszego małżeństwa nie usłyszałam poważnej odpowiedzi. Strasznie chciałam, żeby Ken zmarszczył brwi, podszedł do mojej garderoby, otworzył ją i przyjrzał się zawartości. „Zaraz, a może ta śliczna suknia z Whistles do fioletowych kozaczków?“, powiedziałby i mój dylemat by się rozwiązał.

- A, ubierz się, w co tam masz. I tak jesteś piękna - powiedział, jak to było do przewidzenia, wsuwając dłoń pod bluzkę piżamy od Marksa & Spencera. - Może włóż szpilki.

Przesunął drugą ręką po mojej nagiej nodze, nadal wystającej spod koldry. Nabrałam podejrzeń, że myśli o mnie w wysokich obcasach. Jego palce miały magiczną moc; kciuk i palec wskazujący kreśliły równoległe ścieżki po udzie, niemal z roztargnieniem. Łaskotało, a ja zadrzałam. Dotknęłam jego twarzy, spojrzałam ze współczuciem na szare cienie pod oczami i gęste czarne włosy, przyklejone do czoła. Bardzo się postarzał przez ostatni rok. Ale ja też.

Przyciągnęłam go do siebie.

- Wyglądasz na tak zmęczonego, jak ja się czuję. Może się obudzimy?

Wtulił twarz między moją szyję i ramię, przytulił się w sposób całkowicie aseksualny, jakby szukał w kimś oparcia. Jakbym była jego matką. Znowu pomyślałam o Maksie - dlaczego matka go zostawiła? I ten jego biedny ojciec, Adam. Choć może Adam spotkał już kogoś. Miałam nadzieję, że Max ją polubi. Czy obca kobieta może zastąpić matkę?

- O czym myślisz?

Ken leżał na mnie, całował moją twarz, w nastroju do seksu. Pocił się, ale i tak poczułam na skórze wolne strumyczki podniecenia, dalekie wspomnienie rozkoszy. Ostatnio tak rzadko się kochaliśmy.

- O niczym - powiedziałam, wsunęłam mu rękę w spodnie i odpedziłam Maksa.

Przez jakiś czas pieściliśmy się w milczeniu, ale zamiast się rozkręcić, Ken wyraźnie oklapł. Wskoczył z łóżka, zrzucił resztę ubrań i jakby potrzebował dodatkowego impulsu, zaczął szperać w garderobie - no tak, teraz, a kiedy chcę, żeby mi pomógł zdecydować, w co się ubrać, to... - i wybrał najwyższe i najbardziej błyszczące szpilki. Pogrzebał pod kołdrą, znalazł moje stopy i wbił je w buty, po czym znowu padł na łóżko obok mnie z wy-czekującym uśmiechem. Ja w łóżku i w szpilkach - oto jego największa podnieta. Taka, do której się przyznaje. Nie mam nic przeciwko, to nawet całkiem sexy - jeśli jest się w nastroju.

Posłusznie wodziłam obcasami po jego piersi przez parę minut, ale widziałam, że znowu się zdenerwował, a to z kolei spowodowało, że i mnie się odechciało wszystkiego. Staralam się za nas oboje, by sprawić, żeby mnie zapragnął: szeptałam słodkie słówka, głaskałam go i całowałam wrażliwą część jego karku, dotykałam go - ale erekcja znikła, a ja poczułam się jak głupia, jakby mój dotyk był niestosowny i żenujący.

- O co chodzi, kochanie? - spytałam.

Natychmiast stoczył się ze mnie, jakbym dała mu przyzwolenie na finisz. Położył się na plecach, zasłaniając twarz skrzyżowanymi ramionami.

- Nie mogę - powiedział stłumionym głosem. - Przepraszam. Zwyczajnie nie mogę.

- Nie szkodzi - zapewniłam, ale już czułam nadpływające łzy.

Nagle zapragnęłam wydostać się z tej dusznej, smutnej sypialni. Zrzuciłam buty, zdarłam z siebie kołdrę, chwyciłam szlafrok i zbiegłam na dół. Otworzyłam drzwi kuchenne i wyszłam w noc. Dobrze było stanąć na chłodnej trawie. Moje rozpalone stopy rozkoszowały się mokrą ziemią i drapiącymi źdźbłami.

Z domu na działce za nami dobiegał cichy dźwięk rapu. Pewnie z sypialni nastoletniej córki - jej rodzice z całą pewnością nie wyglądali na osobników lubiących Ja Rule, pomyślałam z roztargnieniem.

Chciałabym wiedzieć, czy Holly polubiłaby rap. Czy Ken i ja bylibyśmy rodzicami, którzy wrzeszczą, żeby to wyłączyć, bo przeszkadza sąsiadom? A może pamiętalibyśmy własne nastoletnie czasy i to, jak ważne są małe akty buntu i swobody; papieros wypalony potajemnie za oknem; niestosowne ubranie; potajemne obściskiwanie się z dziesiątkami żab, zanim znajdzie się księżica.

Jeśli będziemy jeszcze mieli dzieci, pomyślałam, to chciałabym chłopca. O chłopca nie trzeba się tak martwić.

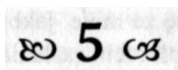
Ledwie to pomyślałam, a już rozumiałam, że to nieprawda. Może Ken ma rację, że tak się boi znowu zaczynać. A jeśli urodzi nam się drugie dziecko, damy życie jemu lub jej - i okaże się, że ma białaczkę jak Max? Nie ma takiej możliwości, żebyśmy zdołali przeżyć kolejny pogrzeb i następną białą trumienkę.

Ken wyszedł i zbliżył się do mnie. Znow miał na sobie bokserki. Objął mnie i przytulił. Jego skóra niemal parzyła, a szorstkie włosy na piersi drapały kojąco.

- Przepraszam - powiedział jeszcze raz. - Nie chodzi o to, że cię nie chcę. Wiesz, prawda?

- Wiem - odparłam. - Nie przejmuj się.

Staliśmy w milczeniu, a głucho basowe bum - bum - bum - cyk z okna opływało nas i unosiło się w zachmurzone nocne niebo bardziej jako doznanie niż dźwięk.



Następnego dnia nadal nie miałam wiadomości od Vicky. Nagrałam się dwukrotnie i choć zdarzało się jej przecież nie odpowiadać natychmiast, zaczęłam się martwić. Starożytne nagranie w sekretarce zniekształciło jej głos tak, że brzmiał jak żalostny jęk, co absurdalnie wydało mi się kolejnym dowodem jej stanu umysłu.

Jutro do niej pójde, postanowiłam, siedząc z Kenem w czerwonym kłębie podświetlonego dymu papierosowego przy małym stoliku na pustym balkonie. Moje lśniące usta kleiły się jak lep na muchy i zostawiły wielkie tłuste ślady na szklance koktajlowej. Ale przyszłam i byłam tu, uśmiechnięta, obowiązkowa żona dyrektora.

Ken rozmawiał z kierowniczką personalną, małą blondynką, która przyjrzała mi się uważnie, szukając oznak depresji maniakalnej (to ona załatwiała z towarzystwem ubezpieczeniowym moje konsultacje psychologiczne po porodzie, więc pewnie uważała, że zna mnie lepiej niż ja sama). Oni sobie gawędzili, a ja myślałam: to tu-

taj jest prawdziwe życie, które stawia mu wyzwania i stymuluje, tu ludzie go szanują, podziwiają, zawsze się śmieją z jego żartów i czują się zaszczytzeni, jeśli mogą z nim zjeść obiad. Tutaj nie musi się martwić o potencję, poronienie czy martwe dzieci.

To było życie, gdzie zawarł bliską przyjaźń z co najmniej czterema osobami - w tym trzema kobietami, których imiona znałam, lecz ich samych nigdy nie spotkałam. Z przypadkowych odprysków podsłuchanych rozmów i nielicznych informacji, jakie Ken przekazywał mi z własnej woli, dowiedziałam się o chłopaku Corinne, który boi się stałego związku, o pchłach w przeraźliwie drogich dywanach Julie i o walce Marie-Therese z papierosami, ale nie rozpoznałabym ich, nawet gdybym wpadła na nie na ulicy.

Już spytałam Kena, czy będą tu dzisiaj, ale najwyraźniej nie przyszły. Dziwne, pomyślałam. Z tego, co wiedziałam, wszystkie powinny być w nim śmiertelnie zakochane. Na pewno spędzały z nim więcej czasu niż ja.

Na balkonie było gorąco, ale stół miał metalowy blat, chłodny i zachęcający. Naszła mnie nagle ochota, żeby podciągnąć podkoszulek i przytulić się do niego, położyć rozpalone nagie piersi na jego metalicznej gładzi. Wyobraziłam sobie przerażone miny Kena i jego pracowników i uśmiechnęłam się złośliwie.

- To był tajemniczy uśmiech - powiedział Ken, przywołując kelnerkę z zimnymi drinkami.

Ledwie powiedział „tajemniczy”, pomyślałam o Maksie. I o tym, jakie to dziwne, że Max jest moją tajemnicą, choć - logicznie rzecz biorąc - nie powinien. Powiedz Kenowi, pomyślałam. To tylko list. To, że nawet nie zapytał, dlaczego się tajemniczo uśmiechem, zaniepokoiło mnie i jednocześnie uspokoiło. A gdybym naprawdę miała jakiś sekret? Nie tylko Maksa, ale prawdziwy, mroczny sekret. Na przykład kochanka.

- Ken - zaczęłam.

Ton mojego głosu kazał mu na mnie spojrzeć.

- T a k ?

- Wierzysz w to stare chińskie przysłowie, że ten, kto uratuje komuś życie, staje się za niego odpowiedzialny?

Ale zanim zdążył odpowiedzieć, wysoka chuda kobieta w mini z brązowego zamszu wpadła na balkon, chwyciła Kena w objęcia i zaczęła obcałowywać jego policzki.

- Kenneth, kochanie! Jak leci! Jak dobrze, że jesteś, dziewczyny będą zachwycone. Pójdziemy razem na sushi?

- Cześć, Shawna. To moja żona Anna. Anno, to Shawna McKenzie, agentka The Cherries.

Uśmiechnęłam się z maksymalną życzliwością, jaką zdołałam z siebie wydusić.

- Witam - powiedziałam i wyciągnęłam rękę, ale Shawna obdarzyła mnie nanosekundą przydziałowej uwagi i już pobiegła do drugiego stolika, żeby przynieść sobie krzesło. Usiadła na jego brzeżku, wychylona do przodu, dotykając kolanami nogi Kena. Zaczęli długą i zaangażowaną rozmowę o budzecie, z której - ze względu na muzykę w tle - zdołałam wyłowić jedynie słowa „opłacalny”, „procent” i „studio”. Usiłowałam się przysłuchiwać i kiwać głową z zainteresowaniem, ale po paru minutach stało się jasne, że oboje zapomnieli o moim istnieniu.

Pomieszczenie zaczęło się wypełniać, hałas gęstniał i napływał na nasz balkon jakby na gęstych chmurach papierosowego dymu. Przestałam się przejmować Kenem i jego niezrozumiałymi rozmowami i znowu wróciłam myślą do Maksa - o wiele przyjemniejszego tematu.

Jak mam to zrobić? Jak go poznać? Wiedziałam tylko, że nie chcę się tam zjawić tak, jak spodziewał się Adam - po prostu odpowiadając na jego list. Zdawałam sobie sprawę, że komplikuję, ale musiałam się jakoś chronić. Musiałam. Gdybym miała po prostu odpisać, rozwój wypadków byłby przewidywalny: zaczęlibyśmy półoficjalną korespondencję. Każde słowo Adama - tak jak w tym liście - byłoby przesycone świadomością, że zawdzięcza mi życie syna. Nie miałam nic przeciwko wzięciu odpowiedzialności za Maksa - prawdę mówiąc, właśnie dlatego tak bardzo chciałam się z nim spotkać, wypełnić pustkę w moich dłoniach, głowie i duszy - ale problem w tym, że nikt, nie wyłączając jego ojca, nie wiedział, że teraz jestem za niego odpowiedzialna. Nasza półoficjalna korespondencja zmieniłaby się pewnie w e-maile i może telefoniczne rozmowy, a potem w nieunikniony sposób nadeszłyby pora spotkania. W kawiarni lub parku, a może - koszmar - w obecności fotografa z Trustu Anthony'ego Nolana, w którego kwartalnym magazynie zamieściliby naszą historię: małe zdjęcie całej trójki ze skrzepowanymi uśmiechami. I każdy mógłby prze-

czytać czarno na białym: ja, Anna Sozi, jestem odpowiedzialna za życie tego dziecka.

Może wszyscy inni widzieliby w tym tylko powód do dumy, ale dla mnie to była bomba zegarowa. Wszystko pięknie, dopóki Max ma rumieńce i dużo silnych białych krwinek, ale kto wie, jak uparta okaże się choroba? Może się kryć w ciemnych zakamarkach jego organizmu, czekając na odpowiednią chwilę, by się wyłonić i wziąć nas z zaskoczenia.

Wtedy by się okazało, że go zawiodłam i wszyscy by cierpieli. Ja też.

Prawdopodobnie najlepiej byłoby po prostu odpuścić. Podrzeć list Adama i żyć własnym życiem. Już miałam jednego małego ducha, który mnie nawiedzał, maleńkie stulone paluszki i walczące płuca wielkości orzeszków, w moich snach o wiele silniejsze niż przez trzydzieści minut ich prawdziwego życia. Nie potrzebowałam następnego.

Ale z drugiej strony, szczerze wierzyłam, że w jakiś dziwny sposób naprawdę jestem odpowiedzialna za Maksa. Nie mogłam wylać przed nim w kostiumie Superwoman, gdyby kiedykolwiek postanowił wybiec za piłką na ruchliwą ulicę, ale musiałam go poznać. I poznam, jeśli mam go naprawdę chronić. Uratowałam mu życie. Część mnie znalazła się wewnątrz jego ciała i zadomowiła się w nim, a teraz Max był zdrowy i silny po latach choroby.

Nie mogłam nic na to poradzić, ale czułam się... no, trochę dumna. A potem dopadały mnie wyrzuty sumienia, że się napawam własnym tryumfem i znowu się bałam. A jeśli to tylko chwilowa remisja? Jeśli jego ciało w końcu odrzuci szpik i Max umrze? To by była trzecia osoba, która by przeze mnie umarła, choć nie przyczyniłam się do tego bezpośrednio.

Wiedziałam, co powiedziałyby Vicky, gdybym zdołała jej o tym powiedzieć: „Nie dramatyzuj. Badania wykazały, że jest zdrowy, tak? Śmierć grozi mu tak samo, jak wszystkim”.

Ale lekarze nie są nieomylni, a dzieci to takie kruche i wrażliwe stworzenia i walec życia tak łatwo je zgniata.

- Och, na Boga - burknęłaby Vicky. Słyszałam jej głos tak wyraźnie, jakby siedziała obok mnie. Wskazałaby na Crystal o mocnych poobijanych kolankach i pulchnych rączkach. - Spójrz na nią. Krucha? Tak. Wrażliwa? Ha! Chyba żartujesz.

Oczywiście, Vicky nie miała pojęcia, jakie to szczęście, że może tak powiedzieć z całym przekonaniem. To dlatego nie chciałam jej powiedzieć o liście.

O wpół do dwunastej siedzieliśmy już w zamówionej wcześniej czarnej taksówce i wracaliśmy do domu. Znowu byłam zmęczona, ale już nie tak nieszczęśliwa jak wczoraj. Czasami samo „pokazanie się” wśród ludzi miało piorunujący wpływ na moje dobre samopoczucie. Ken sprawdzał e-maile w komórce i jednocześnie rozmawiał, opowiadając komuś z Los Angeles, jak wielki sukces odniósł pokaz. Oparłam się o jego ramię i patrzyłam na taniec reflektorów na jezdni. W końcu, po serii pipnięć i świergotów, które właściwie na dobre weszły do słownika mojego męża, jak elektroniczna wersja jego samego, Ken odłożył swoje gadżety.

- W porządku, kochanie? O czym myślisz?

- W porządku. Podobało mi się. One są wspaniałe.

Zastanawiałam się przez chwilę, czy powiedziałam choć słowo prawdy. Podkoszulek przykleił mi się do pleców, więc otworzyłam okno, wpuszczając trochę bezchmurnej nocy do wnętrza taksówki. Pachnący spalinami wiatr odgarnął mi włosy z twarzy, a ja uznałam, że „w porządku” jest sprawą dyskusyjną, „podobało mi się” to prawda, a „one są wspaniałe” to skandaliczne kłamstwo.

W pewien sposób naprawdę mi się tam podobało. Spodobało mi się wyjście z domu. Podobał mi się urok i nadzieja młodych piosenek. To było ich pięć minut, wszyscy rozplywali się w zachwytach nad ich talentem i wyglądem. Nadzieja leżała u ich stóp, a jeszcze nie przygniatała jej presja. Ta presja zjawi się później, kiedy singel się nie sprzeda, albo album zatrzyma się w ogonie list przebojów - no, chyba że będą miały nadzwyczajne szczęście. Nie znam się, ale coś mi mówiło, że może się im powieść.

To trochę, pomyślałam, jak z ciążą, przynajmniej dla tych szczęśliwych kobiet, które nigdy nie doznały poronienia - błogosławiony optymizm, plany, uniesienie. Kiedy miną trzy pierwsze ryzykowne miesiące i przychodzi odprężenie, najważniejsza staje się wiara. Z technicznego punktu widzenia wiemy, że czasami może się nie udać - i czasem się nie udaje - ale ani przez sekundę nie po-

zwalamy sobie tak myśleć. Ken nigdy by nie usiadł z takimi The Cherries i nie powiedziałby im: „Boję się, że nie odniesiecie sukcesu. To niesłychanie trudny rynek, a wy nie umiecie śpiewać”.

Niektóre kobiety po poronieniach stają się ostrożne i przesądne; przez całą ciążę nie kupują nic dla dziecka, może z wyjątkiem paczki zwyczajnych białych śpioszków, a potem muszą gorączkowo załatwiać wszystko w ostatniej chwili, urządzać pokój dziecienny i wybierać wózki. Ze mną było tak przez pierwsze trzy miesiące z Holly, ale kiedy stało się jasne, że wszystko w porządku, pomimo tego, co było wcześniej, po prostu nie miałam siły się powstrzymać. Chciałam w pełni przeżyć tę ciążę po wcześniejszych poronieniach, i przeżyłam, pomimo wszystkich przykrości: bólu plevców, krwotoków z nosa przez pół roku, swędzących łydek. Wszystko było cudowne. Miałam niezłomną pewność, że z Holly się uda - i tak było, bo przyszła na świat.

Lekarze nie wiedzieli, że Holly nie przeżyje; tak jak Ken nie mógł wiedzieć, czy jego zespół odniesie sukces.

6

- Kochanie, to ja, Fenella. Chodzi o ten casting... Strasznie cię przepraszam, właśnie do mnie zadzwonili i powiedzieli, że byłaś baaardzo blisko roli Triny, ale w końcu postanowili wrócić do pierwotnego pomysłu, że powinna być ruda. Pewnie dlatego, że dzieci są rudawe. Bóg jeden wie, jak zamierzają sobie poradzić z bliźniętami na planie - co z dublerami? W każdym razie przepraszam, kochanie. Mam nadzieję, że nie jesteś zawiedziona.

- Do diabła, mogłabym nosić perukę - warknęłam. Zły humor dusił mnie jak kłęb syntetycznych pomarańczowych kędziorków.

- Najgłupsza wymówka na świecie! Kolor włosów?

Moja agentka trzasnęła zapalniczką, zrobiła wdech i wydech. Wyobraziłam sobie dym, walący kłębami ze słuchawki prosto w moją twarz i pohamowałam odruchowy kaszel. Była dziesiąta rano, a ja, leżąc w łóżku, nadal czułam na skórze i we włosach słaby zapach dymu z poprzedniej nocy. Na samą myśl o tym bolały mnie płuca.

- No cóż - powiedziała Fenella. - Moim zdaniem, od początku wiedzieli, kogo wezmą. Powiedziałam im, żeby nie marnowali twojego i mojego czasu, ale wiesz, jak to z nimi jest.

- No trudno - burknęłam. Odrzuciłam kołdrę i wstałam z łóżka, podeszłam w samych majtkach do lustra, gdzie przyjrzałam się ledwie widocznym srebrzystym rozstępom na moim brzuchu. Widać je było tylko w pewnym oświetleniu. - Masz dla mnie coś innego?

Znowu wdech, nikotynowe westchnienie.

- Obiecuję, że będziesz pierwsza w kolejce, jak tylko pojawi się coś odpowiedniego. Co powiesz na farsę?

Omam nie wrzasnęłam; dreszcz mnie przechodził na samą myśl o tym: wymuszona wesołość, głupie kapelusze, nuda kiepskich żartów dwa razy dziennie przez dwa miesiące.

Znowu wpelzłam do łóżka.

- Wiesz, że tego nienawidzę.

- Wiem. Tylko tak pytam. To było zdecydowane „nie”, prawda?

- Zdecydowanie zdecydowane nie. Wolę być na zasiłku.

Pożegnałyśmy się - ja cokolwiek kwaśno - po czym zadzwoniłam do Kena, żeby go powiadomić o mojej klęsce. Po chwili długiej jak wieczność włączyła się jego poczta głosowa. Nie znosiłam tego paskudztwa, to takie uciążliwe: wciśnij 1 żeby zrobić coś tam, wciśnij zero, żeby unieważnić wiadomość (dlaczego, do diabła, nie można po prostu się rozłączyć?), wysłuchać, jak sam Ken podaje wybór różnych możliwości - na przykład, mogę zadzwonić do jego sekretarki na numer taki a taki albo do samochodu na numer owaki. W końcu, gdy straciłabym już chęć życia - a przynajmniej zapomniałabym, po co dzwonię - dano by mi szansę przedstawienia wiadomości. Rozłączyłam się na długo przed tą ewentualnością. To zresztą i tak nieważne.

Dzień ciągnął się jak pozostałe, pozbawiony nawet nadziei na pracę, która by mnie zajęła. Nie miałam roli, której musiałabym się nauczyć, nie miałam się do czego przygotowywać, nie mogłam się spotykać z ekipą. Nie miałam siły, żeby biegać. Lil powiedziała, że będzie oprowadzać po National Gallery swoje koleżanki z Instytutu dla Kobiet - zresztą, nie chciałam się zanadto uzależniać od jej towarzystwa. Mogłabym pójść do Vicky, ale przypomniałam sobie, że w czwartki chodzi z Patem na zajęcia dla maluchów.

Więc postanowiłam się przejechać. Lubię prowadzić, to mnie odpręża. Po Holly od wieków nie wychodziłam z domu i tęskniłam za samochodem tak, że kiedy wreszcie znowu siadłam za kierownicą (Ken dyskretnie pozbył się małego fotelika w biedronkowy wzorek), zaczęłam jeździć coraz częściej. Mogłam słuchać CD lub radia i w jakiś sposób wydawało mi się to bardziej produktywnie niż te same płyty lub radio słuchane w domu. Pokonywałam mnóstwo kilometrów i przyznaję, przez pierwsze tygodnie było w tym całkiem sporo autodestrukcji: prowokowałam Boga. Albo siebie. Co się stanie, jeśli rozpedzę się do stu dwudziestu na tym terenie? Czy stracę panowanie nad kierownicą? Czy mnie to obejdzie? Może to najłatwiejsze wyjście?

Teraz już rzadziej mi się to zdarzało. Nie tak często ryzykowałam na drodze, głównie dlatego, że nie chciałam nikogo zabić ani okaleczyć. Nikogo, kto w przeciwieństwie do mnie miał stuprocentową pewność, że chce żyć.

Nie ruszyłam do Gillingsbury świadomie. Po prostu uznałam, że chcę zmienić okolicę. Pragnęłam wyrwać się z domu, a w CD miałam Ryana Adamsa, którego chciałam posłuchać. Na tej trasie rzadko bywały korki, okolica była niebrzydka, do pierwszego skrzyżowania było daleko, co mi się podobało. Nie miałam wyjścia, musiałam jechać.

Zanim dotarłam do Fleet, przypomniałam sobie - a raczej uświadomiłam - że to droga do Gillingsbury. Humor mi się trochę poprawił: w mojej karierze przeżyłam mnóstwo zawodów, a ten casting był jedynie kolejnym; myśl o odwiedzeniu miejsca zamieszkania Maksa wyciągnęła mnie za włosy z bagna rozpaczy. W uszach znowu zadźwięczały mi słowa ciotki Lil: „Mogłabyś to... wyczuć”. Po raz pierwszy poważnie się nad nimi zastanowiłam. Początkowo, kiedy ciotka powiedziała to tak sobie, od niechcenia, pomysł wydał mi się idiotyczny, ale myśl o ewentualnym spotkaniu z ojcem Maksa coraz bardziej mi się podobała. Moje życie musi być strasznie smutne i puste, skoro to dla mnie taka atrakcja, pomyślałam.

Pierwsze drogowskazy kazały mi zjechać na drogę A 303. „Salisbury 24, Gillingsbury 17”, przeczytałam, a moja lewa stopa sama zaczęła bębnić o podłogę. Z oddali nadchodziła burza; niebo nabrało przedziwnie przygnębiającego odcienia żółci i nagle

wszystko zrobiło się bardzo wyraźne - potrafiłam dostrzec osobne liście na drzewach o piętnaście metrów ode mnie i miałam wrażenie, że zaglądam w oczy krowom leżącym na pastwiskach.

Droga zajęła mi niespełna półtorej godziny. Gillingsbury leży w dolinie i kiedy byłam już blisko, pomyślałam: Max tam gdzieś jest, a część mnie zakorzenia się w nim i kwitnie, pomaga mu odzyskać zdrowie. Pragnienie spotkania z nim było tak silne, że stało się dosłownie głodem - w żołądku burczało mi z niecierpliwości.

Zatrzymałam się na stacji benzynowej na przedmieściach i spytałam o drogę człowieka w szklanej budce. To proste, powiedział, wydając mi resztę za dwa czekoladowe batony, które kupiłam w nadziei, że odwrócą moją uwagę od zdenerwowania i pragnienia; pierwszy pochłonęłam już w połowie obwodnicy. Po pięciu minutach drogi do college'u nie było już czekolady.

College dla dorosłych wyglądał jak większość nowoczesnych szkół, jakby architekt miał wytyczne, żeby uczynić budynek jak najbardziej anonimowym i bezosobowym. Nie potrafiłam zauważyć ani jednej cechy szczególnej; wyglądał bardziej na wielopoziomowy garaż niż na placówkę naukową. A jednak to w jakiś dziwny sposób dodało mi otuchy: byłam zwyczajną osobą wchodzącą do zwyczajnego budynku. Miałam takie samo prawo jak każdy, żeby tu być; tak samo, jak ta starsza kobieta z tłustymi ramionami, wylewającymi się z krótkich rękawów, albo tamci mężczyźni, którzy siedzą na murku, paląc, trącając się łokciami i patrząc na moje... Cholera! Zerknęłam w dół. Nie planowałam tej zaimprovizowanej ekspedycji, więc nie byłam najlepiej przygotowana. Miałam na sobie szerokie spodnie z czarnego dżerseju i bardzo krótką, bardzo obcisłą bluzeczkę bez rękawów, we wściekle różowym kolorze - i nie włożyłam biustonosza. Na szczęście moja torba miała długi pasek, więc przewiesiłam ją przez ramię, zasłaniając jeden sutek; drugi zakryłam łokciem ręki z roztargnieniem uniesionej do ucha. Mężczyźni zachichotali złośliwie i zaczęli szeptać.

Minęłam wahadłowe drzwi i znalazłam się w obskurnym, wyłożonym linoleum holu. Łysy starszawy mężczyzna w brązowym garniturze, z sumiastym wąsem i muszką w duże grochy, stał za długim kontuarem, za którym widniały biurka z dwoma starymi szarymi komputerami.

- W czym mogę pomóc?

Odwagi, powiedziałam sobie. Jesteś aktorką, dasz sobie radę.

- Czy mogę poprosić o prospekt?

Nie ma chyba zakazu wchodzenia do szkoły i pytania o kursy, prawda?

Mężczyzna zrobił szeroki gest w stronę rozkołysanej, zjeżonej sterty broszur wielkości A4, chwiejącej się na podłodze obok mnie. Podeszłam i wzięłam pierwszą z wierzchu. „College edukacji dla dorosłych Gillingsbury”, głosiły wielkie litery. „Wykorzystaj wszystkie szanse!”. W środku znajdował się spis kursów, małe czarne literki, głównie coś makabrycznie nudnego, albo same zaszyfrowane wiadomości: EFL z IT, TESOL, BCS ECDL. Było także parę intrygujących haseł: klasyczna pieczeń, fryzjerstwo dla dzieci, wprowadzenie do geologii, street dance dla początkujących, wytwarzanie pergaminu... W chwili eskapistycznego szaleństwa zapragnęłam zapisać się na wszystko, ale potem przypomniałam sobie, po co tu przyjechałam. Usiadłam na ławie z wypolerowanego drewna - trochę kościelnej - i szybko przebiegłam wzrokiem nagłówki, aż znalazłam Wydział Sztuk Pięknych i Rzemiosła. Strona 117. Znalazłam ją i ujrzałam małą czarno-białą fotografię poważnego mężczyzny za kołem garncarskim. Jego palce obejmowały pacynę mokrej gliny. Z jakiegoś powodu przypomniało mi się, jak Ken uścisnął moją dłoń, kiedy się poznaliśmy. Może naprawdę byłam jak glina w jego rękach.

Ciekawe, czy to zdjęcie Adama. Nie było podpisane, ale w spisie kursów znalazłam A. Ferrisa: „Kurs rysunku dla początkujących”, „Kurs rysunku dla zaawansowanych”, „Podstawy garncarstwa” i „Mozaika dla początkujących”. Zajęcia odbywały się w dzień i zaczynały w różnych dniach września - były także wieczorne zajęcia, ale wyładał P. Rumbould. Adam pewnie musiał zrezygnować z wieczornych lekcji, żeby być z Maksem, pomyślałam z kompletnie nieuzasadnioną dumą. Po prostu dowiedziałam się, że jest dobrym ojcem.

Przezań świrować, warknęłam na siebie. Adam może równie dobrze spędzać wieczory na rozrywkach, zażywając kokainę albo zabawiając się ze striptizerkami. Ale coś mi mówiło, że się nie mylę.

Wróciłam do faceta w muszce. Zaczął jeść rozmiękłą kanapkę z sałatką z tuńczyka. Czytał ogłoszenia o pracy w „The Guardian”.

- Przepraszam, chciałabym zasięgnąć więcej informacji o kursach.
- O których? - Ugryzł duży kęs kanapki. Szarawy kawał tuńczyka skapnął mu na klapę marynarki.

- Hm. Tych plastycznych. W ciągu dnia.

Musiałam odczekać, aż zje. Przesadnie wyrazistymi ruchami wskazywał usta, żebym pojęła, że nie może teraz odpowiedzieć. W końcu przełknął. Tuńczyka na klapie nie zauważył.

- Przepraszam. Proszę skrócić w lewo tym korytarzem z tyłu, a znajdzie pani Wydział Sztuk Pięknych. Sekretarka nazywa się Pamela Wilkins. Powinna odpowiedzieć na wszystkie pytania.

- Dziękuję - powiedziałam, zadowolona, że Adam wykłada przedmioty artystyczne, a nie coś nudnego i trudnego, jak matematyka stosowana albo technologia komputerowa. Idąc korytarzem, poczułam mimowolne ożywienie. Ta sekretarka zna Adama. Może nawet widziała Maksa. Zwolniłam kroku, żeby się zastanowić, co jej powiedzieć.

Zajrzałam przez uchylone drzwi do sali Wydziału Sztuk Pięknych. Było to przestronne, zabałaganione pomieszczenie, powleczone szarą powłoką glinianego pyłu. Stoły z porysowanymi blattami z laminatu ustawiono w podkowę pod ścianami; na ścianach wisiały akty węglem i jakieś abstrakcyjne gobeliny - dość niezłe, pomyślałam, choć żaden ze mnie znawca. Nie potrafiłabym narysować psa tak, żeby nie przypominał osła.

W środku nikogo nie było, ale kiedy weszłam, usłyszałam na korytarzu energiczne kroki. Nie zastanawiałam się, jak wygląda sekretarka, ale gdyby ktoś mnie spytał, to wyobraziłabym sobie, że jest niska i drobna, podobna do elfa, i że przepływa wśród uczniów, rozdając pastele i pędzle, ubrana w coś powiewnego, może w jakieś ręcznie wydziergane ciuszki w tęczyowych kolorach.

Oczywiście trafiłam jak kulą w płot.

- Pani mnie szuka? - krzyknęła kordialnie Pamela Wilkins. - Przepraszam. Wskoczyłam na chwilę do wychodka. - Minęła mnie w progu. - Zapraszam, zapraszam.

Przyjrzałam się jej z pewnym podziwem dla takiej obojętności wobec własnego wyglądu. Mierzyła jakiś metr czterdzieści, miała pękate nogi i niesamowicie szerokie biodra, opięte fantastycznie ohydny nylonową spódnicą w kolorze jaskrawego błękitu, w fałdy

i wzory, z wyciągniętym z tyłu ogonem. Pamela miała długie matowe czarne włosy, wyraźny czarny wąsik i ani śladu makijażu. Siłą odpędziłam od siebie wizję, w której Pamela płała nago na polu dzwonek, z pędzlem w ustach i włosami powiewającymi wokół głowy, od czasu do czasu przyskakując do ogromnych sztalug, by położyć na nich plamkę koloru...

- Jeśli nazywa się pani Pamela Wilkins, to tak, szukam pani. Ten człowiek z recepcji zasugerował, że mogę z panią porozmawiać o kursach.

- A, biedny Wilf. Tak, na pewno mogę pani służyć wszelkimi informacjami o tym wydziale - jestem tu od dwudziestu ośmiu lat, odkąd zbudowano szkołę, tak, tak. Ludzie mówią, że wmurowano tu mnie razem z fundamentami! Razem z fundamentami!

Jej fundamenty rzeczywiście wyglądały solidnie, choć nie sądziłam, żeby „ludzie” mogli tak powiedzieć. Raczej sama to wymyśliła. Miałam też ochotę zapytać, dlaczego Wilf jest obiektem litości, ale postanowiłam, że nie będę od razu ryzykować. Muszę się dowiedzieć innych, bardziej pilnych spraw.

- Tak... Jestem zupełnie zielona w sztukach pięknych, ale strasznie bym chciała nauczyć się czegoś praktycznego - może mozaiki?

Nie miałam pojęcia, co to właściwie jest. Może podstawy do lamp, a może coś ambitniejszego. Nawet podobało mi się, że będę rozbijać talerze i układać z nich co innego - wydawało się to tak cudownie bezsensowne.

Pamela przytaknęła energicznie.

- Tak, tak, kursy mozaiki są u nas wspaniałe. Wspaniałe. Oczywiście wszystkie kursy są bardzo dobre, ale doskonały nauczyciel sprawia, że różnica jest zauważalna.

Poczułam dziwną radość.

- Jak się nazywa nauczyciel?

- Adam Ferris.

Pytania cisnęły mi się na usta; musiałam je mocno przytrzymać. Niby dlaczego sekretarka wydziału miałaby coś wiedzieć o prywatnym życiu Adama? Ale z drugiej strony, niby dlaczego nie?

- Uczy tu od dawna?

Pamela rozpromieniła się i zrozumiałam, że to idealna osoba do rozmów o Adamie. Przesłałam telepatyczne podziękowania dla ciotki Lil - nie mogło być łatwiej.

- J u ż od paru lat, odkąd urodził się mu synek...

Mam cię! Aż się rwała, żeby mi opowiedzieć, sensacja kipiała w ruchach jej ust i mimowolnym błysku oczu. Może to moja naga żądza wiedzy wyciągała z niej informacje jak magnes.

- Ile lat ma synek? - spytałam niewinnie. Niech się rozkręci, pomyślałam.

- Teraz już prawie pięć. Adam miał z nim, oj miał. Straszne chwile. Ale teraz chłopiec ma już prawie pięć latek. - Miała wkurzający zwyczaj powtarzania informacji w trochę zmienionej postaci.

- Dlaczego? Urwis z niego?

Zrobiła wstrząśniętą minę, jakbym rzuciła jakieś bluźnierstwo.

- Na Boga, to mały aniołek. Anioleczek. Nie - zniżyła głos - on omal nie umarł. Przez dwa lata prawie nie wychodził ze szpitala. Białaczka.

Cmoknęłam.

- Straszne. Ale już wyzdrowiał?

Pamela się rozpromieniła.

- Zdrow jak mały szczygiełek. Nikt by nie zgadł, że tak chorował.

- Biedni rodzice - zarzuciłam haczyk.

I znowu trafiłam w dziesiątkę. Kiedy Pamela otworzyła usta, żeby podzielić się ze mną informacjami, zaczęłam się zastanawiać, czy zawsze jest taka niedyskretna. Ale widać i ją nawiedziła ta sama myśl, bo zamknęła usta i szansa zgasła.

- No, tak... Szczerze polecam zajęcia z mozaiki dla początkujących. Od jedenastej do pierwszej we wtorki.

- Dobrze. Co się na nich robi?

- Właściwie, co się chce. Studenci początkowo robią na ogół coś małego: ramki do fotografii albo luster, pudełka na chusteczki. Co się chce.

Niewiele przedmiotów wydało mi się bardziej odstręczających niż mozaikowe pudełko na chusteczki.

- To piękne. - Wskazałam na piękny stolik w kącie pokoju. Miał mozaikowy blat.

Wchodząc, nie zauważyłam go, więc podeszłam, żeby przyjrzeć się z bliska. Był okrągły, z symetrycznymi wzorami z kwiecistej porcelany, ułożonymi w kręte, wijące się linie, które wydawały się mieć niemal płynną konsystencję. Porcelana była biała

w miętowozielone i różowe wzorki, które na zastawie wyglądały pewnie makabryczne, ale stały się świeże i nasycone, gdy ułożono je niczym atomy w inne konfiguracje.

- Chciałabym zrobić coś takiego.

Pamela pokręciła głową ze zmarszczonymi brwiami.

- Noo, to akurat dzieło naszego najbardziej zaawansowanego studenta. Myślę, że przed zrobieniem czegoś tak ambitnego musiałaby pani porozmawiać z Adamem. Nie wiem, czy nie uznałby, że to za trudne dla początkującego.

- Mogę go spytać. Czy istnieje szansa, żeby zamienić z nim parę słów przed rozpoczęciem semestru? Czy na kursie dla początkujących są jeszcze wolne miejsca?

Pamela podeszła kołyszącym krokiem do półki, potrącając biodrami krawędzie biurek. Kojarzyła mi się z Królową Kier z *Alicji w krainie czarów*. W trójrożnym czepcu zapinanym pod brodą wyglądałaby jak najbardziej naturalnie.

- Tak, chyba jest jeszcze parę miejsc. Będę musiała zajrzeć do dziennika, żeby sprawdzić, kiedy będzie Adam. Może pani zadzwonić.

- Pewnie nie dostanę jego numeru domowego? - Może Max odbierze, pomyślałam tęsknie. Ale posunęłam się za daleko.

- O, nie - powiedziała Pamela tonem wstrząśniętym bardziej, niż wydało mi się to konieczne. - Nigdy nie podajemy prywatnych telefonów naszych nauczycieli. No, to zobaczmy... - Przekartkowała wielki dziennik, gęsto upapwany odciskami ubrudzonych gliną palców. - Adam, Adam, Adam... - powtarzała tak czule, że omal nie parsknęłam głośnym śmiechem. Jeśli ta kobieta nie była zakochana w Adamie Ferrisie, to byłam gotowa zjeść tę pacynę plasteliny ze stołu nieopodal.

- Tak. W najbliższy wtorek będzie tu organizować lekcje przygotowawcze. Proszę zadzwonić na ten numer. Powiem, żeby oczekiwał pani telefonu, dobrze?

Zastygła z długopisem wiszącym nad kartką. Przez chwilę nie potrafiłam pojąć, na co czeka.

- Czy może pani podać swoje nazwisko?

Panika. Nazwisko. No przecież nie Anna Sozi...

- Anna Valentine - rzuciłam mój sceniczny pseudonim, ale nie zdołałam powstrzymać ciemnego rumieńca, który wypełził mi na

dekolt i twarz. Co ze mnie za aktorka! Następnym razem przygotuję się lepiej. Wymyślę adres, numer komórki i...

Chwileczkę. Następnym razem? Dopiero teraz dotarło do mnie, że poważnie zastanawiam się nad wstąpieniem na kurs Adama. Nie ważne, że to ponad sto trzydzieści kilometrów od mojego domu. I robię to tylko dlatego, by zobaczyć czteroletniego synka nauczyciela. Że nie mogę powiedzieć o tym mężowi, jeśli nie chcę wyjść na wariatkę. I że będę musiała wymyślić jakieś kłamliwe usprawiedliwienie na moją cotygodniową nieobecność we wtorek...

Ale myślałam tylko o tym, że ciocia Lil oszaleje z wrażenia, kiedy jej powiem, że naprawdę to zrobiłam.

7

Powrót do domu trwał znacznie dłużej. Na autostradzie był pewnie wypadek, bo ruch w kierunku Londynu nagle zwolnił do dwóch kilometrów na godzinę. Przedemną wlokło się volvo z dwójką zdruzzonych dzieci na fotelikach z tyłu. Wykrzywiały się do mnie przez okno. Trudno było nie spoglądać na nie, bo były dokładnie naprzeciwko, więc usiłowałam się wyłączyć, myśleć o tym, jak wygląda Max, jak Vicky poradzi sobie z następnym dzieckiem, czy kiedykolwiek dostanę jakąś rolę, czy w ogóle tego chcę, czy Ken i ja będziemy się jeszcze kochać...

Spojrzałam w lewo - dzieci pokazywały mi palcami i piszczały ze śmiechu - i zobaczyłam drogowskaz z nazwą, która wydała mi się znajoma. Bardzo długo nie potrafiłam zrozumieć dlaczego, aż w końcu przypomniałam sobie, że podczas naszego pierwszego sam na sam Ken zabrał mnie tu do hotelu.

Był wtedy jeszcze z Michelle, pierwszą żoną. Michelle była jego asystentką z pierwszej pracy w Range Records. Młodsza od niego o sześć lat, dwadzieścia dwa, przy jego dwudziestu ośmiu, była dla niego słodka i czuła, choć od dwóch lat - sam to przyznał - traktował ją jak śmieć. Umawiał się z innymi kobietami, ale nie pozwalał jej odejść. Potem nagle coś się zmieniło. Nadal nie wiem, co. Może po prostu go zmęczyła. Była Amerykanką

i nie uważała „nie” za odmowę, ale starczyło jej wrażliwości, by zrozumieć, że w przypadku Kena ultimatum nic nie da. Ken nie lubi nacisku.

Skończyło się to małżeństwem. Zdołała go przekonać, że będzie idealną żoną dla człowieka, który chce zrobić karierę. Jednak po sześciu miesiącach, jak powiedział, zrozumiał swój błąd. Ona rzuciła pracę w chwili, gdy się jej oświadczył i przez cały dzień wyłącznie grała w tenisa, wydawała jego pieniądze i usiłowała mu organizować życie tak, jak organizowała mu spotkania, kiedy jeszcze dla niego pracowała. To przez nią nabawił się obsesji na punkcie tenisa. Pewnie nauczył się grać tylko dlatego, że nie znosił, kiedy ktoś go w czymś przewyższał.

Michelle była obecna przy moim pierwszym spotkaniu z Kenem. Vicky i ja grałyśmy w Reading we *Wszystkich moich synach* Arthura Millera, a Ken i Michelle przyjechali na weekend do matki Kena. Michelle zaciągnęła Kena do teatru - prawie słyszę jej jęk: „Nigdy nie chodzimy na nic dobrego” - i mam do niej niechętny szacunek za to osiągnięcie, ponieważ Ken po prostu nie znosi teatru. Nie widział wielu moich sztuk.

To było ostatnie przedstawienie; razem z Vicky i resztą grupy siedziałyśmy w barze. Ken i Michelle zajęli mały stolik w kącie. Ona była odwrócona do mnie plecami.

- Patrz, jaki fajny - odezwała się Vicky, trącając mnie i pokazując go głową. - Zakład, że go wyrwę?

Spojrzałam. Był cudny.

- Co to znaczy: „wyrwę”? - spytałam. - Randka, telefon, całowanie?

Wiedziałam, że nie mówi poważnie - dopiero co się zesła z Peterem, ale uwielbiała flirtować.

- Poza tym - dodałam - on jest z tą blondynką.

W tej chwili Ken przyłapał nasz wzrok. Spojrzał mi prosto w oczy i nawet z tej odległości dostrzegłam, że ma gęste brwi, włosy czarne i lśniące jak cylinder, a skórę w kolorze kasztana. Miał idealne rysy twarzy, oprócz blizny w kształcie uśmiechu, biegnącej od lewego kącika ust na podbródek. Natychmiast zapragnęłam się dowiedzieć, w jaki sposób się jej nabawił, ale zdołałam pohamować ciekawość aż do drugiej randki. Byłam pewna, że wszyscy go o to pytają, a nie chciałam być jak wszyscy.

(Kiedy miał osiem lat, ugryzł go terier. Od tego czasu Ken nienawidził terierów - i wielka szkoda, bo to jedyna rasa, którą lubię).

Uśmiechnęłam się i odwzajemniłam uśmiech. Żołądek wywinął mi koziółka, a Vicky trąciła mnie z rozdrażnieniem.

- E! Ja zobaczyłam go pierwsza.

- Jesteś zajęta - powiedziałam w rozmarzeniu.

- On też, z tego, co widzę.

Michelle wstała i poszła do łazienki.

Ken natychmiast podszedł do baru z dwoma pustymi kieliszkami. Vicky spojrzała na moją rozanieloną twarz i westchnęła.

- No, to go sobie weź - przyzwoliła niechętnie. - Jesteś w większej potrzebie.

- Cóż - rzuciłam, osuszając kieliszek i wstając. - Rzeczywiście jestem bardzo spragniona.

Stanęłam obok niego w chwili, gdy barman Crispin przyjął jego zamówienie. Ken należy do osób, które obsługuje się natychmiast.

- Cześć - powiedział, znowu śląc mi uśmiech. - Jestem Ken. Byłaś wspaniała. Mogę ci postawić drinka?

- Dzięki. Jestem Anna. Proszę białe wino - rzuciłam pomiędzy niego i Crispina, który beczelnie puścił do mnie oko. Ujęłam wyciągniętą dłoń Kena i nie chciałam jej wypuścić. Jego uścisk był jak przytulenie.

- Mieszkasz w Reading? - wykrztusiłam i natychmiast skłęłam się za to durne pytanie. Crispin uśmiechnął się szyderczo, nalewając wino.

- Nie. Moja matka tu miesza.

- Nie mów mi, że to była twoja matka - zażartowałam, wskazując głową łazienkę. - To by znaczyło, że masz jakieś dwanaście lat.

- To moja... hm... żona - powiedział. Roześmiał się. - Dlatego zrozumieć, jeśli każesz mi spadać, ale... bywasz w Londynie? Chciałbym cię wziąć na obiad.

To, jak powiedział „wziąć”, sprawiło, że nogi się pode mną ugięły, jakby ktoś zabrał mi mięśnie ud. Ale... żona? Ci fajni zawsze są żonaci. Przynajmniej nie usiłował udawać wolnego.

- Zgaduję, że żona cię nie rozumie - powiedziałam, przełykając rozczarowanie.

- Przeciwnie - odparł, płacąc za trzy drinki. - Rozumie aż za dobrze.

Arogancka świnia, pomyślałam, patrząc, jak jego „rozumiejąca” żona przeciska się przez tłum. Złota torebka i szpilki do kompletu wyglądały jak krzyk: patrz na mnie! Były dla niej za poważne. Wyglądała jak pięcioletnia dziewczynka w ciuchach matki. Tylko że pięcioletka nie potrafiłaby używać konturówki z taką precyzją.

- Kochanie, właśnie mówiłem Annie, jak nam się podobała - powiedział, podając jej jeden kieliszek. Michelle zlustrowała mnie z ledwie maskowaną podejrzliwością.

- Tak - potwierdziła. - Byłaś bardzo dobra.

Amerykański akcent sprawił, że jej słowa zabrzmiały bardziej sarkastycznie, niż zamierzała. Przynajmniej tak to odebrałam. Była piękna, miała nieskazitelną fryzurę i kości policzkowe tak ostre, że można by na nich kroić ser, ale oczy, wokół których nie było ani jednej zmarszczki, były zimne. Od razu poczułam do niej antypatię.

- Dziękuję - odparłam, grzecznie kiwając głową.

Ken sięgnął do kieszeni i wyjął wizytówkę, którą mi podał.

- Na ogół nie mieszam się w takie rzeczy - powiedział i przez chwilę zastanawiałam się, o co mu chodzi. - Ale pracuję z nowym piosenkarzem, który właśnie kręci clip do pierwszego singla. Coś w rodzaju country-rocka, ale bardziej zakręcone. Nazywa się Dwight Unsworth. Reżyseruje Baz Lurhmann, w ramach przysługi. W każdym razie... wiem, że szukają aktorki do roli dziewczyny Dwighta. Mają bardzo określone wymagania i wiem, że będziesz idealna. Zadzwoń, jeśli jesteś zainteresowana, a ja przekażę twoje dane Bazowi. Cieszę się, że cię poznałem.

Znowu ta cudownie ciepła ręka, przelotnie ściskająca moją - i już go nie było. Idąca za nim Michelle obejrzała się ze zmrużonymi oczami. Jej spojrzenie mówiło bardzo, bardzo wyraźnie: „Tylko się odważ, a jesteś trup”.

Wróciłam do Vicky, która usiłowała czytać z ruchu naszych warg.

- Żonaty?

- O, tak. Ponadto zaprosił mnie na obiad, jak również do udziału w clipie Baza Lurhmann.

Vicky parsknęła.

- Co? W obecności żony? Ale bezczelny!

- Nie. Na obiad zaprosił mnie, zanim wróciła. Najwyraźniej nie są ze sobą szczęśliwi; mają to wypisane na twarzach.

- Chyba tego nie zrobisz?

- Zrobię. Jest wspaniały. A Baz Lurhmann? Byłabym głupia, gdybym choć nie spróbowała.

Roześmiała się i wypila wódkę z tonikiem. Parę osób odwróciło się, szukając źródła tego kwiku - dla osób o słabych nerwach śmiech Vicky zawsze był przyczyną zażenowania.

Pamiętam, jaka była wtedy piękna. Długie kędzierzawe brązowe włosy opadły jej na ramiona, kiedy przechyliła głowę. Skórę miała perłową - wtedy, przed dziećmi. Teraz jest bardziej wysuszona, pergaminowa. Mimiczne zmarszczki stały się niemal bruzdami, a jej rysy jakby obwisły. Ale wtedy, w barze, nie mogłam uwierzyć, że to nie na nią spojrział Ken. Grała rolę mniejszą od mojej, ale lśniła prawdziwym blaskiem. Była taka naturalna...

Są takie aktorki, które powinny odnieść fenomenalny sukces i nie można zrozumieć, dlaczego tak się nie dzieje. Swego czasu Vicky była bardziej zachwycająca niż Gwyneth Paltrow i lepiej grała od Kate Winslet, a jednak jej się nie udało. Dostała nagrodę imienia Laurence'a Oliviera za najlepszy debiut w 1992 roku. I wszyscy myśleliśmy: dalej, dziewczyno, Hollywood już na ciebie czeka. Ale od tamtej chwili wszystko zaczęło się psuć. Niedawno odcięła górną część niebieskiej sukni z cekinami, w której wystąpiła na wręczaniu nagród i dała ją Crystal do zabawy, co uważam za straszliwie smutne.

Nikomu z nas się nie udało, ani Vicky, ani mnie, ani nikomu z naszej grupy na uniwersytecie w Reading. Parę drobnych sukcesów - moja rola w klipie Dwighta Unswortha, który znalazł się na pierwszym miejscu listy przebojów (tak, oferta Kena nie była lipna, dostałam rolę - i jeszcze coś) - ale nikt nie rzucił Broadwayu na kolana. Ten zawód pożera duszę, jeśli pozwoli mu się zawładnąć życiem. I częściowo dlatego tak bardzo pragnęłam dziecka - żeby aktorstwo nie stało się jedynym sensem mego życia.

Ruch na autostradzie niemal zamarł. Dzieci nadal się do mnie wykrzywiały i chciało mi się do toalety. Drogowskaz na poboczu wskazywał, że Carnegie Manor znajduje się kilometr stąd, czyli było to naprawdę to samo miejsce, w które Ken mnie wtedy zabrał.

Pamiętałam, jak się czułam. Przywiózł mnie w firmowym bmw, ja miałam nową bieliznę, a w głowie tłukł mi się stary dowcip: jaka jest różnica między bmw a traktorem? Żadna, w obu wozi się buraki. Ciągłe mi się przypominał, więc rechotałam cicho, otwie-

rałam usta, żeby opowiedzieć go Kenowi, a potem zamykałam, uświadamiając sobie, że by go nie rozśmieszył. Pewnie wyglądałam jak nienormalna złota rybka.

Mimo to rozebrał mnie zębami na masywnym staroświeckim łożu w apartamencie na poddaszu, z widokiem na cudownie zadbane tereny - zresztą niewiele ich widziałam. Paliliśmy potajemnie skręty, wydychając dym przez skrzypiące okna, i przez cały dzień nie wychodziliśmy z pokoju. Żadne z nas przez cały weekend nie wymieniło imienia Michelle, choć miałam na ten temat do powiedzenia jedno:

- Jeśli kiedykolwiek zdradzisz mnie - zabiję.

- Dobrze, że nie mam takiego zamiaru - wymamrotał i z jakiegoś powodu mu uwierzyłam. Nadal w to wierzę - Michelle po prostu nie była dla niego, to proste. A ja i Ken pasujemy do siebie. Razem się zestarzejemy i umrzemy, jestem tego pewna. Oby wśród dzieci, ale jeśli ich nie będzie, to trudno.

Jedno dobrze zapamiętałam z tego weekendu w Carnegie Manor: tam po raz pierwszy się pokłóciliśmy. Nie tak, jak się spodziewałam, o Michelle czy jego niewierność, ale - jakby nie było już innych powodów - o mięso. Wszystko wydarzyło się ni stąd, ni z owąd, pod koniec cudownego dnia. Był to najwyraźniej mój mechanizm obronny, ponieważ zaczęłam sobie uświadamiać, że to jest człowiek, z którym chcę spędzić życie.

Zacząło się od steku. Zeszliśmy na kolację i omal nie zwymiotowałam na widok wielkiego kawała surowej wołowiny na jego talerzu. Wydawało mi się, że jeszcze tętni życiem. Zdołałam się ugryźć w język i odwrócić oczy, skupić na moich przepysznych ravioli z dynią, ale robiło mi się niedobrze za każdym razem, gdy nieumyślnie dostrzegałam nóż Kena, przecinający mięso i strużkę krwi, barwiącej jego ziemniaki delikatnym różem. Kiedy wróciliśmy do pokoju, nie mogłam znieść jego pocałunków. Nagle wpadłam w panikę, sądząc, że to omen dla naszego związku: że jest skażony, martwy jak mięso na hakach w rzeźni, że umarł, zanim miał szansę ożyć. Ta kłótnia zjawiała się nie wiadomo skąd, mała wściekła trąba powietrzna prosto z bezchmurnego nieba.

- O co chodzi? - spytał Ken, kiedy cofnęłam się przed jego uściskiem.

- O nic - powiedziałam nieprzekonująco.

- Co? Jesteś zmęczona? Wymęczyłem cię?
Pokręciłam głową.

- Nie o to chodzi.

- Nie mów, że mnie czuć. Co, śmierdzi mi z ust?

- Już bliżej.

Nadal pamiętam ból w jego oczach. Chuchnął w dłoń.

- Nie, to nie ty. Chodzi o ten... stek.

- Stek?

- Tak. Powinnaś powiedzieć wcześniej, ale nie chciałam ci psuć kolacji. Jestem wegetarianką.

- I co z tego? Ja go jadłem, nie ty.

W jego głosie zabrzmiała nutka agresji.

- Wiem. Przepraszam, ale trudno mi znieść widok ludzi jedzących surowe mięso.

- Nie było surowe.

- No, prawie było.

Cmoknął z rozdrażnieniem i ruszył do łazienki.

- Więc umyję zęby.

Poszłam za nim. Zobaczyłam, że rozpina kosmetyczkę i wyjmując szczoteczkę i tubkę pasty. Miałam ochotę się skopać, ale nie mogłam zamilknąć:

- Colgate zawiera glicerynę, wiesz? Zwykle pochodzenia zwierzęcego. I jest testowana na zwierzętach.

Ken spojrział na mnie wzrokiem mordercy. Zdecydowanie przeszedł mu miły nastrój.

- To co mam zrobić? Umyć zęby palcem?

Uśmiechnęłam się i podałam mu tubkę mojej pasty, Nature's Own.

- Możesz sobie pożyczyć, jeśli chcesz.

- Zawsze taka jesteś? - warknął.

- Jaka?

- Taka... zasadnicza. - Skończył myć zęby. - Faj. Smakuje jak gówno. Ale przynajmniej mam czyste zęby. I patrz. Zrobię jeszcze tak, żeby ci zapach nie przeszkadzał.

Rozpylił na karku chmurę wody po goleniu.

- Może nie wiesz - oznajmiłam ze zgorzaniem - że częstym składnikiem perfum i wód po goleniu jest kastoreum, wydzielina położonych wokół odbytu gruczołów płciowych bobra. A innym utrwalającym zapach składnikiem jest ambra, pozyskiwana od wielorybów.

Teraz wkurzyłam go na serio. Kark mu poczerwieniał, jakby w reakcji na wodę po goleniu. Odwrócił się do mnie gwałtownie.

- Chcesz mnie zdenerwować? Jeśli tak, to ci się udało. Idę spać.

I wymaszerował z łazienki, trzaskając drzwiami tak mocno, że jedna z okrągłych lampek pod sufitem pękła, a szkło posypało się na moją głowę, ubranie i wokół stóp w pończochach.

Stałam wstrząśnięta i porzucona, ale przejęta jakąś dziwną rezygnacją. Tak, usiłowałam go zdenerwować. Początkowo nie potrafiłam pojąć, co mi strzeliło do głowy po tym cudownym dniu. Potem zrozumiałam: był żonaty. Próbowałam go sprowokować, żeby wszystko się skończyło, zanim zabrnjemy za daleko. On najprawdopodobniej nigdy nie zostawi żony, a cała historia zmieni się w żalona awanturę, tak jak przewidziała Vicky. Co ja sobie wyobrażałam?

Po paru minutach drzwi znowu się uchyliły, powoli i z piskiem. Ken wszedł w hotelowym szlafroku i wyjściowych butach. Na widok jego gołych, włochatych łydek nie mogłam powstrzymać uśmiechu. Przeszedł ze zgrzytem przez morze szklanych odłamków wokół mnie.

- Nie ruszaj się - powiedział, czule zgarniając palcami odłamki z moich włosów.

- Wszystkie?

Skinął głową i wziął mnie na ręce.

- Strasznie przepraszam - powiedziałam, kryjąc twarz na jego ramieniu, kiedy wyniósł mnie z łazienki i położył na łóżku jak księżniczkę. - Byłam okropna. Nie wiem, co mnie napadło. To pewnie przez to wino.

- Mam nadzieję, że nie jesteś zawsze taka, kiedy sobie wypijesz - powiedział cicho, zdejmując mi podwiązki.

- Nie. Nie jestem, przysięgam. I jeśli to coś pomoże, bardzo mi się podoba twoja woda - wymamrotałam.

Przesunął dłońią po wnętrzu mojego uda.

- Coś ci powiem, dobrze? - szepnął.

- C o ?

- To pyszne czerwone wino, którego dwie butelki wypiliśmy, zawierało prawdopodobnie żelatynę - jest dodawana podczas klarowania wina. I może także zawierać koszenilę, czyli...

- Tak, tak, wiem - przerwałam, zawstydzona. - Zgniecionego żuka. Co mogę powiedzieć? Jestem zarozumiała, przemądrzała

krową i pseudowegetarianką. I noszę skórzane buty. Więc proszę, udawajmy, że tych ostatnich dziesięciu minut wcale nie było. Obiecuję, że nigdy więcej się nie odezwę, kiedy zechcesz zjeść stek.

Dwie godziny później zasypialiśmy w swoich ramionach, ciepło, zadowoleni i znowu sobie bliscy. Prawie już spałam, kiedy Ken puknął mnie w ramię.

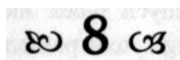
- Hnnnnng? - wymamrotałam.

- Położony przy odbycie gruczoł płciowy bobra? Nie zalewasz? Roześmiałam się sennie.

- Nnn.

- Rany. Ciekawe, jak to odkryli?

Nie przestał używać wody po goleniu, ale od tej chwili ani razu nie zamówił steku w mojej obecności.



W następny wtorek, dokładnie w porze wyznaczonej przez Pamelę Wilkins, wykręciłam numer centrali Gillingsbury College. Telefon był zajęty. Wyobraziłam sobie, że Biedny Wilf zajada kanapkę i nie ma ochoty odbierać żadnych telefonów. Wybrałam numer jeszcze raz. Znowu zajęte.

Na biurku przykleiłam karteczkę z moim scenicznym pseudonimem - Anna Valentine - i zmyślonym adresem: 27 Field End. Przyjrzałam się internetowej mapie i postanowiłam nie wybierać prawdziwej ulicy, na wypadek, gdybym przypadkiem trafiła na taką, która znajduje się przy domu Adama i Maksa. Gillingsbury nie jest aż tak wielkie, żeby ryzykować. Zmyśliłam nazwę i sprawdziłam ją w indeksie mapy, żeby się upewnić, że nie leży w dzielnicy przemysłowej. Potem uznałam, że Field End może się znajdować w małej wiosce na przedmieściach Gillingsbury - było tam jakieś Wealton, które robiło dobre wrażenie. Miałam nadzieję, że Adam tam nie mieszka. Mimo wszystko przygotowałam też plan B - jeśli spyta mnie o adres albo powie, że Wealton nie jest mu obce, bo „mój brat ma tam pub”, to oznajmię gładko, że to jedynie czasowe lokum i zamierzam przeprowadzić się do nowego mieszkania...

dopiero później przyszło mi do głowy, że jeśli Adam nie mieszka na 26 Field End w Wealton (co mało prawdopodobne, bo adres był zmyślony), raczej nie krzyknie: „No wiesz! Coś takiego! Ja tam mieszkam!”. Przez całe życie nikt, kto pytał mnie o adres, nigdy nie wyjawiał żadnych prywatnych informacji o sobie.

A z tym łączył się następny problem. Nawet jeśli zacznę chodzić na ten kurs, czy spodziewam się, że Adam nagle zacznie opowiadać o swoim synu? Oczywiście, że nie. Wyobraziłam sobie, jak uczy nas przecinać ceramikę i nakładać zaprawę (raz widziałam pokaz układania mozaiki na targach sztuki), a potem rzuca od niechcenia: „Dawca szpiku uratował życie mojemu synowi Maksowi, wiecie? Może chcielibyście go poznać?”. No właśnie. Co ja sobie wyobrażam? Mogę poznać Maksa, jedynie nawiązując przyjaźń z jego ojcem. A tego ojca nawet nie znam.

Nadal było zajęte.

- No, Wilf, ty cholerny leniu - warknęłam.

Chyba mi odbiło. Im dłużej się nad tym zastanawiałam, tym bardziej coś - upór, skłonność do takich idiotycznych spisków albo po prostu awanturnicza żyłka - kusilo mnie, żebym przynajmniej spróbowała. Usiłowałam sobie tłumaczyć, że jeśli Adam jest przerażająco brzydki, będzie wdzięczny za moje zainteresowanie, a jeśli jest oszałamiająco przystojny, łatwiej będzie mi z nim flirtować.

Wybierając numer, słuchając sygnału i znowu wybierając numer, spychałam na bok uporczywy głosik, który przypominał mi, że nie zachowuję się zbyt przyzwoicie. Byłam zadowolona z mojego związku z Kenem, pomimo wszystkiego, co przeszliśmy, więc uwiedzenie Adama absolutnie nie wchodziło w grę. Będę musiała z wyczuciem używać swoich aktorskich umiejętności, tak by nie było wątpliwości, że chodzi mi tylko o przyjaźń... Właściwie nawet miałam nadzieję, że jest brzydki. Uniknęłabym pokusy flirtowania z jakimś barczystym bogiem miłości. Szkoda, że - zważywszy okoliczności - istnieje raczej niewielka szansa na to, że mógłby być gejem. Fajnie byłoby mieć miłego przyjaciela geja. Zresztą nie jest to takie niemożliwe - może szok po odejściu matki Maksa rzucił go na Tamtą Stronę. A może odeszła, bo okazał się gejem! To by było idealne.

Wykręcić numer. Zajęty. Rozłączyć się. Wykręcić numer. Zaczęłam to robić automatycznie, odruchowo - blaszany rytm, akompaniujący moim marzeniom na jawie. Zdałam sobie sprawę, że jedy-

ną przyczyną tych wszystkich rojeń o Adamie jest fakt, że wszystko to wydaje się tak nierealne. Pomimo jego listu, nazwiska w prospekcie szkoły i maślanych oczu Pameli, Adam Ferris był wytworem mojej wyobraźni. Albo potworem mojej wyobraźni, jak powiedziała kiedyś jedna uczennica. Wyobraziłam sobie Adama jako szekspirowskiego zielonookiego potwora - ta zieleń ładnie by się prezentowała w mozaice. Ken zapytałby, co ja tam wyprawiam w szopie. To moje nowe hobby - powiedziałabym dumnie...

Dodzwoniłam się. Byłam tak zatopiona w marzeniach, że ledwie zauważyłam zmianę sygnału i ledwo powstrzymałam się, by machinalnie nie odłożyć słuchawki i znów zacząć wybierać numer.

- College Gillingsbury dla dorosłych, proszę zaczekać - odezwał się Biedny Wilf cierpiącym tonem przepracowanego mężczyzny. Zanim zdołałam coś wydukać, w słuchawce rozległa się elektroniczna wersja czegoś w rodzaju *Requiem* Mozarta. Cmoknęłam niecierpliwie. Adam pewnie wyjdzie, zanim zdołam się do niego przebić.

- W czym mogę pomóc? - spytał w końcu Biedny Wilf. Jeśli Pamela Wilkins jest Królową Kier, to Biedny Wilf jest na pewno żabą - odzwiernym, pomyślałam.

- Chciałabym rozmawiać z Adamem Ferrisem z Wydziału Sztuk Pięknych - oznajmiłam najswobodniej, jak potrafiłam.

- Chwileczkę. - Znowu muzyka klasyczna torturowana przez jakiś elektroniczny instrument z bardzo małymi klawiszami.

- Wydział Sztuk Pięknych?

W gardle mi zaschło. Denerwowałam się bardziej niż podczas premiery. Uznałam, że to brak praktyki. Choć jestem aktorką, rzadko podszywam się pod kogoś innego - głównie ze strachu przed konsekwencjami.

- Czy to Adam Ferris?

- Tak. W czym mogę pomóc?

Miał świetny głos: wesoły, lecz nie nachalnie serdeczny. Natychmiast wyobraziłam sobie dziergany sweter i mokasyny; i potwórzyłam sobie, że nie robię nic złego. Jestem tylko odrobineczkę podstępna.

- Chciałabym się zapisać do grupy dla początkujących w klasie mozaiki - rąbnęłam śmiało. - Ale marzę, żeby zrobić blat stołu z kawałków starych talerzy...

- Pique asiette - wtrącił Adam.

- Słucham?

- Pique asiette. Tak się nazywa technika układania mozaiki ze znalezionych przedmiotów, zwłaszcza skorup. Oznacza ukradziony talerz. Przepraszam, proszę mówić dalej.

- Aha. Tak. No więc pańska sekretarka powiedziała, że najpierw powinnam z panem o tym porozmawiać. Uważała, że to zbyt trudne dla nowicjusza.

- Hm. Zakładając, że nie planuje pani stołu na osiem osób, ze wzorem przedstawiającym rzymskich żołnierzy na polowaniu, wykonanym wyjątkowo misterną mikromozaiką, nie widzę przeciwwskazań, ale...

- Och, świetnie! - wybuchłam, choć nawet, gdyby powiedział: „W tym semestrze grupa początkujących ma wykonać portret swojej babci”, i tak od razu przystąpiłabym do mieszania zaprawy. Już teraz, dzięki tej rozmowie, czułam się bliska Maksowi. I wiedziałam, że z Adamem jest łatwo się zaprzyjaźnić; miał taki miły, ciepły głos. Żaden drań nie ma takiego głosu... Po raz pierwszy zatroskałam się, czy nie uraził go brak mojej odpowiedzi na list.

- Niestety - dodał przepraszająco - jest pewien problem. Obawiam się, że wszystkie miejsca w grupie są już zajęte. Jest nawet lista oczekujących.

Tego się nie spodziewałam. A to kanał. Co? Mała nędzna szkołka dla dorosłych jest tak oblegana? Czy mieszkańcy Gillingsbury nie mają nic lepszego do roboty tylko przyklejać potłuczone skorupy do deski? To jak, do cholery, mam się spotkać z Makssem?

Omam się nie poddałam. Już nawet pomyślałam: no, skoro tak się chcę z nim spotkać, muszę odpisać oficjalnie, jako Anna Sozi. To proste. Spotkamy się. Pozwolę nawet zamieścić naszą wspólną fotografię w kwartalniku...

Ale myśl o fotografii znowu mnie zmroziła. Przelękałam się, że pewnego dnia zdjęcie może być jedyną pamiątką po Maksie, bo mój szpik zawiedzie, tak jak ja zawiodłam w przypadku moich utraconych dzieci i ich niespełnionego życia. Nie mogłam. Nie mogłam tak ryzykować.

Zebrałam wszystkie siły, żeby nie mieć zrozpaczonego głosu. Dlaczego Królowa Kier mnie nie ostrzegła?

- Wszystkie? We wszystkich grupach? To nie musi być mozaika. Chcę robić coś twórczego. Pan wykłada garncarstwo, prawda?

- Słowa zaczęły się wyslizgiwać z moich ust, nieopanowane, jak mokra glina zostawiona na wirującym kole garncarskim. Ja się chcę spotkać z Maksem!, wściekałam się w duchu.

W słuchawce zapadła chwila ciszy. Z trudem opanowałam emocje. Adam pewnie właśnie włączył wykrywacz świrów, pomyślałam. Na kursach dla dorosłych zawsze znajdzie się jakiś wariat. Może pomyślał, że to ja.

- Przykro mi. Zapisy na kursy zaczynają się dość wcześnie i ostatnie miejsca w mojej grupie właśnie zostały zajęte.

Może los postanowił inaczej. Oto frazes, którego zdecydowanie nadużywam, pomyślałam zgnębiona. Ale Adam jeszcze coś mówił.

- Jednak jeśli interesuje panią układanie mozaiki...

- Tak, bardzo - przerwałam gwałtownie. W mojej słuchawce rozległ się pisk, przeplatający słowa Adama jak kolorowe odłamki mozaiki. - Przepraszam, mam telefon na drugiej linii. Może pan chwilę zaczekać?

- Oczywiście.

Szybko przełączyłam linię.

- T a k ?

- Z kim tam plotkujesz, mała? - To Ken.

- A, Ken. Słuchaj, mogę oddzwonić? Rozmawiam z... Fenellą.

- Dobrze. Idę na zebranie, ale jeśli zadzwonisz...

Rozłączyłam się, zanim skończył.

- Przepraszam.

- Nie, mówiłem tylko, że jeśli chce się pani przyłączyć do tworzenia mozaiki, to właśnie zamierzam stworzyć wielki mural na potrzeby miasta. Będzie się znajdować w tym przejściu podziemnym pod stacją kolejową, wie pani?

- Oczywiście - skłamałam.

- Zapraszam wszystkich chętnych. Będziemy go robić przez parę tygodni, aż do rozpoczęcia semestru. Lub dłużej, jeśli zdobęde zamówienie na trzy nowe panele, na co liczę. Udział jest za darmo. To wspaniały sposób, żeby się nauczyć podstaw techniki - cięcia, układania wzoru, tła i tak dalej.

- Fantastycznie - powiedziałam i wzniosłam tryumfalnie wolną od telefonu pięść. - Gdzie?

- Moose Hall na Devizes Road.
- Hm. Chyba wiem.
- Na przeciwko skrzyżowaniu w Queens Drive.
- Znajdę - powiedziałam twardo. - Dziękuję. - Nagle coś przyszło mi do głowy. - Czy... pan tam będzie codziennie?
- Niemal - powiedział z rozbawieniem. - Jak się pani nazywa?
Będę pani szukać.

Odchrząknęłam.

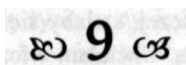
- Annavalentine - wytrajkotałam, żeby nawet nie przeszło mi przez myśl, że mogłabym się nazywać Sozi.

- Aha. Doskonale. To do zobaczenia. I przepraszam za brak miejsc. Chce się pani zapisać na listę oczekujących? Kandydaci czasem rezygnują.

- Nie. Nie, to mi wystarczy, dziękuję. Będę pomagać przy muralu.

Odłożyłam słuchawkę. Nie mogłam przestać się uśmiechać. Fantastycznie. Zgniotłam kartkę ze zmyślnym adresem. Żadnych oszustw przy zapisywaniu, żadnego ryzyka. Teraz muszę się tylko zjawić na spotkanie. To nie będą przecież prawdziwe zajęcia, więc zyskam więcej szans na rozmowę z nim. Głupio jest wypytywać na lekcji o rodzinę nauczyciela, natomiast podczas spotkania towarzyskiego to zupełnie coś innego. A poza tym - ucisz się, serce - czy przypadkiem nie ma jeszcze wakacji? Max na pewno tam przyjdzie!

Byłam tak ożywiona i szczęśliwa, że przez dziesięć minut stałam na głowie, żeby się uspokoić.



Nie było mi łatwo zająć w ciąży. Czasami się słyszy takie gadanie: „Pierwsza noc miesiąca miodowego, nawet nam to przez myśl nie przeszło i hop! Poczuliśmy!”. Z nami tak się nie stało. I dlatego Holly była takim cudem, bo zdołała przetrwać w niegościnnym, jak zaczęłam podejrzewać i - mówiąc w przenośni - zimnych przestrzeniach mojej macicy. Wszystkie inne potencjalne dzieci - albo, jak mówili lekarze, kiedy trzeba je było ze mnie wygarnąć, pozostałości produktu poczęcia (w porównaniu z tym sformułowa-

niem „embrion” i „płód” wydają się ciepłymi, nieklinicznymi słowami) - poddały się prawie bez walki.

Pierwsze poronienie zniosłam bez problemu, bo nawet nie wiedziałam, że jestem w ciąży. Uznałam, że mam wyjątkowo obfitą miesiączkę i dopiero potem zrozumiałam, co się stało. Drugie przeżyłam ciężko: osiem tygodni, a trzy tygodnie wcześniej zrobiłam sobie test ciążowy. Przez trzy tygodnie chodziliśmy w euforii, planując i świętując. Ken był dumny ze swojej udowodnionej na nowo męskości - "Jestem prawdziwym mężczyzną!" - a ja chciałam i z rewerencją oglądałam w sklepie wielkie rozciągliwe spodnie z potężną bułą z przodu - jakbym znalazła się w odzieżowej mekce, a nie w Mothercare - i już się nie mogłam doczekać, kiedy będę miała prawo nosić taką potworność. Potem zaczęło się krwawienie, początkowo nieznaczne, tylko tyle, by się zaniepokoić, ale jeszcze nie wpadać w panikę.

- Niektóre kobiety krwawią przez całą ciążę - powiedział lekarz, a ja pomyślałam: to na pewno cudowne. Nieprawda.

Dwa dni płamienia, potajemne i spanikowane telefony na pogotowie w środku nocy, żeby nie niepokoić Kena, badanie, które nie dało jasnych wyników i raptem bach! Masowa ewakuacja. Nocna ucieczka wyjściem awaryjnym. Rzeczowa, lecz wstrętna rozmowa z lekarzami o skrzepach, a potem rzeczywistość, jeszcze bardziej wstrętna galareta, jakby szara dygocząca wątroba, która wyszła ze mnie jak jakaś potworność, niemal oskarżenie.

Była ohydna, a jednak chciałam ją zatrzymać. Wiedziałam, co to: „pozostałości produktu poczęcia” - i z całą pewnością, gdyby sprawy potoczyły się inaczej, stałaby się moim dzieckiem, żywą, oddychającą istotą ludzką. Chciałam włożyć tę galaretę do pudełka zapalek i pochować ją w ogrodzie, z małym krzyżykiem z patyków po lodach - wszystko byłoby lepsze niż spuszczenie w toalecie z takim samym szacunkiem, jaki poświęca się złotej rybce, która wypłynęła w akwarium brzuszkiem do góry. Popeliłam błąd i wyznałam Kenowi, co chcę zrobić, ale nie zrozumiał. Nawet nie chciał o tym myśleć. Ken jest strasznym tchórzem. Wystarczy kropelka krwi, a robi się zielony. Nie może nawet oglądać seriali o lekarzach; świadomość o medycznym dramacie w jego własnym wychodku na parterze była dla niego nie do zniesienia. Zresztą był w pracy, kiedy się zaczęło.

Trzecie poronienie zastało go na konferencji. Było najgorsze: jedenaście tygodni, kiedy prawie zaczynaliśmy wierzyć, że wszystko będzie dobrze, że to dziecko okaże się wytrwałe, że wczepi się maleńkimi paznokietkami w skalistą ścianę mojego ciała. Zaczęło się nam nawet wydawać, że nie tylko się wczepiło, ale rozwija się, kwitnie jak pustynna róża. A potem nagle, niespodziewanie, znowu się zaczęło, oglądanie kawałków papieru toaletowego i płacz nad wymownymi symptomami. Lekarz mówiący: „To trochę smutne...”, jego zamierający głos, kiedy zdał sobie sprawę, że ten straszliwy nietakt nie może mnie pocieszyć. Dzika panika, która mnie ogarniała, na samą myśl, że to się może powtórzyć. Musiałam przejść hipnoterapię, zanim zdołałam się zmusić do seksu - a wszystko to wydarzyło się przed Holly.

Biedny Ken także ciężko przeżył to trzecie poronienie. Nie mógł sobie wybaczyć, że go przy mnie nie było, i ciągle to powtarzał, ale właściwie co mógłby zrobić? Byłam nawet zadowolona, że mu to zostało oszczędzone - Bóg jeden wie, ile przeżył przy Holly. Ale właśnie wtedy nasze życie erotyczne znalazło się w tak rozpaczliwym stanie, że pojawienie się Holly było cudem.

Tuż przed poczęciem Holly zdecydowałam się na oddanie szpiku. Teraz, kiedy się nad tym zastanawiam, nie wiem, czy nie było w tym palca bożego. Może to dlatego doszło do tego trzeciego poronienia. Gdybym donosiła dziecko, nie mogłabym zostać dawcą - ciąża to wyklucza. Wówczas może znaleziono by innego dawcę i Max by umarł.

Nie mogłam się pozbyć przeświadczenia, że moje niedoszłe dziecko, to przed Holly, oddało życie za życie Makska. Takie myślenie mi pomagało. Jednak jeszcze bardziej chciałam się z nim spotkać.

Samo pobranie szpiku nieszczególnie bolało. Nie było to może najprzyjemniejsze przeżycie, a sztywność w krzyżu czułam jeszcze przez wiele tygodni, ale cierpieniem bym tego nie nazwała. W dziwny sposób wydawało mi się, że to akt skruchy, jakbym mówiła Bogu: jeśli zrobiłam coś złego i dlatego moje dzieci umierają, to przepraszam. Może jeśli zrobię to dla kogoś obcego, będę mogła dostać dziecko, które ze mną zostanie?

Pamiętam, jak dochodziłam do siebie w szpitalu, leżąc na brzuchu. Ból promieniował falami z krzyża, ale dostałam tyle leków antybólowych, że dotyczył jakby innej osoby - nie zniknął, lecz

był ze mną połączony mglistą pępownią obojętności. Dziwne uczucie. W każdym razie spośród rozmaitych upokarzających zabiegów, którym byłam poddana przez te lata, pobranie szpiku było z pewnością jednym z mniej przykrych. Nie mogło się równać z łyżeczkowaniem po poronieniu numer trzy.

Muszę wyznać, że wtedy nie zastanawiałam się, kto dostanie mój szpik. Nie zastanawiałam się nawet nad tym, że mogę uratować życie - wyjąwszy mały przyływ dumy, kiedy się zarejestrowaliśmy. Vicky i ja figurowaliśmy w rejestrze ewentualnych dawców Trustu Anthony'ego Nolana od lat. Ciotka Vicky umarła młodo na białaczkę, więc poszliśmy do miejscowego szpitala i kazałyśmy sobie pobrać krew, którą wysłano do trustu. Pamiętam, jak siedziałam z nią w poczekalni, chichotałyśmy z plakatu „Strzeż się chorób przenoszonych drogą płciową” i przeglądałyśmy stare numery „Cosmo”. Czekaliśmy tak długo, że znudziłyśmy się i zaczęłyśmy się bawić pociągiem w kącie poczekalni - dziewiętnastolatki, pochylone nad zniszczonymi drewnianymi wagonikami i porozrzucanymi kawałkami torów. Recepcjonistka była zgorzonna, starsza kaszłająca pani w kącie też, ale czułyśmy się zbyt bohaterko, żeby się przejąć. Patrzcie na nas, demonstrowaliśmy naszym zachowaniem, jesteśmy tutaj z własnej woli, może wkrótce uratujemy komuś życie! Ale wtedy to nie wydawało się realne; było bardziej zabawą.

Żadna z nas nie dostała zawiadomienia od trustu - prawdę mówiąc, nawet zapomniałam, że się zgłosiłam, aż dwa lata temu zwrócili się do mnie z informacją, że jestem potencjalnym dawcą dla anonimowego chorego. Max mógł być kimkolwiek, kobietą lub mężczyzną w dowolnym wieku, z dowolnego miejsca na ziemi. To kolejny mały cud, że mieszka niespełna sto pięćdziesiąt kilometrów ode mnie.

I tak, pewnego mglistego sierpniowego poranka wyruszyłam na spotkanie z jego ojcem, z którym miałam układać wzorki z fajansowych skorup. Znowu zaczęłam się zastanawiać, czy Max też tam będzie.

CZEŚĆ
DRUGA

Pomimo wskazówek Adama znalezienie Moose Hall sprawiło mi więcej trudu niż zlokalizowanie college'u. Może dlatego, że spodziewałam się wielkiego imponującego budynku, przynajmniej z wypchaną głową łosia. Przejechałam obok niego cztery razy, nie zauważając go.

Moose¹ Hall - przypomniała mi się bajka z dzieciństwa, jakaś surrealistyczna historia o mięsie z łosia czy może łosiu z mięsa. Dla dorosłego brzmi to dość makabrycznie, ale dla dziecka było to tylko zabawną grą słów. Trochę tak, jak Kudłaty Pietrzyk, pomyślałam, jadąc, niczym panna Marple, z nosem przyklejonym do przedniej szyby, przyglądając się domom na Devizes Road. „Struwelpeter”, bo tak brzmi imię Kudłatego Pietrzyka w oryginale, był pewien ohydnych strasznych historii o dziewczynkach, które spaliły się na popiół, kiedy bawiły się zapalkami, i o chłopcach, którym obcinano kciuki za to, że je ssali. Można by pomyśleć, że dzieci mają po nich koszmary, ale chyba nie przywiązują jakiegoś szczególnego znaczenia do słów. To tylko słowa i obrazki. Nie mają wpływu na rzeczy, które są naprawdę ważne: rodzinę, telewizję, zabawki, słońce.

Pomyślałam o Maksie i o tym, jak koszmarnie musiało być jego krótkie życie. Miałam nadzieję, że potraktował to jak słowa strasznej bajki - coś, co się wpuszcza jednym i wypuszcza drugim uchem. Może stworzył własny świat - pełen chemii, igieł, bólu, zmęczenia - świat nieróżniących się od łosia z mięsa czy dzieci bez kciuków.

¹ Moose (ang.) - łoś (przyp. tłum.).

Do diabła, gdzie ten cholerny budynek? Przez chwilę wydawało mi się, że to także tylko bajka, którą Adam zmyślił, żeby się mnie pozbyć, wariatki pragnącej tworzyć... jeśli tak, to kupiłam ją jak dziecko.

Zatrzymałam się przy staruszku wyprowadzającym kudłatego pieska z nosem jak toffi.

- Przepraszam - powiedziałam przez otwarte okno. - Czy nie wie pan, gdzie jest Moose Hall?

Staruszek ledwie rzucił na mnie okiem. Obejrzał się w kierunku, z którego przyjechałam.

- Tam, po prawej.

Zdziwiłam się.

- Właśnie stamtąd przyjechałam.

Wzruszył ramionami.

- Po prawej. Tam.

- Dziękuję.

Ruszyłam. Za bardzo zajęły mnie łosie i chemia, przestałam uważać. Zrobiłam objazd i jeszcze raz przemierzyłam znaną trasę w żółwym tempie, wbijając spojrzenie w domy po prawej stronie ulicy.

No i znalazłam go, na środku tarasu. Trudno uwierzyć, że go przepięłam, choć nie wyglądał tak, jak oczekiwałam. Był to jeden z tych małych, zaniedbanych wiktoriańskich domków, które są chyba w każdym mieście, zapomniane i zniszczone. Farba na ścianie frontowej odłaziła wielkimi płatami, a imponujący niegdyś portyk nad drzwiami kruszył się niebezpiecznie. Przed domem stały sztalugi z wielkim pomarszczonym arkuszem papieru. Spłowiałe nakreślone ółówkiem litery głosiły: „Układanie mozaiki - dla wszystkich”.

Znalazłam miejsce parkingowe, w które zdołałam się wcisnąć. Wzięłam głęboki wdech, podeszłam do ciężkich drewnianych drzwi i otworzyłam je.

Najpierw zobaczyłam dzieci, czworo czy pięcioro. Biegały po holu, migając chudymi nóżkami w szortach. Mazały się flamastrami i biły się o czekoladowy biszkopt. Serce omal mi nie stanęło - który to Max?

Jakaś kobieta wrzasnęła:

- Orlando i Spike! Dość! Millie, oddaj Spike'owi biszkopta. A ty, Petra, przestań rozrabiać. Jeśli nie potraficie pracować spokojnie, pójdziecie do domu.

Żadnych Maksów. Jakoś mi ulżyło - nie wiem, czy zdołałabym się z nim spotkać tak z marszu. Sama perspektywa przedstawienia się Adamowi dostatecznie szarpała mi nerwy. Jeszcze raz szybko rozejrzałam się po holu, usiłując rozpoznać Adama. Dostrzegłam trzech mężczyzn: dość przystojnego czarnoskórego mężczyznę w skąpych dżinsowych szortach, starszego, grubszego, łysiejącego faceta z niewielką bródką i chudego jak patyk hipisa z trzema kolczykami w skrzydełku bardzo wydatnego nosa. Wyglądał jak postać z Dickensa i miał trochę zdziwioną minę: jakby Uriah Heep został zmuszony do noszenia hipisowskiego podkoszulka i nie potrafił pojąć dlaczego. Wszyscy nosili białe identyfikatory, ale stałam za daleko, żeby je odczytać.

Na stole pośrodku pokoju leżała wielka plansza, nad którą pracowało kilka osób. Pod ścianami stały pudełka z płytkami wszelkich kształtów, rozmiarów i kolorów. Niektóre już połamano, ale większość była cała. Kurz i ceramiczne okruchy zaścieniały zniszczoną podłogę; krzyki dzieci mieszały się z ostrym zgrzytem przecinaków.

Na drugim, mniejszym stole obok mnie znajdowały się talerze pełne wyschniętych kanapek, puszka biszkoptów połamanych jak ceramiczne płytki i cukierniczka z kilkoma łyżkami; cukier miejscami zbrązował od herbaty. Z magnetofonu snuł się płaczliwy, drżący głos Beth Orton, na podłodze nieopodal syczał czajnik; para ogrzała mi nogi. To niebezpieczne, pomyślałam, dla tych dzieci, które tu biegają. Musiałam pohamować pokusę przestawienia czajnika w bezpieczniejsze miejsce.

Kobieta, która krzyknęła na dzieci, odłączyła się od grupy dorosłych i wyszła mi na spotkanie. W pierwszej chwili myślałam, że właśnie spotkało ją coś strasznego, bo jej usta były rozchylone w bolesnym grymasie, jakby szła, walcząc z mroźnym wichrem. Ale kiedy się odezwała, jej głos brzmiał całkiem normalnie.

- Przyszła pani pomóc? - spytała o wiele pogodniej, niż zapowiadała to jej mina.

Skinęłam głową. Była ode mnie młodsza, ubrana trochę po hipisowsku, choć bez przesady. Nosila mnóstwo ciężkiej biżuterii z bursztynu, długie, proste brązowe włosy były lśniące, a zęby białe. Tylko ta mina nadawała jej nieszczęśliwy wygląd.

- Jestem Serena - powiedziała. - Proszę się zapisać, a potem poznam panią z resztą gromadki. Jak ma pani na imię?

- Anna - oznajmiłam. - Anna, hm... Valentine.

Napisała ANNA na białej naklejce, odlepiła ją i podała mi na jednym palcu. Posłusznie przyklepałam identyfikator nad lewą piersią. Podpisałam się na liście, dodałam fałszywy adres, zadowolona, że starczyło mi wyobraźni, by go wymyślić, choć nie sądziłam, aby mi się przydał.

- O, Wealton? - powiedziała Serena z czymś w rodzaju respektu. - Tam chyba jest pięknie, prawda?

Natychmiast spanikowałam.

- Eee, dopiero się wprowadziłam, ale tak, na pewno.

Pewnie powinnam dziękować Bogu, że nie zdziwiła się i nie powiedziała czegoś w rodzaju: „A jak się mieszka w bliskim sąsiedztwie elektrowni atomowej/oczyszczalni ścieków/więzienia o zastrzyżonym rygorze?”.

Błagam cię, nie pytaj, gdzie konkretnie mieszkam, zaczęłam się modlić. Ale ona już się odwróciła i dała mi znak, żebym szła za nią.

- Chodź, poznaj wszystkich.

Kiedy dotarliśmy do stołu, jeden z mężczyzn zniknął, a na identyfikatorach dwóch pozostałych nie widniało imię Adam.

- To Ralph - upewniła mnie Serena, wskazując głową czarnego faceta. Pomachał mi z uśmiechem, po czym znowu założył plastikowe gogle i dwoma wprawnymi cięciami podzielił płytkę terakoty na cztery części. - A to Paula, Mary, Margie i Mitch.

Natychmiast przechrzciałam tę trójkę na Mary, Mungo i Midge'a. Midge, Mitch, był hipisem. Z niejakim opóźnieniem zrozumiałam, że wyciąga do mnie zakurzoną dłoń.

- Cześć - powiedziałam z radosnym uśmiechem i uścisnęłam ją. - Jestem Anna.

Zapadło niezręczne milczenie. Mitch naprawdę był niemal bolesnie brzydki. Spłowiałe rude włosy, długie i oklapłe, nos, który zdominował jego rysy tak, jakby był przeznaczony dla twarzy zupełnie innego, większego człowieka. Usta były tak wąskie, że w ogóle nie było ich widać, a kolczyki w nozdrzu wydawały się brudne.

W tej samej chwili przez jeden z zakurzonych świetlików w dachu wpadł promień światła i rozjaśnił niedokończoną mozaikę.

- Fantastyczne - rzuciłam w kierunku Ralpha. - To ty zrobiłeś tę dziewczynkę ze skakanką? Kapitalnie uchwyciłeś jej minę.

Ralph zrobił zadowoloną minę.

- Dzięki. Zrobiłem to razem z Adamem.

- Adam jest organizatorem, tak? - zarzuciłam przynętę. - Jest tutaj?

- Tak. Był jeszcze przed chwilą. Gdzieś poszedł.

Więc to był Adam. Ten grubszy, starszy. Poczulałam drugie ukłucie rozczarowania, które szybko zagłuszyło podniecenie na myśl o spotkaniu z ojcem Maksa.

Jedna z kobiet, Paula, podniosła głowę. Tylko ona nosiła maskę ochronną i jej głos był trochę stłumiony.

- Wyszedł po mleko - powiedziała. - Jego kolej zrobić herbatę.

Wtedy zauważyłam, że była w zaawansowanej ciąży; jej brzuch, ogromny i wzniesiony, wypychał obszerne ogrodniczki. Serce mi się ścisnęło; spuściłam oczy na mozaikę.

Była piękna. Wyglądała jak cud ze skazą. Zdumiało mnie, jak szkic węglem na desce ożywał w częściach już ukończonych. Kobieta w autobusie patrzyła na dziewczynkę ze skakanką, w stawie pływały rybki, ptaki fruwały po ceramicznym niebie z wirem żółtego jak żółtko słońca. Trudno było uwierzyć, że można wyczarować takie szczegóły z topornych kawałków potłuczonych płytek. Po raz pierwszy od przybycia zapomniałam na chwilę o Maksie i zapragnęłam także uczestniczyć w tworzeniu tego cudownie kolorowego, choć rozbitego na kawałki świata.

- Fantastyczna - szepnęłam. - Wszyscy macie już na pewno doświadczenie. Ja tego jeszcze nigdy nie robiłam, mam nadzieję, że to nie będzie dla was kłopot.

- Ja też nie - odezwała się Mary, schludna kobieta w średnim wieku, ubrana w pasiasty kucharski fartuch. Włosy, choć idealnie ułożone, pokrywała gruba warstwa pyłu. Uderzyło mnie, jak dziwną zbieraninę stanowią ci ludzie.

- Szybko się wciągniesz - dodała Margie, młodsza, z holenderskim akcentem.

Serena dała mi plastikowe gogle, które włożyłam z zażenowaniem.

- Pokażę ci, jak się używa przecinaka - powiedziała, podając mi go. - Umieszczasz go na krawędzi płytki, pod kątem dziewięćdziesięciu stopni i naciskasz. Nie przesuwaj za daleko, bo płytka pęknie. Rób to nad kuwetą, żeby okruszki nie spadały na mozaikę. A jeśli chcesz wyciąć kółko, uderzaj wokół krawędzi, o tak. - Pokazała mi i zachęciła gestem, żebym spróbowała.

Wzięłam czerwoną płytkę, przyłożyłam precyzynak i przycisnęłam. Nic się nie wydarzyło. Przycisnęłam mocniej i płytka rozpadła mi się w dłoniach na piętnaście kawałków.

- Nie szkodzi - powiedziała Serena. - Zawsze potrzebujemy kawałków różnej wielkości. Włóż je do tego pudełka.

- To kto chce herbaty? - rozległ się nowy głos.

Odwrociłam się i zobaczyłam go. Ojciec Maksa. Zbliżał się do mnie z dwulitrową butelką mleka i szerokim uśmiechem.

- Cześć - rzucił entuzjastycznie. - Nowa ofiara, cudownie! Jestem Adam.

Poczułam niewytłumaczalną słabość w kolanach.

- Anna Valentine - wykrztusiłam - Rozmawialiśmy przez telefon.

- Tak, oczywiście, pamiętam. Świetnie, że przyszedł.

Z bliska nie wydawał się taki stary - miał może pod czterdziestkę. Postarzała go łysina i mały brzuszek. Nie był przystojny, ale włosy, które mu pozostały, były bujne i faliste, ramiona szerokie, oczy zdumiewająco błękitne, a uśmiech zaraźliwy. Serce mi się ścisnęło na myśl, ile bólu musi ukrywać, a potem trochę się zawstydziałam swojego podstępku. Nie powinnam go tak podchodzić. To w pewnym sensie podglądactwo. Obserwowałam go, a on o tym nie wiedział.

- Cześć, Anno - powiedział, stawiając mleko na niewypełnionej części mozaiki, koło na wpół dokończonego robotnika w kombiniezonie, opierającego się na szkicu łopaty. - Miło cię poznać. Gdzie mieszkasz?

Spojrzałam mu w oczy i wyobraziłam sobie, że gramy w sztuce.

- Jestem tu nowa - wyrecytowałam bez mrugnięcia okiem. - Wynajmuję małe mieszkanie w Wealton.

- Cudownie - powiedział Adam z tym samym szacunkiem, który usłyszałam w głosie Sereny. Muszę się chyba tam przejechać, pomyślałam. Zdaje się, że niechcący dokonałam świetnego wyboru.

- Serena pokazała ci, co robić?

- Pokazała mi, jak robić. Gdzie mam zacząć? - Sama myśl o tym, że mogłabym stworzyć coś w tym pięknym muralu, wydawała się przedwczesna.

Adam wskazał pusty róg deski, gdzie widniał zarys koszyka z czymś podobnym do bagietki.

- Możesz zrobić ten koszyk? Będziesz potrzebować dwóch odcieni brązu. Tnij równe kawałki i przekładaj je tak, żeby wyglądały jak wiklina.

Chciałam go zapytać, gdzie jest Max, ale tylko skinęłam głową i bohatersko zabrałam się do roboty.

Dwie godziny później miałam obolały i sztywny kciuk i ręce uprane szarym klejem, ale uplotłam własny brązowy ceramiczny koszyczek. Byłam niesamowicie dumna - to naprawdę wyglądało jak prawdziwy koszyk! I było zrobione z płytek! Zdumiewające, absolutnie fantastycznym doznaniem było przyglądanie się, jak koszyk pojawia się między rozmazanymi szarymi smugami na dykcie.

Początkowo raczej się nie odzywałam, tylko odpowiadałam na pytania. Przysłuchiwałam się uważnie Adamowi. Stał po drugiej stronie stołu, dopieszczając staw o cudownie falistej powierzchni, więc nie miałam szansy porozmawiać z nim osobiście, a, niestety, Ralph i Mitch dość ewidentnie zaczęli mnie podrywać.

Teraz zdałam sobie sprawę, że mój hiperentuzjastyczny uśmiech był błędem. Mitch gapił się na mnie z jawnym pożądaniem, aż wreszcie, kiedy na niego zerknęłam, stracił rezon i zaciął się w palec odłamkiem czerwonej płytki, przeznaczonej na autobus, nad którym pracował. Przynajmniej przez jakiś czas miałam go z głowy. Mary zaprowadziła go na bok, żeby znaleźć plaster na tyle duży, by zatamował krew.

Uznałam, że to może być szansa na rozmowę z Adamem, ale Ralph także dostrzegł wolne miejsce dla siebie i zaatakował. Był bardzo przystojny, lecz coś mi się w nim nie podobało. Prawdę mówiąc, chodziło o jego szorty - tak krótkie, że przypominały dżinsowe majtki. Jeszcze bardziej drażniący był sposób, w jaki ze mną rozmawiał. W pół godziny dowiedziałam się, że żona opuściła go z innym, że ma problemy ze spłaceniem hipoteki, że jego najmłodszemu dziecku trzeba było wydlubywać woskwinę z uszu, a najstarsze obwinia go o rozpad małżeństwa (w tym momencie zaczęłam się zastanawiać, czy te szorty mogłyby być użyte jako dowód w sądzie); że gra w golfa. A wszystko jednym tchem. W głowie kręciło mi się od wysiłku przytakiwania w odpowiednich miejscach i jednoczesnego podsłuchiwania cichej rozmowy Adama z kobietami po obu jego stronach, jak również wy-

cinania regularnych prostokątów z beżowej i brązowej płytki. Nie było łatwo, zwłaszcza przy śpiewie Beth Orton i nieustannych rozdzierających piskach dzieci klócących się o flamastry i biszkopty.

W chwili, gdy zaczęłam podejrzewać, że życie Ralpha nie ma już dla mnie tajemnic, usłyszałam:

- Przepraszam, skoczę do Jimmy'ego.

- Dokąd on poszedł? - spytała zaskoczona Margie.

Nie okazywała zainteresowania niczym, co Ralph powiedział do tej pory, więc nabrałam podejrzeń, że inne kobiety już przeżyły atak jego kompulsywnej wylewności. To pewnie jakiś rytuał, przez który muszą przejść wszyscy pracujący nad mozaiką.

- Do Jimmy'ego. Jimmy'ego Smrodka. To znaczy, że idzie do toalety - wyjaśniłam głosem nieco zachrypniętym od nieużywania.

- Nie rozumiem. Z czego wnioskujesz, że do toalety?

- To rymowany cockneyowski slang. Jimmy Smrodek to wychodek. Toaleta.

- O - powiedziała bez przekonania. - Nigdy nie połapię się w tych angielskich wyrażeniach. W telewizji jest taki teleturniej. Nigdy bym w nim nie wygrała. Nie potrafiłabym odpowiedzieć na najprostsze pytania. Wczoraj było takie: „Leje jak...”. Myślałam, że odpowiedź brzmi: „Leje jak zebra”. Pytanie za sto funtów, a ja bym przegrała.

Roześmiałam się, a kiedy podniosłam głowę, okazało się, że Adam też się śmieje. Wyglądał o wiele atrakcyjniej, gdy miał odprężoną twarz i zmarszczki w kącikach oczu.

- Znałem jednego Jimmy'ego Smrodka - powiedział, tnąc cieńsze kawałki płytek na rączkę koszyka. - Nie chciał, żeby go nazywać Jim czy James. Tylko Jimmy. Był hydraulikiem, więc pewnie robił to umyślnie.

Wszyscy się roześmieli, nawet Paula, wyniosła kobieta w ciąży. Odprężyłam się i zrozumiałam, że dobrze się bawię.

- Gdzie pracujesz, Anno? - spytał Adam, w chwili, gdy Mitch, Mary i Ralph wrócili do stołu. Mitch miał grubo obandażowany palec, a za nim siedł mały chłopczyk, ssący brudny kciuk. Trzymał się jego podkoszulka.

Otworzyłam usta, żeby poinformować Adama, iż jestem aktorką, ale w tej samej chwili Mitch zwrócił uwagę wszystkich na swój palec. Krew już zaczęła przesiąkać przez bandaż. Zaniepokoiłam się, że kapnie na mój koszyk.

- Lepiej dam sobie spokój na dziś - powiedział żałośnie. - Nie przestaje krwawić. Trzeba będzie chyba szyć. Zabieram Spike'a i spadam. To do jutra.

- Cześć, Mitch, cześć, Spike - powiedzieli wszyscy chórem, siłując się na zmartwione miny.

Inne dziecko stanęło przy stole; wielkie plastikowe gogle sprawiły, że wyglądał jak ogromny wylupiastooki konik polny. Chłopczyk pociągnął Mary za rękaw.

- Mamo, jestem głodny. Daj kanapkę!

Mary spojrzała na niego z desperacją.

- Orlando, zjadłeś ogromne śniadanie i trzy biszkopty nie dalej jak godzinę temu. Musisz poczekać.

- Ja też jestem głodna - dodała pyzata ciemnowłosa dziewczynka, która stanęła za jego plecami. - I znudziło się nam malowanie. Możemy przyklejać płytki?

- Tylko jeśli włożysz okulary, Petro - odparł Adam. - Nie możemy ryzykować, że coś ci wpadnie do oka.

- Twoja? - zaryzykowała, usiłując powiedzieć to naturalnie.

- Nie. Moja, ona i Millie - wtrąciła Serena. - Orlando to syn Mary.

Dalsze wypytywanie Adama o dzieci byłoby podejrzone. Miałam nadzieję, że sam powie, żebym miała powód spytać go o Maksa, ale milczał. Musiałam być cierpliwa.

Jednak cierpliwość nie jest cechą, jaką posiadam w nadmiarze. Kiedy w rozmowie nastąpiła pauza (trochę później, gdy przypadła kolej Ralpha na przygotowywanie herbaty), rzuciłam w przestrzeń:

- Wasze dzieci są na wakacjach?

Paula parsknęła śmiechem.

- Widać, że nie masz dzieci. Do rozpoczęcia roku szkolnego jeszcze parę tygodni i trzeba je przeżyć!

Widać, że nie masz dzieci.

Rozpacz omal mnie nie powaliła, rozbiła mnie na dziesiątki kałków. Nie mogłam odpowiedzieć. Nie mogłam nawet oddychać. Zawsze mnie tak napadała, nie wiadomo skąd. Może to widać. Może wszyscy widzą, że nie jestem tym, za kogo się podaję. I wcale nie dlatego, że nie wiem, kiedy się zaczyna szkoła. To ma coś wspólnego z moim przeklętym, tefalowym łonem o nieprzywierzalnej powłoce. Oni czują moją skazę jak wirusa, który frunie

ku nim i miesza się z kurzem w powietrzu... Nic dziwnego, że Paula stanęła po drugiej stronie stołu, pewnie podświadomie wysyłała ku niej mordercze wibracje, które ona odczuwa jako zagrożenie dla zdrowego dziecka, dojrzewającego w niej, skulone i wierzgające. To musi być cudownie zdrowe dziecko - w końcu większość kobiet takie rodzi. Chwyliła mnie niemal mordercza zazdrość. I wyrzuty sumienia. Przecież to najbardziej prymitywny instykt. W gruncie rzeczy każda kobieta to potrafi. Nie trzeba być mądrą, piękną ani utalentowaną, żeby urodzić dziecko. Wystarczy się bzyknąć w odpowiednim czasie, siedzieć na tyłku przez dziewięć miesięcy, opychać się, potem rozewrzeć nogi i przecć. Bułka z masłem.

Ale nie dla mnie.

- Wszystko w porządku? - spytał Adam i troska w jego głosie stała się niemal tą ostatnią kroplą. Kolana zaczęły się pode mną uginać. Rzuciłam przecinak na stół, krusząc kawałek latarni Pauli.

- Doskonale - wykrztusiłam. - Za... zaraz wracam.

Odwrociłam się i ruszyłam chwiejnie - starając się nie biec - ku drzwiom z przypiętym arkuszem papieru, na którym dziecięca rączka napisała ŁAZIONKA flamastrami w różnych odcieniach. Łazienka, pomyślałam nieprzytomnie. Jak poziomka. To o wiele ładniej niż łazienka. Otworzyłam drzwi i znalazłam się w krótkim korytarzyku z innymi otwartymi drzwiami, prowadzącymi do wspomnianej „łazionki”. Przecisnęłam się przez nie i usiadłam na muszli, dygocząc. Pomieszczenie było niechlujne, rury biegły wzdłuż łuszczących się brązowych ścian. Krople czerwieni na małej spękanej umywalce w kącie wskazywały, że to tutaj miała miejsce operacja opatrzenia palca Mitcha.

W łazience pachniało tym nie całkiem nieprzyjemnym zapachem, którego nie czułam od prawie trzydziestu lat, ale przypomniał mi się natychmiast, kiedy go poczułam - przyjemne odwrócenie uwagi od bólu głowy i serca: był to zapach klatki, w której trzymałam w dzieciństwie chomiki. To wspomnienie przyszło jak niespodziewany podarek: pamiętałam, jak bardzo kochałam te małe jasne kłębki puchu o lśniących ślepkach i futerku w kolorze karmelu.

Oparłam głowę na rękach i pomyślałam o tacie, który dał mi te chomiki na Gwiazdkę. Przypomniałam sobie jego radość na widok mojej reakcji, a potem przyszło mi do głowy, że to będzie straszna

szkoda, jeśli Ken nigdy nie zostanie ojcem. Za długo siedzi w pracy (może dziecko sprawiłoby, że wracałby wcześniej), ale byłby fantastycznym tatą.

Nagle zapragnęłam wrócić do domu. To wszystko na nic, to głupie. Odkręciłam wodę, żeby splukać krew Mitcha, zmyłam z dłoni pył i cement, ochlapałam twarz. Wzięłam głęboki oddech i wróciłam do holu.

- Na pewno wszystko dobrze? - spytał znowu Adam.

Udałam zaskoczenie.

- Dobrze? Oczywiście, doskonale. - Odegrałam wielką scenę spoglądania na zegarek. - Ale, niestety, będę musiała uciekać. Nie zdawałam sobie sprawy z upływu czasu.

- Wrócisz wkrótce, prawda? - spytał prosząco Ralph.

Skinęłam głową.

- Tak, bardzo dobrze się bawiłam.

To przynajmniej była prawda. Miałam bardzo przyjemne poczucie, że zrobiłam coś dla miasta. No dobrze, to był tylko koszyk, a miasto nawet nie było moje, ale to bez znaczenia. W cichości ducha ani przez chwilę nie sądziłam, że naprawdę wrócę. Bezsens tej sytuacji leżał mi na ramionach niemal jak fizyczny ciężar, jak czapa śniegu, ale to nie miało znaczenia. Naprawdę. Nie poznałam Maksa, lecz przynajmniej wiedziałam, że Adam jest - chyba że potwornie nie znam się na ludziach - dobrym człowiekiem i kochającym ojcem. Spotkanie z chłopcem nic by mi nie dało. Nie zastąpi mi Holly ani innych dzieci. A ja powinnam spoglądać w przód, nie wstecz.

Pożegnałam się z grupą, a Adam uścisnął mi rękę. Jego dłoń była duża, zakurzona, szorstka i twarda. Takie dłonie obejmują Maksa. Spojrzał mi w oczy i powiedział, jakby wiedział, że przygnało mnie tu nie tylko zamiłowanie do cięcia ceramicznych płytek:

- Przykro mi, że nie mieliśmy okazji porozmawiać. Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy.

Uśmiechałam się aż do bólu policzków i entuzjastycznie kiwałam głową. Potem machałam aż do drzwi, rzucając ogólne pozdrowienia. Jednak ledwie wyszłam na zewnątrz, fałszywy entuzjazm opadł ze mnie jak płaszcz, zgarbiłam się. a kąciki moich ust opadły.

Żalowałam, że tu przyjechałam.

Plakałam przez prawie całą drogę do domu. Łzy kapały mi miarowo na kolana. Opłakiwałam nie tylko Holly - tego dnia przypadały urodziny taty, ale w podnieceniu oczekiwania na spotkanie z Adamem zdołałam zepchnąć to na krawędź świadomości.

Spróbowałam obliczyć, ile miałby lat; umarł, gdy miałam osiemnaście lat, w 1986, miał wtedy pięćdziesiąt dwa lata... nigdy nie byłam dobra z matematyki. Nie mogłam znieść myśli o wesołych urodzinach, pewnie u Lil, z Ollym i Russem, z fantastycznym tortem; tato pykałby z fajki, pogodnie narzekał na swój zaawansowany wiek i z uśmiechem czytał kartki z życzeniami. Bolało.

- Wykorzystujesz ludzi - powiedziałam na głos. - To twoja wina, że on nie żyje.

Wielki chrząszcz rozmazał się na przedniej szybie. Przez chwilę mu zazdrościłam. Nie dźgnęłam taty nożem ani nic w tym stylu, ale prześladowała mnie myśl, że właściwie było tak, jakbym to zrobiła.

Ojciec umarł wkrótce po tym, jak się dowiedział, że mam romans z jego najlepszym przyjacielem Gregiem. Dostał zawału w pubie w Harpenden, gdzie często chodził z Gregiem. Pub nazywał się Lis i Gęś, i był obleśną spelunką z brązowymi ścianami i lepką fioletową wykładziną, w której z szafy grającej leciał w kółko Whitesnake. Nie żeby ojciec czy Greg tak to lubili - Greg wolał raczej progresywnego rocka, a tata Acker Bilka - ale pili tam tak długo, że pewnie już od lat nie słyszeli tej muzyki.

Tamtego wieczoru Greg zaprosił ojca w celu uszczęśliwienia go wiadomością, że się we mnie zakochał. Usiedli przy małym stoliku w kącie; Greg palił silk cuta, zaciskał powieki, mocno się zaciągając i popijając, tata zaś wolał się bawić fajką. Porozkładał na stoliku wszystkie fajczane akcesoria, ale rzadko przytykał zapalną do malutkiego ptasiego gniazdka tytoniu w fajce z wiśniowego drewna.

Chciałabym zatrzymać czas właśnie w tamtej chwili; wpaść do pubu i zasłonić Gregowi usta ręką, żebym mogła dziś wracać do domu na sześćdziesiąte któreś urodziny ojca, zamiast od szesnastu lat bez końca przegrywać tę scenę w wyobraźni... Tak bym chciała obchodzić dziś z tatą jego urodziny.

Niemal na pewno miał na sobie swoje zwykle niegniotące się spodnie z ostrymi kantami, albo ciemnozielone, albo bure; uniform większości ojców w latach osiemdziesiątych, zanim Gap rozpoczął swój nagły atak na świat krawiectwa. Greg oczywiście był w dżinsach. Zakochałam się w nim głównie dlatego, że oparł się trendowi i nosił dżinsy. Dżinsy i papierosy odróżniały go od innych ojców, przekonały mnie, że nadajemy na tej samej fali, nie pozwoliły mi dostrzec jego szorstkiej skóry i popękanych naczynek krwionośnych na policzkach, zdradzających czterdziestopięcioletniego pijaczynę. No, bo dżinsy były w porządku, prawdziwe Lee bez żadnych głupich kantów.

To zabrzmiało trywialnie, ale jedną z rzeczy, której mi naprawdę żal, jest to, że tata nigdy nie nauczył się ubierać. Mama przynajmniej dożyła sześćdziesiątki, dziesięć lat więcej niż on. Ojciec byłby takim atrakcyjnym sześćdziesięcioletkiem... Chudy i wysoki, miał szczerzy uśmiech i opadające włosy, jak Jeremy Irons w *Znowu w Brideshead*. Ale był też nieśmiały i chyba w pewnym sensie czuł się gorszy od młodszego Grega. Podziwiał jego urodę, niedbałą elegancję i zdolność do wypijania potężnych ilości alkoholu i jednoczesnego gawędzenia z kobietami.

Choć wtedy zrobił się z tego wielki skandal, teraz, kiedy o tym myślę, między mną i Gregiem nie było nic wielkiego. Parę obmacywań na kuchennej podłodze późno w nocy, kiedy rodzice poszli już spać; białe ceramiczne kafelki chłodziły moją rozpaloną skórę. Jego ręce pod moim stanikiem, jego pachnące alkoholem obietnice, godziny namiętych, pachnących silk cutami pocałunków.

Pragnęłam go od lat i systematycznie go uwodziłam. W porównaniu z mutującymi, przyszczatymi ofermami ze szkoły dla chłopców, jego męskość była jak mocna woda kolońska. Kiedy skończyłam siedemnaście lat, miałam na jego tle regularną obsesję. Przy każdej okazji słałam mu zalotne spojrzenia spod rzęs, dbałam o artystyczne rozchylenie koszuli od szkolnego mundurka i o to, by moja spódniczka odsłaniała uda, kiedy zakładałam przed nim nogę na nogę. Patrzyłam, jak się wierci na krześle i oblewa potem. Moja nowo odkryta moc sprawiała, że omal nie piszczalam z radości.

On i jego żona Jeanette wpadali do nas regularnie na drinka i obiad, a wtedy starałam się zawsze być pod ręką, by podawać przekąski i cinzano. Pewnego wieczoru, kiedy ojciec wyszedł po

wino, a mama była na górze, gdzie pokazywała Jeanette nowe zasłony do sypialni, Greg i ja zostaliśmy wreszcie sami. Oboje się trzęśliśmy, choć potem uświadomiłam sobie, że drżenie rąk Grega, kiedy sięgał po silk cuta, można przypisać łagodnej postaci delirium tremens.

- Bardzo wydorostałaś ostatnio - powiedział, pochylając się ku mnie z oczami lśniącymi pożądaniem.

- To kiedy zabierzesz mnie na obiad? - zdołałam wykrztusić, rumieniąc się gwałtownie.

- Gdy tylko zechcesz. Powiedz, kiedy będziesz wolna.

Patrzyliśmy sobie prosto w oczy, jak przestraszone króliki.

- Jestem bardzo zapracowana - powiedziałam, desperacko udając swobodę. - Ale zajrzę do kalendarza, na pewno znajdę jakąś wolną dziurkę.

Nie planowałam tej gry słów, ale podziałała. Żrenice Grega natychmiast się rozszerzyły, a jego spojrzenie powędrowało ku mojemu biustowi. Potem przyznał, że wtedy właśnie poczuł miłość, w przeciwieństwie do żądy, którą podobno odczuwał od lat.

- Freudowska pomyłka? - wymamrotał, przysuwając się bliżej.

Paliły mnie policzki. Chciałam się odsunąć, ale nie mogłam, sparaliżowana jego wspaniałą męską władczością. Jego usta znajdowały się o milimetry od moich, kiedy w korytarzu rozległy się kroki, a my odskoczyliśmy od siebie.

- Czerwone czy białe? - zanucił ojciec, wchodząc z fajką w jednej ręce i reklamówką w drugiej. - Anno, idź i spytaj dziewczęta, na co mają ochotę, dobrze?

Zanim Greg powiedział o nas tacie, minęło osiem miesięcy, podczas których odważyliśmy się na wszystko - w erotycznym znaczeniu - z wyjątkiem penetracji. Biedny Greg. Było mi go nawet żal. Mówiąc brutalnie, strasznie mu się chciało. Przez pierwsze tygodnie bawił się tą naszą grą wstępną, ale potem mijał czas, a on pewnie pomyślał, że jest za stary na takie pieszczoty. Nie pozwalałam mu iść na całość. Myślałam, że to z tego powodu wmówił sobie tę miłość do mnie - na tyle, by powiedzieć o wszystkim tacie i zaryzykować odejście żony.

Tego straszego wieczoru Greg i ja mieliśmy pospieszoną schadzki za wózkami na parkingu przed supermarketem, po czym Greg pojechał na spotkanie z tatą w pubie. Przez chmurę dymu

z silk cuta powiedział, że zamierza rzucić Jeanette i że „to już koniec”. Pamiętam, jak zgniatał niedopałek pod podeszwą trampki. W tamtych czasach dorośli nie nosili sportowego obuwia, chyba że podczas ćwiczeń. To była następna rzecz, która mnie w nim pociągała.

„To koniec”, powiedział. Gdyby tego nie powiedział, zakazałabym mu to robić. Kochałam go, ale miałam osiemnaście lat, stałam na progu dorosłości i właśnie zaczynała się przede mną otwierać wolność i możliwości, które do tej pory widziałam tylko przez kraty. Skończyłam szkołę, zdałam na uniwersytet w Reading, miałam od października studiować angielski i aktorstwo. I choć strasznie mi się podobały jego dzinsy i trampki, silk cuty i włochata pierś, nie zamierzałam ganiać z jego praniem ani co wieczór robić mu stek z frytkami. Nie wspominając już o zamieszaniu, którego bym narobiła - Jeanette była najlepszą przyjaciółką mamy.

Ale ponieważ powiedział to z takim zdecydowaniem, wszystkie obiekcje stopniały mi w ustach jak sorbet. Był taki władczy, taki przekonany do własnych racji, że nie mogłam się z nim spierać. Usprawiedliwiłam się myślą, że skoro tak bardzo chce ją zostawić, to i tak nie ma to ze mną nic wspólnego. Mogę studiować, a jego będę odwiedzać w weekendy. Albo on może się przeprowadzić do Reading. I czułam się gotowa stracić dziewictwo. Kiedy mu to powiedziałam, natychmiast spojrzał na zegarek.

- Zaraz wracam - powiedział. - Czekaj na mnie w Feathers za pół godziny. Porozmawiam z twoim tatą, spotkam się z tobą, pogadamy, pojedę do domu i powiem Jeanette. Zaczynamy nowe życie! I nie martw się, wszystko będzie dobrze.

Wtedy po raz ostatni spotkaliśmy się sam na sam. Siedziałam w barze w Feathers, w pubie nieopodal Lisa i Gęsi, czekałam na niego przez dwie godziny, trzymałam w drżących palcach szklanek z ciepłym sokiem z czarnej porzeczki z wodą sodową, ale on nie przyszedł. Nawet słyszałam wycie syren ambulansu, lecz nie wiedziałam, dokąd przyjechał. W końcu wróciłam do domu i znalazłam pospiesznie nagryzmołą wiadomość od mamy, żebym przyjechała do szpitala. A kiedy przyjechałam, było już za późno.

Greg i Jeanette oczywiście przyszli na pogrzeb, ale za każdym razem, kiedy Greg spoglądał na mnie znacząco, ja wbiiałam wzrok w dywan, przerażona i przejęta wstrętem. Sama myśl

o jego włochatej piersi - i nie tylko - sprawiała, że omal nie zwymiotowałam w ciepławe vol-au-vent, które mama podała na stypie.

Przynajmniej nie powiedział Jeanette, pomyślałam. Zawsze to jakaś ulga.

12

- Vicky, proszę cię, wpuść mnie. Stoję pod twoimi drzwiami. Martwię się o ciebie. Chcę tylko sprawdzić, jak się czujesz.

Ze szczytu schodów rozległ się głosik:

- Mamusiu, prawda, że jestem cudna?

O ile się zorientowałam, Vicky nie odpowiedziała żadnej z nas. Spróbowałam znowu.

- Vicky, proszę cię, zejźdź. Będę dzwonić i pukać aż do skutku. Obiecuję, że nie zajmę ci dużo czasu... Jeśli chcesz, zabiorę Crystal na huśtawki.

- Mamusiu, prawda?

- Zapełnię ci całą pocztę głosową. Wiem, że tam jesteś, słyszę Crystal przez skrzynkę na listy.

Z góry dobiegł mnie głos Vicky.

- Tak, jesteś cudna. Na ogół.

Pauza, wdech - daję słowo, to także słyszałam - i ryk oburzenia:

- JA CHCĘ BYĆ CUDNA ZAWSZE!

Rany boskie, ależ to dziecko ma zamiłowanie do dramatów. Ale zdaje się, że odniosła sukces tam, gdzie mnie się nie udało: wyrwała Vicky z marazmu. Na schodach załomotały kroki, drzwi otworzyły się gwałtownie. Vicky stanęła w progu z rozdrażnioną miną i Patem na lewym biodrze. Była nieumalowana i już dawno powinna umyć włosy. Jej cera miała znajomy zielonkawy odcień; nawet gdyby sama tego nie wiedziała, nie miałabym wątpliwości, że to oznaka ciąży.

- Przepraszam. Nie słyszałam pukania.

Pamiętając, że zjawiłam się, by nieść moralne wsparcie, pomięłam to jawne kłamstwo milczeniem. Pochyliłam się i pocało-

wałam jej policzek, a potem pulchną buzię Pata. Nagle zapragnęłam wsadzić go do samochodu i przewieźć po wyboistej ulicy - tylko po to, żeby popatrzeć, jak trzęsą mu się policzki. Takie to było dziecko.

- Cześć, kochani. Mogę liczyć na herbatę? Uściśnij mnie, Pat.

Vicky odsunęła się ponuro i wpuściła mnie, przekazawszy Pata w moje wyciągnięte ramiona. W jej domu panował jeszcze większy bałagan niż w naszym, ale podczas gdy nasz otaczała aura zaniedbania, zimny, wilgotny chaos, od bałaganu Vicky biła atmosfera dzieci, zmęczenia i ciągłej walki z czasem. Na wszystkich podłogach leżały zabawki, także na niezbyt czystych kafelkach kuchennych, a resztki śniadania nadal stały na stole, choć było już w pół do dwunastej.

- Usiądź - powiedziałam. - Ja zrobię tę herbatę. Gdzie Crystal?

- Ostatnio była na górze. Ukryła się w garderobie. Jak znajdzie kulki na mole, to je zje. Nie mogę się doczekać, kiedy otworzą przedszkole.

Vicky usiadła na stercie niewyprasowanych dziecinnych ubranek w wiklinowym fotelu w kuchni. Postawiłam Pata na ziemi, a on natychmiast popelzł ku stojącej lampie w kącie, więc popędziłam za nim i znowu wzięłam go na ręce.

- Chodź, Pat, razem zrobimy herbatkę. Należesz wrzątek do kubka.

Vicky musiała być w bardzo kiepskim stanie, bo nawet nie podniosła oczu, żeby sprawdzić, czy żartuję. Gapiła się w pustkę i skubała zębami paznokiec kciuka. Kompletnie pogiębiona.

Kucnęłam przed nią, położyłam ręce na jej ramionach, a Pat natychmiast wybrał wolność i rzucił się w przeciwnym kierunku. Na froncie lewej nogawki spodni Vicky widniała chropowata, różowawa plama, powiedziałabym, że po jogurcie.

- Więc jesteś w ciąży - powiedziałam.

Skinęła głową. Udręka wyczierała z każdej zmarszczki na jej czole.

- Nie wiem, co robić - szepnęła.

Nigdy bym nie powiedziała, że nie musi nic robić oprócz przyjmowania dużej ilości kwasu foliowego, a resztą zajmie się natura, ale mimo woli tak pomyślałam.

- Powiedziałaś Peterowi?

- Nie. Strasznie by się ucieszył - powiedziała ponuro. - Byłoby mi łatwiej, gdyby zmartwił się tak jak ja. Nie czułabym się taka samotna.

- Nie jesteś samotna. Masz mnie.

W oczach Vicky błysnęły łzy. Odwróciła głowę.

- Naprawdę. Przecież zawsze ci pomogę, jeśli będziesz potrzebować pomocy przy dzieciach czy jakiegokolwiek.

- Ken na pewno będzie zachwycony, jeśli przeprowadzisz się do mnie na stałe, bo tego właśnie potrzebuje.

Ken by tego pewnie nie zauważył, pomyślałam, przypomniawszy sobie mój mozaikowy epizod. Obudził we mnie potajemną radość, a potem wyrzuty sumienia - dlaczego posiadanie tajemnicy mnie tak cieszy? Potarłam zgrubiałą skórę na prawym kciuku - mój złoty medal. Pomimo łzawej reakcji na słowa Ciężarnej Pauli i pospiesznej rejterady, już zaczęłam widzieć ten projekt przez różowe okulary. Zamierzałam jutro wrócić do Gillingsbury. Może tym razem Max tam będzie. Nie mogę wyłącznie siedzieć i płakać nad Holly i ojcem.

Miałam ochotę zaprosić Vicky - może udałabym, że jeździłam bez celu, zauważyłam plakat i weszłam? A może nie... Myśl o Crystal, siedzącej w samochodzie przez ponad godzinę, a potem ganiającej po Moose Hall ze Spikiem i jego kumplami nie była szczególnie zachęcająca. Miałam wyrzuty sumienia, że tak myślę, lecz czasami żałowałam, że nie jestem matką chrzestną potulnego pieszczocha Pata. Kochałam Crystal, ale w tej chwili imię idealnie do niej pasowało: była cenna i krucha, miła dla oka, lecz niezbyt praktyczna. Miałam nadzieję, że to tylko przejściowa faza.

Poza tym Vicky nie robiła już nic spontanicznie. Dzieci pozbawiły ją zamiłowania do improwizacji. Tęsknię za dawną Vicky, pomyślałam z bolesnym skurczem serca, tęsknię za jej dawnym śmiechem. Była doskonałą imitatorką; toczyłyśmy niekończące się rozmowy z różnymi akcentami, płynnie zmieniając norweski na polski, pakistański lub rosyjski. Ale ostatnio już jej to nie bawiło. Nie opowiadała dowcipów, nie odgrywała najdziwniejszych postaci, żeby nabrać pijanych mężczyzn w barach. Kiedyś udawała rozwiedzioną milionerkę szukającą nowego męża albo była Miss Świata (to wychodziło jej bez problemu - wtedy, w dawnych czasach), albo zapaśniczkę walczącą w błocie (choć miała za chude ramiona, żeby ktoś to kupił, nawet kiedy twierdziła, że walczy w wadze koguciej).

Kiedy tak spoważniała? Zresztą ja też nie byłam już chichotką. Dorosłyśmy, to wszystko. Ale i tak czułam, że coś straciłam. A ona miała przynajmniej Crystal i Pata, którzy usprawiedliwiali tę jej powagę. A ja nie. Szkoda tylko, że nie potrafi się cieszyć macierzyństwem. Byłam pewna, że choć wychowywanie dzieci jest trudne, ja niewątpliwie znalazłabym w nim więcej radości. To smutne, że Vicky uważa to za taki problem.

A teraz będzie miała trzecie. Zazdrość kipiała we mnie jak zga-ga. Musiałam przełknąć ślinę, zanim znowu mogłam się odezwać.

- Strasznie się cieszę. Przecież zawsze chciałaś mieć dużą rodzinę? Prychnęła.

- Aha. Bo nikt mi nie powiedział, że to takie cholernie trudne.

Otworzyłam usta, żeby zasypać ją pocieszeniami: wszystko będzie dobrze, poradzi sobie, następne dziecko będzie piękne, jak tylko wygrzebie się z pieluch... ale Vicky rzuciła mi takie spojrzenie, że nie powiedziałam ani słowa.

- Nie chcę tego dziecka - wydusiła z siebie. - Nie chcę podwójnego wózeczek ani pięciu miejsc, jeśli będziemy podróżować samolotem, ani następnych sześciu lat kiblowania w domu, zanim będę miała czas dla siebie. Nie chcę więcej rozstępów, cellulitu i zmarszczek.

- Nie masz żadnych rozstępów, przynajmniej nie widziałam. W bikini wyglądasz bosko, a po dwóch porodach to niesamowite.

Westchnęła z rozdrażnieniem.

- To będzie ta słomka, pod której ciężarem ugiął się wielbłąd. A ten wielbłąd już dawno jest na kolanach.

- Dlaczego nie wynajmiesz niani?

- Gdzie ją umieścimy? Przecież troje dzieci nie może spać w jednym pokoju, prawda?

Wzruszyłam ramionami.

- Dlaczego? Wiele dzieci ma wspólny pokój.

- Ale z Crystal to nie przejdzie. Nie zgodzi się na Pata w sypialni Barbie.

- Nie musisz dawać niani mieszkania, możesz ją wynajmować tylko na dzień.

- Zdajesz sobie sprawę, ile to kosztuje? Oczywiście najpierw trzeba się zgłosić do agencji, a sama rejestracja kosztuje ponad tysiąc funtów! Trzeba płacić za chorobowe i wakacje, i dawać wol-

ne, kiedy jej dzieci się rozchorują. Katriona ma nianię trzy razy w tygodniu i płaci jej tysiąc trzysta funtów miesięcznie! Peter zarabia niewiele więcej.

W głębi duszy byłam przerażona - to niesamowicie drogo - ale brnęłam dalej

- No dobrze, a au-pair? Są tanie i nawet sprzątają.

Vicky przewróciła oczami.

- A gdzie będzie spać? W szopie na narzędzia? Poza tym nie powierzę noworodka, ani nawet Pata, jakiegóż nieznanego nikomu, niemówiącej po angielsku dziewczyninie z Europy Wschodniej.

Trudno było się z nią sprzeczać, więc zmilczałam i rzuciłam się na ratunek Patowi, który zaplątał się w zasłony jak w kokon i wył.

- Chodź, Pat, poszukamy twojej siostry. Zobaczmy, gdzie się schowała - zagruchałam w jego małe aksamitne uszko i zostałam nagrodzona cudownym uśmiechem. Dwa miniaturowe ząbki wychylały się nieśmiało z miękkich dziąseł, jakby się wstydziły, że przybyły za wcześnie. Przytuliłam go do piersi, objęłam dłonią jego małe mocne plecki. Kiedy był niemowlęciem, całe jego plecy mieściły się w mojej dłoni. Pomyślałam o dłoniach Adama, kształtujących mokrą glinę, a potem o uścisku Kena.

Nie wiedziałam, co jeszcze mogłabym powiedzieć Vicky. Owszem, miała prawo nie szaleć z radości na myśl o kolejnym dziecku, ale jednak życie to życie, a nawet ona przyznawała, że lubi mieć dzieci przy sobie - teraz, kiedy są już większe. Miała cholerne szczęście, że dostała możliwość wyboru.

Zaniósłam Pata na górę i zaczęłam wołać Crystal. Natychmiast usłyszałam pisk i metaliczny szczeł zrzucanych z pręta wieszaków. Crystal wygrzebała się z sypialni rodziców, zacerwieniona i rozczochrana.

- Ciocia Anna! Nie wiedziałam, że jesteś! - zawołała, obejmując moją nogę i tuląc ją mocno.

- Cześć, kochanie. - Pocałowałam ją w czubek głowy, poczułam pod wargami gęste kasztanowe włosy. - Jak leci?

- Niestety, niezbyt dobrze - odparła ze śmiertelną powagą. Wzięła mnie za rękę i pociągnęła do swojego pokoju. - Chodź, wszystko ci opowiem.

Postawiłam Pata na dywanie i dałam mu do gryzienia książeczkę. Crystal natychmiast zamieniła ją na inną, moim zdaniem identyczną.

- Tej książeczki nie dajemy Patowi, tylko tę - oznajmiła władczo. Potem poklepała kódrę obok siebie. - Siadaj - rozkazała jak miniaturowa Margaret Thatcher.

- No, to co się dzieje?

- C ó ż - oznajmiła dystygowanie. - Dziś rano upadłam i... patrz! Bardzo, bardzo boli!

Spojrzałam na maleńką czerwoną plamkę na jej dłoni, ledwie widoczną gołym okiem.

- Hmm. Nie wygląda to zbyt poważnie. Czy mama wezwała doktora?

Nie powinnam tego mówić. Wargi Crystal zadrżały.

- Nie. Mówiłam jej, że musi, ale nie wezwała i nie dała mi nawet plastra. - Zrobiła dramatyczną pauzę. - Mamusia już mnie NIE KOCHA!

Osunęła się na mnie jak zrozpaczona postać z opery mydlanej. Ramiona jej drżały, choć nie widziałam prawdziwych łez. Mimo to przytuliłam ją.

- Mamusia cię kocha. Uwielbia cię! Tylko teraz nie czuje się dobrze, więc musisz być wyjątkowo miła i zawsze jej pomagać, dobrze?

- Ja i tak jestem wyjątkowo miła i zawsze pomagam - oświadczyła Crystal, mała Pollyanna.

- Na pewno. Teraz zejdziemy wszyscy na dół i powiemy mamusi, że bardzo ją kochamy, dobrze?

Podniosłam Pata z przeżutą książką, wzięłam Crystal za rączkę i mały pochód ruszył po schodach. Vicky znikła z wiklinowego fotela, a kiedy się rozejrzałam, zauważyłam ją na małej sofie w gabinecie. Spała jak kamień. Zawsze miała godną pozazdrosczenia umiejętność błyskawicznego zapadania w sen, co pewnie teraz, w czasach niedostatku snu, bardzo się jej przydało. Naszą pierwszą sztuką na studiach była *Alicja w krainie czarów*, a ona grała mysz, więc kiedy widziałam ją śpiącą, zawsze przypominało mi się, jak wyglądała w tym puszystym brązowym kostiumie myszy. Miałam zamiar odwrócić uwagę Crystal, opowiadając jej, jak mamusia niegdyś siedziała w wielkim imbryku na niby, ale się spóźniłam.

- BARDZO CIĘ KOCHAM, MAMUSIU! - ryknęła Crystal prosto w ucho Vicky, szarpiąc ją energicznie za lewą pierś.

Vicky usiadła, bardzo spokojnie, i odsunęła Crystal. Wstała i zaprowadziła mnie za rękę do salonu. Ignorując protesty obojga dzieci, zamknęła drzwi i nabrała powietrza w płuca.

- Wiem, że ci się to nie spodoba, ale nie proszę o twoje pozwolenie, tylko o wsparcie.

- Chyba nie...

Skinęła głową.

- Tak. Usunę. Nie dam rady.

- Dasz! Na pewno! - Spojrzałam na wiszącą nad kominkiem powiększoną fotografię mewy w locie: głęboki, powietrzny błękit nieba, białe wyzwolenie skrzydeł. Zrozumiałam, dlaczego Vicky ją tak lubi. Czułam, że się rozplaczę.

- Proszę, nie rób tego - powiedziałam, nadal trzymając rękę Vicky, ale myśląc o małych pomarszczonych paluszkach Holly.

Vicky wyrwała rękę i odwróciła się ode mnie tak szybko, jakby mnie uderzyła.

- Nie, to ty tego nie rób! - warknęła. - To nie twoja sprawa. Chodzi o mnie i o to, co jest najlepsze dla mojej rodziny. Mogłam ci nie mówić, ale powiedziałam. Nie zostawiaj mnie, kiedy cię potrzebuję.

Nie przychodziło mi do głowy nic, co mogłabym powiedzieć - nie teraz, kiedy czułam tylko zgrozę graniczącą z - przyznawałam to z niechęcią - obrzydzeniem.

Crystal łomotała do drzwi salonu - miały śliską ceramiczną gałkę, z którą nie potrafiła sobie poradzić - a Pat płakał.

- Możę wezmę dzieci na spacer? - spytałam, unikając jej spojrzenia. - Zabiorę je do Lil. Niedawno żaliła się, że dawno ich nie widziała. A ty się wykąp czy co. - I zastanów się, co mówisz, dodałam w myślach. Vicky nie może się pozbyć dziecka. Po prostu nie może.

Wzruszyła ramionami.

- Jak chcesz. - Potem chwyciła mnie za ramię, zbyt mocno. - Ale masz nie mówić o tym Lil, ani słowa. Przysięgasz? Na swoje życie?

- Dlaczego?

Miała tak wściekłą minę, że przez chwilę zastanawiałam się, czy mnie nie uderzy.

- Bo cię proszę, dlatego! To moja sprawa. Nie chcę, żebyście we dwie się gorszyły, jaka to ze mnie straszna kobieta. Teraz cholernie żałuję, że ci powiedziałam!

Przytuliłam ją, ale pewnie widać było, że robię to wbrew sobie, bo wyszło niezręcznie.

- Przepraszam. Przysięgam, że jej nie powiem.

- Ani nikomu innemu. Kenowi. Peterowi.

- Peterowi też nie powiesz? - Robiło się coraz gorzej.

- Czego nie powiesz tacie? - ryknęła Crystal przez dziurkę od klucza, gorączkowo szarpiąc gałką, aż Vicky wreszcie się złitowała - a raczej postanowiła uciąć naszą rozmowę - i otworzyła drzwi.

- Ciocia Anna zabiera was na spacer. Ubierzemy was - powiedziała. Odwróciła się i syknęła mi w ucho: - Nikomu. Przysięgnij.

- Przysięgam - szepnęłam niechętnie.

W tej chwili po raz pierwszy w czasie naszej szesnastoletniej znajomości wydało mi się, że jej nienawidzę. Miałyśmy już złe czasy, głupie kłótnie o jeszcze głupsze sprawy, parodniową urazę, gdy ona dostała rolę w Ayckbourn, o którą się ubiegałam, albo kiedy obraziła się na mnie, bo nie miałam pojęcia, co kupić Crystal na jej trzecie urodziny i zaproponowałam, że dam jej pieniądze. Ale zawsze się godziłyśmy. Dziś po raz pierwszy pomyślałam, że tego nie da się wybaczyć.

W atmosferze ciężkiej jak słoń zdołałyśmy wtłoczyć dziecięce ramionka w rękawy swetrów, zapiąć Pata w wózek, posadzić Crystal na platformie przymocowanej z tyłu. Vicky spakowała pieluszki dla Pata do torby, którą powiesiła na rączce wózka, jakby nie chciała mi jej podać do ręki.

Ruszyliśmy we trójkę. Crystal sunęła na swojej platformie jak surfer na desce, a Pat włożył palec do buzi, bliski drzemki. Na końcu ogrodowej ścieżki odwróciłam się, ale Vicky już zamknęła drzwi.

13

Następnego ranka znowu byłam na autostradzie - z pełnym bakiem, stukając palcem z obrączką o gałkę zmiany biegów do rytmu największych przebojów Run-D.M.C. Sierpniowy deszcz chlapał ciężkimi kroplami na przednią szybę, frenetyczne cak-cak-

-cak wycieraczek odwracało moją uwagę od nerwowych skrętów żołądka. Deszcz bębnił tak mocno, że musiałam podkręcić głośność.

Wszystko przez Lil. Opowiedziałam jej o wyprawie do Gillingsbury, a ona zachęciła mnie do powrotu, choć nie kryłam, że nie spotkałam Maksa. Z trudem powstrzymałam się, żeby kwadrans po przyjeździe nie wypaplać, co się wydarzyło u Vicky, ale ten wysiłek omal mnie nie zabił. Więc by trzymać się z dala od tematu, zaczęłam opisywać ze wszystkimi nudnymi detalami podróży do Wiltshire i to, jak bardzo mi się podobało robienie mozaiki. Po chwili, choć Crystal i Pat nadal mi przypominali o tamtym, zdołałam jakoś oddalić się od myśli o kłótni z Vicky. Lil umiała słuchać.

Rozmowa z nią była dodatkową atrakcją naszej zaimprovizowanej wizyty. Crystal była grzeczna jak aniołek i przez całą wizytę bawiła się kuchnią dla lalek, którą Lil skądś wyciągnęła: prawdziwa kuchnia z domku dla lalek, wraz z małutkimi ściereczkami, rondelkami i patelenczkami. Milczała co najmniej przez godzinę, leżąc na brzuchu na kwiecistym dywanie Lil, pochłonięta przygotowywaniem gulaszu z rodzynek i pieczeniem okruchów ciasteczek z otrębami. Od czasu do czasu mamrotała pod nosem, że Barbie powinna już wrócić na obiad. Wyraźne zdenerwowanie Vicky widać przestało się jej udzielać, bo poza domem była wyraźnie spokojniejsza.

- Nie chcę nikogo okłamywać - powiedziałam, patrząc na Lil, kołyszącą w ramionach śpiącego Pata.

- A dlaczego miałabyś kłamać? - odparła Lil, gładząc brew Pata (zdaje się, że to stara sztuczka akuszerki: wystarczy pogłodzić brwi niemowlaka, żeby skłonić go do odruchowego zamknięcia oczu. Zresztą, w przypadku Pata to nie było konieczne - zasnął, jeszcze zanim dotarliśmy do Lil). - Powiedz Kenowi, skoro uważasz, że powinnaś mu cokolwiek powiedzieć, że robisz mozaikę.

- A jeśli spyta, gdzie?

Włożyła kolejne ciastko w wyciągniętą rękę Crystal, a mała obgryzła je precyzyjnie ze wszystkich stron, aż zmieściło się do lalkowego piekarnika. - Powiedz, że to projekt na rzecz miasta.

- No, nie wiem. To takie jakieś... podstępne.

- No, to powiedz mu prawdę. Że to w Gillingsbury.

Rzuciłam jej ponure spojrzenie.

- Pomyśli, że w końcu mi odbiło. Chyba że sprzedam mu jakiś głodny kawałek o przyjaciółce stamtąd, o której nigdy mu nie opowiadałam. To szaleństwo.

Wiedziałam, co mi teraz powie i przerwałam jej, zanim zdołała otworzyć usta.

- Nie, nie chcę mu powiedzieć o Maksie.

Wzruszyła ramionami, co spowodowało, że Pat poruszył się na jej kościstych kolanach. Wierzgnął nóżkami i znowu znieruchomiał. Przez chwilę wyobrażałam sobie, że ta dwójka to wnuczka Lil, które odwiedzają ją co tydzień. Biedna Lil - tak się cieszyła, kiedy wreszcie minęły rzekomo najbardziej niebezpieczne tygodnie mojej ciąży i obwieściliśmy jej nowinę. Teraz wydawało się bardzo mało prawdopodobne, że kiedykolwiek doczeka się wnucząt, zważywszy że mój brat Olly nie dotknąłby kobiety nawet dziesięciometrowym kijem.

- W takim razie nie możesz mu powiedzieć, że jeździsz do Gillingsbury - powiedziała Lil w zamyśleniu.

- Nie mogę.

- Tak naprawdę to on cię nie zapyta. Nie robisz nic złego. A wracasz tam, żeby się uporać z samą sobą.

Aż do tej chwili wcale nie byłam taka pewna, czy rzeczywiście wrócę. Ale kiedy Lil powiedziała to z taką pewnością, co w jej ustach zabrzmiało jak aprobata, natychmiast zapomniałam o ciąży Vicky, a nawet - na chwilę - o własnej bezdziejności, i zaczęłam się cieszyć na ten wyjazd, jakby jej słowa były zezwoleniem na oszustwo, które już zaczynało się zakradać do mojej świadomości.

- Tak. Jutro.

Bo czemu nie? Należała mi się zmiana scenerii. A widok chmurnej, zamkniętej twarzy Vicky, kiedy odwiozłam dzieci do domu, sprawił, że jeszcze bardziej zapragnęłam się od niej oddalić.

Na przedmieścia Gillingsbury, gdzie przemierzałam jednokierunkowe ulice ze znacznie większą wprawą niż poprzednio, przybyłam bardzo zadowolona. Plecy mi zeszywniały od garbienia się nad kierownicą, oczy bolały od wpatrywania się w ścianę deszczu i miałam już serdecznie dość Run-D.M.C. Ponadto byłam głodna i z jakiegoś powodu denerwowałam się bardziej niż dwa dni temu. Ta pierwsza wizyta była jakby nieprawdziwa, na próbę. Ta była świadomą, przemyślaną decyzją.

Tym razem przed Moose Hall nie ujrzałam afisza, a drzwi były zamknięte. Przez chwilę ogarnęła mnie panika; dopiero teraz zrozumiałam, jak bardzo bym się zawiodła, gdyby mozaikę już skończono albo odwołano zajęcia. Ale kiedy nacisnęłam żelazną klamkę, łuszczące się drzwi ustąpiły i weszłam w jasny blask lamp, rozpraszających mrok holu. Niestety, w środku nie było nikogo oprócz Sereny, która podeszła do mnie energicznie. Jej kroki dudniły na drewnianej podłodze.

- Witam ponownie! Właśnie wychodziłam - powiedziała. Z nerwów wyszło mi w ustach i zaczęłam kaszleć. A jak zaczęłam, nie mogłam przestać. Po paru chwilach rzeziłam, zgięta w pół.

- Może tym razem włożysz maskę - zawołała Serena, podchodząc z dużą butelką wody mineralnej i plastikowymi goglami. Dała mi kubek.

- Dzięki - zaskrzeczałam i wypilałam wodę jednym haustem. Na stole na środku pomieszczenia znalazł się inny, ledwie zaczęty fragment muralu, więc upewniłam się, że przynajmniej projekt nie jest zakończony. - Gdzie wszyscy?

- Dziś przyszło niewiele osób. To chyba przez ten deszcz. No więc ponieważ jest nas tak mało, postanowiliśmy iść na obiad do pubu. Ja zostałam, żeby dokończyć taczkę - wskazała niedbale na stół. - Już miałam zamykać. Chcesz do nas dołączyć?

- A mogę?

- Oczywiście. Mitch będzie zachwycony.

Serce mi się ścisnęło. Dlaczego Mitch? Może powinnam wykręcić się i pochodzić po sklepach czy coś w tym stylu? Na myśl o tkwieniu w wykładanym czerwonym aksamitem piekle pubu, gdzie Mitch będzie gadać do mnie przez godzinę, niemal poczułam panikę.

- Kto jeszcze przyszedł? - spytałam, siląc się na swobodny ton.

- Dziś tylko Margie, Ralph i Adam. Kiepska frekwencja.

Odetchnęłam głęboko.

- Chętnie pójdę, dzięki.

Z Mitchem po prostu trzeba twardo. Mam nadzieję, że Ralph nie włożył dziś tych swoich pornograficznych szortów.

Pub był tuż za rogiem - na szczęście, bo nie miałam płaszcza, a deszcz lał coraz bardziej. Mieścił się w wielkim, rozłożystym białym budynku; rozkołysany szyld nad drzwiami głosił: Białe

Koń, zał. 1595, i kapąło z niego prosto na moją szyję, kiedy przystanąłam, przytrzymując drzwi.

Wewnątrz powitała mnie chłodna nieprzyjazna atmosfera pubu w lecie za dnia - jak wiele starych knajp, najlepiej prezentował się w sztucznym świetle, przy ogniu na kominku i z mnóstwem ludzi przy barze. W porze obiadowej wyglądał na opuszczony i zaniedbany. W pierwszej chwili nie zobaczyłam nikogo, ale Serena zaprowadziła mnie władczo za róg i tam właśnie byli, przy wielkim stole w alkwie, wszyscy zjadający ogromne porcje. Ralph, który, jak zauważyłam z ulgą, miał dziś długie bawełniane dresy z niemodnymi ściągaczami w kostkach, i Margie rozmawiali, pochyleni ku sobie, ale widząc nas, zamilkli.

- Przepraszam - odezwał się Adam na widok Sereny - wszyscy umieraliśmy z głodu, więc nie czekaliśmy. O, cześć, Anno! Jak tam?

- Świetnie, dziękuję - powiedziałam z uśmiechem. Ciekawe, czy Max odziedziczył po nim te zaskakujące oczy. - Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

- Skąd! - zawołali jednocześnie. Mitch poklepał miejsce koło siebie - naprawdę obite czerwonym aksamitem - ale na szczęście Adam też. Prawie odepchnęłam Serenę z drogi, by zająć krzesło obok niego.

- Kto chce drinka? - spytała dość znacząco.

Poczułam się skarcona i znowu wstałam.

- Ja przyniosę.

- Nie, ja, już idę. Co byś chciała?

Usiadłam.

- To ja przyniosę następne. Poproszę piwo z lemoniadą.

- Ja też - powiedział Adam, wyciągając pustą szklankę.

- Snakebite poproszę - odezwał się Mitch, wycierając parę kropli płynu z rozwichrzonych wąsów. Musiałam się powstrzymać przed przewróceniem oczami. Naprawdę, czyżby ktoś nadal pił snakebite? Myślałam, że to przeminęło wraz z Iron Maiden i olejkami paczulowym.

- Dla mnie sok pomarańczowy, dzięki i... jeszcze piwo, Ralph? - dodała Margie. - Cześć, Anno, fajnie, że przyszedłaś. Wiele osób pokazuje się raz i już nie wraca, choć obiecują. - Potem odwróciła się do Ralpha i dalej toczyli rozmowę, która tak ich pochłonęła.

- Chcesz coś zjeść? - spytał Mitch, odrywając ogromny, gruby kawał szynki, dokładnie taki, jaki budzi u mnie mdłości: czerwony i prawie surowy, z obwódką białego tłuszczu i jakimiś podejrzanymi żyłami. - Ta szynka jest pyszna. Masz, spróbuj.

Podsunał mi pod nos kołyszący się kawałek na widelcu. Cofnęłam się gwałtownie. Mogłam znieść widok ludzi jedzących cienkie różowe plasterki tego przetworzonego świństwa, ale to było zbyt hardcorowe przeżycie.

- Nie, dzięki. Jestem wegetarianką.

Mitch przewrócił oczmi.

- Klituś-bajduś. Tylko spróbuj. Od razu wylecą ci z głowy te głupoty.

- Nie, dziękuję - powiedziałam z nieco większą gwałtownością, niż zamierzałam.

Adam spojrzał na mnie z zainteresowaniem.

- Mitch, przyjacielu, nie zauważyłem, że jesz mięso. Myślałem, że hołdujesz filozofii hipisowskiej?

- Przez McDonalda, stary - wybelkotał Mitch ustami pełnymi szynki. - Mój upadek. Cholera, kocham to po prostu.

- A ty jesz mięso? - spytałam Adama. Jego talerz był pełen smakowitej kompozycji z sera Brie, marynowanej cebulki i sosu. Głośno zaburczało mi w żołądku. - Przepraszam. Lepiej zamówię coś do jedzenia. Umieram z głodu. - W porę powstrzymałam się od dodania: „długo tu jechałam”. O rany, pomyślałam. Muszę uważać. Nagle uświadomiłam sobie, że pod żadnym pozorem nie mogę dopuścić do tego, by Adam zobaczył moje karty kredytowe, prawo jazdy albo książeczkę czekową, wszystkie podpisane nazwiskiem Anny Sozi.

- Właściwie nie jestem wegetarianinem. Jem ryby i czasami małe kawałki kurczaka.

- Które małe kawałki, jaja? - spytał Mitch, odrzucił głowę do tyłu i uraczył nas wszystkich widokiem swojej chudej, plamistej szyi, rechocząc z własnego dowcipu. Makabra. Jeszcze nigdy nie widziałam tak długich włosów w nosie u kogoś, kto nie jest koniem. Albo morsmem.

- Kiedyś wcale nie jadłem mięsa - ciągnął Adam - ale mam małego synka, a on był dość chory i nie jadł dużo.

Natychmiast zapomniałam o głodzie. Zapomniałam też, jak się oddycha i tak mocno zagryzłam wargę, że poczułam smak krwi.

Max! Adam wspomniał o nim od niechcienia i chłopiec nagle stał się dla mnie realny, o wiele bardziej niż w liście Adama albo po informacjach Pameli Wilkins.

- Ale bardzo lubił kurczaka, więc zacząłem mu go przyrządzać, bo to była jedna z niewielu rzeczy, jakie w ogóle jadł. A potem odkryłem, że ja też to lubię. Jednak nie jemy czerwonego mięsa.

Więc Max lubi kurczaka. Ciekawe, do jakiego stopnia trafnie go sobie wyobrażę, jak chwiejną wieżę skradzionych skrawków ułożę, zanim go naprawdę poznam. No dobrze, fundamentami tej wieży była informacja, że matka go opuściła i że lubi kurczaka. Zawsze jakiś początek.

- Teraz jest już zdrowy? - spytałam, z wysiłkiem przybierając normalny ton.

Twarz Adama rozpromieniła się, oczy zaiskrzyły i nagle zapragnęłam pochylić się, ująć jego twarz w dłonie i pocałować.

- Zupełnie - oznajmił z taką dumą, że w oczach stanęły mi łzy.

- To świetnie - powiedziałam. - Wspaniale. - Wstałam. - Pójdę złożyć zamówienie.

- O, proszę - dorzucił Adam, spoglądając ponad moim ramieniem. - Oto on, we własnej osobie!

Wydało mi się, że moje ciało zmienia się w wełniane ubranie, które ktoś pruje od spodu, wyszarpuje nitkę od stóp po łydki i zaraz się przewrócę. Odwróciłam się powoli i z wysiłkiem ruszyłam w stronę baru. Wyglądałoby dziwnie, gdybym znowu usiadła, poza tym musiałam mieć trochę czasu, by się opanować. Zobaczyłam starą panią w staroświeckim foliowym kapturku w grochy. Trzymała za rękę małego chłopca. Zobaczyłam też czubek głowy Maksa, gładkie brązowe włosy, chude ramionka w starym podkoszulku z napisem Toy Story i trampki, które migały czerwienią przy każdym kroku. Nie mogłam się zmusić do spojrzenia mu w twarz, jeszcze nie, bo to było po prostu za wiele.

Adam zawołał za mną:

- Anno, zechcesz przy okazji zamówić sok jabłkowy i kanapkę z serem dla Maksa?

Skinęłam głowę i pomachałam ręką, nie odwracając się, bo nie mogłam się odwrócić, kompletnie obezwładniona tym uśmiechem szczęścia.

Kiedy wróciłam do stołu, starsza pani w kapturku już poszła. Max siedział na wysokim krzeselku po drugiej stronie Adama. Opierał się o niego, a Adam opiekuńczo obejmował go ramieniem. Znowu spanikowałam. A może nie dam sobie rady? Albo wyjdę na dziwaczkę? Tak naprawdę spodziewałam się, że nie zobaczę go przez wiele tygodni, może nawet miesięcy - a jednak proszę, już za drugim razem... Uspokój się, wrzasnęłam na siebie w duchu. To zrządzenie losu. Oprzytomniej!

Więc oprzytomniałam i spojrzałam na Makska. Dorośli rozmawiali nad jego głową o gładkich karmelowych włosach, a on pochylał się nad miniaturową wyścigówką, którą jeździł po swoim chudym ramionku. Stopy, dosyć duże w czadowych trampkach, oparł na górnym szczebelku krzesła. Włosy miał ostrzyżone pod doniczkę, tak jak większość małych chłopców. Teraz znowu było to modne. Rzęsy, absurdalnie gęste i czarne, tak jak nos Mitcha, tylko z innego powodu, nie pasowały do jego twarzy. Miał poważną minę. Był absolutnie zachwycający.

Usiadłam, bardziej zdenerwowana niż podczas premiery *Peer Gynta* w Salisbury Playhouse, kiedy grałam Aśę. Wyjście na scenę przed szepczącą, zapelnioną do ostatniego miejsca widownię to pestka w porównaniu z tym tutaj.

- Zaraz przyniosą zamówienie. Masz, to dla ciebie - powiedziałam, przesuając po stole szklankę soku.

- Dziękuję - odparł nieśmiało i spojrzał na mnie ogromnymi niebieskimi oczami. Wyglądał jak wzruszające dziecko z hollywoodzkiego filmu. Prawie czekałam, że u jego boku zmaterializuje się Lassie. Musiałam trzy razy przełykać ślinę, żeby pozbyć się kuli w gardle.

- To mój syn Max - oznajmił Adam.

- Cześć, Max. Jestem Anna - wykrztusiłam. - Przyszłam pomóc twojemu tacie przy mozaice. Widziałeś ją?

Skinął głową i znowu spojrzał na samochodzik.

- Brum, brum - mruknął. Zaparkował samochód na podstawce do piwa i niepewną ręką podniósł szklankę. Słomka zakołysała się i dopiero po paru próbach zdołał ją włożyć do ust. Wygląda jak ślepe kocię szukające sutka, pomyślałam z rozczuleniem.

Weź się w garść, kobieto.

- Obiema rękami, Max - odezwał się Adam.

Chłopiec posłuchał, wreszcie schwycił słomkę i pociągnął łyk, mocno trzymając szklanę.

- Bardzo szczypie - szepnął do Adama, marszcząc nos.

Adam się uśmiechnął.

- Zaraz dostaniesz kanapkę. Dobrze się bawiłeś u pani Evans?

Chłopiec skinął głową.

- Tak. Ale nie lubię jej psa, a ten drugi chłopiec nie chciał się ze mną bawić.

- Cameron?

Znowu przytaknięcie.

- E, nie przejmuj się Cameronem. Wiesz, pani Evans powiedziała, że on czasem lubi się bawić sam.

Przysłuchiwałam się tej cichej rozmowie z chciwością, jaką zwykle rezerwuję na najbardziej sensacyjne odcinki *EastEnders*. Nie wierzyłam własnemu szczęściu: naprawdę tu byłam, naprawdę słuchałam ich głosów! I Max tu był, choć właściwie nie powinien.

Tęga młoda kobieta w ogromnych bojówkach i zbyt obcisłej bluzce przyniosła mi sałatkę z cheddarem i kanapkę Maksa. Na jego twarzy natychmiast pojawiło się zmartwienie.

- Tato - szepnął, dotykając paru gałązek rzeżuchy, którą udekorowano talerz. - Nie lubię.

- Mogę? - spytałam. Skinął głową z wdzięcznością, więc zebrałam je w wiązkę i włożyłam do ust. - Mmm. Rzeżucha - mruknęłam, przeżuwając z entuzjazmem piękne gałązki, choć tak naprawdę wcale mi nie smakowały. - Wiesz, że wyrasta z nasion na wacie?

Chciałam powiedzieć „na bibule”, ale pomyślałam, że nie będzie wiedział, co to. Prawdę mówiąc, nikt już nie używa bibuły. Dzięki kontaktom z Crystal orientowałam się mniej więcej, co się dzieje w głowie czterolatki, ale teraz zrozumiałam, że mam duże braki. Max był starszy, miał prawie pięć lat, a poza tym chłopcy są inni. Crystal pewnie by pomaszerowała do baru z obrzydliwą rzeżuchą i spytała: „Co to ma być, do jasnej cholery? Prosiłam o normalną kanapkę z serem, nie o to zielone gówno”.

Choć może to nie ma nic wspólnego z wiekiem czy płcią, tylko z samą Crystal.

- Kiedyś spróbujemy, co, Max? - powiedział Adam. - Nie hodo wałem rzeżuchy od dzieciństwa. Ale to było fajne - odwrócił się do mnie - patrzeć, jak te nasionka kiełkują. Właściwie rosły w oczach.

- Tak, a potem robiło się kanapki z jajkiem i rzeżuchą z własnego parapetu. Fajnie było.

Nieprzekonany Max skubał kanapkę.

Oddarłam kawałek bagietki i nałożyłam na nią trochę sera i pikli, choć już nie miałam apetytu.

- Co będziemy robić? - spytałam, odkładając nietknięte jedzenie na talerz. - Dużo zostało?

- Dobra wiadomość jest taka - powiedział Adam - że otrzymałem zamówienie na jeszcze dwa panele. - Miałem nadzieję na trzy, ale chyba to się nie uda. Więc tak, jest mnóstwo do roboty przed rozpoczęciem semestru. Będziesz mogła przyjeżdżać?

Wzruszyłam ramionami.

- Nie widzę przeciwwskazań.

Wołami byś mnie stąd nie odciągnął, pomyślałam, patrząc na Maksa.

- Cudownie. W ostatnim tygodniu sporo nas ubyło, więc świetnie, że mamy świeżą krew. - Pociągnął łyk piwa i skubnął trochę kanapki Maksa.

- E! - rzucił Max, ale się uśmiechnął.

Mitch mówił do Sereny na kanapie z czerwonego aksamitu:

- Dostałem to z okazji pewnych obchodów... - Kiedy nie doczekał się reakcji, dodał dowcipnie: - Nie odchodów, tylko obchodów, rozumiesz.

Serena oczywiście wyglądała na śmiertelnie znudzoną. Ralph i Margie byli tak pochłonięci rozmową, że zaczęłam podejrzewać, iż są parą. Dziwne, że wczoraj ze mną flirtował.

- Gdzie pracujesz, Anno? - spytał nagle Adam, przyglądając mi się uważnie.

- Hm. Jestem aktorką - powiedziałam, trochę przestraszona, choć już wcześniej postanowiłam, że będę mówić prawdę, przynajmniej o moim zawodzie. - Ale jestem... hm, wiem, że to frazes... między projektami, więc mam czas pomagać przy twojej mozaice.

- Kurczę, ale fajnie. Jeszcze nigdy nie spotkałem prawdziwej aktorki. W czym grałaś?

Ależ ja nienawidzę tego pytania.

- W niczym wielkim. Parę odcinków *The Bill*. Parę lat temu główną rolę w sitcomie w BBC2. Nie wiem, czy pamiętasz. *Butterfinger*.

Puste spojrzenia, także Mitcha i Sereny, choć widziałam, że Mitch jest podniecony faktem, że można mnie oglądać w telewizji. Natychmiast przestał rozmawiać z Sereną i zaczął mi się przysłuchiwać.

- Poza tym gram głównie w teatrze, jeździmy po kraju. No i byłam w paru musicalach na West Endzie.

- Fantastycznie - jęknął Mitch. - Na przykład w *Chicago*, w siatkowych pończochach i szpilkach? Machałaś nogami?

Fuj. O co im chodzi z tymi szpilkami? Ciekawe, co robi Ken. Czy o mnie myśli, siedząc w swoim gabinecie. A nie, przecież to piątek. Będzie wracać z Brukseli. Więc pewnie nie myśli o mnie, w szpilkach czy bez. Przypomniałam sobie, że muszę wystawić kubły na śmieci.

- Nigdy nie grałam w *Chicago*. Statystowałam w *Nędznikach*, ale tam się nie chodzi w szpilkach.

Tylko Adam się roześmiał.

- Uwielbiam ten musical. Ciekawe, czy grałaś, kiedy na nim byłem? Jakiś czas temu... chyba w dziewięćdziesiątym piątym.

- Nie, grałam przez parę miesięcy w dziewięćdziesiątym dziewiątym. - Rok wcześniej, nim pobrano mi szpik. Dla twojego syna.

- Poszedłeś z mamusią?

Głos Maksa rozległ się w chwili, gdy akurat wszyscy zamilkli. Jego słowa zawisły w powietrzu jak przeterminowane świąteczne dekoracje. Rozejrzałam się; wszyscy odwrócili wzrok, ale czekali na odpowiedź Adama. Tu się coś dzieje, pomyślałam, a jeśli oni nie znają szczegółów, to wiedzą dość, żeby się tym zainteresować.

Ale nie aż tak, jak ja.

Adam uśmiechnął się, choć wydawał się zażenowany, a w jego oczach nie było ciepła.

- Tak, poszedłem z mamusią. To był piękny wieczór. Najpierw zjedliśmy kolację, w tajskiej restauracji w Soho, a ja usiłowałam zjeść liść bananowca, w który były zawinięte moje kluski - to było opakowanie, a nie jedzenie. Kawalek utknął mi w gardle i nie mogłem przełknąć, aż w końcu kelnerka chciała wzywać pogotowie - straszny wstyd. Ale przedstawienie było fantastyczne.

- A gdzie ja byłem? - Max patrzył chciwie na ojca. Miałam wrażenie, że w ich domu nieczęsto mówi się o matce. Może z kimś uciekła, bo gdyby to Adam zbłądził, nie dostałby prawa do wyłącznej opieki nad Maksem.

- Jeszcze nie było cię na świecie, skarbie. - Adam zmierzwił mu włosy. - Zjedz jeszcze jedną kanapkę, dobrze? Prawie nie tknąłeś śniadania.

Przez chwilę wydawał się przygnębiony i samotny. Najwyraźniej spotkało go coś złego.

Mitch przechylił się, wziął mnie za lewą rękę i przyjrzał się czterem srebrnym obrączkom, które nosiłam na palcach. Podejrzewam, że nadal rozmyślał o małżeństwie Adama, bo nagle zapytał:

- Jesteś mężatką?

Powściągnęłam chęć wyrwania mu ręki. Ale kiedy otworzyłam usta, żeby powiedzieć: tak, mój mąż ma na imię Ken, wydarzyło się coś niespodziewanego. Teraz wydaje mi się, że to pewnie przez współczucie do Adama, które mnie ogarnęło w chwili, gdy Mitch zadał mi pytanie, choć nie jest to żadne usprawiedliwienie i moje zdradzieckie słowa będą mnie prześladować aż do grobowej deski. W każdym razie padły i nie mogłam ich już odwołać.

- Nie - powiedziałam.

14

- Jak ci minął dzień? - spytał Ken od progu.

Dobrze było znowu znaleźć się w świecie rzeczy znanych: zgrzyt jego klucza w drzwiach, głuchy stuk torby rzuconej na podłogę, kroki zmierzające tam, gdzie zwykle można mnie znaleźć wieczorami - nogi w skarpetkach oparte wysoko, w rogu mojej ukochanej niebieskiej aksamitnej sofy przed telewizorem. Zmiana jest dobra, czemu nie, ale rutyna też ma swoje plusy. Nawet dzwonek jego komórki - dlaczego zawsze dzwoni, ledwie Ken przekroczy próg? - brzmiał sympatycznie. Choć sympatyczniejsze było to, że wyłączył ją, nie odbierając.

- Dobrze, dzięki. A twój?

- Nieźle. Chcesz drinka?

- Już sobie wzięłam. - Machnęłam ręką ku na wpół pełnemu kieliszкови na podłodze, ale Ken niefortunnie wybrał akurat ten moment, by pochylić się ku mnie z powitalnym pocałunkiem. Niechcący trzepnęłam go w twarz.

- Ładne powitanie - powiedział, cofając się i rozcierając nos.
- Przepraszam, kochanie. - Na widok jego ponurej miny parsk-
nęłam śmiechem. - Chodź do mnie.

Pocałowaliśmy się; otoczyły mnie ramiona i otuliły zapachami je-
go dnia: potem i przetworzonym powietrzem samolotowej kabiny.

- To co dziś robiłaś? Biegałaś?

- Dziś nie... - Wzięłam głęboki wdech. - Nie uwierzysz, ale
pomagam przy robieniu mozaikowego muralu!

Ken uniósł brwi.

- Naprawdę? Gdzie? Skąd? Jak?

Nawinęłam pasmo włosów na palec i spojrzałam w ekran, uda-
jąc roztargnienie.

- To był impuls. Przejeżdżałam obok takiego domu i zobaczy-
łam napis: „Darmowe warsztaty układania mozaiki - nie wymaga-
my doświadczenia”. Pomyślałam, dlaczego nie? Wiesz, zawsze ję-
czę, że chcę robić coś twórczego. Okazało się, że to mural, który
znajdzie się w przejściu podziemnym pod stacją.

Tylko nie pytaj, jaki dom, jaka stacja, poprosiłam w duchu, choć
bardzo bym się zdziwiła, gdyby to zrobił. Nigdy nie miał zamiło-
wania do szczegółów.

- Ekstra - powiedział tylko, zdjął marynarkę i zaczął rozwiązy-
wać buty. - Fajnie jest?

Pomogłam mu zdjąć buty i patrzyłam, jak odkleja skarpetki od
stóp. Moje skarpetki nigdy się nie przyklejają i nie czuć ich droż-
dzami. Może to cecha charakterystyczna facetów, tak jak dżinsy,
które przecierają mu się zawsze w jednym miejscu: po prawej
stronie krocza. Rozczulały mnie te drobne nieważne szczegóły,
których (miałam nadzieję) nie zna nikt oprócz mnie. To tak, jakby
się miało kryjówkę na skarby.

- Bardzo. Wiesz, jeszcze tam wrócę. Zrobiłam koszyk.

- Świetnie - powiedział i znowu mnie pocałował. - To ci do-
brze zrobi, udział w czymś takim. Nie mogę się doczekać, żeby to
zobaczyć!

Hmm, pomyślałam. To ci nie grozi, chyba że przejedziesz pod
stacją w Gillingsbury. A raczej mała jest szansa, żeby Planet Mu-
sic zorganizowała następną konferencję w tamtejszym motelu.

- Należę ci wina - powiedziałam, wstając. Ulżyło mi, że mu po-
wiedziałam, nie uciekając się do kłamstwa.

Zabrałam jego buty i miałam ruszyć do kuchni, kiedy usłyszałam zapowiedź nowego serialu. Na ekranie telewizora pojawiła się znajoma twarz.

- J a s n a cholera! Nie do wiary. - Znieruchomiałam, wskazałam ekran czubkiem buta. - To Rosemary Gregson.

- Ciekawy dziesięciocinkowy serial na postawie bestsellera Catherine Kirkbride - zaszeptał namiętnie lektor. Ciekawe, że nikt nie mówi „nudny dziesięciocinkowy serial”. Pewne rzeczy się nie zmieniają - wystarczyło mi tylko spojrzeć na Rosemary Gregson i już miałam ochotę walnąć ją w nos.

- Kim jest Rosemary Gregson?

Pokręciłam głową z niedowierzaniem.

- Chodziła z nami na zajęcia w Reading. Vicky i ja po cichu wybrałyśmy ją na najmniej prawdopodobną kandydatkę w drodze do sukcesu. Przedtem nigdy jej w niczym nie widziałam, więc myślałam, że miałyśmy rację. Prawdę mówiąc, myślałam, że jest już tłustą kurą domową z czwórką dzieci. Ma głos świnki morskiej. Byłyśmy pewne, że musiała się z kimś przespać, by w ogóle dostać się na kurs.

- I wygląda jak świnka morska - powiedział lojalnie Ken, choć szczerze mówiąc, Rosemary była dość ładna. Nadal miała ten angielski rumieniec i krótkie kędzierzawe brązowe włosy w stylu młodej Elizabeth Taylor. W Reading robiła sobie obowiązkowe pasemka - usiłuje się upodobnić do księżnej Diany, szydziła Vicky.

- Muszę zadzwonić do Vicky - rzuciłam, pędząc do telefonu, ze wzrokiem przyklejonym do ekranu telewizora.

- ...w roli głównej Rosemary Gregson jako legendarna Annabel...

- Aaaa! Tylko nie w głównej! Powiedz, że się przesłyszałam - mamrotałam, wybierając numer Vicky. Odebrała natychmiast.

- Vic, to ja. Nigdy nie zgadniesz, kogo właśnie zobaczyłam w... Przerwała mi w pół słowa.

- Nie chcę z tobą rozmawiać.

- C o ?

Nie zapomniałam o naszej kłótni, ale po poznanii Maksa spadła w mojej ocenie do poziomu emocjonalnej czkawki, zwykłego nieporozumienia. Zakładałam, że Vicky ma tak samo.

Natychmiast przeszłam do ofensywy.

- Jak to, tylko dlatego, że chcesz... - W porę zdałam sobie sprawę, że Ken słucha.

- Nie twoja sprawa.

- Przestań, nie bądź taka. - Skrzywiłam się do Kena, wyszłam z pokoju i zaniósłam telefon na górę. Wszystkie jadowite myśli o Rosemary Gregson wyleciały mi z głowy. - Myślałam, że mnie potrzebujesz?

- Potrzebowałam - powiedziała Vicky z goryczą. - Żebyś mnie wsparła, a nie osądziła i potępiła.

Zabolało mnie tak, że aż tchu mi zabrakło. Była taka chwila, taka ciągnąca się sekunda, jak dramatyczna pauza w scenariuszu, kiedy mogłam wszystko uładzić, przeprosić (choć za co, pomyślałam ze złością. Za to, że straciłam Holly, za poronienia, za moje rozpaczliwe pragnienie, żeby nie zmarnować kolejnego ludzkiego życia?), ale ta sekunda była i minęła, runęła w słuchawkę i znikła w nicości, a nasza przyjaźń zatrzęsała się w posadach.

- Tak? To cię cholernie przepraszam - syknęłam. - Czego się spodziewałaś? Jeśli myślisz, że poprę zamiar zabicia nienarodzonego dziecka tylko dlatego, że się nie wysypiasz w nocy, to trudno, musisz sobie radzić sama.

Natychmiast tego pożałowałam. Moje słowa, prawdziwe czy nie, były okrutne, a Vicky potraktowała je z pogardą, na jaką zasługiwały. Rozłączyła się bez słowa. Stałam, słuchając szumu przerywanych rozmów w całym mieście, po czym rzuciłam telefon na łóżko - tak mocno, że odbił się i uderzył w ścianę.

Piętnaście minut później Ken znalazł mnie na łóżku, wpatrzoną w sufit.

- Co się stało? Pokłóciłaś się z Vicky?

- Och... - Głos mi się załamał. - Nie znoszę, jak jest taka.

- O co poszło? - Usiadł obok mnie. Materac zapadł się pod ciężarem jego ciała i lekko zsunęłam się ku niemu. Oparłam mu głowę na kolanach, a on pogłaskał mnie po włosach.

- Hm... głównie o dzieci. Tak strasznie jęczy...

Miałam ochotę zdradzić mu prawdziwy powód, ale wiedziałam, że wtedy nasza przyjaźń naprawdę by się skończyła. Coraz więcej tajemnic, pomyślałam, wielka nieporządna sterta, jak stos niepotasowanych kart.

- Jest jej trudno. Peter jej nie pomaga, prawda? - Ken też nie lubił Petera. - Crystal jest trudna, a Pat nie śpi dobrze i zawsze na coś choruje. Nic dziwnego, że to ją męczy.

- No, nikt nie mówi, że to łatwe, prawda? To część umowy. Przez pięć lat jest ciężko jak cholera, bo ma się dwoje cudownych dzieci, a potem zapomina się o kłopotach, tak jak się zapomina o bólu porodu.

Nic na to nie poradzę, ale mówiłam z zazdrością.

- Może to i prawda, ale łatwiej powiedzieć niż zrobić?

- Po czyjej jesteś stronie? - Poderwałam się. Zabrałam głowę z jego kolan.

- Spokojnie. Nie biorę strony Vicky. Mówię tylko, że za dużo od niej wymagasz.

Odwrociłam się do niego plecami. Nie wiesz nawet połowy, pomyślałam. Jego zostawiona na dole komórka znowu zaczęła dzwonić.

- Myślałam, że ją wyłączyłeś - rzuciłam oskarżycielsko. Nie odpowiedział. - No idź, odbierz.

Wyszedł i zbiegł po schodach. Wybiłam pięścią resztki snów z poduszki. Nagle całe moje życie zaczęło się sypać. Czy jeszcze do tego mam stracić najlepszą przyjaciółkę?

Poznałam Vicky na egzaminach wstępnych. Było to parę miesięcy przed śmiercią taty; romans z Gregiem trwał w najlepsze. Kiedy po raz pierwszy ją zobaczyłam, opierała się o ścianę przed damskim wychodkiem, a jakiś fantastyczny chłopak najwyraźniej lizał jej migdałki. Wgniał ją w ścianę, nie zwracając uwagi na nikogo, jakby stali w środku lasu pod osłoną nocy, a nie w biały dzień na korytarzu uniwersytetu. Zagapiłam się na nich, na jasne kędzierzawe włosy chłopaka, mieszające się z fioletowymi pasemkami Vicky. Była ubrana w podarte siatkowe pończochy, dzinsową mini i zniszczoną skórzaną kurtkę.

Ucieszyłam się, że nie dałam się przekonać matce i nie włożyłam mojego egzaminacyjnego stroju: ohydnie niemodnego przyodziewku składającego się z długiej rozszerzanej spódnicy i równie staromodnego żakietu, który wyglądał, jakby go uszyto z niebieskiej zasłony. I tak czułam się jak oferma w czarnej dzianinowej spódnicy i schludnej białej bluzce. Wyglądałabym jak zabłąkana kelnerka, gdybym nie włożyła wypróbowanych martensów. Powiedziałam

mamie, że bez nich w ogóle nie wyjdę z domu i ta stanowczość przyniosła mi teraz niewypowiedzianą ulgę. Co prawda moje miały tylko osiem dziurek i były czarne, a Vicky miała bordowe szesnastodziurkowce, ale zawsze co martensy, to martensy.

Vicky oderwała się od chłopaka dla zaczerpnięcia oddechu i przyłapała mnie na gapieniu się na nią. Spurpurowiałam, bo choć wstyd to przyznać, przyglądanie się im podnieciło mnie. Szalałam na punkcie Grega, ale nagle zapragnęłam, żeby był młodszy o dwadzieścia lat. On nigdy by się ze mną nie całował w miejscu publicznym. Nawet kiedy byliśmy sami, przeważnie nerwowo się oglądał.

Vicky podniosła tryumfalnie zaciśniętą pięść i rzuciła mi taki słodki i psotny uśmiech, że musiałam się roześmiać. Chłopak odwrócił się i najpierw spiorunował wzrokiem mnie, a potem ją.

- Na co się gapisz? - rzucił.

Vicky i ja spojrzałyśmy bezwstydnie na wyrzucenie na jego obcisłych dżinsach i zaczęłyśmy chichotać.

Chłopak zakrył krocze ręką.

- To na razie. Być może. Suka - burknął i zniknął za rogiem.

Zaczęłyśmy się zaśmiewać: mój śmiech był dowodem podziwu dla bezczelności i jawnego temperamentu Vicky.

- To twój chłopak? - spytałam.

Znowu parsknęła i starannie wytarła oczy, usiłując nie rozmazać grubych czarnych kresek.

- Chciałabym! Seksowny, co? Nie, tylko rozmawialiśmy i powiedziałam, że może mnie pocałować. Nie wiedziałam, czy zechce, ale zechciał. Więc dzień mi się dobrze zaczął. Zdaje na chemię i tyle o nim wiem. Mam jeszcze szminkę?

Przyjrzałam się resztkom różowego koloru na jej wargach.

- Nie. Teraz on ją ma.

Rozpięła kieszeń kurtki i wyjęła szkarłatną szminkę, którą w godny podziwu sposób nieomylnie naniosła na usta.

- Zdajesz na aktorstwo? - spytałam. Ku memu zachwytowi kiwnęła głową.

- Tak. A ty?

- Też. Mamy przedstawić te scenki o dwunastej?

Skinęła głową.

- Wskoczmy najpierw na kawę i papierosa?

Rozpromieniłam się i poszłyśmy razem.

Mieliśmy przygotować trzyminutową scenkę z użyciem rekwizytu, dowolnego - przerażająca swoboda - choć z jakiegoś powodu nie przewidziałam, że będę występować przed grupą trzydziestu osiemnastolatków. Kiedy weszłam do sali, parę kroków za Vicky, gardło mi się ścisnęło na widok takiego tłumu. Z nikim nic mnie nie łączyło, może z wyjątkiem wieku. Wbiłam wzrok w plecy Vicky, która zaprowadziła mnie na koniec niebieskiej wykładziny, gdzie usiadłyśmy. Vicky zgarbiła się i usiadła ze skrzyżowanymi nogami, nie dbając o to, że krótka dzinsowa mini nie zasłania klina w rajstopach. Ja też chciałam usiąść po turecku, ale kiedy spróbowałam, moja dzianinowa spódnica pozałamywała się dziwnie, więc niezdarnie podwinęłam nogi, od czego rozboleły mnie plecy. Może jednak nie jestem stworzona na aktorkę, pomyślałam żałośnie. Moje małe tryumfy w lokalnym domu kultury wydały mi się prowincjonalne i nędzne w cieniu ludzi, którzy - byłam tego pewna - są prawdziwymi artystami.

Po prawej stronie siedziała dziewczyna w klasycznym mundurku młodej arystokratki. Wszystkie konieczne elementy były na miejscu. Pasiasta koszula z postawionym kołnierzem - jest. Gruba aksamitna przepaska na długich do ramion falistych włosach z pasekami - jest. Perły - są. Granatowa spódnica w fałdy - jest. Bładoróżowa szminka - jest. Dziewczyna przysiadła na podłodze jak w damskim siodle, prosta jak strzała, z irytująco życzliwym wyrazem twarzy. I choć nic się nie działo, miała na kolanach otwarty notes i mont blanca w pogotowiu. Vicky i ja rzuciłyśmy na nią okiem i od tej pory konsekwentnie ją ignorowałyśmy, choć nie miała z kim rozmawiać. Byłyśmy młodymi żmijami.

Wreszcie egzamin się zaczął. Vicky nazywała się wtedy Attwood, więc musiała iść pierwsza i ustawiła poprzeczkę na niebotycznej wysokości. Jej scenka zawierała wszystko: była śmieszna, ostra, poruszająca. Chodziło o dziewczynę, która zaszła w ciążę, urodziła dziecko i usiłowała sprostać wyzwaniom samotnego macierzyństwa nastolatki. Vicky wyraziła to w trzyminutowej scenie - genialnie - jako rekwizytem posługując się lalką.

Miałam łzy w oczach i biłam brawo aż do bólu rąk. Widać było, że nauczyciele także są pod wrażeniem. Simon Maltby, niski poważny mężczyzna z brodą, bardzo podobny do faceta z *Radości*

seksu, tylko w okularach, także był bliski łoż i razem z drugim (nazywał się Elton Casagrande) tak entuzjastycznie kiwali do siebie głowami, że mało nie skręcili karków.

Parę następnych scenek umknęło mi z pamięci głównie dlatego, że zerkałam na tę książniczkę z prawej. Kiedy Simon i Elton wstali, żeby nas powitać, zaczęła robić notatki, ostentacyjnie drapiąc piórem po kartkach. To skrobanie rozlegało się non stop przez wszystkie scenki. Kiedy nauczyciele ją wywołali - nazywała się Rosemary Gregson - Vicky pochyliła się ku niej i zaproponowała, że będzie robić notatki w czasie jej scenki. Rosemary podziękowała jej za tę propozycję spojrzeniem pełnym tak metalicznej pogardy, jakby Vicky była kundlem, skaczącym wokół pęciny koni szlachetnej krwi na polowaniu. (Śmieszne, później odkryliśmy, że Rosemary wychowała się w szeregowcu w Ruislip i pewnie nigdy w życiu nie widziała polowania z bliska).

Rosemary poszła na scenę, wygładziła spódnice i wygłosiła mowę pogrzebową dla zmarłego labradora imieniem Pickles. Jej rekwizytem była obroża i smycz, i choć wszystko we mnie wyło ze śmiechu z taniego sentymentalizmu i melodramatycznych łez, które Rosemary wyciskała z siebie bez najmniejszego problemu, musiałam przyznać, że poruszyła mnie niemal tak jak Vicky. Musiałam odwrócić głowę, żeby Vicky nie zobaczyła mojej miny, kiedy Rosemary piskliwym głosem oznajmiła, że chodzi do lasu, gdzie wśród konwalii stoi drewniany krzyżyk, oznaczający miejsce spoczynku Picklesa.

Vicky udała, że wymiotuje. Strzepnęłam łzy z rzęs i roześmiałam się cicho razem z nią. Jednak nauczyciele najwyraźniej nie zgodzili się z naszą oceną, bo Rosemary się dostała.

Potem byłam ja. Moja scenka, w przeciwieństwie do emocjonalnie rozdętych prób poprzedników, była kulawym monologiem grubaski, która opowiada przez telefon przyjaciółce, jak się jej wiedzie na kursie Strażników Wagi, jednocześnie pożerając czekoladowy batonik. Jako rekwizyt przyniosłam staroświecki bakelitywy telefon z miękkim sznurem i marsa; niestety, nie przewidziałam, jak trudno jest napychać się czekoladą i jednocześnie wyraźnie mówić. Poza tym, od czekolady zrobiło mi się niedobrze. Rozległy się grzecznościowe oklaski (tylko Vicky klaskała naprawdę). Simon Maltby złożył palce i powiedział:

- Interesujące. Skąd pani to wzięła?

- Przyniosłam z domu - odparłam. - Znalazłam w garażu.

Uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Nie, chodziło mi o pomysł, nie o telefon.

- O - mruknęłam i wbiłam wzrok w podłogę.

Później Vicky uświadomiła mi, że mam resztki czekolady w kąci-
kach ust, a cienka nitka karmelu zwisa mi z brody jak strużka śliny.

Nie wierzyłam własnym uszom, kiedy się okazało, że mnie
przyjęli. I fakt, że będę z Vicky przez najbliższe trzy lata, ucieszył
mnie chyba nawet bardziej niż to, że dostałam się na studia.

15

Przez dwa następne tygodnie od poniedziałku do piątku kursowa-
łam między domem i Gillingsbury. Koła mojego samochodu po-
konywały nie tylko kilometry; najpierw pożarły bolesne milczenie
Vicky, a dwa dni później ominęły moje rozczarowanie po nadej-
ściu miesiączki. Zresztą, zważywszy, że już wcale nie kochałam
się z Kenem, moja ciąża byłaby drugim niepokalanym poczęciem
w historii. A jednak nie mogłam się otrząsnąć z tego poczucia klę-
ski, które mnie zawsze nawiedzało.

Usiłowałam sobie wyobrazić, co byśmy czuli, gdyby okres mi
się spóźnił, gdyby test wyszedł pozytywnie. Jedno jest pewne:
z nadzieją mieszałoby się coś mroczniejszego: strach. Oboje
straszliwie baliśmy się znajomego procesu - obudzonej i zabitej
nadziei, tygodni mijających na strachliwym obserwowaniu moje-
go brzucha i codziennym zastanawianiu się, czy nastąpi to dziś.

Pod wieloma względami łatwiej było w ogóle nie próbować;
ciało Kena potwierdzało to za każdym razem, gdy byłam blisko.
A nie zdarzało się to często. Ken spędzał tyle czasu w pracy, że za-
częłam się zastanawiać, po co w ogóle wraca do domu.

Ale jeśli nie będziemy próbować, nigdy nie doczekamy się
dziecka. To nie fair. Za każdym razem, kiedy myślałam o Vicky,
zęby same mi się zaciskały z emocji, których nie potrafiłam na-
zwać: wściekłości, bólu, a może zazdrości i poczucia klęski.
W każdym razie nie były to dobre uczucia.

Codziennie, wyruszając w drogę, zastanawiałam się, czy u jej kresu zastanę Maksa, machającego chudymi nóżkami na krześle i bawiącego się ze skupieniem. Tak często stawał mi przed oczami, że zawsze byłam lekko zaskoczona, kiedy wchodziłam i go nie zastałam, zupełnie jakby inni dla żartu schowali go przede mną. Ale przez całe dwa tygodnie go nie widziałam. Raz się z nim rozminęłam. Potem pojechał do dziadków na cztery dni, a jeszcze później Adam powiedział, że aż do ukończenia mozaiki zostanie u opiekunki - pani Evans, tej kobiety w foliowym kapturku, która go przyprowadziła do pubu. Adam nie chciał, by Max spędzał zbyt dużo czasu w Moose Hall, gdzie pył z płytek dostawałby mu się wszędzie (czyli do płuc). Sama niepokoiłam się o jego zdrowie na tyle, że udawało mi się przezwyciężyć rozczarowanie.

Ale potem zdałam sobie sprawę, że niedługo zacznie się szkoła - i wpadłam w popłoch. Nie będzie już muralu. Nie zobaczę więcej Maksa, nie będę miała pretekstu, żeby spotykać się z Adamem. Zaczęłam sobie wyobrażać Maksa w szkolnym uniformie, w szarych spodniach do kolan i pasiastym krawacie, może też w blezerze. Widywałam go na jawie, jakbym się zakochała. Zakochałam się w czterolatku! Jeśli to mnie nie kwalifikuje do domu wariatów... Dałabym wszystko, żeby go znowu zobaczyć. Wracając do domu, usiłowałam wymyślić sposób, który pozwoliłby mi doprowadzić do następnego spotkania - z pominięciem flirtu z Adamem, co oczywiście byłoby jawną nieuczciwością. Adam mi się nie podoba, umówiłam się surowo sama ze sobą. Jest miły, ale nie chcę być z nim, tylko z Maksem.

Tylko że spotkanie z Maksem bez Adama było niemożliwe. Co miałam zrobić, zaprosić czterolatka na drinka? Im bliższe było ukończenie muralu, tym mniej miałam szans. Żałowałam, że w ogóle spotkałam Maksa. Gdybym go nie zobaczyła, może łątwiej bym odpuściła.

O ile wiedziałam, moje szanse przedstawiały się następująco. Po pierwsze, mogłam się zapisać na listę oczekujących i liczyć, że zwolni się jakieś miejsce na zajęciach Adama. Ta opcja podobała mi się najmniej, bo nawet jeśli bym się dostała, byłoby mi o wiele trudniej „zbliżyć” się z Adamem tam niż w Moose Hall, z Mitchem na karku. A Max z całą pewnością nie pojawi się na lekcji. Po drugie, wyjść z inicjatywą i zaprosić gdzieś Adama

z Maksem. Ale gdzie? I, patrząc z perspektywy Adama, po co? Lubiłam go, lecz nie było między nami jakiejś głębokiej więzi. Te wszystkie spędzone wspólnie dni nie zaowocowały głęboką i trwałą przyjaźnią. Byłam świadoma tego, że choć Adam dość mnie lubi, nigdy nie stanę się jego najlepszą przyjaciółką. Już widziałam, jak marszczy czoło z zażenowania i grzecznego zdziwienia, gdybym nagle palnęła, że chcę ich zaprosić do kina albo na kręgle.

Trzecia opcja: zagrać czysto i wyznać Adamowi, kim jestem. Ale do tego nadal nie byłam zdolna. Przyczyny, dla których nie chciałam ujawniać swojej tożsamości, teraz, po spotkaniu z Maksem, wydały mi się jeszcze ważniejsze. Wolałam sobie nie wyobrażać, co by pomyślał o mnie Adam, gdyby się dowiedział, że przez tyle tygodni nie poprosiłam o spotkanie z Maksem. Wyszłabym na totalnego świra.

To mi pozostawiało opcję numer cztery: kręcić się wokół ich domu i wpaść na nich przypadkiem. Rany boskie, jakbym znowu miała szesnaście lat. Chyba nie upadnę tak nisko?

Ale wyjątkowa sytuacja wymaga wyjątkowych środków - projekt był już prawie zakończony. I tak pewnego upalnego popołudnia, kiedy Moose Hall został zamknięty i wszyscy rozeszli się do domów, lekko przypudrowani szarym ceramicznym pyłem, znalazłam się na ich ulicy. Adam wyszedł wcześniej, bo musiał odebrać Maksa od opiekunki. Uznałam, że powrót zajmie im od dwudziestu minut do godziny (choć nie wiem, jak to obliczyłam, nie znając adresu opiekunki). Za to znałam ich adres. Znalazłam w internecie. Nawet wydrukowałam sobie poręczną mapkę. Trzymałam ją w torbie i już znałam na pamięć trasę z Moose Hall: skręcić w Devizes w stronę miasta, minąć dwa ronda, wjechać w jednokierunkową jezdnię do Dean Street i trzecia przecznica po prawej to Hardcourt Road. Numer czterdzieści trzy.

Wiedziałam też, że Adam ma starego żółtego saaba, którego nigdzie nie zauważyłam, jadąc wolno ulicą. Pod numerem czterdzieści trzy znajdował się nędzny piętrowy szeregowiec, bez garażu - chyba że jakiś krył się na tyłach. Dodałam te dość przypadkowe informacje do akt Maksa: lubi kurczaka, matki nie ma w pobliżu, ojciec jeździ saabem, nie mają garażu.

Hardcourt Road leżała w najnowszej dzielnicy Gillingsbury. Parę numerów od domu Adama i Maksa stał przerdzewiały samochód, a z trzech różnych mieszkań buchał łomot muzyki. Na rogu czterej nastolatki i ich giermkowie, około dziesięcioletni, robili to, co dzieciom wychodzi najlepiej: lenili się, palili, chichotali i wyglądali, jakby im wszystko zwisało. Zaparkowałam nieopodal i przez jakiś czas siedziałam w samochodzie, nie wyłączając silnika, żeby nie pozbawiać się klimatyzacji. Nie wiedziałam, co dalej, więc zaczęłam skakać po stacjach radia: na dwójce Steve Wright sypał ciekawostkami: czy wiecie, że jeśli wasza poduszka ma ponad pięć lat, dziesięć procent jej wypełnienia stanowią płatki skóry? Faj, pomyślałam, przypomniawszy sobie, jak biłam pięścią w swoją poduszkę po kłótni z Vicky.

Nie do wiary, że Steve Wright ciągle pracuje. Przypomniał mi o prehistorycznych czasach, kiedy miałam siedemnaście lat i po szkole jeździłam z moją przyjaciółką Julią chevroletem zwanym też żółtą śmiercią albo pretensjonalnie: Deux Chevaux. Ten samochód przypomniał mi o schadzkach z Gregiem, picu baileya z papierowych kubków na przerwach w szkole i słuchaniu Steve'a Wrighta gdzieś w roku 1984, przez starożytne radio samochodowe. Jeden z dżingli Steve'a był taki: kobieta protestowała coraz cichszym głosem „nie, nie, nie...”, potem rozlegał się zgrzyt suwaka, a po nim „oooo, tak!”. Powtarzałyśmy to w nieskończoność, często wykrzykując to przez okna chevroleta do atrakcyjnych mężczyzn, których mijałyśmy w mieście.

Uśmiechnęłam się na to wspomnienie i zatonełam w myślach o szkolnych czasach. Czasach mojej niewinności, kiedy jedyną troską było to, czy dostanę główną rolę w szkolnej sztuce i czy powinnam pozwolić Gregowi, żeby rozpiął mi stanik i dotknął piersi.

Ciekawe, co teraz porabia Julia ze swoim Deux Chevaux. Co najmniej jedno z nich powinno już trafić na złomowisko, i mało prawdopodobne, żeby to był samochód. O ile pamiętam, za bardzo lubiła baileya. Egzaminami przeszły jej w lepkiej mgłę kawowego likieru. Oblała wszystkie i wtedy nasze ścieżki się rozeszły.

Ktoś mocno zapukał w moje okno. Podskoczyłam. Jeden z chłopców z rogu ulicy stał tuż obok. Pochylił się i rozdziawił w obleśnym uśmiechu. Szybko sięgnęłam do przycisku centralnego zamka. Jego kumple zarechotali, jakby w życiu nie widzieli nicze-

go śmieszniejszego. Ich mały giermek usiłował jednocześnie palić i wyglądać czadowo. Zawiódł na całym froncie; zaciągnął się płytko parę razy, zgasił papierosa i zastąpił go dzieciennym smoczkiem, co wstrząsnęło mną niemal tak mocno, jak pukanie do okna.

Kiedy zdołałam ochłonąć i upewniłam się, że nie jest to niewinne zainteresowanie, wyprostowałam się i spojrzałam przed siebie, omijając ich wzrokiem, nieruchoma jak kamień. W końcu znudzili się strojeniem min, robieniem oblesnych gestów i odeszli.

Za drzwiami numeru 43 nadal nie było oznak życia, nie widziałam żadnego żółtego saaba, więc zamiast czekać na powrót tych szczeniaków, postanowiłam wysiąść z samochodu. Podeszłam do szeregu małych sklepików, które zauważyłam, przejeżdżając wcześniej.

W jednym sprzedawano ramki do zdjęć; od razu zdecydowałam, że to będzie moje uzasadnienie odwiedzin w tych okolicach - mogę powiedzieć, że chcę coś oprawić. Dla zachowania pozorów weszłam do sklepu; moje przejście po wycieracze uruchomiło dwutonowy elektroniczny brzęczyk. Przestraszył mnie, ale kobieta czytająca książkę za ladą nawet nie drgnęła.

Od niechcenia przejrzałam stojak z urodzinowymi kartkami i ścianę pełną ramek przypiętych do zielonego rypsu. W końcu kobieta podniosła wzrok, najwyraźniej zaskoczona widokiem klientki. Uśmiechnęła się blado i znowu zaczęła czytać.

Ja też nie zwróciłam na nią większej uwagi. Patrzyłam na deszczulki w różnych kolorach i wzorach i zastanawiałam się, co bym oprawiła w ramki, gdybym miała nieograniczone możliwości. Fotografie Elvisa Costello z jego autografem? Moją piękną fotkę ze *Wszystkich moich synów*? Maksa, uśmiechającego się do obiektywu?

Nie, oczywiście, że nie, gdybym miała naprawdę nieograniczone możliwości, to nie byłby Max, lecz składanka zdjęć moich dzieci. Szkolne zdjęcie Holly, szczerbatej i uśmiechniętej, drugie urodziny Louisa, być może zdmuchującego świeczki z tortu, z pomocą Pata Vicky (z tymi policzkami na pewno by mu się udało). Gemma siedząca na kolanach Mikołaja, równie zaniepokojona, jak szczęśliwa. Mały Joe w pieluszcze do pływania we wzorek z tropikalnych owoców. (Tak, nie szkodzi, że to rozrzutność; daliśmy im wszystko). Takie zdjęcia chciałabym oprawić w ramki, gdybym mogła mieć wszystko, czego bym zapragnęła.

Wychodząc, znowu włączyłam sygnał. Kobieta była tak zadowolona, że pewnie nie zwróciłaby uwagi, nawet gdybym zaczęła się zalewać łzami, ale nie chciałam ryzykować. Powlokłam się ku samochodowi, na chwilę zapomniawszy, co tu w ogóle robię.

Było bardzo gorąco; jeden z tych upalnych dni, który rzuca się na człowieka i szuka schronienia pod jego pachami i w pachwinach. Zaczęłam szukać kluczyków w torebce, z tęsknotą myśląc o klimatyzacji i powrocie do domu - to był jednak głupi pomysł - kiedy nagle tamci czterej stanęli wokół mnie. Wyszli z wąskiego zaułka, którego aż do tej pory nie zauważyłam. O nie, pomyślałam, jeszcze tego mi brakuje. Czym prędzej wrzuciłam kluczyki na dno torebki, a torebkę ścisnęłam pod pachą.

- Tak? - spytałam tonem dyrektorki szkoły, jakbym była zdruzona, a jednak agresywna. - Proszę się przesunąć, stoicie mi na drodze.

- Proszę się przesunąć - przedrzeźnił mnie najwyższy i zrobił minę do kolegów. Założył ręce i zbliżył się do mnie. Zerknęłam na ulicę, ale była pusta. Jednak ciągle słyszałam muzykę. Czy jeśli zacznę krzyczeć, ludzie staną w oknach? Zastanawiałam się nad chwytem dzudo - parę lat chodziłam na sztuki walki - ale uznałam, że to zbyt ryzykowne. Nie pokonam wszystkich czterech, choć byli dość mizerni. Biedny Max, musi mieszkać w sąsiedztwie tych pęćaków.

Potem usłyszałam kliknięcie i srebrny błysk w rękach chłopca obok tego, który stroił miny - niższego, bardziej przyszczonego. Pokazał mi scyzoryk z małym ostrzem.

- Oddawaj torebkę - powiedział tonem towarzyskiej pogawędki.

Zawsze uważałam, że jestem twarda, odważna i choć szczupła, to jednak silna. Teraz, kiedy znalazłam się w sytuacji realnego zagrożenia, nie byłam już taka pewna. Choć w całym moim ciele tętniła adrenalina, nogi się pode mną ugięły. Znowu się rozejrzałam. Po prostu fantastycznie - trzynaste lat mieszkałam w Londynie, tyle razy wracałam do domu o świcie bez najmniejszych kłopotów, a tu nagle w sennym Wiltshire o piątej po południu padam ofiarą napadu z nożem w rękę. No, raczej ze scyzorykiem, ale i tak się bałam.

Potem, jak w moich nastoletnich marzeniach, nadciągnęła nieoczekiwana odsiecz.

- Co to ma znaczyć, pętaki? Spadać. Ale już! - Adam stanął za moimi plecami, zasłaniając sobą przerażonego Maksa. Wskazał na tego z nożem. - Powiem o tym twojej matce.

Musiałam przyznać, że zagniewany, wyglądał całkiem seksownie.

- Akurat - burknął któryś. - Żebyś ja ci nie powiedział!

Wszyscy zarechotali, ale bez przekonania i nerwowo. Potem odwrócili się jednocześnie i bez słowa znikli w zaułku.

16

- Cześć, Max - powiedziałam, dość niegrzecznie zapominając podziękować jego ojcu za uratowanie mi tyłka. W tej chwili nie mogłabym spojrzeć Adamowi w oczy, nie wybuchając płaczem. Nadal czułam się tak, jakby ktoś ukradł mi rzepki kolanowe i z dużą ulgą przykucnęłam pod pozorem, że chcę zejść do poziomu Maksa. To głupie, że tak mnie przeraził jakiś pryszczaty gnojek ze scyzorykiem. - Pamiętasz mnie? Już się spotkaliśmy. Jestem Anna.

Ale Max odwrócił głowę i ukrył twarz w nogawce Adama.

- O co chodzi, stary? - spytał Adam, biorąc go pod brodę.

- Nie lubię tych chłopców - szepnął Max. - Przestraszyli mnie.

- Wiesz co? - powiedziałam, przełykając ślinę. - Mnie też. Nie byli grzeczni, prawda? Dobrze, że twój tatuś nas obronił.

Adam zmierzwił chłopcu włosy.

- Już dobrze - powiedział.

Potem spróbował i mnie uspokoić, ściskając moje gołe ramię. Palce miał szorstkie i budzące zaufanie. Wyobraziłam sobie, jak gładził nimi czoło chorego syna.

- Wszystko w porządku? - spytał i skinął głową w stronę numeru czterdzieści trzy. - Słuchaj, mieszkam niedaleko. Chcesz wpaść na herbatę?

Nie musiał mnie długo namawiać. Nogi miałam jak z waty i zdecydowanie musiałam gdzieś usiąść, toteż poczłapałam za Adamem i Maksem.

Max chciał własnoręcznie przekręcić klucz, więc zaczekałam, aż Adam go podniesie, żeby mógł dosięgnąć zamka.

- Przepraszam - rzucił Adam. - Jeden z naszych małych rytuałów.

Mimo woli obejrzałam się, sprawdzając, czy nikt się nie czai, ale ulica była już pusta. Tylko wielki rudy kot siedział na masce pobliskiego samochodu, liżąc się pod ogonem i piorunując mnie straszynym spojrzeniem spod wyciągniętej tylnej nogi.

Zaraz będą w domu Maksa!, pomyślałam. To zdecydowanie zrządem losu. I w dodatku nie musiałam go przypłacić torebką. Nagle poczułam dziwną wdzięczność dla czterech chuliganów, którzy mimo woli pomogli mi osiągnąć cel.

Max wreszcie zdołał otworzyć drzwi. Adam postawił go na progu.

- Zapraszam - powiedział, odsuwając się na bok. Weszłam do wąskiego korytarzyka o zszarzałych ścianach, lecz za to z jaskrawym batikiem w kolorze pomarańczy i limonkowej zieleni. Nie był specjalnie w moim guście, ale wnosił pewien chaotyczny urok. To samo można było powiedzieć o dalszej części parturu. Był utrzymany w stylu nieco lepszym od hipisowskiego - dwie hinduskie narzuty na sofach w salonie i wytarty, lecz piękny indyjski kobierzec na podłodze. Wszędzie poniewierały się zabawki, a na stole leżała gazeta, na której rozłożono warsztat malarski.

- Max i ja robimy fałszywe witraże - powiedział Adam, wskazując arkusze plastiku usmarowane farbą. - Trzeba suszyć przez dwadzieścia cztery godziny, potem to się odkleja i można nanieść na okna i różne inne rzeczy.

- Ale moje nie wyszło ładnie - wyznał Max.

Po raz pierwszy odezwał się do mnie z własnej woli. Jego słowa zabrzmiały jak muzyka.

- Dlaczego?

Wziął mnie za rękę - tak! - i pociągnął do stołu.

- Patrz. Taty jest fajne, ale moje pióro malowało krzywo i zrobiły się plamy. - Dotknął palcem farby i rozmazał ją. - Jeszcze nie wyschło! - zawołał do ojca.

- To jest śliczne - powiedziałam, usiłując się zorientować, co właściwie mają reprezentować te czerwone kleksy.

- Jabłko - wyjaśnił, rzucając mi spojrzenie z ukosa, które powiedziało, że dokładnie wie, co pomyślałam. Jest mądry, uznałam z nieuzasadnioną dumą.

Wiedziałam, że dziś zasnę, wspominając dotyk jego małej rączki. Doskonałość jego paluszków i lepki dotyk skóry uszczęśliwił mnie jak nic od bardzo dawna.

- Herbaty? - spytał Adam. - Czy wolisz coś mocniejszego, dla podreperowania nerwów. Może brandy? Albo kieliszek wina, jeśli za wcześnie na procenty? Mam w lodówce trochę białego.

- Hm... - zastanowiłam się nad drogą powrotną. Ale przecież przez jakiś czas nie będę musiała wychodzić, jeśli szczęście mi dopisze, i naprawdę byłam wstrząśnięta. - Poproszę wino, pod warunkiem, że ze mną wypijesz.

- Każdy pretekst dobry - odpowiedział, idąc do małej kuchenki. Otworzył lodówkę. - Dobrze jest mieć towarzystwo. - A potem, jakby sobie przypomniał, co mnie sprowadziło do jego domu, dodał: - Co się tam właściwie stało? Chyba nie zrobili ci krzywdy, co? Aż do dziś uważałem, że są dość nieszkodliwi. Małe gnojki.

- Tato!

Adam zasłonił usta z udawanym zawstydzeniem.

- Przepraszam, Max. Anno, zapraszam do środka. Dalej nie ma takiego piekła.

Niechętnie zostawiłam Maksa, który włączył komputer. Poszłam za Adamem.

- Nie, nie zrobili mi krzywdy. Ten scyzoryk to był tylko rekwizyt. Przypuszczam, że by go nie użyli, ale pewnie musiałabym im oddać torebkę, na wszelki wypadek. - Na myśl o stalowym błysku ostrza zrobiło mi się zimno. - Jestem ci bardzo wdzięczna - rzuciłam nagle.

- Nic wielkiego. Wiedzą, że ich znam, więc nie ośmieliliby się na nic wielkiego. Ten wysoki i ten drugi z tatuażem to bracia. Mieszkają z matką na końcu tej ulicy. Ciekawe, czy mam jej powiedzieć, czy od razu iść na policję? Tak byłoby prościej. Ta matka to niezły numer, a nie wiem, czy chce mi się z nią użerać.

Sama myśl, że Adam musiałby się przeze mnie z kimś użerać, była straszna; nie wspominając już o policyjnym przesłuchaniu, może jeszcze w jego obecności. Podać fałszywy adres jemu to jedno, a policji - całkiem co innego.

- Nie, proszę. Naprawdę, nic się nie stało. Nic mi nie zabrali. Tylko próbowali. I nie chcę rozpoczynać tej drogi przez mękę z policją. Nie chciałabym też, żeby ta kobieta robiła ci jakieś przykrości.

- Nie powinno im się upiec. Żałuję, że nie dałem im dobrego kopa na drogę.

Powiedział to z prawdziwą zaciekłością. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, że mógłby dać kopa komukolwiek, choć z pewnością wystarczyłoby mu sił. Uznałam go za wyrosniętego hipisa i dziwne mi to do niego nie pasowało.

Nalał dwa duże kieliszki wina, zakorkował butelkę i wstawił ją do lodówki.

- Zdrówko.

- Zdrówko - powiedziałam, pociągając duży łyk. - O, już lepiej.

- To szok, co? Mnie to się przydarzyło w Indiach. Dwaj faceci rzucili się na mnie z nożem, lecz byli zawodowcami, więc od razu oddałem wszystko: gotówkę, paszport, wszystko. Potem długo musiałem wszystko uzupełniać. Ale przynajmniej nic mi nie zrobili.

Przeszliśmy przez kuchnię i usiedliśmy przy małym sosnowym stole w pokoju na tyłach domu. Było tu czystiej, lecz na stole widniało mnóstwo krążków po kubkach i kieliszkach, a kiedy oparłam o niego łokieć, została na nim dziwna lepka plama. Wszystko wyglądało jak demonstracja powiedzenia o braku kobiecej ręki - a raczej o braku sprzątaczk.

- Dobrze, że się zjawiłeś - powiedziałam, usiłując dyskretnie zetrzeć plamę zwilżonym palcem. - Miałam właśnie zrobić coś, co podobno trzeba zrobić podczas napadu - rzucić torebkę jak najwyżej, bo to by ich zaskoczyło. Spojrzeliby na torebkę, a wtedy mogłabym uciec. Ale nigdy nie miałam do tego przekonania, więc cieszę się, że nie spróbowałam.

Przed oczami stanęła mi nagle, okropna wizja tego, co mogłoby się wydarzyć, gdybym to zrobiła. Moja torebka, koziółkująca pod niebo w zwolnionym tempie, sypiący się z niej deszcz przedmiotów: tampony, szminki, chusteczki, klucze, puder, wymięte listki gumy do żucia - i jeszcze gorzej: mapa z adresem Adama, dokumenty demaskujące mnie jako Annę Sozi... I wszystko to ległoby pod stopami Adama. A gdzie ja bym była? Uciekłabym w bezpieczne miejsce, ale nie miałabym dosłownie nic, a mój podstęp by się wydał.

- Właściwie im dłużej się zastanawiam, tym głupszy wydaje mi się ten pomysł. To już lepiej od razu oddać torebkę, bez żadnych wygibasów, nie? Jeśli się ją rzuci w powietrze i ucieknie, to też dostaną to, czego chcą: karty kredytowe, kluczyki i pieniądze.

Adam parsknął śmiechem. Pochylił się i podniósł zgniecioną marchewkę z podłogi pod stołem, a potem rzucił ją precyzyjnie do zlewu.

- Słusznie. Ale wydaje mi się, że chodzi raczej o spotkanie z bandytami, którzy nie chcą cię obrabować, tylko zagrażają ci z innych przyczyn. Zdecydowanie idzie o element zaskoczenia.

- Mówisz o gwałtocielach. Ale nieczęsto spotyka się gangi gwałtocieli, prawda?

- Nie, na szczęście nie. Jaka wesoła rozmowa, prawda?

Wiedziałam, co będzie dalej i bez reszty poświęciłam się oglądaniu rysunków Maksa na drzwiach lodówki za łukowatym wejściem do kuchni. Wszystkie przedstawiały ludzi, którym ręce wychodziły z głowy, a ze stóp jakieś pionowe kreski, które początkowo wzięłam za trawę, ale potem okazały się palcami. Cztery oddzielne linie, niepołączone z niczym, a potem jedno duże kółko - duży palec. I tak były lepsze od bohomasów Crystal. Przynajmniej widać było, że to ludzie.

- Co cię sprowadza w te strony? Przecież mieszkasz w Wealton?

- Oglądałam ramki - rzuciłam z największą nonszalancją, na jaką mnie było stać.

- Tak, są bardzo ładne. Sam tam zaglądam. - Na szczęście nie spytał, co zamierzam sobie oprawić. A, nic takiego, nieistniejące zdjęcia moich nienarodzonych dzieci...

- Będzie mi brakować tego projektu, gdy go ukończymy - powiedziała, żeby znowu zmienić temat.

- Wiem. Jest fajny - odpowiedział z dumą. - Firma budowlana, która remontuje przejście podziemne, chce odebrać panele w piątek. Organizuję imprezę dla wszystkich uczestników projektu. Jaka pizza czy coś. Mam nadzieję, że przyjdiesz?

- Oczywiście, bardzo chętnie - odparłam, choć nie widziałam powodów do świętowania. Akurat teraz, kiedy zdołałam poznać Maksa, wszystko się kończy.

- Tato, jeść - odezwał się Max, stając w półkolistych drzwiach. Uśmiechnął się do mnie i od razu zapragnęłam zostać tam na zawsze.

Adam poderwał się z miejsca.

- Przepraszam, skarbie, ależ ze mnie ojciec. Siedzę i piję wino, a to pora obiadowa. Paluszki rybne i spaghetti, może być?

- Może - powiedział Max, wkładając kciuk do buzi i opierając się o ścianę.

Był zmęczony i natychmiast zaczęłam się martwić. Czy wszystko z nim dobrze? Czy te sine cienie pod oczami są normalne, czy to zły znak? Adam nie zdradzał zaniepokojenia.

- Przepraszam na chwilę, muszę zrobić obiad temu biednemu dziecku - powiedział, wyciągając z piekarnika poczerniałą, zatłuszczoną grillową patelnię i pudełko z zamrażalnika, któremu bardzo przydałoby się rozmrożenie. Pudełko było obrosnięte grubą warstwą śnieżnych kryształków, więc nie sposób było poznać, co znajduje się w środku. Adam wytrząsnął pudełko nad stołem. Na blat wypadł jeden rybny paluszek i parę pomarańczowych okruchów.

- Cholera, został tylko jeden. Żyjemy rybnymi paluszkami. Kiepski ze mnie kucharz - wyznał.

Byłam przerażona. Max nie może się żywić wyłącznie paluszkami rybnymi! Potrzebuje zdrowego domowego jedzenia, bez soli i konserwantów, pełnego witamin. Musiałam się ugryźć w język, żeby nie zacząć przesłuchiwać Adama, czy daje dziecku świeże warzywa.

- Zresztą on i tak nie tknąłby nic innego - dodał Adam. - Je tylko pizzę, jajka, parówki, kurczaka i frytki, ma się rozumieć. Prawda, stary?

- I ser. I chleb. I jogurt. I biszkopty. I jabłka. I makaron - dodał Max.

Niemal identycznie jak Crystal, pomyślałam. Ale nie wyglądał na niedożywionego.

- A lubisz makaron z pomidorowym sosem? - spytałam. W głowie zaświtał mi pomysł. Crystal pożerała góry spaghetti, ale tylko z masłem i serem, „bez rzadkiego”.

Max skinął głową.

Wstałam.

- Tak się składa, że umiem robić dość paskudny sos - rzuciłam niedbale. - Chcecie? Widzę, że został tylko jeden paluszek... W ten sposób odwdzięczę się za ratunek.

- No cóż... - powiedział Adam, gładząc się po brodzie i spoglądając w sufit.

Oboje, Max i ja, wstrzymaliśmy oddech.

- Proszę, tato, proszę! Niech Anna zostanie i zrobi mi kolację!

Max zaczął skubać rękę ojca, a ja omal nie poszybowałam pod sufit na skrzydłach szczęścia.

- Kurczę, on ma dość tego, co gotujesz - zauważyłam ze śmiechem, choć jednocześnie zaliczyłam twarde lądowanie, bo zdałam

sobie sprawę, że Adam naprawdę się waha. Może źle oceniłam sytuację - a jeśli niedługo przyjdzie jego dziewczyna? Raczej się nie ucieszy na widok innej kobiety w kuchni.

- Obawiam się, że nie mamy składników - powiedział wreszcie.

- Możesz iść do sklepu!

Niech cię Bóg błogosławi, dziecko, ty mały geniuszku. Ale wtedy Adam jeszcze bardziej się speszył.

- Nie, skarbie, dopiero wróciliśmy. - Odwrócił się do mnie. - To cudowny pomysł, ale nie chcę znowu wyciągać Maksa na dwór.

Wreszcie do mnie dotarło. Nie chciał wyprowadzać Maksa, ale jeszcze bardziej nie chciał go ze mną zostawić. Dałam się ponieść. Tyle godzin marzyłam o tym, jak ich poznaję, że gdy spotkałam się z nimi naprawdę, nabrałam fałszywego poczucia bliskości. Widziałam Maksa tylko raz, a z jego ojcem spędziłam parę godzin na układaniu mozaiki. Równie dobrze mogłabym planować porwanie chłopca albo coś jeszcze gorszego.

A może po prostu nie chciał, żebym została na kolacji? Byłam rozdarta. Jeśli tak, to nie mam co proponować, że pójdę do sklepu. A jeśli tego nie zaproponuję, to i tak nie ma o czym mówić. Uznałam, że nie mam nic do stracenia - oprócz godności. Zaproponuję, że pójdę po zakupy, a jeśli odmówi, to będzie koniec.

- Chętnie wyskoczę do sklepu - oznajmiłam i wzdrygnęłam się na dźwięk własnego zdesperowanego głosu. - Oczywiście, jeśli chcesz, żebym zrobiła tę kolację.

- No, jeśli jesteś pewna... Nie chcę ci się narzucać.

- Cała przyjemność po mojej stronie, naprawdę - zapewniłam, patrząc mu w oczy, choć wołałabym, żeby to był Max. Zaryzykuj, pomyślałam, to ostatnia szansa. - Chętnie bym was obu poznała lepiej. Przy pracy nigdy nie można porozmawiać jak należy, prawda?

Czekałam, napięta do granic możliwości. Cisza ciągnęła się w nieskończoność.

W końcu Adam się uśmiechnął.

- W lodówce nie ma nic z wyjątkiem paru cebul i jakiegoś starego czosnku. Będziesz musiała kupić wszystko. Dzień zakupów jest dopiero jutro.

- Nie ma sprawy - rzuciłam. Miałam wrażenie, że unoszę się pod sufit jak balon z helem i trącam głową abażur z koralików. - Gdzie jest najbliższy sklep?

- Tesco na Shaftesbury Road.

O nie. Czy to jest na mojej mapie? Trzeba iść czy jechać? Skrzywiłam się. Czy to dziwne, że pytam o sklep?

- Przepraszam, jestem tu nowa. Przypomnij mi, gdzie jest Shaftesbury Road?

- Do końca ulicy, w prawo i jeszcze raz w prawo. Główna ulica. Piechotą idzie się pięć minut, ale na twoim miejscu wziąłbym samochód. Żeby uniknąć następnych, hm... kłopotów.

Chuligani. Zapomniałam.

- Aa! Tak.

- Mam cię odprowadzić do samochodu? Max, zostań tutaj, zaraz wracam.

I tak Adam odprowadził mnie, a ja pojechałam po zakupy dla nich, jakbym robiła to codziennie. Kiedy spojrzałam w lusterko, Adam stał na środku ulicy i wesoło machał.

Chodząc po pachnącym świeżym chlebiec Tesco, nie mogłam się otrząsnąć z hipnotycznego przeświadczenia, że to moja prawdziwa rodzina. Najpierw zrobię dla nich sos, potem ułożę Maksa do snu i usiądę z Adamem przed telewizorem. Jasna cholera, pomyślałam w euforii, świruję.

Na parkingu, rzuciwszy torbę z zakupami na przednie siedzenie, zadzwoniłam do Kena. Od razu połączyło mnie z jego pocztą głosową.

- Cześć, kochanie. Słuchaj, ktoś z tych warsztatów poprosił, żebym się zaopiekowała wieczorem jego synkiem, więc chyba wrócę bardzo późno. Wiem, że cię nie ma, ale i tak cię zawiadomię. Do zobaczenia w domu. Kocham cię. Cześć.

Potem wyłączyłam telefon i wrzuciłam go na dno torebki.

17

- Tato.

- Co?

- Wiesz, co dziś widziałem w telewizji?

Siedzieliśmy przy stole, który wytarłam znalezionej pod zlewem wyświechtaną ściereczką. Podaliśmy penne z moim wyjątkowym

sosem pomidorowym. Za oknem na skraju małego, zaniedbanego trawnika chwiało się sześć ogromnych schnących słoneczników; płomienne niegdyś głowy były brązowe i spuszczone, jak u pokonanych olbrzymów. Adam i ja piliśmy wino, Max miał plastikowy kubek rozwodnionego soku porzeczkowego. Było mi jak w niebie.

Max zeszkrobywał nożem sos z makaronu. Usiłowałam się pozbyć rozczarowanej miny, kiedy uniósł nieufnie oczyszczoną rurkę do ust. Zjadł całą fasolkę szparagową, którą przyrządziłam mu na parze, ale ledwie tknął makaron.

- Co widziałeś w telewizji, szkrabie? - Na szczęście Adam radził sobie o wiele lepiej. Prawie skończył. Mała kropla sosu spadła mu na podkoszulek. Nie zauważył jej, a zwrócenie mu uwagi wydawało się zbyt intymnym gestem.

- Widziałem, jak się robi latarnie. Zielone latarnie robi się z gorącego oleju, małych chmurek i metalu.

Adam uśmiechnął się do mnie.

- Naprawdę? Kto by pomyślał. Anno, wiedziałaś, z czego się robi zielone latarnie?

- Hmm, nie miałam pojęcia, dopóki Max mi nie powiedział. Zdumiewające.

Max skinął głową z zadowoleniem. Udało mu się znaleźć jeszcze dwie nietknięte sosem rurki, ale potem dał za wygraną.

- Najadłem się - oświadczył niepewnie. - Mogę wstać?

- Niewiele zjadłeś, na pewno się najadłeś?

Max skinął głową.

- Więc nie chcesz puddingu?

Żalodne potrząśnięcie głową.

Adam spojrział na zegarek.

- No tak. Podziękuj Annie, potem możesz przez dziesięć minut grać na komputerze, dopóki nie skończymy jeść, a potem do łóżka. Wykąpiesz się rano.

- Super! Jak jest szkoła, to wieczorem zawsze muszę się kąpać - wyjaśnił mi.

Natychmiast zaczęłam się zastanawiać, czy jego odroczone kąpiel ma coś wspólnego z moją obecnością. Jeśli tak, to dobry znak - gdyby Adam chciał mnie wypędzić, kąpiel byłaby dobrą wymówką.

- Chcesz już wrócić do szkoły?

- Tak! Już nie będę chodzić do przedszkola. Pójdę do zerówki i nie będę się musiał bawić z Aaronem White'em.

- Aaron nadal będzie w twojej klasie - wtrącił Adam. - Jutro musimy ci kupić nowy mundur. Tyle tasemek z imionami do przyszywania! - Zrobił do mnie minę, a ja musiałam się opanować z całej siły, by nie zaproponować, że je przyszyję.

- Dzięki za kolację, była przepyszna. Tylko w restauracjach jadamy tak dobrze.

Max odwrócił się do mnie i od niechcienia położył rękę na mojej nodze. Miałam ochotę ją przycisnąć, tak żeby nasze skóry się stopiły.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparłam słabo. Dawno nic mnie tak nie ucieszyło, jak dotyk Maksa i słowa Adama. Max powędrował do drugiego pokoju i po chwili usłyszałam elektroniczne crescendo komputera. Dopiliśmy wino, a Adam wyciągnął ku mnie butelkę.

- Lepiej nie. Muszę wracać do domu.

- Ale chyba nie natychmiast? Zresztą, zawsze możesz wziąć taksówkę.

Roześmiałam się i raptem urwałam, przestraszona, że pomyśli, iż się z niego wyśmiewam. Ciekawe, co by było, gdybym mu powiedziała, że podróż taksówką do mojego prawdziwego domu kosztowałaby co najmniej sto funtów. Jak z tego wybrnąć?

- No, może tylko kropelkę.

Po jednym kieliszku jeszcze mogę prowadzić. Jeśli kiedykolwiek potrzebowałam się napić, to właśnie teraz.

- Został jeszcze makaron? - spytał Adam z pełnymi ustami.

- Tak, w rondlu. - Znowu miałam ochotę się roześmiać. Byliśmy jak stare małżeństwo, które jak co dzień je kolację, a nasze dziecko bawi się w głębi domu.

Mimo to bardzo mi się to podobało. O takiej scenie marzyłam od lat: cichy urok domowego ogniska, głos dziecka, upajający komfort wdzięczności bycia potrzebną. Nawet jeśli to nie ten mężczyzna, nie ten dom i nie ta rodzina, i tak chciałam się tym rozkoszować, i to jak najdłużej. Gdyby Ken ciągle nie był w rozjazdach albo gdyby mniej się rzucało w oczy, że to on zapewnia nam byt, może czułabym się bliżej idylli, nawet pomimo ciszy naszego bezdzietnego domu. Ale z nim nigdy się tak nie czułam. Miłość nie miała z tym nic wspólnego; tu nie chodziło o miłość.

Ulżyło mi, że tak właśnie określiłam tę sytuację: nie ten mężczyzna, nie ten dom, nie ta rodzina. Byłoby o wiele gorzej, gdybym uznała, że to Ken jest nie na miejscu.

Ale to nie dotyczyło dziecka. Max był dokładnie takim dzieckiem jak trzeba.

Ciekawe, dlaczego Adam pozwolił mi zostać i przygotować kolację. Z litości? Czy był zbyt zażenowany, żeby odmówić? A może spodobałam mu się i uznał to za zachętę? Miałam nadzieję, że nie. Sytuacja była delikatna. Naprawdę się cieszyłam, że tak go lubię - w przeciwnym razie byłoby mi o wiele trudniej nawiązać więź z Maksym - ale przede wszystkim nie wolno dopuścić, by Adam uznał to za początek romansu. Pod żadnym pozorem nie chciałam, żeby ktoś ucierpiał przez tę moją szaradę.

Miałam już otworzyć usta i palnąć, że muszę jechać, bo mój partner wkrótce wróci do domu, ale nagle pomyślałam: nie, jak mogę to powiedzieć? On sądzi, że nie jestem mężatką, ale nie o małżeństwo tu chodzi. To by dziwnie zabrzmiało, gdybym powiedziała: a teraz uciekam, bo muszę przygotować następną kolację dla innego. Albo innej. Może by pomogło, gdybym udawała lesbijkę? Przynajmniej by wiedział, że na mnie nie działa.

Raptem zdałam sobie sprawę, że przygotowanie kolacji dla mężczyzny to wyjątkowo intymny gest, chyba że ten mężczyzna jest starym przyjacielem albo kuzynem. Zdecydowanie nie jest to coś, co się robi, będąc w związku z kimś innym. Zobaczyłam Maksa i natychmiast rzuciłam się na niego jak na przynętę. W innych okolicznościach nie przyszłoby mi do głowy gotować dla innego faceta. Nic dziwnego, że Adam tak się zawałał.

A teraz - o Boże, w co ja się wpakowałam? - Adam spoglądał na mnie (chyba, że bardzo się myliłam) z nieco rozmarzonym, ciepłym spojrzeniem. Oczy mu się uśmiechały, a kąciki ust podniosły. Brakowało tylko komiksowego dymku z tekstem: „Bardzo mi się podobasz”. Może wyszłam z wprawy, ale jeszcze pamiętałam, co znaczy takie spojrzenie.

- Zostaniesz dłużej, prawda? Teraz muszę położyć Maksa do łóżka, ale bardzo chciałbym z tobą pogawędzić.

Pogawędzić. Aha. Nie o pogawędkę tu chodzi, co? Spójrzcie tylko na te oczy, myślałam gorączkowo. Podobam mu się, a ponieważ zrobiłam kolację, przypuszcza, że ja też coś czuję. Jak tylko

Max pójdzie spać, zaczniemy pić wino, on puści jakieś sentymentalne pieśni i zanim się zorientuję, zaczniemy się tulić na tej hinduskiej narzucie i czekać, kto zada pierwsze nieśmiałe pytanie o metody zapobiegania ciąży. A potem, rety!, okaże się, że mam romans, którego wcale nie chciałam, z facetem, którego prawie nie znam, który mieszka prawie sto pięćdziesiąt kilometrów ode mnie i nawet mi się nie podoba. Kurczę!

Ale jeśli teraz wyjdę, akurat teraz, kiedy zaczęłam poznawać Maksa, czy będę mogła wrócić, jeśli spalę za sobą mosty? A miałam potrzebę, niemal fizyczną w swojej intensywności, żeby przeczytać Maksowi bajkę na dobranoc. Może ta szansa już się nie powtórzy, pomyślałam. Musiałam zaryzykować. Z Adamem sobie poradzę. Po prostu mu powiem, że chodzi mi tylko o przyjaźń i tyle. Proste.

Z drugiego pokoju dobiegły dziwne elektroniczne odgłosy, przypominające mi Kena i jego komórkę.

- W co gra Max? - spytałam nagle.

- Pewnie we flipera. Na razie nie idzie mu za dobrze, ale jeszcze parę tygodni i będzie zawodowcem.

- Flipper? Jak się gra we flipera na komputerze?

- Idź i popatrz, jeśli chcesz. Bardzo fajnie się gra.

Nie musiał mi dwa razy powtarzać. Omal nie przewróciłam krzesła, tak szybko się zerwałam i popędziłam przez kuchenkę do salonu, niczym srebrna kulka z flipera. Max siedział przy stole, klikając z zapamiętaniem przy akompaniamencie dźwięków, które brzmiały jak burczenie w elektronicznym żołądku.

- Aha! - krzyknął po szczególnie tryumfalnym burczeniu.

- Mogę popatrzeć? - spytałam, siadając obok niego. Skinął głową, nie odrywając oczu od ekranu.

Flipper był dokładnie taki sam jak ten, w który wiele lat grałam w pubach. Zdumiewające, że można przenieść skomplikowaną trójwymiarową grę w jeden wymiar, zachowując wierne złudzenie klekoczących dźwigni, ramp i tych trzech podobnych do grzybków figlasków na górze, od których odbija się piłeczka. Max poruszał dwoma skrzydłami na dole szybkimi uderzeniami w dwa klawisze - chyba z i ukośnik - a spacja wyzwaliała piłeczkę, ale oprócz tego wszystko było tak samo, jak w prawdziwej grze. Piłka śmigła przypadkowo tu i tam, a ja musiałam sobie przypominać, że nie jest prawdziwa.

Jak to możliwe, pomyślałam, że ktoś potrafił napisać tak skomplikowany program komputerowy, a nikt - z całego ogromnego pola badań naukowych - nie może odkryć, jak zapobiegać poronieniom? Nie wszystkie są spowodowane wadami wrodzonymi płodu, tyle już wiadomo. Nie jest to nawet tak skomplikowane jak lekarstwo na katar czy raka. Złościło mnie, że jakieś komputerowe świry latami zastanawiają się, jak zmusić głupią nieprawdziwą piłeczkę, żeby zachowywała się jak prawdziwa kulka z flipera, kiedy czeka tyle ważnych odkryć.

Maszyna wydała niskie, rozczarowane gulgotanie.

- Koniec gry. Straszny wynik - powiedział Max. - Tylko sześć cyfr. Wytężyłam wzrok.

- Nie, twój wynik to sto cztery tysiące czterysta dziewięćdziesiąt dwa punkty, wspaniale, prawda?

- To mniej niż sześć milionów?

- No... tak.

Zmarszczył brwi.

- Czyli niedobrze. Tata potrafi zdobyć sześć milionów. Chcesz spróbować?

- H m... No dobrze, spróbuję. Choć na pewno będę gorsza od ciebie.

- Mogę ci usiąść na kolanach?

Serce przestało mi bić.

- Oczywiście.

Max zsunął się na moje kolana, kościste nóżki i rączki, twarde siedzenie, tak inne od solidnego ciała Crystal. Miałam ochotę zebrać te chude kończynki i przytulić go, tak żeby dosłownie pozostał w jednym kawałku. Pachniał trocinami i szamponem, sosem pomidorowym i grafitem. Zaciśnęłam usta, z wysiłkiem powstrzymując się przed pocałowaniem jego włosów. Przez niego miałam problemy z patrzeniem w ekran - nie zdawał sobie sprawy, że zasłania mi go głową - ale wcale mi to nie przeszkadzało.

Moja pierwsza próba zakończyła się totalną klęską. Kulka śmignęła na górę ekranu, zatrzepotała bez przekonania wokół grzybków i spadła w przestrzeń między dwoma skrzydłami bramy, którą miałam kontrolować. Wynik: piętnaście tysięcy.

- Jeśli naciskasz je razem, robi się większa dziura, więc lepiej nie - pouczył mnie poważnie mój trener.

- H m m m . . . Rozumiem.

Spróbowałam jeszcze raz i poszło nieco lepiej, choć tym razem moją uwagę odwrócił Adam, który puścił Vana Morrisona, *Astral Weeks*. Zawsze to co innego niż *Sexual Healing* Marvinu Gaye, ale i tak bez wątpienia jest to muzyka robiąca nastrój. Kiedy wirtualna kulka znikła w dziurze, wywołując kakofonię zgrzytów maszyny i „hurra” Maksa, ja usiłowałam sobie przypomnieć, jaką bieliznę dzisiaj włożyłam. Choć nie miałam bynajmniej zamiaru dać się uwieść. To jakaś dziwna reakcja psa Pawłowa, pomyślałam. Jeśli otworzy jeszcze jedna butelkę wina albo - Boże, uchowaj - zapali świeczki, to będę wiedziała, że mam kłopoty. Jakiś diablik we mnie cieszył się, co usiłowałam niezwłocznie ukrócić. Co się dzieje, do cholery? Flirtujące trzydziestki, tak mówiła Vicky. Może po prostu przeżywam atak flirtujących trzydziestek: chcę wiedzieć, że nawet jako szczęśliwa mężatka jestem atrakcyjna dla innych mężczyzn.

Zerknęłam przez ramię na Adama. Schylony, zbierał książeczki do kolorowania. Mimo woli zauważyłam, że jego siedzenie w spłowiałych lewisach wygląda dość zachęcająco. Nawet bardzo zachęcająco.

Co oczywiście nie miało z niczym nic wspólnego.

Zaczyna mi odbijać. Muszę natychmiast wyjść, pomyślałam. Ale ciepło i ciężar Maksa na moich kolanach przygwoździł mnie - szczęśliwego więźnia - do krzesła. Poddaj się sytuacji, szepnęła diabełek. Później będziesz się martwić.

- Pora spać, Max - zawołał Adam. Podeszedł do nas ze szklanką mleka.

- Oooo - jęknął Max, ale natychmiast ześliznął się z moich kolan i wziął tatę za rękę.

Byłam pod wrażeniem. A gdzie fochy, jęki i błagania, gdzie dramaty, które zawsze rozpoczynały się po takim samym hasle w domu Vicky?

Vicky. Jest jeszcze w ciąży czy nie? Vicky i jej problemy wydawały się odległe o milion kilometrów od tego biednego, ciepłego domku i byłam za to wdzięczna losowi. Bycie z Adamem i Maksem traktowałam jak ucieczkę przed prawdziwym życiem; tutaj obojętniałam na wszystko, co nie dotyczyło mnie osobiście. To jak wakacje. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo potrzebuję odpoczynku od mojego życia.

- Powiedz Annie dobranoc. - Potem odwrócił się do mnie. - To potrwa z dziesięć minut, więc czuj się jak w domu. Jeśli chcesz, możesz pooglądać telewizję, pilot jest na fotelu.

- Dobranoc - powiedział posłusznie Max.

A potem puścił rękę Adama, rzucił się ku mnie i spontanicznie objął w pasie. Zakręciło mi się w głowie z wrażenia. Oddałam uścisk, niezdolna wykrztusić choć słowo. W ten sposób straciłam szansę przeczytania mu bajki na dobranoc. A zatem następnym razem, pomyślałam, machając mu ręką, kiedy odchodził z Adamem po schodach. W oczach stanęły mi łzy, wydawało mi się, że tamci dwaj odpływają.

Kiedy znikli mi z oczu, czar nagle prysł. Znalazłam się sama w tym dziwnym wąskim domku z brudną tapetą i poszarzałą boazerią. Van Morrison w tle i blask ekranu oskarżały mnie o niewierność. Miło było poczuć, że to moje miejsce na ziemi, ale to nieprawda.

Ale czy gdybym teraz odeszła, mogłabym wrócić? Max może pytałby o mnie przez jakiś czas, ale szybko o mnie zapomni - niech się tylko zacznie szkoła, pakowanie śniadań, obite kolana, zabawy i kłótnie z przyjaciółmi. Adam powie kiedyś: pamiętasz tę miłą panią Annę, która kiedyś zrobiła nam kolację? A Max zmarszczy brwi. Nie, powie. Nie pamiętam.

Zaczęłam krążyć po pokoju w stanie, który można określić jeśli niejako kompletną panikę, to zdecydowanie tremę. Zdecydowanie nigdy nie było moją mocną stroną - tata nazywał mnie Panna Nie Wiem - ale naprawdę nie wiedziałam co robić. Potem zaniepokoiłam się, że Adam usłyszy, jak wydeptuję ścieżkę w jego dywanie, więc z wysiłkiem znieruchomiałam i dla rozrywki zaczęłam myśkować po pokoju.

Na półkach otaczających brzydki kominek znajdowały się fotografie Maksa, czasem z Adamem. Znalazłam małe zdjęcie znacznie młodszego Maksa, łysiego i rozpaczliwie chorego, z chudymi kończynami i przezroczystą skórą małego inwalidy. Leżał, blado uśmiechnięty, w ramionach kobiety, którą uznałam za nieobecną matkę. Jej rozpromieniona twarz kontrastowała z wyraźnym wyniszczeniem dziecka. Była bardzo ładna, choć miała pyzatą twarz i obwisły podbródek - to jedna z tych kobiet, które wiedzą, że ich największym atutem jest uśmiech. Wyobraziłam sobie głos zaurcozonego Adama: „Masz taki piękny uśmiech...”.

- Żaden z ciebie cud - mruknęłam do fotografii. - I gdzie się teraz włóczyysz, do diabła? Nie sądzisz, że syn cię potrzebuje?

A jednak, pomyślałam, właśnie dlatego, że jej nie ma, ja mogę tu być. Więc pewnie powinnam być jej wdzięczna.

Przechyliłam głowę, odczytując tytuły książek na niższych półkach. Eklektyczna zbieranina, na widok której poczułam się nie-douczone i prymitywna: Wittgenstein, Heidegger, Goethe, Kundera. Na próżno szukałam czegoś znajomego, Marian Keyes czy Stephena Kinga. Książką najbliższą współczesnej fikcji okazał się *Inishowen* Josepha O'Connora. No, ładnie. Było też mnóstwo książek o duchowości, potwierdzających moje podejrzenia co do hipisowskich korzeni Adama: *W trosce o duszę* Tomasza Moore'a, *Wyrozumiałe anioły* Rudolfa Steinera, astrologia. A to wraz z Van Morrisonem łomoczącym w tle uświadomiło mi, że ten dom przypomina mi trochę bardziej cywilizowany pokój studenta z późnych lat siedemdziesiątych: batik, ręcznie farbowane poduszki, domorosta filozofia, nieodkurzony dywan, kaktusy w donicach, Van Morrison i - sprawdziłam - inne hipisowskie znaki firmowe, na przykład Doobie Brothers, Little Feat i Byrds na półce z płytami CD.

Trochę się zawstydyłam tej snobistycznej reakcji w rodzaju „więc to tak żyją ubodzy”. Dobrobyt zaskoczył Kena i mnie, wziął nas szturmem po regularnych premiach i awansach, i zwłaszcza po sukcesie albumu, który dwa lata temu stał się platynową płytą. Nasze domy, choć niewiele w nich zmienialiśmy, stawały się coraz większe i były położone w coraz lepszych dzielnicach. Kiedy wychodziliśmy na imprezy, spotykaliśmy się z ludźmi z tej samej lub lepszej sfery. Trochę zapomniałam, że nie wszyscy żyją tak wygodnie: dwa samochody, wydawanie lekką ręką ponad dziewięćdziesięciu funtów za kolację we dwoje, albo pięć tysięcy za dwa tygodnie na Karaibach. Choć mieliśmy środki na pobyt nad turkusowym basenem gdzieś w tropikach, Ken nigdy nie mógł się wyrwać. Za to dumnie pokazywał mi swoje czekki, a o premiach mówił jak o własnych dzieciach, jakby to nam miało je zastąpić.

Nagle zrozumiałam, że w ułamku chwili oddałabym moje życie wraz ze złotą klatką za ten mały brzydki domek z Maksym w środku. Za pieniądze nie dostanie się tego, czego najbardziej pragnę.

Na górze zaszumiła spuszczana woda, zachichotał Max i rozległy się kroki nad moją głową. Usłyszałam skrzypienie sprężyn łóżka; szelest zaciąganych zasłon, głos Adama, kojący, lecz mocny, potem cichy. Nastawiłam ucha, ale nie słyszałam nic poza monotonnym szmerem.

Aby zapomnieć o zazdrości, że to nie ja czytam Maksowi, pogrzebałam w torebce i wyjęłam komórkę. Włączyłam. Znalazłam SMS-a od Kena: MAM NADZIEJĘ ŻE NIE ZOSTANIESZ DO PÓŻNA BĘDĘ CZEKAĆ BO MAM DLA CIEBIE NIESPODZIANKĘ! CAŁUJĘ CMOK CMOK CMOK

Ogarnęły mnie wyrzuty sumienia. Znowu zmieniałam zdanie: muszę jechać. Muszę wrócić do męża, zanim sprawy wymkną się spod kontroli, Max czy nie Max. Wepchnęłam komórkę do torebki i rozejrzałam się, szukając jakiejś kartki, na której mogłabym zostawić wiadomość dla Adama. Nie wiem, czy potrafiłabym odejść, gdybym na niego spojrzała.

W tej samej chwili na schodach rozległy się kroki.

- Przepraszam, że cię fatyguję, ale mogłabyś do nas na chwilę zajrzeć? Max chce ci coś pokazać.

Rozum wyciszył głos Adama. Rozum ruszył do drzwi, wyjął kluczyki i wyszedł bez słowa. Rozum wiedział, że tak będzie najlepiej. Rozum był już w drodze do domu - kiedy zorientował się, że moje ciało ruszyło galopem po schodach i prawie staranowało Adama, by znaleźć się u boku Maksa.

- Wiesz, co umiem? Wcześniej zapomniałem ci pokazać. Słuchaj. - Max leżał z głową na poduszce, ubrany z piżamką z Bobem Budowniczym, mały aniołek. Włożył palec do buzi, wydał policzki i entuzjastycznie wydał odgłos korka wyskakującego z butelki.

- Rewelacyjnie! Ja nauczyłam się tego, kiedy byłam dużo starsza od ciebie.

- I jeszcze umiem tak...

Strzelił palcami, jakby przywoływał kelnera. I znowu wystrzelił korek.

Roześmiałam się.

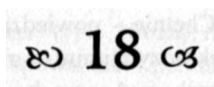
- Fantastycznie. Dziękuję za pokaz. A teraz lepiej już zaśnij. Mam ci zgasić światło?

- Proszę. Ale zostaw drzwi otwarte, bo boję się ciemności.

- Dobrze. Dobranoc.

- Dobranoc. - Położył się na boku, ściskając pod pachą pluszowego tygrysa i kręcąc w palcach pasmo włosów. Strasznie chciałam pogłaskać go po głowie, ale trzymałam się w ryzach. Jeszcze raz spojrzałam na niego - na kołdrze miał aplikację przedstawiającą zamek i smoka, a na poduszce księcia i księżniczkę - i życzyłam mu bajkowych snów. Nie mogłam się opanować i poskładałam jego ubranka. Ułożyłam je na najbliższej dostępnej powierzchni, a okazał się nią mały dziecinny keyboard w jaskrawych kolorach. Potem ułożyłam parami porozrzucane buciki i z ciężkim sercem zeszałam na ziemię i na parter.

Do mojego beznadziejnego, bezdietnego, bezsensownego życia.



Adam mnie wyprzedził. Tak, jak podejrzewałam, pospiesznie zgasił górne światło i otworzył jeszcze jedną butelkę wina. Zapalił także kręcone świece z pszczelego wosku, które cichym, lecz wyraźnym sykiem mąciły muzykę (teraz Lowell George zamiast Vana). Wino postawił na stoliku przed sofą, na której usiadł, starając się wyglądać niedbale. Wyobraziłam sobie, jak ganiał jak wariat przez te dwie minuty, zanim do niego dołączyłam, usiłując wszystko zaaranżować, a jednocześnie wyglądać spokojnie i obojętnie. Nie oszukał mnie ani przez chwilę. Był rozbajający.

Więc jednak uznał moją propozycję za początek flirtu, a ponieważ tak dobrze się dogadywaliśmy, mogliśmy sobie usiąść w blasku świec na sofie, nie dotykając się, lecz rozmawiając bardziej intymnie, na pierwszej randce, tym bardziej ekscytującej, że niespodziewanej. Zdałam sobie sprawę, że brakuje mi tego pierwszorandkowego nastroju. Wiem, że to zabrzmi źle i niewyobraźalnie niebezpiecznie, ale chciałam się poczuć jak na pierwszej randce.

- Uwielbiam tę piosenkę - powiedziałam, kiedy usłyszałam *Dwadzieścia milionów spraw*. - To Lowell George, tak? Nie mam tej płyty, ale zawsze chciałam ją kupić, właśnie ze względu na tę piosenkę.

Adam uśmiechnął się promiennie.

- Niesamowite, że ją poznałaś. Little Feat to moja ukochana grupa. - Zawahał się. - Masz ochotę na kieliszek wina?

Zatrzymał butelkę nad moim pustym kieliszkiem, jakby podkreślając gęstą atmosferę napięcia.

Bardzo chciałam zostać. Uderzające do głowy połączenie faktu, że zostałam dziś uratowana, gotowałam dla Maksa i wypłam dwa kieliszki wina, nadało temu wieczorowi różowy odcień, a to, że byłam wyraźnie atrakcyjna dla Adama, sprawiło, że i on stał się dla mnie atrakcyjny. Miał w sobie coś bardzo zachęcającego: ciepło i otwartość, miękkość, która nie budziła zagrożenia. I tak cholernie ładnie pachniał, kiedy minęłam go w drodze do pokoju Maksa. Oplatał mnie jak powój.

- Dobrze. Dziękuję. Chętnie - powiedziałam. - Ale tylko mały kieliszek. Nie chcę przekroczyć limitu, a nie mogę wracać taksówką. Jutro rano będę potrzebować samochodu.

Usiadłam, przygotowana na nieuniknione pytania, które musiały paść w prawdziwej szczerzej rozmowie. I dobrze, pomyślałam; na razie udało mi się omijać kwestię mojego życia osobistego, a gdybym dalej starała się to robić, wyglądałoby na to, że coś ukrywam. I tak jest... ale jakoś łatwiej było mi rzucić parę nieszkodliwych kłamstewek niż robić z siebie tajemniczą postać. Jeszcze by zaczął podejrzewać, że ściga mnie FBI czy coś w tym stylu.

- Na razie nie pracujesz?

Pociągnęłam łyk dobrego, chłodnego wina. Muszę wypić przed wyjściem dużo wody, zapisałam w pamięci.

- Nie. Nie pracuję już od jakiegoś czasu, chciałam zrobić sobie przerwę, a poza tym nie trafiła mi się żadna fajna propozycja. Jestem trochę przepracowana - te cholerne trasy - i czekałam na jakąś robotę w telewizji. Prawdę mówiąc, czekam na wyniki castingu do serialu. Mam nadzieję, że mi się uda. - Miałam nadzieję, zanim usłyszałam, że nic z tego... nieważne. Adam nie musi o tym wiedzieć.

- A co cię sprowadza do Gillingsbury?

Zawahałam się.

- A, wiesz, nic szczególnego. Zawsze mi się tu podobało. Chciałam się wyrwać z Londynu i zamieszkać na wsi.

Skinął głową.

- Mieszkasz w Wealton... sama?

Ponieważ dom był wytworem mojej fantazji, mogłam go zapęłnić tyloma mieszkańcami, iloma tylko chciałam. Zastanowiłam się, czy nie oznajmić, że mam już partnera, ale naga bezbronność oczu Adama zamknęła mi usta. Nigdy więcej nie zobaczyłabym Maksa, gdybym to zrobiła.

- Tak. Młoda, wolna, sama. to ja. - O Boże, to straszne. Nie wiem, co było gorsze: kłamstwo, budzenie nadziei Adama czy siedzenie z nim, kiedy powinnam być w domu z Kenem. Usiłowałam jakoś złagodzić to, co powiedziałam, ale wyszło niezręcznie i nieprzekonująco. - Chciałam odpocząć od związków. Wiesz, dać sobie czas i tak dalej. Po długiej znajomości każdy powinien przez jakiś czas побыć sam.

Zrobiłam cierpiącą minę typu „proszę, nie pytaj więcej, to zbyt boli” i pomogło. Adam spoważniał i porzucił temat.

- Opowiedz mi o swojej rodzinie. Twój rodzice żyją? - spytał.

To już łatwiejsze, pomyślałam z ulgą.

- N i e. Ojciec zmarł, kiedy miałam osiemnaście lat. Zawał... - Musiałam przełknąć to wspomnienie, twarde jak ostry kawałek orzecha, który utkwiał w gardle. - Mama później. Rak. - Mówiłam szybko, nie dając mu miejsca na wyrazy współczucia. Chciałam mówić o nich, bo to był mniej śliski temat. Te fakty były niezmiennie: nienaruszalna historia, której nie można napisać na nowo.

- Mam brata, OHy'ego. Pracuje u Johna Lewisa, ale wziął urlop, żeby pojeździć po świecie. Mam z nim dobre układy, ale nieczęsto go widuję.

- A jak zostałam aktorką?

Odetchnęłam. Znowu łatwe.

- Chyba złapałam bakcyła od matki. Była pierwszą aktorką w Harpenden A m - Dram. Tam poznała ojca. Tata nie potrafił grać ani śpiewać. Powiedział, że wstąpił tam, żeby poznawać dziewczyny. Przeważnie nosił halabardę. Podziwiał mamę - ona zawsze była w świetle reflektorów. Dawali jej najlepsze role. Uwielbiała to. - Westchnęłam. To wszystko wydarzyło się jakby w innym życiu. - Nie ucieszyła się, kiedy zaczęłam studiować aktorstwo. Powiedziała, że znacznie lepiej sprawdza się jako hobby i że przeważnie będę bez pracy.

- I miała rację?

- Tak - przyznałam z zażenowaniem i parsknęliśmy śmiechem. Ale wtedy, pomyślałam, nie byłam z tym tak pogodzona.

- Nigdy nie wiadomo. Może kiedyś będę sławna - oznajmiłam wyzywająco.

Opór mamy tylko umocnił moją decyzję. To śmieszne. Najpierw mnie chwaliła, a zaraz potem rozwiewała moje nadzieje. Ciągle zmieniała zdanie. Tak samo robiła z Ollym. Kiedy po raz pierwszy powiedział jej, że jest gejem - to było na rok przed jej śmiercią - ze zgrozy straciła mowę na tydzień. Ale potem zaczęła nieprzyzwoicie flirtować z pierwszym chłopakiem OHy'ego (a raczej z pierwszym, którego pozwolił nam poznać) i zaczęła się nim chwalić przed przyjaciółmi z A m - Dram. Ich dzieci nie były aż tak niezwykle. To najbardziej egzotyczne wydarzenie, jakie wydarzyło się ich nudnemu potomstwu od czasów, kiedy Joy, córka Harolda i Minty Handych, dostała pracę w salonie Estee Lauder w Debenhams.

- Biedna mama. Ciągle za nią tęsknię - powiedziałam. To prawda, choć nigdy nie brakowało mi jej tak, jak spokojnej, stałej obecności taty, jego cichego poczucia humoru i ciepłych uścisków. - Traktowała tatę dość niesprawiedliwie. Pogardzała jego zaletami, tradycyjnymi wartościami rodzinnymi, stoicyzmem, ciężką pracą, ale jego śmierć ją złamała. Olly i ja przez trzy lata namawialiśmy ją, żeby znów wyszła za męża, lecz tego nie zrobiła. Za to umawiała się z mnóstwem mężczyzn i uwielbiała nam o nich opowiadać. „Kochani, on był po prostu makabryczny! Twierdził, że lubi teatr, ale nie odróżniłby Ibsena od basenu! I zamoczył krawat w zupie!”

Adam parsknął śmiechem, ale patrzył na mnie ze współczuciem.

- Po śmierci ojca mama straciła radość życia - skończyłam, nagle smutna. - Przepraszam. Strasznie się rozgadałam, prawda? Jesteś dobrym słuchaczem.

- Jesteś dobrym mówcą.

- Uznam to za komplement, pozwolisz?

- Proszę bardzo. Ile miałaś lat, kiedy umarła?

- Dwadzieścia siedem. A Olly dwadzieścia cztery. Od chwili rozpoznania choroby do jej śmierci minął tylko miesiąc. Nie mogła się z tym pogodzić. Nie miała czasu.

Umarła w furii, piekąc się na wszystkich: Boga, nas, samą siebie, lekarzy, kasę chorych... To było straszne. Wtedy Lil wzięła nas troje w swoje chude silne ramiona i przeprowadziła nas przez

to. Wprowadziła się do domu mamy i zajęła się nią i nami. Mama nigdy się nie dowiedziała, ile Lil dla niej zrobiła.

- Ona nie chciała odejść. Jak wszyscy... No, opowiedz coś o sobie.

Kiedy Adam otwierał usta, zdałam sobie sprawę, jak swobodnie czuję się u niego. O wiele bardziej niż we własnym domu. Sumienie zakłuło mnie na myśl o Kenie, który już wrócił z pracy, zrobił sobie drinka i dzwoni do biura w Los Angeles, jednocześnie oglądając *EastEnders* z wyłączonym dźwiękiem. Pewnie w tej chwili zdejmuję skarpetki i zastanawia się, co sobie ugotować. Powinnam do niego zadzwonić, że już zjadłam kolację. Pomyślałam o jego SMS-ie i zaciekawiłam się, jaką niespodzianką dla mnie przygotował.

- Zanim zapomnę - powiedział Adam. - Chcesz przyjść na to przyjęcie z okazji zakończenia projektu? To nic wielkiego, pewnie piwo i curry. Albo pizza. Jeszcze nie zdecydowałem.

- Kiedy to będzie?

Odwzajemniłam jego uśmiech. Choć perspektywa przyjęcia w towarzystwie Mitcha i Ralpha niespecjalnie mnie porywała, bo nie sądziłam, żeby w życiu Ralpha został jeszcze jakiś fakt, z którego mi się nie zwierzył, a Mitch na pewno się upije snakebite'em, zawsze była to kolejna szansa na spotkanie z Adamem, a to mogło doprowadzić do kolejnego spotkania z Maksem, który - skarciłam się - jest moim głównym celem.

- Za tydzień w niedzielę. Spotkamy się jeszcze przy mozaice - trzeba ją dokończyć - czy dasz mi numer telefonu, żebym cię powiadomił?

- Nie, chcę być z wami do końca! Choć to trochę zależy od tego, czy dostanę tę pracę. Może będę musiała pojechać do Londynu na następne przesłuchanie. Pozwolisz, że wezmę twój numer i zadzwonię?

Nie był urażony, że nie dałam mu numeru. Zapisał swój flamastrzem Maksa na kawałku gazety, który oddał i podał mi. Schowałam go do bocznej kieszeni bojówek i znowu usiedliśmy na sofie.

- Max jest absolutnie cudowny - powiedziałam, spoglądając na jego fotografie.

Adam potarł brodę z zadowoloną miną.

- Dziękuję. Tak, fantastyczny dzieciak. Nie wiem, jak to możliwe, że ciągle jest taki radosny po tym, przez co przeszedł. No, ale dzieci inaczej nie potrafią, prawda? On jest po prostu naturalnie wesoły.

- Tak - zgodziłam się. - Ale to twoja zasługa. Powinieneś poznać moją córkę chrzestną Crystal. Jest tylko o parę miesięcy młodsza od Maksa, ale - rany! Jak otwiera buzię, to tylko po to, żeby się na coś poskarżyć. Jest jak czteroletnia wersja Johnny'ego Vegasa, ale śmieszna w niezamierzony sposób. Mimo to kocham ją. Uważam, że czuje się pomijana.

- Martwię się, że Max ma odwrotny problem. Kiedy był chory, wszyscy biegaliśmy wokół niego i gdyby kazał nam skoczyć z wieżowca, spytalibyśmy tylko „z którego piętra?”. Nie czuję się pokrzywdzony, uwielbiam spędzać z nim czas. Ale czasami myślę, że powinien być bardziej samodzielny.

- Myślę, że fantastycznie się nim opiekujesz - oznajmiłam z uczuciem. - Widać, że jest bardzo szczęśliwy i zrównoważony. - Zerknęłam na jego zdjęcie z matką. Miałam to pytanie na czubku języka, ale nie mogłam go zadać. Więc tylko powiedziałam: - Czas jego choroby musiał być straszny.

Ramiona Adama natychmiast stężały. Przez chwilę nic nie mówił, a kiedy wreszcie się odezwał, wpatrywał się w sufit.

- To był najgorszy czas w całym moim życiu. Przez dwa lata każdego ranka myślałem: „Nie wytrzymam dłużej”. Nie chciałem wstawać, bo nie mogłem znieść widoku mojego chorego dziecka - te wszystkie igły, rurki i maszyny. Chudł, tracił włosy i ciągle wymiotował. Nie mógł się bawić, nie mógł biegać - przez jakiś czas nawet chodzić i mówić. Był zbyt wycieńczony. To było po prostu straszne... ale musieliśmy się zgodzić, żeby lekarze zrobili to, co zrobili, bo tylko jedno było gorsze od widoku jego cierpienia: myśl, że umrze. I w jakiś dziwaczny sposób, choć to straszne, przyzwyczailiśmy się. Tak bardzo się przyzwyczaiłem do tego, co niezdrowe, że to zniosłem. Jeśli mnie rozumiesz.

Z przerażeniem patrzyłam na łzy w jego oczach i nie zauważyłam, że jedna spłynęła i po moim policzku. Przełknęłam ślinę, ale to zauważył, a wtedy uściśnął moją rękę. Nie odsunęłam się. Prawdę mówiąc, wydawało mi się całkiem naturalne, że nasze palce się splotły.

- Zdenerwowałam cię, przepraszam - powiedziałam. - Teraz... jest już zdrowy, prawda?

Chciałam to znowu usłyszeć.

Adam pokiwał głową i uśmiechnął się, nadal trzymając moją dłoń.

- Tak. Jest już zdrowy. Przepraszam, że tak to na ciebie zrzuciłem. Do końca życia to wspomnienie będzie mnie wyprowadzać z równowagi.

- Nie szkodzi.

Spojrzał mi w oczy. Poczułam nagle taką więź, że tylko odwzajemniłam jego spojrzenie bez słowa. Nagle przeszył mnie strach; podobno człowiek czuje, kiedy spotyka swoją drugą połówkę. Tak mi się wydawało, kiedy poznałam Kena - a jeśli się pomyliłam?

Potem przypomniałam sobie o czekającym w domu Kenie, o jego pociągłej, miłej, zmęczonej twarzy i zrozumiałam, że choć Adam jest mi bliski i zaczyna mi się podobać, to Kena kocham.

- Cieszę się, że cię lepiej poznałem - dodał Adam, nadal patrząc mi w oczy i trzymając za rękę.

- Ja też się cieszę, że poznałam ciebie - wymamrotałam. Czulałam się jak nastolatka. - To był cudowny wieczór. Jeszcze raz dziękuję, że mnie uratowałeś. - Odegrałam wielką scenę patrzenia na zegarek; w tym celu musiałam uwolnić rękę. Z prawdziwym przerażeniem zdałam sobie sprawę, że jest już po ósmej. - O rany boskie, muszę lecieć. Spodziewam się, hm, telefonu.

Podniosłam się z miejsca, Adam też. Staliśmy przy stoliku z niedopitym winem. Adam był o wiele wyższy ode mnie i oczywiście szerszy, ale kiedy nieśmiało się pochylił i objął mnie, jakos do siebie pasowaliśmy. Oddałam mu uścisk. Początkowo równie nieśmiało, potem z większym przekonaniem. Pierś miał ciepłą i solidną, tak inną od wąskiego torsu Kena. To Kena kochałam, ale ten uścisk i tak był wspaniały. Adam pachniał mocno i słodko. Nie ośmieliłam się oderwać policzka od jego obojczyka, bo gdybym to zrobiła, pewnie podkusiłoby mnie sprawdzić, czy jego usta są tak miękkie, jak w moich pełnych poczucia winy wyobrażeniach...

Może chodziło o nowe doznania, a może po prostu czułam prawdziwą bliskość z tym człowiekiem, bo moje ciało zareagowało tak, jak już dawno nie zachowywało się przy Kenie. Musiałam się odsunąć od Adama, żeby nie poczuł moich twardych sutków.

Poczułam się okropnie - okropnie, a jednocześnie niezwykle. Nie było to komfortowe uczucie.

- No tak, hm, jeszcze raz dzięki - wybełkotałam, łapiąc torebkę i sprawdzając, czy mam telefon.

- Zadzwoń do mnie w sprawie curry, pizzy czy tam czego. W przyszłym tygodniu powinienem już wiedzieć, co jest grane. No i powodzenia z tym serialem. - Adam uśmiechnął się i czule pogładził moje ramię. W tym jego serdecznym geście było coś rozbrajającego. - Może wkrótce się spotkamy?

Usiłowałam sobie wmówić, że zgadzam się wyłącznie dla Makska.

- Pewnie. Może zabierzemy Makska na piknik?

- **Świetnie.** Umówimy się na przyjęciu albo przez telefon. Jutro i w piątek może mnie nie być w Moose Hall, muszę zacząć planować zajęcia. Dowodzić będzie Serena.

- Dobrze. No, to do zobaczenia na przyjęciu.

- Tak. Będę czekać.

Przebiegłam przez ulicę i szybko wsiadłam do samochodu, z ulgą przekonując się, że nikt nie przeciął mi opon ani nie porysował lakieru. Adam machał do mnie od progu, ale ja rozglądałam się nerwowo, czy z zaułków nie wyłonią się jakieś przyczajone postaci. Choć po radosnym wieczorze z Maksem i Adamem wspomnienie napadu trochę zbladło. Byłam w sypialni Makska! Polubił mnie! Adam mnie polubił!... Z tego akurat nie powinnam się tak cieszyć. Przez jakiś czas się martwiłam, ale potem, pędząc ku London Road, znowu się rozchmurzyłam. Z Adamem sobie poradzę. To właściwie wspaniale, że tak się polubiliśmy. Łatwo będzie zmienić to wzajemne przyciąganie w przyjaźń; byłam pewna, że potrafię to zrobić. Tylko muszę uważać na to, co mówię, i go nie zachęcać. Czyli koniec uścisków. A szkoda. On tak dobrze potrafi przytulić.

Prawdę mówiąc, przekonywałam samą siebie, wyjeżdżając z miasta, to wszystko pewnie sprawka mojej wyobraźni. Nasz wieczór równie łatwo można zinterpretować jako początek pięknej przyjaźni. Zapewne ze zwykłej próżności uznałam, że mu się podobam.

Robiło się coraz ciemniej; żywopłoty po obu stronach drogi zaczęły się zmieniać w rosochate plamy, od czasu do czasu oświetlone reflektorami nadjeżdżających pojazdów. Nie widziałam już pięknego patchworku pól, ale świadomość, że tam jest, dodawała mi otuchy. Stopniowo nauczyłam się tego krajobrazu na pamięć, a to w jakiś sposób dało mi prawo własności do Gillingsbury, Adama i Makska. To i wspomnienie ciepłego dotyku Adama i naszego uścisku.

Nie miałam już wyrzutów sumienia. Wszystko to było dziwne i pokręcone, ale słuszne. To był wspaniały wieczór, Adam był wspaniałym mężczyzną, a Max jeszcze wspanialszym chłopcem. Zyskałam dwóch przyjaciół, i choć trzeba się będzie nagimnastykować z logistyką mojego domowego życia z Kenem i z nimi, warto to zrobić. Zrobię wszystko, żeby mi się udało.

19

- Wróciłam! - zawołałam w progu. Ramiona miałam zeszywniałe, a oczy zmęczone po zbyt szybkiej jeździe w zmierzchu. Pęcherz mi pękał, lecz byłam szczęśliwa, że jestem w domu. Podreptałam do łazienki na parterze, czekając na odpowiedź Kena, ale nie usłyszałam go.

Kiedy wyszłam, lżejsza o parę litrów, dom był cichy i mroczny. Nie powitał mnie zapach jedzenia ani szum i migotanie telewizora. Serce stanęło mi na chwilę, kiedy zobaczyłam liścik - nagryzmołony na odwrocie ulotki opartej o wazon z nadwiędłymi frezjami. Sumienie ocknęło się i znowu mnie ukąsiło. Pomyślałam, że Ken jakoś się dowiedział, że przygotowałam kolację innemu facetowi i wcale nie pilnowałam niczyjego dziecka. Opanowałam się. Chyba nie byłby tak okrutny, żeby wysyłać SMS-owe obietnice niespodzianki, gdy zamierzał mnie opuścić? Poza tym, czy właśnie nie doszłam do wniosku, że nie mam powodów do wyrzutów sumienia? U Adama do niczego nie doszło. Przytulać się można i z przyjacielem, prawda?

Rozłożyłam liścik drżącymi rękami, ale przeczytałam tylko: „Usiłowałem się dodzwonić, żeby sprawdzić, o której wrócisz”. Cholera, zapomniałam do niego zadzwonić. Choć pewnie nic nie szkodzi. Trudno byłoby mi telefonować z autostrady, udając, że siedzę w cudzym salonie przed telewizorem. „Postanowiłem zagrać w tenisa. Wracam o 21.30. Zajrzyj do pojemnika na chleb!”

Pojemnik na chleb? Może w ramach niespodzianki upiekł mi ciasteczka. To by naprawdę była niespodzianka - Ken był fantastycznym kucharzem, ale w typowy męski sposób: tylko dla efek-

tu. Potrafił przygotować fantastyczną rybę w soczewicy, ale nigdy nie widziałam, żeby upiekł coś tak przyziemnego jak ciasteczka czy naleśniki.

Podniosłam klapę pojemnika. W środku znajdowała się koperta British Airways. Ooo, pomyślałam z nagłym przypływem radości, niedawno marzyłam o wyjeździe na święta. Miałam wizję Barbadosu na Gwiazdkę lub wcześniej, może jakiejś miłej, spokojnej willi w Toskanii we wrześniu, kiedy jest jeszcze ciepło, lecz nie- zbyt upalnie. Muszę sobie kupić nowe bikini - pod warunkiem, że zrobię miliard brzuszków, poczynając od tej chwili do...

Pierwszy szok - za tydzień? Zabukował dwa bilety na Ibizę. Wy- lot w przyszłą sobotę. A co z wieczorem w Gillingsbury? Byłam tak otępiała, że nie usłyszałam, jak Ken staje za moimi plecami.

- I co sądzisz? - odezwał się. Usłyszałam wyraźnie dumę w je- go głosie, choć ze strachu omal nie wyskoczyłam ze skóry.

- Przestraszyłeś mnie - krzyknęłam, podskakując. - Cześć, ko- chanie.

Pocałowałam go, ale nie potrafiłam spojrzeć mu w oczy. Nadal był w stroju do tenisa. Ciemne włosy na jego piersi przeświecały przez wilgotną białą koszulkę, która przyłgnęła do skóry.

- Dobrze się grało?

Skinął głową i wytarł czoło skrajem koszulki.

- Tak, ale Simon mnie pobił. Nieważne. Co z wyjazdem?

Otworzyłam usta, ale minęło parę dobrych sekund, zanim wydo- byłam z siebie głos.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Wiem, wiem, na pewno myślałaś, że nie zdołam się wyrwać na dwa tygodnie. Udało mi się dodzwonić do 011y'ego - nie pytaj jak, to był koszmar. Powiedział, że zna hotel, gdzie nie kręcą się tabuny dziewcząt w białych szpilkach, a on pracuje w jednym faj- nym klubie...

- Nie wiem, czy będę mogła - wpałam mu w słowo i skrzywi- łam się na widok jego miny. Nie przywykłam do tego, że ktoś mógł- by się nie dostosować do jego planów.

- Jak to? Ile razy mi powtarzałaś, że strasznie chcesz się stąd wyrwać i że tęsknisz za bratem? Myślałam, że się ucieszysz.

Pomyślałam o Maksie, śpiącym twardo pod kołdrą z zamkiem.

- Sytuacja się zmieniła.

- Jaka sytuacja?

Rozejrzałam się po kuchni. Tutaj wszystko było bez zmian. Żadnych arcydzieł na drzwiach lodówki ani malowanych plastikowych kubków na suszarce, nie było plam po wyschniętej owsiance na stole. Jak miałam to powiedzieć Kenowi, nie sprawiając mu przykrości?

Pod żadnym pozorem nie zamierzałam rezygnować z przyjęcia u Adama - nie teraz, kiedy się zbliżyliśmy. Musiałam się z nim spotkać, żeby doprowadzić do następnego spotkania z Maksem.

- Co się zmieniło? - spytał Ken przez zaciśnięte zęby. - Zadałem sobie masę trudu, żeby to zorganizować. To nie to samo, co zarezerwować miejsce na wczasach. Musiałem napisać na adres tej skrytki pocztowej, którą twój brat podał w pocztówce - pozbaź się złudzeń, że ma przy sobie komórkę - a potem czekać, aż do mnie zadzwoni, a potem dopilnować, że znajdzie dla nas jakiś przyzwoity nocleg, a potem zarezerwować miejsca w samolocie...

Słuchałam go jednym uchem. Oczywiście musiałam polecieć na Ibizę; zobaczę się z Ollym, odpocznę z Kenem. Na pewno znajdę jakieś usprawiedliwienie, żeby Adam się nie obraził. Nie zamierza chyba zabronić mi spotkań z Maksem tylko dlatego, że nie miałam czasu na imprezę? Ken był kochany, zadając sobie tyle trudu.

Ken odwrócił się i nalał sobie szklankę soku jabłkowego z lodówki. Po jego plecach widziałam, że jest wściekły.

- Ken... - zaczęłam i niepewnie dotknęłam jego wilgotnego ramienia. - Przepraszam. - Patrząc na czarne włosy na jego karku rozumiałam, że jeśli pojedę na Ibizę, nie zobaczę Maksa przez ponad dwa tygodnie. Zanim wrócę, będzie wrzesień, on zacznie chodzić do szkoły i szanse na spotkanie z nim staną się jeszcze mizerniejsze. Czułam niemal fizyczne pragnienie, by z nim być, by chłonąć widok jego chudych, delikatnych kończyn, pławić się w jego uśmiechu. To było jak uzależnienie. Teraz, kiedy spędziłam z nim trochę czasu, nabrałam apetytu na więcej. Z nim i z Adamem... Przypomniałam sobie ten uścisk i na ramiona i nogi wystąpiła mi gęsia skórka.

- Nie mogę pojechać - wybuchłam, zaskakując siebie niemal tak samo, jak Kena - bo dostałam tę rolę. Pamiętasz?

Ken odwrócił się gwałtownie, odstawił z rozmachem szklankę i chwycił mnie za ramiona.

- Dostałaś rolę? - spytał z niedowierzaniem, a cała jego twarz się rozjaśniła. - Naprawdę? Myślałem, że Fenella się do ciebie nie odezwała, więc założyłem, że się nie udało. Dlaczego mi nie powiedziałaś, że zaprosili cię na drugi etap? Pewnie nie chciałaś kuścić losu, znam cię. Tak było?

Skinęłam głową, myśląc, że może kłamstwo będzie mniejsze, jeśli go nie wypowiem. Spróbowałam wyglądać na równie zadowoloną jak on.

- Znowu będziesz pracować! O, kochanie, to fantastycznie. I tak szybko zaczynają zdjęcia? - Zachmurzył się. - Więc nie będzie cię... ile dni w tygodniu?

- Jeszcze nie wiem - wymamrotałam, patrząc w podłogę. Jeszcze nigdy przedtem go nie okłamałam i było mi niedobrze, zwłaszcza że niedawno się go wyparłam. - Może trzy lub cztery. Ale to przecież bez różnicy, prawda? Na ogół i tak śpię, kiedy wracasz. Po prostu będziemy lepiej wykorzystywali weekendy.

Czułam się ohydnie. I byłam pewna, że zaraz się zorientuje, iż to kłamstwo.

Ken skinął głową i przytulił mnie, zawirował ze mną po kuchni. Był spocony i trochę go było czuć, ale zapach jego potu nigdy mi nie przeszkadzał.

- Jesteś najlepsza! Jestem z ciebie dumny.

- Przepraszam za ten wyjazd.

- Nie martw się. Zarezerwowałam bilety w Air Miles, więc nie straciliśmy pieniędzy. Na pewno będzie można odwołać rezerwację w hotelu, nie wpłacając całej sumy. Twój brat się rozczaruje, ale zrozumie, kiedy mu wytłumaczysz. Pojedziemy kiedy indziej, kiedy będziesz już mogła poprosić o urlop, dobrze? Olly mówi, że zostanie tam z Russem przez parę miesięcy, bo dobrze się bawią. Może Fenella zdoła zamieścić w twoim kontrakcie prawo do dwóch tygodni przed świętami. Kochanie, tak się cieszę!

- Dziękuję. Jesteś dla mnie za dobry - powiedziałam żarliwie. Uścisnęłam go, nie zważając na pot i resztę. Pocałował mnie w czubek głowy.

- Właśnie tego potrzebowałaś - może to początek wielkiej kariery, nie sądzisz?

- No cóż... - mruknęłam skromnie. - Zaangażowali tego modnego reżysera. Tego, co zrobił tę świetną reklamę dla Johna Lewisa, pamiętasz? Fenella twierdzi, że wszyscy się nim zachwycają.

- Więc będzie można cię zobaczyć na kablówce?

Kiedy udawałam, że gram rolę, okłamywanie Kena przychodziło mi łatwiej. Odrobinę. Teraz nie mogłam się już wycofać.

- Nie sądzę. Raczej nie. To pójdzie w telewizji regionalnej. Reżyser, nawet świetny, nie robi cudu. Przecież wiesz, jakie są te regionalne seriale: tandetne dekoracje i zero budżetu. I będzie szedł wczesnymi popołudniami.

- Dobrze ci płacą?

- Nieźle - około pięciuset tygodniowo.

Tu nie miałam problemów - wszystkie pieniądze, jakie zarobiłam jako aktorka (choć przez te dziesięć lat z trudem uzbierała się pięciocyfrowa suma) szły na moje prywatne konto. Ja musiałam tylko przejmować wydruki bankowe, co nie będzie trudne, bo Kena nigdy nie było w domu w porze roznoszenia poczty.

- Fantastycznie! Powiększysz nasze oszczędności. Wiesz, powinnaś sobie kupić nowy samochód. Już pora, żebyśmy zmienili tego twojego gruchota.

Skinęłam głowę i przełknęłam ślinę. Czułam się, jakbym kopała dziurę w piasku. W pierwszej chwili będzie mi w niej dobrze, chłodno i wilgotno, ale wcześniej czy później kryjówka zrobi się nieprzyjemna, zimna i mokra; będę chciała wyjść, lecz ściany zaczną się osypywać...

Potem pomyślałam o Maksie i poczułam przypływ czystej radości, bo właśnie zyskałam prawo do przebywania z nim, jeśli tylko Adam mi pozwoli. Musiałam jedynie opowiedzieć mu to samo kłamstwo, a wtedy żaden z nich, Adam ani Ken, nie będą mi mieli za złe przeciągającej się nieobecności. Kłamstwo to stan umysłu, tak jak pewność siebie, pomyślałam. Tylko trzeba być twardym i nie okazywać wahania.

Nie było sensu martwić się konsekwencjami, dopóki - jeśli - nie stanie się to konieczne. Jeśli nie pozwolę sobie na nic z Adamem, nie będę się musiała tłumaczyć Kenowi. Ken to na pewno zrozumie. Może nawet kupimy drugi dom w Gillingsbury - prawdziwy. Do tego czasu tak się zaprzyjaźnię z Adamem, że przestanie mnie uważać

za potencjalną dziewczynę. Adam i Ken też się mogą zaprzyjaźnić. Może Adam pozwoli nam zabierać Maksa na wakacje...

- Powiedziałaś już Vicky?

Vicky. Ciekawe, co u niej. Może dobrze, że przestałyśmy ze sobą rozmawiać. Ze wszystkich ludzi na świecie najtrudniej byłoby mi oszukać właśnie ją. Ken nie spodziewał się, że go okłamię. Adam nie znał mnie na tyle, żeby się zorientować, ale Vicky połąpie się od pierwszej chwili.

- Nie. Pokłóciłyśmy się, pamiętasz?

- Powinnyście się pogodzić. Ucieszy się.

Westchnęłam.

- Nie sądzę. Ma taki żal, że utknęła w domu z dziećmi, że jeśli się dowie o mojej roli w serialu, nawet kiepskim, poczuje się jeszcze gorzej.

- No, wszystko zależy od ciebie. Ale życie jest za krótkie na takie kłótnie.

Ken wyplątał się z moich objęć i popędził do półki z winami w salonie.

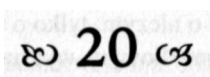
- To wyjątkowa okazja! - oznajmił, niosąc zakurzoną butelkę szampana. - Włóż go do zamrażalnika na dwadzieścia minut, a ja się szybko wykąpię. Potem będziemy świętować? To ten, który zachowaliśmy na specjalne okazje.

Podał mi butelkę i pobiegł po schodach. Od miesiący nie wiedziałam, żeby się tak cieszył.

Czułam się strasznie - a potem spojrzałam na etykietkę szampana. To był stary moet, butelka, którą dostaliśmy w dniu ślubu i zawsze mówiliśmy, że zachowamy ją na wyjątkowe okazje. Mijały urodziny, rocznice i święta, ale nic nie wydawało się jej godne. Przynajmniej do piątego miesiąca ciąży, kiedy zaczęliśmy się uspokajać i wierzyć, że wyszliśmy na prostą, że to dziecko z nami zostanie. W dziewiątym miesiącu podeszłam kaczkowatym krokiem do półki z winami, wzięłam szampana i włożyłam do zamrażalnika. Kiedy w salonie napełniano basen, w którym miałam rodzić, Ken starannie postawił dwa kieliszki do szampana na tacy, żeby czekały. Ten obrazek stoi mi przed oczami jak stop-klatka.

Nie potrafię sobie przypomnieć, kto wyjął butelkę z lodówki, odstawił na półkę, a kieliszki zaniósł do kredensu. Ktoś to musiał zrobić. Może nawet ja.

Skuliłam się na stołku, tuląc butelkę do piersi. Może to przez ręce, śliskie od zimnego potu winowajcy, a może przez wspomnienie tego straszego dnia, zanim się zorientowałam, szampan wysliznął mi się z palców i upadł na terakotową podłogę. Rozległ się dramatyczny trzask, szampan zapienił się dziko u moich stóp, grzechocząc odłamkami szkła, a ja siedziałam, zmrożona zgrozą, że musiałam tak strasznie okłamać mojego męża. Kiedy Ken wpadł do kuchni, pewnie pomyślał, że płaczę nad utraconą cenną butelką.



W środku piekła szklanych odłamków i bąbelków, syczących i pękających na podłodze, rozległo się pukanie do drzwi.

- Co znowu? - jęknął Ken, wrzucając do kosza szufelkę zielonego szkła. Ja wycierałam z podłogi moje łzy zmieszane z szampanem. - Cholera, już prawie dziesiąta - wymamrotał, przeczesując mokre włosy, które się zjeżyły.

Wielkimi krokami podszedł do drzwi.

- O, cześć - usłyszałam jego niezbyt zachwycony głos. - Mamy w kuchni małą katastrofę, ale wejdź.

Pospiesznie spojrzałam na swoje odbicie w drzwiach mikrofalówki, żeby sprawdzić, czy nie rozmazał się tusz.

- Przyszedł Peter - oznajmił Ken w drzwiach. Nie udało mu się wykrzesać z siebie ani odrobiny zadowolenia.

- Peter? Cześć. Wejdź. Wszystko w porządku?

Peter ostrożnie stanął na suchej części podłogi. Był jeszcze bardziej spocony od Kena, choć nie nosił sportowego ubrania, a o ile wiem, jego jedynym ćwiczeniem fizycznym było podnoszenie kufła. Vicky często mówiła o nim z dumą, że jest „trochę prymitywny”. Na pewno miał wielkie mięśnie i wydatną szczękę, co w połączeniu z piwnym brzuszkiem i krzaczastymi rudymi włosami nadawało mu, moim zdaniem, dziwny i groźny wygląd. W tych rzadkich wypadkach, kiedy widziałam go z Patem na rękach, wyglądał jak ochroniarz wyrzucający małego rozrabiakę z dyskoteki dla oseków.

Jednak - zapominając o jego wyglądzie - wiedziałam, że kocha Vicky i tylko to się liczyło. Szkoda, że nie potrafiłam mu grzecznie dać do zrozumienia, że najlepszym sposobem wyrażenia miłości będzie rzadsze chodzenie do pubów i częstsze wstawanie do Pata. Ale pub liczył się dla niego najbardziej. Zwłaszcza kiedy dawali mecz w telewizji.

Vicky i ja omal nie umarliśmy ze śmiechu, kiedy opowiedziała mi, co powiedział do niej kiedyś w pubie, w początkach ich znajomości. Peter był wtedy pijany z miłości i nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu - do tego stopnia, że z własnej woli usiadł tyłem do telewizora podczas meczu.

- Nie potrafię myśleć o niczym, tylko o tobie - oznajmił dramatycznie, po czym, z komediowym wyczuciem efektu, zerwał się z krzesła, odwrócił, podskoczył i wraz z trzydziestoma innymi samcami wrzasnął:

- Gooooool!

Otworzyłam butelkę piwa i podałam mu bez pytania. Dziwnie było go zobaczyć bez Vicky.

- Dzięki - powiedział, bardzo podejrzliwie przyglądając się mnie i mokrej podłodze. - A to co?

- Anna dostała pracę! - oznajmił Ken, ściskając mnie w talii. - Mieliśmy to uczcić, ale szampan poszedł za burtę. Otwórzmy wino, co? - Wyjął z szafki dwa duże kieliszki i otworzył butelkę białego wina, zawsze obecną na drzwiach lodówki.

- Gratulacje - rzucił Peter, nie pytając, co to za praca. - Nie za bardzo się cieszysz, co? - Oparł się o stół, a ja poczułam ściskanie w gardle.

- A co u Vicky? - spytałam z maksymalną życzliwością.

- Właśnie dlatego przyszedłem.

- Naprawdę?

Ken stanął za plecami Petera, zrobił zeza i zacisnął sobie na szyi obie ręce, jakby chciał się udusić.

- Właśnie nopuszczam sobie wody do wanny, więc przepraszam na chwilę. Wykąpię się i zaraz wracam - powiedział do Petera. - Grałem w tenisa i społem się jak świnia.

Wyszedł z winem, zanim któreś z nas zdążyło coś powiedzieć. Jak na człowieka, który w pracy codziennie rozwiązuje potężne kryzysy, miał zadziwiającą wprawę w unikaniu ich w domu.

- Chodź, usiądziemy - powiedziałam niechętnie i rzuciłam suchą ścierkę na podłogę, żeby wchłonęła resztę wilgoci. Szampan już zaczął kwaśno pachnieć, a kiedy sobie uprzytomniłam, co oznacza to zbite szkło i bladobursztynowy płyn, znowu zapiekły mnie oczy. Nie miałam ochoty rozmawiać z Kudłatym Pietrzykiem o Vicky, ale przynajmniej mogłam w ten sposób odwrócić uwagę od moich marzeń, rozbitych na kawałki tak jak ta butelka. Nie wspominając już o kłamstwach.

- To co u Vicky? - spytałam z wahaniem.

Peter tylko spojrział na mnie i bezradnie wzruszył ramionami.

- Niedobrze.

- Jest chora?

- Hm. Nie. Może. Chodzi wcześniej spać i nie wygląda dobrze, ale wiesz, może to dlatego, że jest taka smutna.

Miałam ochotę dzielić go w łeb. Na miłość boską, pomyślałam, to trzecia ciąża Vicky, mógłbyś się już nauczyć rozpoznawać symptomy. Jak można być takim tępakiem? Ken potrafił obliczyć termin mojej miesiączki z dokładnością do trzech dni, Adam na pewno potrafił to samo, zanim zostawiła go ta pyzata żona...

- Więc... przyszedłem powiedzieć, że Vicky ma teraz mnóstwo na głowie, zajmuje się dziećmi, a wiesz, że Pat był w szpitalu z infekcją dróg moczowych...

- Co? Jak długo? Czy już w porządku? - podskoczyłam. Ręce same mi się wyciągały po telefon, żeby zadzwonić do Vicky i spytać, czy wszystko dobrze. Pat nie po raz pierwszy znalazł się w szpitalu - miał siedem miesięcy, kiedy trafił tam z podejrzeniem zapalenia płuc. Vicky i ja płakałyśmy do zawrotu głowy, kiedy leżał na wielkim łóżku pod ścianą malowaną w kolorowe balony i misie i walczył o każdy oddech. To było straszne.

- Teraz już dobrze. Zatrzymali go na jeden dzień. Antybiotyki pomogły. Ale wiesz, było źle. Musiałem zamknąć wcześniej warsztat i w ogóle.

- Więc co mogę zrobić?

Peter osuszył szklanke, jakby dla kurażu.

- Możesz przeprosić.

Głos miał zimny.

- Co? Za co?

- Za to, co ją tak załamało.

Zamilkłam, oszołomiona, usiłując znaleźć najlepszą reakcję. Z kominka dobiegł jakiś hałas, który wystraszył nas oboje. Na palenisko posypał się deszcz popiołu i małych kamyczków. Rozległo się spanikowane gruchanie.

- Gołąb - odezwałam się. - Utknął w kominie.

- Zapal ogień - rzucił Peter obojętnie. - Wykurz drania.

Wielkie dzięki, pomyślałam. Świetny pomysł. W życiu by mu nie przyszło do głowy, co czuje taki gołąb, uwięziony w ciemnym, dusznym miejscu, niewiedzący, gdzie góra, a gdzie dół. Gołąb z moich wyobrażeń miał twarz Vicky; żalosne drapanie pazurków nieznośnie szarpało mi nerwy.

- Próbowałam ją przeprosić - rzuciłam gwałtownie. - Nie dlatego, że zawiniłam - prawda zawsze leży po obu stronach, wiesz, i nie sądzę, żeby którakolwiek z nas była jakoś specjalnie winna. Ale Vicky nie chce słuchać. Nie mogę nic zrobić, jeśli ze mną nie pogada.

Peter rzucił mi spojrzenie mówiące „to ją błagaj”, a gołąb zaskrzeczał.

- Spróbuję z nią porozmawiać jeszcze raz - obiecałam. - Ale szczerze mówiąc, uważam, że to z tobą powinna porozmawiać.

- Ze mną? - spytał z najwyższym zdumieniem. - A co ja mam z tym wspólnego?

Zmusiłam się, żeby usiąść obok niego na sofie, choć nie starczyło mi już siły woli, żeby dotknąć jego ramienia. Śmieszne, pomyślałam, tak trudno było mi się odsunąć od Adama, który jest podobnej budowy i wieku, i którego znam o wiele mniej niż Petera. Pociąg fizyczny to dziwny, nieprzewidywalny zwierz. Ciekawe, co by Vicky pomyślała o Adamie, kiedy... gdyby go spotkała. Czy obudziłby w niej ten sam odruch niechęci, co Peter we mnie?

- Słuchaj - powiedziałam. - Mam nadzieję, że się nie obrazisz, ale przyszedłeś tutaj chyba dlatego, żebym pomogła?

Peter wyglądał, jakby miał ochotę udać, że nie usłyszał. Skinął niechętnie głową.

- Szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby Vicky była smutna przez naszą kłótnię. Na pewno to jej nie poprawiło humoru, jednak chodzi o coś więcej.

- O co? Chyba nie jest chora?

Słowa „jest w ciąży, debilu” zatańczyły mi na końcu języka jak bąbelki szampana. Musiałam mocno zacisnąć usta, żeby ich nie

wypuścić. Gdybym powiedziała Peterowi, to byłby koniec między mną i Vicky. Całkiem zwyczajnie nie odezwałaby się do mnie do końca życia.

Ale może powinnam mu jednak powiedzieć, pomyślałam w naglej panice, miotając się jak ten uwięziony gołąb. Może trzeba poświęcić przyjaźń, żeby ratować życie. Peter nigdy nie pozwoliłby jej na aborcję. Gdybym mu powiedziała, to byłby koniec dyskusji. Vicky i Peter mieliby troje dzieci, a za dziesięć lat, kiedy Crystal wyrośnie z kapryszka, Pat zmężnieje, a nowe dziecko będzie radosnym dziewięciolatkiem - Vicky podziękuje mi za to. „Nie mogę sobie wyobrazić, że miałyby ich nie być”, powie ciepło, patrząc na swoją gromadkę.

Choć, z drugiej strony, za dziesięć lat Crystal może - nomen omen - uzależnić się od krystalicznego metylanu i mieszkać z jakimś nastoletnim wykolejeńcem. Pat może być jeszcze bardziej chory, a nowe dziecko okaże się bliźniakami lub trojaczkami albo będzie niepełnosprawne, i życie Vicky legnie w gruzach. A może już usunęła ciążę i Peter rozwiedzie się z nią za to, że mu nie powiedziała, i jej życie kompletnie się posypie...

O, to niesprawiedliwe. To potworna odpowiedzialność. Tak źle, i tak niedobrze.

- No więc?

- Nie, nie jest chora, przynajmniej nic o tym nie wiem - odezwałam się w końcu. - Ale w tej chwili wszystko jest dla niej trudne.

Peter pociągnął nosem i wytarł go ręką.

- Dzieci w ogóle są nieznośne, a już zwłaszcza nasze małe gnojki. Kocham je jak wariat, ale potrafią doprowadzić do szału.

- Vicky ciężko znosi to, że jest z nimi zamknięta w domu. Tęskni za pracą.

- Crystal jest codziennie w przedszkolu.

- Tak, lecz tylko w czasie roku szkolnego i tylko rano. Nie pójdzie do szkoły aż do Bożego Narodzenia, prawda? A kiedy przychodzi do domu, jest zmęczona i nie chce spać popołudniami.

- No, ale tak to już jest. Czego Vicky chce, żebym rzucił pracę?

- Nie, na pewno nie. Ale byłoby dobrze, gdybyś... - O do diabła, jak mam to ująć? - Gdybyś może znalazł jakiś sposób, żeby troszkę bardziej pomagać jej przy dzieciach... Gdyby miała trochę

czasu dla siebie w tygodniu? Albo gdybyś czasem wstawał do Pata? Wiem, jaka jest Vicky, kiedy się nie wysypia, a zawsze potrzeba jej dużo snu, prawda? Na pewno po dwóch przespanych nocach byłaby zupełnie inna.

- To co mam zrobić? Wyhodować sobie cycki i karmić Pata?

Z trudem zachowałam spokój. Podziękowałam moim szczęśliwym gwiazdom, że pozwoliły mi poślubić wrażliwego, dobrego Kena.

- Nie. Ale mógłbyś ją namówić, żeby odstawiła go od piersi. Zresztą, wtedy i on będzie lepiej spać.

Peter wyciągał piórka z naszych poduszek na sofie, upuszczał je i przyglądał się ich lotowi. Początkowo tylko łagodnie wyjmował ich wystające koniuszki, ale teraz dosłownie je wyszarpywał. Przedtem czułam do niego nieokreśloną, lecz grzecznie powstrzymany antypatię. Teraz uznałam, że go szczerze nie znoszę. Sądząc z jego spojrzenia, moje uczucie było w pełni odwzajemnione.

Brnęłam dalej.

- Albo może zaangażujecie opiekunkę, może na dwa, trzy dni tygodniowo? Kogoś, kto weźmie Pata i odbierze Crystal z przedszkola, żeby Vicky miała trochę czasu tylko dla siebie.

- Nie stać mnie.

- To się może opłacić - tłumaczyłam łagodnie. - Naprawdę, ona tego potrzebuje.

- Nie - stać - mnie. Jestem stolarzem z własną firmą, nie bankowcem. - Wstał, zostawiając w sofie wgłębienie w kształcie tyłka. - Dobra, to już pójdę. Myślałam, że się pogodzicie i Vicky znowu będzie szczęśliwa. Ale skoro nie chcesz...

Ja też się zerwałam. No naprawdę, są granice.

- Peter, powiedziałam ci, że już się z nią chciałam pogodzić, ale mnie nie słuchała! Powiedziałam też, że spróbuję jeszcze raz, lecz to wszystko, co mogę zrobić. Ja też się martwię, że jest w takim stanie, i to tak samo jak ty.

Skinął mi głową, wymamrotał: - No to dzięki, na razie, sam trafię do wyjścia - i poszedł.

Zdarłam poduchę z sofy i ze zdławionym krzykiem cisnęłam nią o ścianę. Wyfrunęło z niej więcej piórek; gołąb w kominku zatrzepotał z nadzieją, najwyraźniej sądząc, że pomoc jest już blisko. Nic z tego - jemu także nie potrafiłam pomóc.

Uniosłam rąbek tiulowej firanki i patrzyłam, jak Peter znika w mroku. Był jednym z tych mężczyzn, którzy - choć i tak masywni - z jakiegoś powodu noszą portfel w tylnej kieszeni spodni, przez co ich tyłek wydaje się nie tylko za duży, ale jeszcze niekształcony. Przyglądałam się mu z mieszaniną ulgi - że moim mężem jest Ken - i nowych wyrzutów sumienia, bo po niespodziewanej przerwie, jaką była jego wizyta, musiałam wrócić do okłamywania człowieka, którego kocham.

Zanim poszłam na górę, przez jakiś czas stałam z głową opartą o ścianę w korytarzu. Powtarzałam sobie, że stać mnie na to, potrafię okłamać Kena, bo nie robię tego z niegodnych pobudek. Nie chcę go zdradzić ani zrobić nic, co by go zabolowało. Bo dlaczego miałby mieć coś przeciwko moim odwiedzinom u małego chłopca, którego uratowałam?

To mu powiedz prawdę, warknęło moje sumienie.

Ale tego także nie mogłam zrobić, bo byłby wściekły, że chcę zepsuć wakacje, które zorganizował z takim trudem - a także, że go oszukałam. Ponadto musiałam przyznać: wygodnie było go przekonać, że pracuję. Mógłby nie zrozumieć, dlaczego spędzam tak dużo czasu - miałam nadzieję - z innym mężczyzną.

Zresztą on także mnie czasem oszukiwał, pomyślałam defensywnie. Często mętnie wyjaśniał, dlaczego musiał pracować do późna. Kiedy to mówił, widziałam, jak siedzi przykuty do biurka, zmęczony i samotny w pustym biurze, po którym snuje się tylko sprzątaczką. Tymczasem kiedy pytałam, dlaczego cuchnie dymem albo wraca tak późno, często okazywało się, że „praca do późna” oznacza kolację w restauracji z kilkoma koleżankami. Teraz uznałam, że to mogło oznaczać: z jedną atrakcyjną koleżanką.

Jęknęłam mimowolnie, nadal oparta o brudną ścianę w kolorze magnolii. Moja prywatna Ściana Płaczu. Ciekawe, czy gdybym napisała modlitwę i wepchnęła ją pod dywan - taka przenośnia wsunięcia jej pomiędzy starożytne cegły prawdziwej ściany w Jeruzolimie - ciśnienie w mojej głowie by ustąpiło, jak po mentalnej

trepanacji? Ale o co miałabym się modlić? O odwagę, by powiedzieć prawdę, czy o siłę, by dalej kłamać?

- Co ty tam robisz? - Ken pojawił się u szczytu schodów, przepasany ręcznikiem. Włoski na nogach były mokre i przyлизane jak kręgi w zbożu.

Podskoczyłam i niechcący walnęłam głową w ścianę.

- A u ! Nic. Biję głową w ścianę. Peter jest straszny. Nie rozumiem, dlaczego Vicky się z nim nie rozwiedzie. Nawet nie zauważył, że jest...

Urwałam w ostatniej chwili. Do diabła, muszę nad sobą bardziej panować. Cięża Vicky powinna być najłatwiejszym do ukrycia spomiędzy moich licznych sekretów.

- Nieważne - dokończyłam. - Na pewno nie interesują cię zawirowania ich małżeńskiego życia.

- Zgadza się. Mamy ważniejsze rzeczy do przedyskutowania. - Zszedł, zamknął mnie w objęciach, a ja z ulgą poczułam zapach jego cieplej mokrej piersi.

- Naprawdę? - spytałam. W porównaniu z Adamem był strasznie żylasty. Wykopałam tę durną myśl. No co? Muszę ich wszystkich porównywać? Adama z Kenem, Petera z Adamem, Kena z Adamem, jakby Adam był jakimś wzorcem męskości? A w ogóle, co Adam ma z tym wszystkim wspólnego, z wyjątkiem tego, że jest ojcem Maksa?

- Tak. Na przykład, skoro nie możemy się spotkać z twoim bratem, to kiedy pojedziemy na wakacje? I dokąd? Szczerze mówiąc, ta twoja praca wyratowała mnie z opresji. Zabukowałam te bilety, a wtedy Christian oznajmił, że organizuje konferencję w Azji Południowo - Wschodniej i oczywiście mam tam przemawiać. Odmówiłem, nie ucieszył się specjalnie, więc teraz...

- No. To się ładnie rozwiązało.

Delikatnie odsunął mnie, żeby sprawdzić, czy mówię to sarkastycznie. Uspokojony, znowu mnie przytulił.

- Przepraszam, że tak często mnie nie ma.

- Przepraszam, że mnie także nie będzie - powiedziałam serdecznie. - Choć może tak będzie nam łatwiej. Ty będziesz sobie podróżować po świecie bez wyrzutów sumienia, wiedząc, że mnie nie ma w domu. I bardzo dobrze wykorzystamy czas, który spędzimy wspólnie. Zresztą, będą jeszcze inne miejsca, gdzie zgo-

dzisz się spędzić wakacje. Skoro mowa o dobrym wykorzystywaniu czasu... - dodałam jeszcze, całując go.

Odgarnął mi grzywkę w oczu, objął twarz i pocałował moje oczy. Usiłowałam go pociągnąć na schody, ale sprzeciwił się, śmiejąc się z zażenowaniem.

- No, kochanie - szepnęłam kusząco i wsunęłam mu rękę pod ręcznik. Zawsze podobali mi się faceci mający na sobie tylko ręcznik, a schody były kiedyś naszym ulubionym miejscem do uprawiania seksu. Fantastyczne nachylenie.

Ale Ken zgrabnie się wymknął i ziewnął rozdzierająco.

- Lepiej nie, kochanie. Jestem wykończony. A jutro wesoly dzionek. Robi się późno...

- Nie szkodzi - powiedziałam, pocałowałam go czule w usta, co przyszło mi z trudem, a potem chwyciłam się balustrady i dźwignęłam na nogi. Wróciłam do salonu i włączyłam telewizor. Akurat dawali *Seks w wielkim mieście*. To mi musi wystarczyć.

Ken wyszedł do pracy, zanim się obudziłam. Był śliczny letni poranek; śpiew ptaków i plamki słońca pod drzewami wywabiły mnie do ogrodu, jeszcze w piżamie, z miseczką płatków w jednej i telefonem w drugiej ręce. Zamierzałam zadzwonić do Vicky, ale nie czułam się na siłach zrobić tego o pustym żołądku, więc usiadłam na schodkach przed zarośniętym trawnikiem i najpierw zaczęłam jeść. Szczękanie łyżeczki o porcelanę stanowiło perkusyjny akompaniament dla ćwierkania kosa w żywopłocie. Na drugim końcu trawnika przysiadła wiewiórka, mierząca moje płatki zawistnym spojrzeniem.

Gdybym naprawdę dostała rolę w serialu, pomyślałam, pewnie nie miałabym na to czasu. Obudziłabym się w jakimś ponurym lokum, z nylonową pościelą i odświeżaczem powietrza, z gospodynią, która mnie kontroluje i narzeka, jeśli zapomnę zamknąć tylną bramę. Gorączkowo kułabym tekst - nigdy nie przychodziło mi to z łatwością - i martwiłabym się, że po każdym biszkopcie kamera doda mi pięć kilo.

O wiele milej pracować na niby, naprawdę. Biszkoptów ile się chce, czasu ile się chce... Tłumaczyłam sobie, że mam szczęście, bo nie mam pracy. A jednak lepiej, żebym już teraz zaczęła myśleć tak, jakbym naprawdę pracowała. Muszę ustalić, jak będę się

uczyć tekstu i co powiem ludziom o tym serialu. Trzeba będzie to wszystko porządnie zaplanować.

Odchyliłam głowę i przez parę minut chłonełam słońce, pulsujące oranżem pod powiekami. Udawałam baterię słoneczną. Później zastanowię się nad planem. Na razie muszę zebrać siły, żeby rozmówić się z moją najdawniejszą przyjaciółką.

Wreszcie, usiłując wydobyć językiem resztki płatków spomiędzy zębów, zebrałam się na odwagę i wybrałam numer Vicky. Odebrała po dwóch sygnałach i musiałam szybko wyzwolić język, zanim zdołałam przemówić.

- To ja. Proszę cię, nie odkładaj słuchawki.

- Czego chcesz?

Westchnęłam. Czyli nie zamierza mi nic ułatwić.

- Tylko sprawdzić, jak się czujesz.

- Czyli czy jestem w ciąży?

- Między innymi. Bardziej sprawdzić, czy jeszcze nadal ze mną nie rozmawiasz.

- N i e .

Serce mi zatrzepotało, a każde źdźbło trawy nagle zrobiło się bardzo wyraźne. Chyba podskoczyłam, bo wiewiórka uciekła na drzewo. Więc jednak to zrobiła!

- Nie... jesteś...?

- Nadal z tobą nie rozmawiam. Nadal jestem w ciąży.

Ogromna ulga. Ku własnemu zaskoczeniu zaczęłam płakać. Więc ładowanie słoneczną energią nie pomogło.

- Czego ryczysz? - Mówiła szorstko, ale słyszałam troskę. - Coś się stało?

Nie mogłam mówić. Usiłowałam oddychać równo, ale powietrze uchodziło ze mnie spazmatycznie.

- Tęsknię za tobą i martwię się, to wszystko. Nie możesz o tym zapomnieć? To twoje życie. Musisz robić to, co dla ciebie najlepsze. Przepraszam, jeśli wtrąciłam się w nie swoje sprawy.

Zapadło bardzo długie milczenie. W tle słyszałam podśpiewującego Pata oraz melodyjki z kreskówek.

- Ja też tęsknię. I wiem, dlaczego tak ostro reagujesz.

- Wczoraj był tu Peter - powiedziałam z odrobiną ulgi, ale i tak czułam się, jakbym chodziła po polu minowym.

- Czego chciał? - przestraszyła się.

- Martwi się o ciebie.
- Chyba mu nie powiedziałaś?
- Oczywiście że nie. Choć nie mogę uwierzyć, że sam się nie domyślił. Ile to tygodni?

- Osiem i pół. Może dziewięć. To co mu powiedziałaś?

Przełknęłam zazdrość o tę nonszalancję. Nawet nie wiedziała dokładnie, w którym jest tygodniu! Ja przy każdej ciąży czekałam na tak zwany „bezpieczny” dwunasty tydzień, odliczając dni, a właściwie godziny. Nigdy do niego nie doczekałam - tylko raz, z Holly...

- Myślał, że zamartwiasz się naszą kłótnią. Powiedziałam, że raczej to przez zmęczenie i napięcie, bo sama musisz się zajmować dziećmi. Zaproponowałam, żeby znalazł jakąś opiekunkę. Albo sam ci pomógł.

- A. Aha. Dzięki. Na pewno to kupił.

- Proszę bardzo. Ale nie sądzę, żeby twój mąż za mną przepadał... Więc postanowiłaś urodzić? - Nie mogłam dłużej powstrzymać tego pytania.

Vicky cmoknęła ze zniecierpliwieniem.

- Tego nie powiedziałam, prawda?

- Przepraszam. Ale nadal jesteś w ciąży.

- Tak. Głównie dlatego, że przeważnie nie mam czasu się umalować, a co dopiero zaaranżować duży zabieg chirurgiczny bez wiedzy mojego męża.

Przygryzłam wargę aż do krwi. Nie lubiłam Petera, ale miał prawo się dowiedzieć. Tylko że nie odważyłam się powiedzieć tego Vicky. Na szczęście postanowiła zmienić temat.

- Co robiłaś przez te tygodnie?

Nagle dotarło do mnie, w co się wpakowałam. To jakieś szaleństwo: ja, która przez lata zasypywałam Vicky najmniejszymi szczegółami mojego życia i uczuć, czy tego chciała, czy nie, teraz stanęłam przed wyborem: albo stanę się kimś kompletnie innym, zacznę odpowiadać monosylabami i udzielać wykrętnych odpowiedzi - a wtedy Vicky uzna, że ciągle się boczę - albo rozwinę misterną sieć oszustw, zacznę rzucać wymyślone nazwiska aktorów, opiszę co bardziej interesujące przeżycia mojej bohaterki, opiszę moje życie w... gdzie, do cholery, są te zdjęcia? A, tak, w Bristolu.

Będę musiała się jej przyznać do wszystkiego. Dziwne, ale Ke-na łatwiej mi przyjdzie oszukać, bo nigdy nie oglądał seriali ani

nie interesował się szczególnie tym, co robię. Żył chwilą i nigdy nie myślał o niczym, co nie dotyczyło go osobiście. Może to zabrzmiało, jakby był egoistą, ale to nieprawda: był tylko skoncentrowany. Na przykład nie znosił, kiedy ludzie opowiadali mu swoje sny. Dlatego założenie, że nie będzie go obchodziła intryga serialu - nawet takiego, w którym gra jego własna żona - było całkiem rozsądne.

Ale moje układy z Vicky nie były tak dobre, żebym mogła jej opowiedzieć o moim planie i Maksie. Jeszcze nie, pomyślałam. I nie mogłam jej także okłamać, bo gdyby uwierzyła, że dostałam rolę, byłaby jeszcze bardziej rozgoryczona. Musiałam uwierzyć, że Peter nic jej nie powie - bardzo wątpiłam, bym stała się tematem ich rozmów.

- Niezbyt wiele - rzuciłam od niechcienia. - To, co zwykle. Aha, zaangażowałam się do robienia mozaiki, było fajnie. Przynajmniej miałam powód, żeby wyjść z domu. I - dodałam szybko, na wypadek, gdyby spytała mnie o szczegóły - dziś spotkam się z Lil. Teraz jest już między nami dobrze. Z Kenem widuję się rzadko, jak zwykle. O mało co, a pojechalibyśmy na wakacje, ale okazuje się, że trudno jest znaleźć czas.

- A h a - mruknęła Vicky. - Crystal! Nie tłucz pilotem, zepsujesz! Crystal!

- No, to już będę kończyć - powiedziałam niepewnie. - Może się spotkamy? Na przykład na kolacji, tylko ty i ja. Niech Peter popilnuje dzieci, a my sobie porozmawiamy przy butelce... a prawda, nie możesz pić.

Wszystko zepsułam, pomyślałam, natychmiast żałując swoich słów. Nie chciałam się zachowywać jak strażnik, i w ogóle chodziło mi o to, że nadal karmi piersią, a nie o ciążę, choć od razu wiedziałam, że odczyta to jako kolejny zawołowany przytyk. Oczywiście, usłyszałam ciężkie westchnienie.

- Owszem, mogę, jeśli mi się zechce. Niewiele mi zostało przyjemności.

- Przepraszam, przepraszam, przepraszam. Nie chciałam!

- Słuchaj, zadzwonię, jeśli Peter będzie miał wolny wieczór. Dobrze?

- Dobrze. Trzymaj się. A gdybym mogła jakoś pomóc - dzwoń.

- Cześć.

Na pewno nie zadzwoni, pomyślałam żałośnie. Odwróciłam się i zobaczyłam kota sąsiadów, ogromną rudą bestię o złych ślepiach, wylizującego miseczkę po płatkach. Nie wiadomo dlaczego wpadłam w furję.

- Won! - ryknęłam i rzuciłam w niego grudką ziemi. Kot podskoczył z wrzaskiem, a ja zabrałam miskę i telefon i powlokłam się do domu.

Powiedziałam, że odwiedzę Lil, choć tak naprawdę miałam ochotę pojechać do Gillingsbury. Ale uznałam, że lepiej poczekać do przyjęcia w sobotę. Nie mogę się snuć wokół domu Maksa, a skoro mozaika była na ukończeniu, nie miałam już żadnego pretekstu, by tam jechać.

Na pewno? Nagle dostałam zastrzyk energii - zdałam sobie sprawę, że wczorajsza rozmowa z Kenem położyła fundamenty mojego życia z dala od domu przez cztery dni w tygodniu. Teraz po prostu powinnam wyjechać. Kurczę. Naprawdę mi się udało. Tak bardzo skupiałam się na wyrzutach sumienia, że nie zwróciłam uwagi, iż to kłamstwo daje mi wolność. Na koncie oszczędnościowym miałam jakieś pieniądze, parę tysięcy funtów, które babcia zostawiła mi w testamencie. A Ken o nich nie wiedział. Mogę wynająć mieszkanie w Gillingsbury! Może niekoniecznie dom w Wealton - pewnie to za drogo - ale jakąś kawalerkę? W tygodniu będę chodziła na jakieś kursy albo zmuszę się do gry w tenisa, żeby dorównać Kenowi, albo po prostu będę dużo biegała. Żadnych obowiązków - z wyjątkiem oglądania jakiegoś nędznego serialu i wybrania dla siebie postaci, żebym w razie potrzeby mogła ze szczegółami opowiadać o swojej pracy. Nie wiem dlaczego, ale wydało mi się, że to coś bardziej sensownego od robienia tego samego w domu.

Mieszkanie w tym domu nie pomaga mi w rozwoju, zrozumiałam. Niby jak, kiedy zewsząd wзираja żal i rozczarowanie? One wiszą w powietrzu, przenikają wszystkie nasze rozmowy, naciskają na nas: na niego w sypialni, i kiedy nieśmiało przekręca klucz w drzwiach po kolejnym szesnastogodzinnym dniu pracy; na mnie, kiedy usiłuję walczyć z pustką, której nic nie potrafi wypełnić.

To może być nowy początek. Jakby odcięcie się od Kena, żeby „odnaleźć siebie” - Ken by nic o tym nie wiedział! Czego oczy

nie widzą, sercu nie żal - i w dodatku być blisko Maksa. Mogę się odrodzić jako silna, zdecydowana, samotna kobieta, żyjąca tak, jak chce, na własnych warunkach. Będę miała przygody. Może poznam nowych przyjaciół, nie tylko Adama.

Podjąwszy tę decyzję, poczułam się szczęśliwa po raz pierwszy od wielu miesięcy. Popędziłam na górę, przeskakując po dwa schodki, żeby się ubrać. Może zdążę wpaść do Lil na szybką kawę, pomyślałam. A potem pojedę do Gillingsbury poszukać agencji nieruchomości.

22

W Gillingsbury odwiedziłam każdą agencję nieruchomości, jaką zdołałam znaleźć. Wysłałam ze stertą ofert, nad którymi zastanawiałam się przez weekend. Od poniedziałku zaczęłam oglądać mieszkania: jedno nad księgarnią (zbyt niechlujne), apartament w przebudowanym kościele (za małe) i mieszkanie w - tak, tak - Wealton, mieszkanie z widokiem na staw (należy rozważyć). To był początek.

Kiedy znowu wróciłam do domu, ukryłam wszystkie oferty pod materacem i zadzwoniłam do Adama pod pretekstem upewnienia się, czy impreza jest nadal aktualna. Czułam irracjonalne rozczarowanie, że nie wpadłam na niego z Maksem, kiedy snułam się za agentem Joshem ubranym w za duży szary garnitur. W mieszkaniu Adama włączyła się automatyczna sekretarka. Z zaciśniętym gardłem wysłuchałam głosu Maksa: „Za dobrze się bawię, żeby odebrać. Zostaw wiadomość” - ale zanim zdołałam przemówić, Max uciął i głos Adama rzucił szorstko:

- Halo?

- Cześć. Tu Anna.

Zrobiłam pauzę, sprawdzając, czy on zrobi to samo. Czy zmarszczy brwi, co na pewno wyczuje przez telefon. Nie zawiódł mnie. Odpowiedział natychmiast, bez wahania, a ja poczułam przyjemny dreszcz w brzuchu.

- Anna! Jak się masz? Świetnie, że zadzwoniłaś. - Tak, słyszałam to w jego głosie, ten charakterystyczny ton, który pojawia się

tylko wtedy, kiedy się komuś podobasz: uśmiechnięte ciepło, które krzyczy „BARDZO MI SIĘ PODOBASZ!”. Po chwili zorientowałam się - z uczuciem bliskim zgrozie - że podobny ton słychać i w moim głosie. Zdałam sobie także sprawę, że Ken już od dawna tak do mnie nie mówi.

- Świetnie. Mam się świetnie. Dzięki. Co u Maksa?

- A, nie może usiedzieć. W tym tygodniu wraca do szkoły.

Wtedy coś się stało: zaczęliśmy rozmawiać. Małe ziarnko pogawędki i nagle znaleźliśmy się pod wielkimi liściastymi konarami dębu prawdziwej rozmowy. Przez dwadzieścia minut omówiliśmy: Maksa, przypadkowy dobór książek w szkolnej bibliotece, odstręczające nawyki Mitcha, mozaikę, poziom lekcji wychowania plastycznego na wsi, poziom brytyjskiego teatru, moją „nową rolę” w serialu oraz gratulacje Adama. Każda nowa gałąź gładko wyrosła z pnia rozmowy.

Nawet nie zauważyłam, kiedy zaniósłam telefon do salonu i ległam na sofie, z nogą zarzuconą na jej oparcie, zupełnie rozluźniona. Słyszałam nieznajomy dźwięk własnego śmiechu i wyobraziłam sobie słodki, ziemny zapach uścisku Adama. Oho, pomyślałam. Mam problem. Mogłabym z nim rozmawiać przez cały dzień. Zaczęłam się już martwić, że odciągam go od czegoś ważniejszego, a jednocześnie niepokoiłam się, że coraz bardziej tęsknię za jego uściskami.

- Aha. No, dobrze, nie będę ci przeszkadzać. Zadzwoiłam tylko...

- Wiem, że zobaczymy się w weekend, ale możemy nie mieć okazji porozmawiać, więc pomyślałem... może dasz się zaprosić na chińszczyznę? Tylko my dwoje? Na przykład w przyszłym tygodniu?

- Ależ tak - rzuciłam natychmiast, jakbym się bała, że się rozmyśli. Zarumieniłam się i z wysiłkiem rozprostowałam palce u nóg, które same się podwinęły. - Świetnie - dodałam wolniej. Muszę mu powiedzieć, że chcę być dla niego tylko przyjaciółką. Bardzo wyszłam z wprawy w czytaniu znaków, ale może Adam też niczego innego nie pragnie.

Potem znowu przypominałam sobie nasz uścisk i jego spojrzenie, i pomyślałam: taaaa, jasne. Bujać to my.

Powinnam powiedzieć: „Bardzo bym chciała, i strasznie miło mi się z tobą rozmawia, ale ja kogoś mam”.

- Kiedy i gdzie? - palnęłam.

- Może w chińskiej knajpce na Crane Street. Nazywa się Smak Orientu. Zarezerwuję stolik na poniedziałek o ósmej, dobrze?

- Bardzo dobrze. No, to do soboty, ale na poniedziałek też czekam. Dzięki za rozmowę.

- Nie ma za co - odpowiedział oficjalnie, ale nadal z tym uśmiechem w głosie. - Dziękuję.

Uświadomiłam sobie, że naprawdę jestem wdzięczna za tę rozmowę. Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak mi się dobrze rozmawiało. I to o prawdziwych sprawach, nie o wydarzeniach w serialu albo o tym, co Ken porabia w pracy. Odłożyłam słuchawkę z lekkim sercem, co nie zdarzyło mi się od wieków, a potem zaczęłam się zastanawiać, czy zdążę obciąć i ufarbować włosy przed wielkim wieczorem.

Właśnie miałam podnieść słuchawkę, kiedy zabrzączał dzwonek telefonu. To był Josh, ten agent o dziecięcej buzi.

- Czy już pani podjęła decyzję? - miauknęła. - Bo ktoś się interesuje tym mieszkaniem w Wealton, które tak się pani podobało.

Nie uwierzyłam mu ani przez chwilę, miał tak żałośnie spragniony i nieprzekonujący głosik. Ale znowu pomyślałam o tym mieszkaniu, o wielkich oknach z widokiem na wiejską zieleń i staw, odbijający błękitny przestwór nieba.

- Czemu nie? - powiedziałam, w równym stopniu do siebie, co do niego. - Mogę się wprowadzić od razu, tak? Jutro z samego rana zadzwonię, żeby podpisać umowę i wpłacić depozyt.

23

To sobotnie przyjęcie z okazji zakończenia projektu w Gillingsbury było moim pierwszym pod wieloma względami. Pierwszym towarzyskim wystąpieniem Anny Valentine, zamieszkałej w małym jednosypialnianym lokaliku z widokiem na absurdalnie malowniczy staw w Wealton. Pierwszymi dniami z dala od domu. Pierwszym tygodniem rzekomej pracy. Wszystko poszło łatwiej, niż się spodziewałam. Wszystkie minusy mojego obecnego życia, na które tak gorzko narzekałam - kłótnia z Vicky, podróże Kena, moja

niemożność znalezienia pracy - nagle zmieniły się w plusy, jakby odwróciły się na lewą stronę. Zyskałam zaskakująco cudowne uczucie uwolnienia. Naprawdę mi się udało! I wszystko będzie świetnie. Jeśli Ken się o tym dowie, wytłumaczę mu, że to była nagła potrzeba zmiany, ale nie chciałam go niepokoić. Bóg świadkiem, że już dość się o mnie namartwił.

„Przeprowadziłam się” w czwartek, dzień po wyjeździe Kena do Singapuru. Wiedział, że może zadzwonić do mnie na komórkę, więc nawet nie spytał o nowy adres, choć powiedziałam, że znalazłam lokum na przedmieściach Bristolu. Łatwe. Mieszkanie było umeblowane, na szczęście w sposób nieobrażający estetyki, więc nie musiałam wiele ze sobą zabierać i nie wywoziłam nic, czego brakowałyby Kenowi: tylko parę starych kubków i sztuców, zapasową pościel, ręczniki, przybory toaletowe i walizkę ubrań.

Jedyną skazą tej sytuacji było to, że z nikim nie mogłam się podzielić moją radością. Ponieważ Vicky była nieosiągalna, oczywiście kandydatką stała się Lil, ale choć spotkałam się z nią w dniu, w którym po raz pierwszy oglądałam mieszkania i chciałam jej wyznać całą prawdę, nagle uraczyłam ją bajeczką o serialu. Później uznałam, że będzie lepiej, jeśli absolutnie nikt nie dowie się o moim sekrecie. Tylko w ten sposób mogłam być pewna, że tajemnica pozostanie tajemnicą. Poza tym, coś mi mówiło, że Lil nie pochwaliby aż tak daleko idącego podstęp.

W sobotę rano byłam już całkowicie urządzona w moim nowym mieszkaniu. Pojechałam niecałe cztery kilometry do Gillingsbury i poszłam na rynek, gdzie zarzucono mnie okazjami: dziesięć wielkich pomarańczy za funta, pęk zdumiewająco wonnych różowych róż za cztery funty i całe wiadro środków czyszczących za niespełna piąta. Porozmawiałam sobie z co najmniej sześciorgiem mieszkańców Gillingsbury - wszyscy pomimo ciepłego wrześnieowego poranka byli w polarach o różnym stopniu sfatygowania i wszyscy mówili: „Ooo, Wealton? Ładnie tam, co?”, albo: „Aktorka? Była pani w telewizji?”.

Wreszcie zafundowałam sobie strzyżenie i farbowanie u miejscowej fryzjerki, bo u mojego londyńskiego fryzjera nie mogłam znaleźć miejsca w tak krótkim czasie. Stylistka Denise zdołała zmylić moją czujność i wyczarowała mi na głowie coś w rodzaju wielkiej dyni, ale zdołałam temu zaradzić, do końca dnia chodząc z mocno ściągniętymi włosami.

Potem znowu pojechałam do domu, ułożyłam pomarańcze w salaterce, a róże w wazonie na oknie i zrobiłam sobie wielką kanapkę z awokado, pomidora i ciepłego chleba prosto z piekarni. Byłam bardzo zadowolona z siebie. Prawdę mówiąc, tak bardzo, że ciągle się śmiałam na myśl o tym, co zamierzam. Sąsiadka zauważyła mnie, kiedy wchodziłam, chichocząc pod nosem, i pewnie pomyślała, że jestem cokolwiek stuknięta. Była to starsza pani imieniem Dora, z małą główką na szczycie solidnej, niezgrabnej sylwetki. Zawsze chodziła z wyciągniętą szyją, co w połączeniu z jej nieustannym uśmiechem nasunęło mi skojarzenia z niedźwiedziem z ulubionej dobranocki Pata.

Jednak, jak sobie potem uświadomiłam, tej starszej pani nie wypadało krytykować niczyjego zachowania. Jej dwa wielgachne psy szczekały i wyły jak pies Baskerville'ow każdego ranka, dopóki ich nie wyprowadziła - więc pewnie dlatego czynsz był tak umiarkowany. Przez dziesięć minut niweczyły spokój zielonej wioski i doprowadzały kaczkę do zawału serca, ale mnie nie przeszkadzały. Dziesięć minut to nie koniec świata, a ja i tak nie siedziałam tu przez cały dzień.

W sobotę po południu zadzwonił do mnie Ken. Obiecał, że wyśle mi pocztówkę z hotelu Raffles, jeśli tam dotrze, i poskarżył się, że nie wie, jak wygląda Singapur, bo przez cały czas siedzi w sali konferencyjnej. No, z wyjątkiem jednego wypadu na pole golfowe. Spytał, jak idą próby, i wystarczył mu komunikat, że dobrze. Mieszkanie jest świetne, moja gospodyni nazywa się Dora i ma dwa wielkie śmierzące psy, które ciągle szczekają. Koledzy są fajni, z wyjątkiem jednej strasznej wiedźmy... Valerie (imię wzięło się z niczego), która uważa, że gra główną rolę, choć jest tylko zgrzybiałą babką mojej bohaterki.

Rozmawiając z Kenem, zrywałam celofan z paczki kartek, które kupiłam w miejscowym sklepie papierniczym. Na pierwszej napisałam DORA - WIELKIE PSY - GOSPODYNI, na dalszych: VALERIE - ZIMNA SUKA - UWAŻA SIĘ ZA BÓG WIE CO - GRA MOJĄ BABKĘ. Uwielbiałam te karteczki. Czasami żałowałam, że całe moje życie nie zostało rozpisane na takie małe zwięzłe zdanka, brzmiały tak władczo. Współczesny odpowiednik kamiennych tablic... a może nie? Ale dodawały mi otuchy.

Ken nie drążył dłużej tematu. Spytał, czy mam dużo tekstu i czy fajnie jest znowu pracować - oba pytania dość łatwe. Głów-

nie dlatego, że, moim zdaniem, niespecjalnie się wsłuchiwał w odpowiedzi.

Ale i tak ta rozmowa była odświeżająco różna od poprzednich. Przynajmniej raz nie czułam zawiści i przygnębienia, jak to bywało, gdy dzwonił do mnie z Sydney/piramidy w Meksyku/pola golfowego w Buenos Aires - a ja siedziałam w piżamie na niepościelonym łóżku i dłużałam w nosie (w przenośni, rzecz jasna). Kiedy się rozłączył, byłam wręcz rozradowana i miałam o wiele mniejsze wyrzuty sumienia.

O czwartej zadzwoniłam do Adama, żeby potwierdzić zaproszenie. Powstrzymanie się od dzwonienia aż do tej pory wymagało ode mnie kolosalnego wysiłku, ale postanowiłam się przedtem zadomowić. I choć dziwnie było mi to przyznać, i nie rozumiałam, czemu to robię, udawałam bardzo zajęta. Chciałam, żeby naprawdę się ucieszył, kiedy znowu mnie usłyszy.

Ucieszył się bardzo. Wręcz wzruszająco, tak szczerze, że serce przestało mi bić.

- Anna! Cudownie, że dzwonisz. Zastanawiałem się, co u ciebie. Jak praca?

- Świetnie, dziękuję - powiedziałam, trzymając kciuki. - Mieliśmy już pierwsze próby. Przez parę dni byłam w Bristolu. - Okłamywanie Adama było oczywiście o wiele łatwiejsze. I właściwie dobrze, pomyślałam, bo mogłam najpierw na nim wypróbować tekst, a potem sprzedać go Kenowi.

- Kurczę, gratulacje. Aż nie wierzę, że znam prawdziwą gwiazdę telewizyjną. Max będzie zachwycony. Kiedy zobaczymy cię w telewizji? Niedługo?

- Chyba nie - powiedziałam, zachwycona jego (niezasłużoną) dumą. - To będzie szło tylko w kablówce, w Devonie i Kornwalii, może też w części Walii.

- Aha. Więc musimy poczekać do lata. Max i ja zwykle jeżdżymy na parę tygodni do Devonu. Na pewno wtedy nam się uda!

Cholera jasna! Usiłowałam odetchnąć, poczułam palący rumieniec na policzkach, a w krtani utkwiała mi spora cegła. Spokojnie, Anno, pomyślałam. To nie jest problem nie do przejścia. Musisz tylko znaleźć tytuł jakiegoś prawdziwego serialu, a potem, kiedy ktoś powie, że go widział, ale cię nie zauważył, będziesz udawać, że w tym miesiącu nie grałaś, bo wyjechałaś na wakacje czy coś w tym stylu.

Poza tym, kto wie, co się wydarzy do przyszłego lata. Zawsze mogę powiedzieć, że serial został wycofany albo że moją postać zamordował szaleniec z piłą łańcuchową. Uznałam, że najlepiej nie zastanawiać się nad tym, co się może wydarzyć, bo doprowadzę się do takiego stanu, że w ogóle przestanę nad czymkolwiek panować.

- Dzwonię, żeby się upewnić, czy impreza jest aktualna - rzuciłam, żeby zmienić temat.

- No jasne. Przyjdiesz, prawda? Fantastycznie. Spotykamy się o wpół do ósmej w restauracji Emandels na Bridge Street, koło wieży z zegarem. Wiesz gdzie?

- Znajdę. Kto przyjdzie?

Usłyszałam szelest.

- M a m tu listę... zobaczymy: Serena, Mitch, Margie, Ralph, być może Pamela, może Mary, jeśli znajdzie opiekunkę dla Orlanda, ty, no i ja, oczywiście.

Miałam nadzieję, że Ralph i Mitch znajdą sobie dziś coś lepszego do roboty, ale szczęście mnie zawiodło.

- Czy Pamela to ta dziewczyna w ciąży? - spytałam.

- Nie, to była Paula. Nie przyjdzie, rodzi lada chwila. Powiedziała, że bez lewarka nie może się podnieść z krzesła, a kostki ma grubości salami.

Szczęściara, pomyślałam z tak zaciekłą zawiścią, że zrobiło mi się niedobrze.

- Nie pamiętam Pameli - powiedziałam. - Nie przychodziła regularnie, prawda?

- Nie. Pamela nie pracowała nad projektem. Jest administratorką w college'u - pewnie rozmawiałaś z nią przez telefon. Czasami opiekuje się Maksem.

Oczywiście! Zakochana gruba Pamela. Jak mogłam zapomnieć?

- Oczywiście! Poznałam ją, kiedy chciałam się zapisać na zajęcia.

- A właśnie, nadal jesteś tym zainteresowana? W ciągu paru pierwszych tygodni zawsze zwalnia się jakieś miejsce, więc warto umieścić nazwisko na liście rezerwowej.

- A, dobrze. Tak, wiesz? Mogłabym spróbować. Jeszcze raz zajrzę do prospektu i sprawdzę, co mi odpowiada. A co byś polecił?

- To już zależy od ciebie. Uczę rysunku, to zwykle fajne zajęcia. Ale czy to nie ty chciałaś zrobić stolik z mozaikowym blatem?

Rety. Całkiem zapomniałam.

- Absolutnie. Może zapiszę się na oba kursy i zobaczę, gdzie najpierw zwolni się miejsce.

- No, muszę kończyć. Max jest u kolegi, pora go odebrać.

- Jak się czuje?

- Świetnie, dziękuję. Doskonale. Pytał o ciebie, wiesz?

- Naprawdę? - Miałam nadzieję, że w moim głosie nie słyhać tej radości, która ze mnie trysnęła i oblała mnie lepką euforią.

- Mhm. Zrobiłaś na nim wrażenie.

- A on na mnie. Chciałabym się z nim znowu spotkać.

- Jasne. Może w przyszły weekend?

Spodobało mi się, że Adam zawsze planuje z wyprzedzeniem. Jeszcze mieliśmy spotkanie nad chińszczyzną. Ale w przyszły weekend musiałam się spotkać z Kenem.

- Niestety, pracuję. Znowu próby. Może kiedyś po szkole, jeśli nie będzie zmęczony?

- Może. Choć jest trochę rozchwytywany - zaproszenia do kolegów, futbol, takie sprawy.

Poczułam się skarcona, ale usiłowałam nie tracić dobrej miny.

- A gdybyś potrzebował opiekunki, chętnie pomogę, oczywiście, jeśli nie będę pracować.

Dopiero teraz zrozumiałam, że się napraszam. Adam też tak to musiał usłyszeć.

- Jakoś sobie radzimy, dzięki Pameli. Ale dziękuję.

W jednej strasznej chwili moja buńczuczność i pewność siebie uleciały. Poczułam się jak nastolatka, która zebrała całą odwagę, żeby wyznać uczucie komuś, kto jej nie kocha. Po pierwszej miłej reakcji głos Adama był znacznie chłodniejszy niż podczas poprzedniej rozmowy. Może uznał, że pora na etap ochłodzenia stosunków - skomplikowany taniec uwodzenia wydawał mi się kompletnie nieznany, jak fokstrot czy twostep. Wszyscy znają ich kroki, tylko nie ja. Oczywiście możliwe, że Adam też ich nie zna, bo przecież był - z technicznego punktu widzenia - żonaty. A jednak miałam wrażenie, że kiedy ja potykam się o własne nogi, gubiąc wachlarz i karnecik, on elegancko sunie po sali, zawsze zgodnie z muzyką... Może odkąd rzuciła go żona, spotykał się z wieloma kobietami. Na pewno jest wystarczająco atrakcyjny... po bliższym poznanju.

Za moim oknem wybuchło jakieś zamieszanie. Pies Dory wskoczył z rozbiegu do stawu; kaczki zaczęły uciekać z panicznym trzepotem skrzydeł, a pies brodził między nimi na płyciźnie. Sama Dora stała na brzegu, powstrzymując drugiego, który - choć omal się nie udusił na smyczy - czekał historycznie piskliwym, zduszonym głosem.

- To do zobaczenia - powiedział zdecydowanie Adam. - Muszę iść, bo Max pomyśli, że o nim zapomniałem.

- Jasne. To na razie. - Rozłączyłam się, zbyt wstrząśnięta, by pospieszyć Dorze na pomoc. Patrzyłam tylko, jak jakiś łysy mężczyzna w średnim wieku usłuźnie biega po brzegu za psem, aż w końcu zdołał chwycić smycz. Tłumek ludzi z psami, przechodnie i matki z dziećmi stanęli na małym ozdobnym mostku łączącym oba brzegi stawu. Wszyscy gapili się z otwartymi ustami, wskazując palcami dziwowisko - i to nie tylko dzieci. Oto życie na prowincji, pomyślałam, gdzie największą atrakcją dnia jest pies goniący za przerażonymi kaczkami.

Ciekawe, co by pomyśleli o mnie, gdyby wiedzieli. Pewnie mieliby temat do plotek na wiele dni. I dlaczego takim bólem przejmuję mnie myśl o człowieku, którego nie chcę i nie mogę mieć?

Zaskoczyło mnie, jak bardzo zaboląła mnie odmowa Adama. Skaziła euforię tego dnia i wpłynęła na późniejsze decyzje. Stojąc na łóżku, by zobaczyć się w małym lusterku na ścianie sypialni, zdałam sobie sprawę, że włożyłam zupełnie co innego, niż pierwotnie zamierzałam. Zamiast eleganckich czarnych szerokich spodni i jedwabnej koszuli od Agnes B zdecydowałam się na dzinsową mini i najbardziej wydekoltowaną i obcisłą bluzkę. Jak to się stało? I jak zwykła obojętność na moją propozycję doprowadziła mnie do wątpienia w swoją atrakcyjność? Nagle poczułam się jak siedemnastolatka, cierpiąca i niepewna, czy obiekt uczuć mnie lubi, czy też to tylko moje pobożne życzenia.

Po raz pierwszy stanęłam twarzą w twarz z myślą, która aż do teraz tylko przemykała po obrzeżach mojej świadomości. Miałam obłądnie przystojnego i oddanego mi męża, który odniósł ogromny sukces, którego szanowałam, kochałam i z którym chciałam się zestarzeć. A jednak z jakiegoś niepojętego powodu - a byłam pewna, że nie chodzi tylko o Maksa - nagle dopadło mnie potężne zauroczenie otyłym, łysiejącym panem od zajęć plastycznych.

To jest prawda, rozumiałam, stojąc na łóżku i wyginając się, żeby obejrzeć własny tyłek. Do tej pory nie dopuszczałam do siebie tej myśli, ale odkąd zrobiłam im kolację, nieustannie o nich myślałam - o Adamie w zupełnie inny sposób niż o Maksie. Myślałam o tym, jak bardzo niebieskie są oczy Adama i jak szczerzy jest jego uśmiech. O jego szerokich ramionach - pomimo niewielkiego brzuszka był silnym, dobrze zbudowanym mężczyzną - i mocnych nogach. Bez przerwy oglądałam go w myślach - kiedy pochylał się, zbierając zabawki Maksa. Niemal wszystko, co mówił, rozśmieszało mnie, koło lub budziło podziw. Szorstka skóra dużych rąk budziła dreszcz. I ten uścisk...

Usiłowałam przeanalizować swoje uczucia. Może to tylko dlatego, że jest tak różny od Kena. Od dnia naszego ślubu niewiele czasu spędziłam z innymi samcami. To tylko chwilowe zauroczenie, powiedziałam sobie: reakcja na dziwną sytuację, w jakiej się znalazłam. Przejdzie mi.

Oczywiście, to nie ma nic wspólnego z seksem. Ale w takim razie skąd te minifantazje o wspólnych zabawach z nauczycielem rysunku? Wyobrażałam sobie, że dostałam się na zajęcia Adama i że jego ręka wkłada kawałek węgla w moją dłoń, razem spoglądamy na idealne ciało modela lub modelki (nawet w fantazjach nie mogłam się zdecydować na płęć. Gdyby to był model, byłoby ciekawiej dla mnie. Gdyby modelka, może Adam wyobrażałby sobie ją z moją twarzą). Nasze oczy spotkałyby się nad sztalugami, a on pochwaliłby moje dzieło, patrząc w sposób, który powiedziałby mi, że zachwyił go nie tylko mój rysunek.

I dlaczego wciąż wyobrażam sobie jego ciało pod tymi luźnymi dzinsami? Przypomniałam sobie ze wstydem, jak podczas jednego z ostatnich spotkań przy mozaice musnął moją dłoń, wyjaśniając zasady nakładania zaprawy, a ja zarumieniłam się jak pensjonarka. Więc to zaczęło się już wtedy, a ja cały czas się tego wypierałam, ślepa nawet na fakt, że kiedy powiedział coś śmiesznego - a zdarzało się to często - dostawałam ataków szaleńczego chichotu, jaki nigdy przedtem nie wyszedł z mojego gardła. To było żałosne.

Nagle usiadłam na łóżku. Ręce mi się trzęsły, a między nogami zrobiło się gorąco i wilgotno. Położyłam się i zamknęłam oczy. Pozwoliłam sobie na wizję - Adam przyciska mnie do ściany tej

obskurnej chomiczej klatki - toalety w Moose Hall. Unosi moje ręce nad głowę. Sama myśl o tym znów przywołała zapach trocin i środka dezynfekującego. A Adam szeptałby: „Cśśś, musimy być cicho” (bo nawet w moich erotycznych rojeniach Ralph czyhał za drzwiami toalety, czekając aż wyjdę, żeby dalej zadrećczać mnie szczegółami operacji halluksa albo swoimi szermierzymi osiągnięciami).

„Cśśś...” powie Adam i z tym nieodparcie pociągającym, łobuzerskim uśmiechem pochyli się, dotykając szeroką pierśią moich sutków, poczuje na wargach jego oddech, a on będzie się przysuwać coraz bardziej, aż wreszcie mnie przygniecie tym wielkim ciałem, oczywiście w miły sposób, potem nasze biodra się zetkną i wybrzuszenie w jego dżinsach dotknie mojego ciała w chwili, kiedy jego język rozchyli moje usta, i poczuje ten jego boski zapach, słabą, lecz intensywną nutę wody kolońskiej zmieszanej z leśnymi kwiatami, i nie będzie już zapachu chomiczej klatki, a potem zaczniemy się całować, najpierw powoli, potem...

...ale oczywiście nie chodzi o seks.

Wcale nie. On jest po prostu wspaniałym człowiekiem i tyle. Z pewnością pragnienie zbliżenia z tak wyjątkową osobą jest zupełnie naturalne. Nie ma nic niezwykłego ani niepokojącego w pociągu do innego mężczyzny. Problemy rodzą się wtedy, kiedy zacznie się z tym coś robić. A ja nie miałam absolutnie żadnego zamiaru, by wprowadzać moje marzenia w czyn. Na szczęście Adam podzielał moje zdanie. Najwyraźniej to jeden z tych uroczych mężczyzn, którzy podobają się większości kobiet, lecz jest na tyle dobrze wychowany, że nie próbuje tego wykorzystywać.

Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogłabym mieć romans i z pewnością tego nie chciałam - ale Adam patrzył na mnie w taki sposób... zwłaszcza wtedy, w jego domu. Wśród objawów zbliżającej się depresji zrozumiałam, że gdybym się mu spodobała, jak przypuszczałam, i gdyby spróbował mnie zachęcić, odmowa przyszłaby mi z największym trudem.

Rany boskie, oprzytomniej, powiedziałam sobie. Romans to ostatnie, czego ci trzeba. To by pewnie załamało Kena. Ciężko przeżył utratę Holly, a gdy się dowie, że okłamałam go w sprawie pracy, będzie się długo zbierał. Nie mogę mieć romansu. Nie mogę mu zrobić jeszcze i tego.

Czekając u dentysty, przeczytałam w piśmie dla kobiet, że to zdrowy objaw, kiedy dorosła kobieta zakochuje się w kimś innym niż mąż - dopóki nie zaczyna z tego powodu cierpieć. Zakochanie poprawia krążenie i wzmacnia system immunologiczny, nie wspominając już o przyjemnych wyobrażeniach. Więc pozwoliłam sobie na mały krótki skok w bok w wyobraźni. Cóż to szkodzi, że Adam mi się podoba, bo jest atrakcyjny, zewnątrznie i wewnątrznie? Atrakcyjny mężczyzna słucha mnie, śmieje się z moich durnych żartów i wydaje się szczerze zainteresowany tym, co mam do powiedzenia.

Poza tym, ja tak naprawdę wcale mu się nie podobam. Pewnie tylko dokucza mu samotność.

24

Drzwi restauracji otworzyłam wykończona wątpliwościami i lękami. Ręce opadały mi na samą myśl o tym, że to dopiero początek. Nie ma dla mnie odwrotu, nie teraz, kiedy mam szansę uczestniczyć w życiu Maksa. No i zapłaciłam przecież w Wealton czynsz za trzy miesiące z góry.

- Anna! Cześć! Siadaj! - Mitch poklepał puste miejsce obok siebie, więc udałam, że go nie usłyszałam i ruszyłam w przeciwnym kierunku. Do Adama.

Nie mogłam nie zauważyć, że na widok uśmiechniętego Adama w czystej białej koszuli zakręciło mi się w głowie, ale postanowiłam nie zwracać na to uwagi. Niestety, ponieważ taksówka spóźniła się dziesięć minut, miejsca po obu jego stronach zajął już fanclub - Pamela i Serena. Prawie się na nim pokładały, rywalizując o jego uwagę w bardzo nachalny sposób, jak mi się wydało. Musiałam się wśliznąć między Pamelą i Ralpha, choć nie była to idealna lokalizacja. Ralph i Holenderka Margie trzymali się za ręce i spoglądali sobie w oczy, a Pamela oczywiście świata nie widziała poza Adamem, więc oboje odsunęli się ode mnie, jakbym miała poważny problem z higieną osobistą. Wszyscy się ze mną przywitani, a Adam rzucił mi krótkie zrezygnowane spojrzenie, jakby mówił: „Przepraszam, utknąłem, ale jak tylko zdołam się wyrwać,

porozmawiam z tobą". Mimo to poczułam się niezręcznie. Zajął się menu. a także ukradkową obserwacją moich towarzyszy.

Przy stole było nas ośmioro: ja, Adam, Mitch, Serena, Pamela, Margie, Ralph i mama Orlanda - nie pamiętałam jej imienia. Wszystkie kobiety ubrały się o wiele efektowniej ode mnie - nasyjniki, cekiny, sztuczne kwiaty we włosach (Margie i Serena). Czułam zapach lakieru, który nadał kopiastej fryzurze Pameli twardość granitu, a także jej równie duszących perfum. Dobrze, że poszłam do fryzjera, ale kiedy Mitch bezwstydnie zajrzał mi w dekolt, gorzko pożałowałam, że nie włożyłam jednak przyzwoitego zestawu spodni z koszulą.

Wyglądaliśmy jak przypadkowa zbieranina. Mitch uczesał dziś rozwichrzone długie włosy, ale nadal miał na sobie szmatowatą, ręcznie farbowaną koszulkę, w której zobaczyłam go po raz pierwszy, i dramatycznie kontrastował z mamą Orlanda - aha! Mary! - w perłach i bluzce w kwiaty. Najwyraźniej jego towarzystwo jej nie cieszyło. Przechylała się ku Serenie. Ciekawe, co sobie myśleli o nas inni ludzie w restauracji. Pewnie wzięli nas za miejscową filię Anonimowych Alkoholików - przynajmniej do chwili, kiedy kelner przyniósł butelkę czerwonego i białego wina i postawił je, już otwarte, nie proponując nikomu, żeby najpierw spróbował.

Przejęłam dowodzenie, żeby ukryć zażenowanie.

- Czerwone czy białe? - spytałam Pamelę, ściskając obie butelki za szyjki.

- Proszę czerwone - odparła, przyglądając mi się z ciekawością zwykle właściwą tylko małym chłopcom, którzy znaleźli ślimaka w stercie nawozu. - Przepraszam, pamiętam twoją twarz, ale nie mogę sobie przypomnieć imienia. Jestem Pamela.

- Anna - odpowiedziałam. - Spotkałyśmy się w szkole parę tygodni temu. Pytałam o kursy, ale wszystkie miejsca były już zajęte. To ty mnie skontaktowałaś z Adamem, a on pozwolił mi pracować nad mozaiką. I stąd się tu wzięłam.

Wymienienie głośno imienia Adama sprawiło mi przyjemność. Nieczęsto miałam okazję to robić, a budziło to we mnie miłe, ciepłe uczucie - Bridget Jones nazwałaby to wymieniactwem.

Pamela skinęła głową, ale kiedy napełniłam jej kieliszek, odwróciła się do Adama, nie zwracając sobie mną głowy. Obeszłam

cały stół; odsunęłam się od Mitcha, żeby nie mógł mi zajrzeć w dekolt. Mimo to chwycił mnie za nadgarstek, przyciągnął i złożył na moim policzku wilgotnego całusa. Miałam wrażenie, że celował w usta, ale w ostatniej chwili odwróciłam głowę. Jego oddech pachniał zwierzętym haszyszem, a skóra była lepka i zimna. Chlusnęłam mu do kieliszka białe wino i uciekłam.

Margie i Ralph nadal pochylali się ku sobie. Kiedy do nich poszłam, oboje mieli poważne miny, a gdy nalałam im wino, zauważyłam, że Margie stopniowo rozplata palce - po jednym - i kładzie ręce na kolanach. A to świetnie, pomyślałam. Kłótnia. Nie mogłam tylko zrozumieć, co Margie w nim widziała. Owszem, był bardzo przystojny, silny i wyluzowany, jak to Jamajczyk, ale też straszny nudziarz i prawdopodobnie drań. Lubiłam Margie i miałam ochotę jej powiedzieć, że stać ją na coś lepszego.

Kiedy wreszcie znowu pojawił się kelner, żeby przyjąć nasze zamówienie - a już wyglądało na to, że zamierza nas lekceważyć, jak długo się da - Serena sięgnęła do torby i wyjęła fotografie.

- Hej, słuchajcie! - zawołała, odrzucając włosy do tyłu. Uśmiechała się, a jednak zdołała zachować tę swoją dziwną, przerażoną minę. - Chcę wam coś pokazać. Paula urodziła dziewczynkę! Cudownie, co?

Wszyscy zaklaskali bez przekonania, a kobiety zaczęły wzdychać. Adam podniósł kieliszek.

- Wypijmy za nią i dziecko! Za Paulę i...

- Jasmine. Będzie ją nazywać Jazzy.

- Za Paulę i Jazzy - powiedzieli wszyscy, trącając się kieliszkami. Serce mi się ścisnęło. Tylko nie zdjęcia noworodka, jęknęłam w duchu. Nie pokazujcie mi żadnych zdjęć.

Ale nie było ucieczki. Fotografie zaczęły krążyć wokół stołu, seria niemal identycznych ujęć, różniących się tylko zbliżeniami twarzy dziecka, a także tym, czy miało otwarte, czy zamknięte oczy. Było też parę zdjęć Pauli, udręczonej i zielonej na twarzy, w brzydkim szlafroku, z rozczochranymi włosami i przekrwionymi oczami. Nie poznawałam w niej tej dziarskiej ciężarnej kobiety z Moose Hall.

Znowu pomyślałam o Vicky i poczułam falę współczucia. Żałowałam, że jej tu nie ma. Razem śmiałybyśmy się z ohydneho Mitcha i źle ubranego Ralpa, a jej dobry humor i radość życia dodawałyby mi sił. Ciekawe, czy jeszcze wróci.

- Spójrz na to - zagruchała Pamela, po raz pierwszy zwracając się bezpośrednio do mnie. - Zachwycająca, prawda?

Dziabnęła mnie w żebra i wepchnęła mi kolejne zdjęcie z niekończącego się pliku. Spojrzałam na nie z ociąganiem i zagryzłam wargę. Dziecko spoglądało w obiektyw przejrzyście błękitnymi oczami i z najśłodszą miną na świecie, jakby mówiło: „Kurczę, gdzie ja jestem? Dajcie mi przywyknąć, to może nawet mi się tu spodoba!”.

Holly miała dokładnie taką samą minę - przez ostatnie dziesięć z dwudziestu siedmiu minut życia, kiedy jej twarz zaczęła się wygładzać po wyboistej podróży. To takie niesprawiedliwe. Ledwie zaczęła się odprężyć i rozglądać, musiała znowu odejść.

- Czy nie śliczna? - nalegała Pamela.

Zdołałam kiwnąć głową i wepchnęłam fotografię Ralphowi. On przynajmniej był jeszcze bardziej nieszczęśliwy ode mnie. Razem z Margie syczeli na siebie; od razu podał jej zdjęcie, spodem do góry. Nawet nie spojrzała, bez słowa podsunęła je Mitchowi.

Wypiłam resztę wina i nalałam sobie następny kieliszek. Nie było już białego, więc przerzuciłam się na czerwone, choć rzadko je piję. Serena i Pamela nadal odbierały sobie Adama jak piłeczkę tenisową. Rozmawiały o jodze. Przez jakiś czas nikt się do mnie nie odzywał. Wreszcie zdjęcia przestały krążyć, co sprawiło mi ulgę.

Oparłam łokcie na stole i zajęłam się oglądaniem sufitu. Do rybackich sieci przywiązano dziesiątki pustych butelek po winie, takich śródziemnomorskich, oplecionych rafią. Wyobraziłam sobie, że wszystko to spada na głowy gości, jak śmiercionośne szklane bomby. Gdybym mogła nimi sterować - zobaczyłam samą siebie, skuloną w drzwiach, z małym detonatorem - skasowałabym Mitcha i Pamelę. Na początek. A potem innych, jednego po drugim, aż zostałby tylko Adam, no i ja oczywiście, i wreszcie moglibyśmy spokojnie porozmawiać o Maksie i spoglądać sobie w oczy...

- A jak ty się relaksujesz? - spytał Adam. Poderwałam się, a potem odchyliłam, żeby nawiązać z nim kontakt wzrokowy, bo Pamela nawet nie drgnęła, żeby nam to ułatwić. Adam też się odchylił i wymieniliśmy uśmiech, który zinterpretowałam jako porozumiewawczy. Usiłowałam spowodować siłą woli, żeby do mnie mrug-

nał, wtedy stałoby się jasne, że oboje uważamy ten wieczór za koszmarny, ale tylko się uśmiechał, zbyt wieloznacznie, żebym mogła mieć pewność.

- To zależy. Lubię biegać. To mnie uspokaja. Już nie ćwiczę jogi, choć czasami stoję na głowie, i to też pomaga. Albo robię to, co wszyscy: telewizja, książka, kąpiel w pianie. A ty?

Adam zastanawiał się przez chwilę.

- Na ogół gram na gitarze. Słucham muzyki. Czytanie Maksowi bardzo mnie uspokaja.

- Jak on się czuje? - Kiedy słyszałam jego imię, natychmiast musiałam spytać o zdrowie.

- Dzięki, dobrze.

Pamela z całym rozmysłem znowu przesunęła swoje szerokie ramiona, zasłaniając Adama. Oboje wychylili się do przodu, ale nie dała się nabrać. Zrobiła to samo, odwracając się do mnie plecami. Poliestrowa sukienka napięła się mocno na jej talii. Wyglądała jak gotowe danie w plastikowej osłonce, kiedy wyjmuję się je z mikrofali, parujące przez opakowanie. Wyobraziłam sobie, że biorę widelec i dziabię w poliester, żeby sprawdzić, czy skłębnie z cichym pufnięciem. Pamela mówiła o Maksie - w ten władczy sposób, w jakim wspomniała o nim w college'u.

- Och, teraz jest pełen życia, prawda? Mały łobuziak! Kiedy go ostatnio pilnowałam, strasznie brykał, naprawdę! Biegał w kółko po sali. Pozwoliłam mu się bawić kołem garncarskim i, na Boga, ależ się utytłał! Lubię go kąpać. Kazał mi się bawić w najróżniejsze gry: musiałam być nauczycielką i uczyłam, jak się stać syrenką lub syrenkiem dzięki specjalnej czarodziejskiej wodzie, którą wylewa się na stopy. Musieliśmy nalać wody do tego waszego dzbanka i oblać Maksa. Śmieszne, prawda?

Zazdrość chwyciła mnie zielonymi mackami za gardło. Przez chwilę zastanawiałam się, czy ona i Adam są parą. Nie, na pewno nie. Byłam pewna, że to, co widzę, to tylko demonstracja praw posiadaczki, scena odegrana specjalnie dla mnie, intruza, który wdziera się nieproszony. W końcu, skoro ja zauważyłam, że Adam mnie lubi, Pamela pewnie też to widziała.

Ale nie mogłam przestać myśleć, czy i ja mogłabym się bawić z Maksem w syrenki. Pragnęłam tego jak niczego w życiu.

Przedzieraliśmy się przez górę ciepławej ligniny - wszyscy z wyjątkiem Mitcha, który zamówił stek. Makaron zachwalano nam jako wyjątkowy, ale wyjątkowa była tylko jego ilość i zdumiewająca gęstość sosu koperkowego, w którym go utapłano. Po czterech kolejnych butelkach wina sytuacja przy stole się zmieniła.

Ralph wyraźnie zrobił coś, co unieszczęśliwiło Margie, bo siedziała teraz odwrócona do niego plecami i ostro flirtowała z uszczęśliwionym Mitchem. Ralph usiłował się zemścić, spoglądając mi głęboko w oczy przy wynurzeniach na temat wymiany okien i wrastających paznokci jego byłej żony. Fascynujące. Na moje szczęście Margie wkrótce znudziła się Mitchem i uznała, że pora trochę podreżyć Ralpha, bo stuknęła go w ramię - właściwie raczej dziabnęła z całej siły - a ja z radością oddałam go w jej objęcia.

Adam wyrwał się pomiędzy Sereny i Pameli i usiadł na pustym krześle przy Mitchu. Nie słyszałam ich rozmowy, ale na podstawie kształtów, które kreślili z entuzjazmem w powietrzu, wydedukowałam, że chodzi o mozaikę.

Pamela i Serena rozmawiały przez zaciśnięte zęby o Adamie - jego imię padało tak często, że pewnie było całe posiniaczone. Kolejne dwa poważne przypadki wymieniactwa, pomyślałam. Zapomniałam już, że Pamela hołduje zasadzie: po co mówić raz, kiedy można powtórzyć sześć razy? Teraz opowiadała Serenie w nieskończoność, jak bardzo w zeszłym roku chwalono zajęcia Adama z rysunku.

- Było wspaniale. Wszyscy mówili, że Adam tak wspaniale tłumaczy. „Moje kwiaty wyglądają jak żywe”, mówili. Wszyscy uważali, że było naprawdę wspaniale. Naprawdę wspaniale. Wszyscy w klasie uważali, że Adam jest wspaniały.

Odwrociłam się do Ralpha i Margie. Doszłam do wniosku, że Ralph, aczkolwiek nudziarz, jednak mówi każde zdanie tylko raz. Jednak oni pochylali się ku sobie jak dwa walczące barany, pochłonięci klótnią.

Po kolejnej krótkiej gorącej utarczce Ralph wstał, ciskając gromy spojrzeniem, i poszedł do toalety. Margie siedziała z taką miną, że wołałam się do niej nie odzywać, więc spojrzałam na Adama. Był zajęty rozmową. Zaczęłam się zastanawiać, co właściwie tak pociąga w nim kobiety. Niektórzy po prostu tak mają.

Taki był Greg, przyjaciel ojca. Tylko bardziej dekadenski. Pomiędzy dwudziestu pięciu lat różnicy między nami wszystkie moje ko-

leżanki były zazdrosne o niego. Nie żebym się zwierzała na prawo i lewo - Greg był żonaty. Ale trudno się było nie chwalić tym wspaniałym, podobnym do Davida Soula jasnowłosym mężczyzną, który kupował mi drogie prezenty: prawdziwe perfumy i srebrną biżuterię. Trudno nie czuć się boginią, kiedy przesuwając ręką po moim tyłku i głośno jęczał. Pamiętam, jak czekał na mnie przed szkołą - wyznaczyłam mu spotkanie przy płocie boiska, wzdłuż którego biegła ulica. Nie wiem, czy mu powiedziałam, że hokej jest moją ostatnią lekcją tego dnia, ale może tak było, bo zjawił się wcześniej. Kiedy podbiegłam w bluzce z krótkimi rękawkami i plisowanej spódnicy, na jego twarzy malował się czysty, niezmaczony ból. Nikt nigdy nie patrzył na mnie z takim pożądaniem - ani przedtem, ani potem. Wybrzuszenie w jego dzinsach było widoczne na pięćdziesiąt kroków. Musiał się odwrócić i szybko odejść - w jego stanie to niełatwe - bo nauczyciel wezwałby policję.

- Do czego się tak uśmiechasz? - spytał Mitch i wraz z Adamem spojrzeli na mnie pytająco.

- Hm. A, nic takiego. Z jakiegoś powodu przypomniała mi się lekcja WF-u. Tak, zanim spytasz - nosiłyśmy krótkie spódniczki. Ciemnozielone, z ohydnyymi gaciami do kompletu. Bardziej przypominały pieluchy niż bieliznę.

Wspomniałam o majtkach tylko dlatego, że chciałam stworzyć tak odpychającą wizję, by Mitch przestał się podniecać - ale bardzo się pomyliłam. Wyraz jego twarzy nie różnił się wiele od miny Grega.

- Na pewno wyglądałaś smakowicie - powiedział w rozmarzeniu, gładząc podbródek.

- Nie - warknęłam. - Nie wyglądałam. Ktoś chce deser? Chyba mają tiramisu.

Położyłam temu kres, rzuciłam bezgłośnie ku niebiosom.

Adam spojrział na zegarek.

- Mam wrażenie, że za chwilę będzie występ na żywo. Może warto zostać.

Jakoś nie podzielałam tego wrażenia. Z nudów omal nie wyskoczyłam ze skóry. Zamieniłam z Adamem ledwo kilka słów i chciało mi się płakać na myśl, że zrezygnowałam z wakacji na Ibizie dla tego bardzo kiepskiego posiłku w towarzystwie ludzi, z którymi nie miałam nic wspólnego. Odrzuciłam rzadką możliwość spędzenia...

dzenia czasu sam na sam z moim mężem, nie wspominając już o szansie spotkania brata, którego nie widziałam od miesięcy. Trzeba było wziąć na wstrzymanie, pomyślałam. Maksa zobaczyłabym po powrocie.

Zdławiłam ochotę, by uznać się za pokonaną i wrócić do domu. Tak czy inaczej, byłam zdeterminowana. Nie ma mowy, żebym musiała wytrzymać to wszystko, nie stając się najlepszą kumpelką tego dziecka, pomyślałam. Nie ma mowy, zwłaszcza po tym, jak zrezygnowałam z wakacji z Kenem. Myśl o Maksie, śpiącym pod kołdrą z zamkiem w migotliwym różowym świetle magicznej latarni, dała mi nowe siły. Jeśli skłonię Adama, żeby mnie zaprosił na kawę, zdołam się zakraść na górę pod pretekstem skorzystania z łazienki i nasycić oczy widokiem Maksa. Śpiące dzieci wyglądają niezwykle, jak nie z tego świata, małe cuda. Nawet Crystal wygląda jak aniołek, kiedy chrapie na poduszce w księżniczki.

Margie straciła morderczy błysk w oku, a kąciki jej ust opadły, kiedy nie pytając nikogo o zdanie, zapaliła papierosa.

- Wszystko w porządku? - spytałam, odsuwając głowę, żeby uniknąć dymu.

Odwrociła się; zobaczyłam jej lśniące od łez oczy.

- Co się stało? To przez Ralpa? Długo siedzi w tym wychodku.

- Drań - wykrztusiła przez zaciśnięte zęby. - On nie wróci. A ja muszę zapłacić jego rachunek.

- O co się pokłóciliście? Jestem zbyt wścibska?

- Nie szkodzi. Pokłóciliśmy się o jego żonę.

- Była żonę?

- Tak właśnie myślałam - była żona.

Z wrastającymi paznokciami, dodałam w myślach.

- Chyba nie są razem?

Zgarbiła się.

- Spotykaliśmy się od dwóch miesięcy, a on cały czas mówił, że tylko mieszka w wolnym pokoju, bo nie stać go na wyprowadzkę. Że się z nią rozwiedzie. Że się już nie kochają.

- I ?

- Kochają się! - Walnęła pięścią w stół. Wszyscy już dawno odebrali się od menu i przyglądali się jej z wielkim zainteresowaniem.

- Bardzo mi przykro... współczuję. Ale jak się dowiedziałeś? Powiedział ci?

- Powiedział, że mnie kocha, ale ją także, i nie może jej zostawić, bo jest zbyt poruszona. Już nie uprawiają seksu. Pewnie dlatego mnie kocha.

- Ale drań!

Byłam, urażona do żywego. Co za padalec, tak wykorzystać biedną Margie! A ta nieszczęsna żona Ralpa? Miałam ochotę krzyknąć, że nosił ohydne szorty i że jest nudnym mizoginem, bez którego będzie jej lepiej.

- Chyba już pójdę do domu - powiedziała Margie z precyzyjnym holenderskim akcentem. - Jestem zmęczona. Może rano poczuję się lepiej.

- Mam nadzieję - mruknęłam ze współczuciem. - Zobaczysz, wszystko się ułoży.

Podala Adamowi pięćdziesiąt funtów.

- To chyba wystarczy za nas oboje. Daj mi znać, jeśli trzeba będzie dopłacić.

- Jasne. Dzięki. Uważaj na siebie. Jak wrócisz?

- Piechotę. Mieszkam blisko. Żaden problem. Pięć minut marszu.

- Chcesz, żebym cię odprowadził? - spytał Adam.

- Dziękuję, ale to nie jest konieczne. Nic mi nie będzie.

Po jej wyjściu powiedziałam do Sereny:

- Twoje dzieci są z opiekunką czy mąż się nimi zajął?

Rzuciła mi ostre spojrzenie pewnie dlatego, że wspomniałam o mężu w obecności Adama. Tak jakby chciała udawać, że go nie ma, pomyślałam ubawiona, po czym przypomniałam sobie o własnym dużo bardziej radykalnym podstępnie.

- Mąż.

- Aha. I pewnie na ciebie czeka? - podsunęłam uprzejmie.

- Nie, pozwolił mi się spotykać z ludźmi - odparła, udając że to żart, ale w jej głosie brzmiał chłód stali.

- O rany, ale późno się zrobiło - zatroskałam się, patrząc na zegarek. - A kto się dziś opiekuje Maksem?

Nieco zdziwiony Adam spojrział na zegarek.

- Nie jest aż tak późno, dopiero wpół do jedenastej. Dziś jest z nim nastoletnia córka sąsiadów. Ponieważ jutro nie idzie do szkoły, może wrócić, kiedy zechce, oczywiście w granicach rozsądku. Im dłużej, tym więcej zarobi, a mieszka cztery domy ode mnie.

- O, patrzcie - odezwał się Mitch, wskazując drzwi restauracji.
- To musi być część artystyczna.

Do sali weszła wysoka, chuda kobieta z przekrzywioną kędzierzawą blond peruką. Niosła podniszczony wzmacniacz, magnetofon i statyw z mikrofonem. Ulokowała się w kącie przy kominku. Zdjęła beżowy prochowiec, spod którego wyłonił się obcisły gorsecik i ludowa spódniczka w kratkę. Wyprostowała perukę. Wyglądała jak drag queen.

- Próba mikrofonu, jeden, jeden, jeden - krzyknęła w mikrofon, energicznie stukając w niego palcem. - Dobry wieczór, panie i panowie, siemanko! Jestem Dolly rodem z Wiltshire! Krzyknijmy razem: iiiii - ha!

Powitało ją wstrząśnięte milczenie zebranych. Wszyscy spojrzeli na siebie pytająco. Wówczas artystka włączyła magnetofon i zaczęła śpiewać „D - I - V - 0 - R - C - E”, na co wszyscy, włącznie z nadąsaną Pamelą, zaczęli się niedyskretnie dusić ze śmiechu.

- To ma być Dolly Parton?

- Na pewno nie. Wcale niepodobna.

- Patrzcie, stanik ma z jednej strony bardziej wypchany! - To była uwaga Mitcha, który najwyraźniej postawił sobie za punkt honoru oglądać każdy damski biust w zasięgu wzroku. A jednak miał rację. Pierś Dolly rodem z Wiltshire była ewidentnie płaska jak tundra; ta kobieta wyglądała jak strączek fasoli z wypchanym biustonoszem. W życiu nie widziałam nikogo mniej podobnego do Dolly Parton.

A jednak jej pełen zaangażowania (choć fałszywy) śpiew naprawdę rozruszał atmosferę. Po wyjściu Margie i Ralpha oraz spożyciu następnych butelek wina nasze towarzystwo także się rozkręciło i zaczęłam się dobrze bawić. Parę razy, opowiadając zabawne historyjki z teatru i dowcipy (po paru kieliszkach mam żenujący zwyczaj opowiadania strasznych kawałów), przyłapałam wzrok uśmiechniętego Adama. Za każdym razem, gdy go rozśmieszałam, czułam przepływ zadowolenia.

Kiedy Dolly skończyła występ, a my desery - wodniste tiramisu dla mnie, Pamel i Adama, a wielkie trójkąty ciasta czekoladowe dla reszty - nastąpiła chwila ciszy. Siedzieliśmy, pełni węglowodanów i alkoholu. Zawyla jakaś syrena, błękitne światła błysnęły przez chwilę za oknem.

- Typowy sobotni wieczór w Gillingsbury. Pora wyrzucania z pubów - powiedział refleksyjnie Adam. - Max nabawił się fobii na tle radiowozów. Albo wyrośnie na wzorowego obywatela, albo przed skończeniem czternastu lat wyląduje za kratkami.

- Dlaczego? - spytałam, oparta o stół, natychmiast zafascynowana.

- O, na pewno z tego wyrośnie. To moja wina - pewnie kiedyś powiedziałem, że jeśli nie będzie grzeczny, zabierze go policja. Choć nie pamiętam. W każdym razie tydzień temu pobił się ze swoim przyjacielem Christopherem - w pierwszym dniu szkoły! Zdaje się, że starsi chłopcy ich podjuzdili, no i nauczyciel miał do nich przemowę. Max wrócił do domu z płaczem. Mówił, że policja go aresztuje i wsadzi do więzienia. Był w strasznym stanie. Nie pozwolił mi odbierać telefonów, bo bał się, że to dzwonią z posterunku, a kiedy rozległa się syrena, robił się biały jak kreda.

- O, biedaczek - odezwałyśmy się chórem, Serena, Pamela i ja. Pamela powtórzyła „biedaczek” ze trzy razy, żebyśmy lepiej zrozumieli.

Zadzwoiła czyjaś komórka.

- To moja - powiedziała niechętnie Serena, sięgając do przepastnej torby na poręczy krzesła. - Halo? O. Aha. Trudno. Co, wszędzie? Ma temperaturę? Więc dobrze, zaraz wracam. Cześć.

Wrzuciła komórkę do torby, wyjątkowo rozdrażniona.

- Chodzi o Petrę, moją najmłodszą. Zwymiotowała do łóżka. Muszę wracać. Bo nie ma mowy, żeby Leo posprzątał wymiociny. Nie, on ściągnie mnie do domu, żebym ja to zrobiła. No, ale od czego ma się mężczyznę w domu.

- Aha. Dobra, ja też już idę - odezwał się Mitch. - Wypalę sobie trochę ziała. Jeśli ktoś chce się przyłączyć, to zapraszam.

- Dzięki, Mitch, nie - powiedzieliśmy jak jeden mąż.

Świetnie, pomyślałam. Wszyscy usunięci z drogi, z wyjątkiem Pi-jawki Pameli. Mitch i Serena przez chwilę przerzucali się banknotami i drobnymi i choć Serena robiła mnóstwo zamieszania, w końcu wyszli. Serena pocałowała Adama w oba policzki, a mnie ledwie skinęła głową. Musiałam się pogodzić z myślą, że dziś nie zawarłam żadnej przyjaźni - chyba że sprawa z Adamem się poprawi.

- Czy wiesz - odezwała się Pamela po ich wyjściu - że nos i uszy nigdy nie przestają rosnać? Przeczytałam w pewnym piśmie. Ciągłe rosna. Nos i uszy. Nie przestają rosnać.

- Naprawdę? - spytał Adam z nadzwyczajnym zainteresowaniem i potarł własne uszy. Ale kiedy Pamela odwróciła się, szukając kelnera, mrugnął do mnie. Zarumieniłam się z radości. Ten mały gest podbudował moją nadzieję i nastrój. Jedno króciutkie drgnienie powieki Adama powiedziało mi, że nie ma szans, by między nim i Pamelą coś było - z wyjątkiem jej zauroczenia. A także, że mam czekać, bo on chce ze mną porozmawiać na osobności i żałuje, że przez cały wieczór nie mogliśmy zamienić paru słów.

- Gdzie mieszkasz? - spytała mnie Pamela. Było to pierwsze pytanie, jakie zadała mi bezpośrednio.

- W Wealton - odpowiedziałam, czując, co się święci.

- I na pewno nie będziesz prowadzić - oznajmiła, patrząc znacząco na mój kieliszek. - W sobotnie noce trudno o wolną taksówkę. Więc jeśli nie prowadzisz, to lepiej zamów taksówkę już teraz, w przeciwnym razie będziesz czekała godzinami. Bo są ciągle zajęte. W sobotę.

- A jak ty dojedziesz do domu? - spytał Adam, przyjmując rachunek.

- Samochodem. Zaproponowałabym, że cię podwiozę, Anno, ale mieszkam w przeciwnym kierunku. Ale tobie to jest po drodze - zwróciła się do niego.

Trafiony zatopiony, pomyślałam. Adam jest zbyt uprzejmy, żeby odmówić. Wtedy ona spróbuje go namówić na kawę, i zanim się zorientujemy, już będzie otulać Maksa kołderką i szczebiotać do niego. A ja zostanę tutaj, w towarzystwie Dolly rodem z Wiltshire i jej biustu rodem ze sklepu papierniczego. Ciekawe, od kiedy Pamela kocha Adama. I czy on o tym wie. I czy coś między nimi zaszło. Chyba nie. Prędzej uwierzę, że to Serena nakłoniła go do jakiegoś nadprogramowego zajęcia. Jest wkurzająca, ale przynajmniej atrakcyjna. A wkurza chyba tylko mnie - bo podoba się jej Adam.

- Dzięki, to wspaniale - powiedział, a moje serce zlodowaciało. Zmarnowany wieczór. Zmarnowany wyjazd. I nie zbliżyłam się do Maksa. - A czy mogłabyś podwieźć też Annę do mojego domu, skoro będzie musiała godzinami czekać na taksówkę? Nie chcę, żeby tu tkwiła albo na przystanku taksówkowym.

Rzuciłam mu wdzięczne spojrzenie. Znowu nabrałam nadziei.

- Bardzo chętnie - warknęła Pamela przez zaciśnięte zęby.

Adam przyjrzał się rachunkowi i powiedział, ile jesteśmy winne. Pamela oznajmiła, że wypłała tylko jeden kieliszek wina, dlatego nie powinna płacić aż tyle. Dołożyłam więc jeszcze dziesięć funtów, bo ja, i owszem, piłam. Poza tym zauważyłam, że inni zostawili beznaście niskie kwoty i Adam w końcu dopłacił co najmniej pięćdziesiąt funtów z własnej kieszeni. Miałam nadzieję, że powie o tym pozostałym, choć jakoś nie chciało mi się w to wierzyć.

Dolly rodem z Wiltshire, która tymczasem przysiadła przy barze, gdzie spożyła kilka fluorescencyjnych koktajli, wróciła na scenę.

- Witaj po przerwie, Gillingsbury! - zakrzyknęła ze znacznie większym wigorem. Peruka przekrzywiła się jej lekko, a szminka rozmazała. - Na pewno wszyście to znacie!

Włączyła magnetofon i w niemal pustej sali rozległy się pierwsze akordy *Nine to Five*.

- To chyba znak, że pora wychodzić - powiedział Adam, odsuwając krzesło. Przemknęliśmy przed zaimprovizowaną sceną ku oczywistemu niezadowoleniu Dolly i wyszliśmy. Co za ulga, takie chłodne nocne powietrze. Zauważyłam, że w Gillingsbury świeże powietrze jest znacznie świeższe niż w moim domu, gdzie Londyn majaczy na horyzoncie w żółtawej aureoli wyziewów i oddechu miasta. Byłam na wsi. Kiedy podniosłam głowę, widziałam tylko konstelacje na aksamitnej czerni.

Szliśmy właśnie do samochodu Pameli, gdy za naszymi plecami rozległy się pospieszne kroki. Odwróciliśmy się i ze zdumieniem ujrzeliśmy wysoką postać w tandetnej jasnej peruce. Biegła ku nam, nadal śpiewając do bezprzewodowego mikrofonu. Jej głos a cappella (z tej odległości nie było słycać podkładu) brzmiał makabrycznie, jak zgrzyt paznokci na tablicy.

- Chyba jeszcze nie odchodzicie? - rzuciła między wersami. - Nie możesz odejść, kotku. - Poglądziła Adama po policzku i nawet on, najuprzejmiejszy znany mi mężczyzna, cofnął się gwałtownie. - Jesteś na to zbyt słodki. Może zostanieie? Każda dziewczyna potrzebuje publiczności... „Od dziewiątej do piątej, co za życie...”

Oniemiali, niezdolni do uwierzenia, że naprawdę ściga nas dwumetrowa śpiewająca naśladowczyni Dolly Parton, wszyscy troje - nawet przysadzista Pamela - spojrzeliśmy na siebie niedowierzająco i bez słowa rzuciliśmy się do ucieczki. Dolly wróciła brawurowo do obojętnych kelnerów i zmęczonego barmana.

Samochód Pameli okazał się stareńkim beżowym garbusem z podłogą zasłaną rachunkami za benzynę i papierkami po słodyczach. Dojechaliśmy na miejsce, Pamela wyłączyła silnik i przez chwilę siedzieliśmy, patrząc na dom Adama. W nocy wydawał się zupełnie inny, mrok zasłonił jego lichotę, a ja poczułam wdzięczność, że znowu tu jestem. Może Max się obudzi, a ja dam mu ciepłego mleka i przeczytam bajeczkę? Ciekawe, jak bardzo muszą hałasować na parterze, żeby się obudził. Przez chwilę zobaczyłam, jak stukam obcasami ze wszystkich sił, drę się i upuszczam na podłogę co tylko się da - choć wówczas prawdopodobnie Adam prędzej by mnie wykopał na dwór, niż pozwolił uśpić syna.

- Bardzo dziękuję, Pamelu. Do zobaczenia w poniedziałek w szkole - powiedział Adam, otwierając drzwi. Na ulicę wypadła skrobaczka do szyb, choć od czasu, gdy mróz karmelizował zacieki na przedniej szybie, minęło co najmniej osiem miesięcy.

- Bardzo proszę - odpowiedziała tak zgaszonym, przygnębionym głosem, że zrobiło mi się jej żal. Nieodwzajemniona miłość potrafi zabić. Może ona też myślała, że dziś będzie jej wielka noc. Spojrzałam na tył jej ciemnej gładkiej głowy i pomyślałam, jak samotne musi być życie starej panny w średnim wieku.

- Dziękuję, Pamelu. Jestem bardzo wdzięczna - powiedziałam, usiłując usunąć z głosu wszelkie ślady tryumfu. - Miłego weekendu, czyli tego, co z niego zostało. Zadzwoń do ciebie w sprawie listy rezerwowej.

- Dobranoc - rzuciła, nawet nie odwracając do mnie głowy. Adam podniósł z ulicy skrobaczkę, położył na tylnym siedzeniu i pochylił się, by delikatnie pocałować Pamelę w policzek. Na cichej uliczce rozległo się trzaśnięcie dwojga drzwi i Pamela odjechała. Widziałam, że podejrzliwie zerka we wsteczne lusterko. Biedna.

- Czy Wilf jest samotny? - spytałam, kiedy przechodziliśmy przez ulicę. W moim umyśle dokonało się skojarzenie Biednej Pameli z Biednym Wilfem.

- K t o ?

- Wilf. Recepcjonista z twojej szkoły.

- A, Wilf. Oczywiście. Hm, chyba tak.

- Może zabawisz się w swatkę? On i Pamela pasowaliby do siebie idealnie, nie sądzisz?

Adam parsknął śmiechem, szukając kluczy w kieszeni dżinsów.

- No, może. Choć oboje bardzo się upierają przy swoim.

- Od kiedy Pamela cię kocha?

Otworzył drzwi. Stojąc blisko niego w małym ciemnym korytarzyku, doznałam słodkiego przeczucia - a potem Adam włączył światło. Eksplozja żółtego blasku zniszczyła chwilę. Adam nagle spowaźniał, jakby włączając światło, wyłączył uśmiech.

- To tak widać?

Skinęłam głową. Otworzył drzwi do salonu i powiedział bezgłośnie: później ci opowiem.

Na jednym końcu sofy rozwałął się nastolatek. Na drugim siedziała sztywno wyprostowana dziewczynka. Hinduska narzuta między nimi została pospiesznie wygładzona, a oni z napięciem oglądali przemówienie jakiegoś polityka. Dziewczyna była bardzo ładna, miała długie, proste, jasne włosy i chude nogi w obcisłych dżinsach, a chłopak był nabzdyczony i pryszczaty, typowy nastolatek.

- Dobry wieczór - zawołała dziewczyna, udając zaskoczenie. - Nie słyszałam, jak pan wszedł. To jest, eee... Chris, dotrzymał mi towarzystwa. Mam nadzieję, że się pan nie gniewa. Max był grzeczny, nawet nie pisnął, a pan się dobrze bawił?

Adam przez chwilę marszczył brwi. Potem się uśmiechnął.

- Cześć, Chris. Tak, dziękuję. Bardzo dobrze się bawiliśmy, prawda?

- Mhm - mruknęłam. - Było bardzo ciekawie.

Adam dał dziewczynie piętnaście funtów i po dziesięciu sekundach oboje znikli, Stephanie rzucając dziesiątki pożegnań i podziękowań, Chris bez słowa.

- Lubi silnych, milczących mężczyzn - odezwałam się, kiedy zamknęli drzwi.

- Bóg jeden wie, co się tu wyprawiało - powiedział Adam, szukając w pokoju śladów rozpusty. - Ale przyprowadzanie chłopca jest chyba wliczone w ten zawód. I nie byli w szczególnym dezbilu, prawda?

- Powiedziałabym ci, gdybym wiedziała, co to znaczy - odparłam, padając na fotel. - To jakieś świństwo?

- To znaczy „rozebrani”.

- Aha. No to nie byli. - Z jakiegoś powodu słowo „rozebrani” obudziło dreszcz w moim brzuchu. - Opowiedz mi o Pameli.

- Chcesz się napić?

- Kurczę, aż tak źle?

- Nie, wcale nie. Chcę być gościnnie i tyle. Kieliszek białego wina czy szkocka?

- O. Szkocka.

Poszedł do kuchni, a ja ruszyłam za nim.

- Historia jest dość tragiczna - powiedział, wpatrzony w butelkę, którą wyjął z górnej szafki. - Na ogół o tym nie wspominamy, ale od czasu do czasu wybucha, zwykle na przyjęciach gwiazdkowych i temu podobnych. Od lat się we mnie podkochawała, piekła mi ciasta i tak dalej. To się zaczęło od chwili, gdy zacząłem uczyć w college'u, kiedy Maksa nie było jeszcze na świecie. Siedem albo osiem lat temu. Moja żona dostawała szał od tych ciast - uważała, że to przytyk, bo ona nie gotowała.

- Nie gotowała? - Byłam zafascynowana i przerażona. Biedny Max.

- No, to nie należy do sprawy, ale nie gotowała. Albo rzadko. W każdym razie Pamela cudownie się zachowała, kiedy Max... kiedy Max zachorował. Często go odwiedzała i niesamowicie mi pomogła. Nadal są sobie bliscy. Ale mam takie wrażenie... - zamilkł.

- Jakie?

- Że robiła to tylko po to, by się do mnie zbliżyć. I choć doceniałem jej pomoc, moja żona była wściekła, a mnie też wkurzało, że ktoś tak wykorzystuje mojego syna.

Przełknęłam ślinę. Poczulałam palący rumieniec. On się nie może dowiedzieć. Zrobiłam coś jeszcze gorszego: wykorzystałam jego, żeby się zbliżyć do Maksa.

- No, a potem Marilyn odeszła, a Pamela chyba uznała, że to jest szansa, by zająć jej miejsce. I to bardzo zająć - dodał z grymasem.

Nie mogłam pohamować uśmiechu.

- Było okropnie. Musiałem usiąść z nią i wyjaśniać, że choć bardzo ją lubię, między nami nigdy nic nie będzie. Nie wiedziałem, czy Marilyn chce wrócić. Powiedziałem wszystko oprócz:

„Nie chciałbym cię nawet, gdybyś była ostatnią kobietą na ziemi”. Ale ona chyba nadal ma nadzieję.

Przypomniałam sobie zazdrość w jej małych, zapadniętych oczach - ale bardziej zainteresowało mnie odkrycie, że żona Adama ma na imię Marilyn. Pasuje do niej, pomyślałam, przypomniawszy sobie zdjęcie. Otworzyłam usta, żeby spytać, gdzie się podziewa Marilyn, co się stało, czyjej powrót jest nadal wątpliwy, ale uznałam, że lepiej będzie zachować dyskrecję. Wszystko w swoim czasie.

- Dobrze się z tobą rozmawia - rzuciłam.

Staliśmy w kuchni, oparci o szafki. Kiedy się odwróciłam, żeby wziąć zimną szklankę z whisky, zobaczyłam nasze odbicie w obłej chromowanej powierzchni czajnika, symbol kompletnej całości: Adam i ja w środku naszego prywatnego srebrnego świetlistego wszechświata. Miałam przedziwne poczucie zadowolenia, jakbym tu właśnie miała się znaleźć, tu przynależała. Może to były tylko moje pobożne życzenia, ale zdumiałam samą siebie. Najwyraźniej potrafiłam wymazać wszystkie ślady mojego dawnego życia: Kena, Lil, Vicky, dzieci - jej i moje. W tamtej chwili czułam się, jakby wszystko, czym byłam i chciałam być, znalazło się w odbiciu na czajniku, rodziło się w pokojach tego małego szeregowca, w oddechu śpiącego chłopca.

- Z tobą też - odpowiedział Adam i położył mi rękę na ramieniu.

Jego dotyk był łagodny - nie niepewny, tylko czuły - ale i tak omal nie wyskoczyłam ze skóry. Adam spojrział mi w oczy i w ułamku chwili cała moja swoboda znikła, a kolana zaczęły się trząść. Musiałam oprzeć się o blat za moimi plecami, żeby nie upaść. Nie mogłam mu spojrzeć w oczy. Zarumieniłam się jak nastolatka i wbiłam wzrok w podłogę. Serce mi waliło; nagle poczułam tamtą ligninę, tkwiącą w żołądku jak cegła. Adam przysunął się do mnie. Nie zdażałam sobie sprawy, że przestałam oddychać - dopóki nie zaczęłam nieromantycznie zipać, łapiąc powietrze jak ryba wyrzucona z wody. Zdałam sobie także sprawę, że jestem absolutnie i obłądnie przerażona. Od lat nikt z wyjątkiem Kena tak na mnie nie patrzył.

- Jesteś wspaniała - szepnął.

Jego oddech połaskotał mi policzek. Moje ręce, jakby z własnej woli, objęły go w pasie i przyciągnęły do mnie. Oparł głowę na mojej szyi. Jego zapach był jednocześnie znajomy i jak dalekie wspomnienie czegoś, chiński szept przypominanych woni.

- Anno - westchnął. Potem podniósł wzrok i założył mi pasmo włosów za ucho. Wreszcie spojrzeliśmy sobie w oczy, a powietrze między naszymi wargami aż trzaskało. Dokładnie w chwili, kiedy nasze usta się zetknęły, a ten dotyk zapulsował głęboko we mnie, z piętra dobiegł żalospny głosik - z idealnym wyczuciem efektu, jak w komedii. Odkoczyliśmy od siebie, zaczerwienieni i roześmiani.

- Tato! Tato! Chodź do mnie!

- Kochane dziecko - warknął Adam. - Przepraszam. Muszę sprawdzić, czego chce. Pewnie miał zły sen.

Weź mnie ze sobą, pomyślałam, choć wiedziałam, że to nie na miejscu. To nie ten etap, na razie. Spojrzałam na swoje odbicie w czajniku i pomyślałam, że ten etap niedługo nastąpi - i moje serce aż podskoczyło. Potem przemknęło mi przez myśl, co porabia Ken, kiedy ja całuję innego, i to bez najmniejszych wyrzutów sumienia. On się nie dowie. Po raz pierwszy od śmierci Holly znalazłam coś, co dawało mi zadowolenie i niech mnie diabli, jeśli tego nie dostanę. Na dłuższą metę oboje możemy na tym zyskać - a ja znowu poczuję się pożądana.

Adam szedł po schodach, chwycił kubek i napełnił go zimną wodą z kranu.

- Pić mu się chce - rzucił. - Nie ruszaj się stąd... choć nie, właściwie może sobie usiądziesz? Nie będzie mnie tylko chwilę.

I znowu pobiegł.

Poszłam do salonu, wyciągając słuch, by znowu usłyszeć senny cienki głosik Maksa. Dotarło do mnie parę szmerów, ale nie potrafiłam rozróżnić słów. Usiadłam na sofie z wymiętą narzutą; każdy mój nerw dygotał z niecierpliwości i niepokoju. Jak mam siedzieć? Jak ta opiekunka, sztywno wyprostowana, udająca niewinność? A może dostosować się do chwili i wyciągnąć się uwodzicielsko, z jedną nogą podwiniętą, a może obiema? Po głębokim namyśle zdecydowałam się na niby to odprężoną pozę, przy czym najpierw zdjęłam sandały, żeby stworzyć wrażenie zupełnej bezpretensjonalności. Potem zmieniłam zdanie i usiadłam, obejmując rękami kolana podciągnięte pod brodę. Zdrapałam parę maźnięć lakieru na palcach u stóp koło paznokci i zaczęłam czekać.

Nadal nie miałam stuprocentowej pewności, czy pociągnąć tę grę dalej, o ile Adam wróci w nastroju, żeby doprowadzić ją tam, dokąd, jak mi się zdaje, zmierzaliśmy. I choć chciałam być tutaj, z nim

i Maksem, a sumienie mi naprawdę nie dokuczało, nadal nie podobała mi się myśl, że jestem niewierna Kenowi. Zawsze przyjaciółki czy koleżanki, które opowiadały o swoich romansach, budziły moją potajemną pogardę - aktorzy w trasie mają mnóstwo okazji do zdrady i często z nich korzystają. Ale ja uważałam przysięgę małżeńską za świętą, a zdradę niewinnego partnera - za kolosalne przewinienie. Najniższy z upadków, tani numer, zrodzony z nudy czy frustracji, albo z przygnębiającej myśli, że do końca życia nie wolno już uprawiać seksu z nikim oprócz prawowitego partnera... Ale skoro ta myśl naprawdę je tak przygnębiała, to nie miałam dla nich współczucia. To ich wybór. Nikt ich nie zmuszał do małżeństwa, a jeśli nie chciały być wierne, to po co w ogóle wychodziły za mąż?

Tak zawsze myślałam. Szczerze sądziłam, że chcę się zestarzeć z Kenem i mieć z nim dzieci - choć łatwiej to powiedzieć niż zrobić. Ale teraz nie chciało mi się wierzyć, że o tym w ogóle myślę, to było co innego. Koniec końców, tu chodziło o Maksa.

- Wyglądasz, jakbyś była bardzo daleko - odezwał się Adam, który, zauważyłam, także zdjął buty i skarpetki. Stał u stóp schodów, uśmiechał się, a w ręce trzymał pusty czerwony kubek. Stopy miał zwiężle i masywne, a palce tworzyły doskonały łuk, od największego do najmniejszego. Stopy Kena stanowiły ich przeciwieństwo: palce były najróżniejszych kształtów i rozmiarów, niezdarne kościsty chaos. - O czym myślisz?

Uśmiechnęłam się i przełknęłam wewnętrzny zamęt jak pigułkę.

- Że nie noszę, kiedy ludzie mówią „koniec końców”.

- Tak? Mnie to nie przeszkadza. Ale do szału doprowadza mnie: „Jeśli wiesz, co chcę powiedzieć”. W szkole jest taki woźny, który nie potrafi powiedzieć jednego zdania, nie kończąc go „wiesz, co chcę powiedzieć”.

Cicho przeszedł do kuchni, odstawił kubek, wziął szklankę z whisky i usiadł obok mnie.

- Max śpi?

- Teraz pewnie już tak. Nawet kiedy mnie woła, nigdy nie budzi się w pełni. Chyba się tylko upewnia, że jestem.

Odwrócił się do mnie, usiadł trochę bokiem, jakby miał mi się oświadczyć.

- No więc... Nie za dobrze mi to idzie i nie chcę, żebyś pomyślała, że cię napastuję - wiem, że jesteśmy umówieni w poniedział-

łek - ale może chciałabyś jutro pójść ze mną i Maksem na basen? Oczywiście, jeśli nie jesteś zajęta...

Przed oczami stanął mi Ken, w tenisowej bieli, na korcie. Wiedziałam, jak serwuje, i z jakiegoś powodu wyobraziłam sobie, że przy podniesieniu ręki koszulka podjeżdża mu do góry, obnażając muskularny brzuch. Rozległ się głuchy stuk i piłka pomknęła jak zielona strzała ku siatce. Ken wygląda niesamowicie seksownie, kiedy serwuje.

Ale kazałam mu natychmiast zniknąć. Nie mogłam sobie pozwolić na myśli o Kenie. Zresztą, to nie miało nic wspólnego z Kenem, a on pewnie siedzi w jakimś barze karaoke w Tokio, popija sake i flirtuje z jasnowłosymi angielskimi kelnerkami. A ja chcę być z Maksem - o to mi od samego początku chodzi.

- Bardzo chętnie - powiedziałam.

Adam pocałował mnie znowu, bardziej zdecydowanie. No i stało się, pomyślałam. Cokolwiek wydarzy się dalej, nigdy nie będę mogła cofnąć tej chwili. Nigdy więcej nie powiem, że jestem zupełnie wierna mojemu mężowi. Nogi trzęsły mi się tak, że cieszyłam się, iż siedzę. Czulałam się, jakbym nigdy w życiu z nikim się nie całowała. Niemal miałam nadzieję, że Adam źle całuje, że jest jednym z tych, którzy wpychają ci do ust wielkie grube jęzory i je tam zostawiają, jakbyś to ty miała coś z nimi zrobić, albo że ma brzydki oddech - ale nie. Całował czule i jakos tak, jakby był zrobiony na moje specjalne zamówienie. Im dłużej to trwało, tym bardziej ulatniały się moje wyrzuty sumienia. Delikatnie przyparł mnie do oparcia sofy; poczułam jego miły ciężar, który przygniótł mnie i unieruchomił; a także drgnięcie i nabrzmienie wewnątrz jego dżinsów. Penis innego mężczyzny. Ciekawe, jak wygląda.

- Pięknie pachniesz - szepnęłam, kiedy zrobił pauzę dla nabrania oddechu.

- Pięknie smakujesz - odpowiedział, głaszcząc moją twarz.

Ale nie chciałam z nim spać. Ken powiedział kiedyś, że pewnie wybaczyłby mi, gdybym całowała się z kimś po pijanemu - najprawdopodobniej chciał, żebym odwzajemniła się podobnym zezwoleniem - ale nigdy nie darowałby mi, gdybym się z kimś przespała. To by wszystko skończyło. Więc uznałam, że Adam i ja dopuściliśmy się właśnie całowania po pijanemu, choć Adam

wydawał się zupełnie trzeźwy, a te pięć kieliszków wina miały na mnie niewielki wpływ, tylko zabarwiły mój język i wargi na siny kolor.

- Często chodzą na basen? - spytałam, żeby coś powiedzieć, kiedy Adam położył sobie moje nogi na kolanach i zaczął pieścić nagie stopy. Było cudownie. Tylko moja matka głaskała mnie po stopach, a szorstki dotyk palców Adama na podeszwie obudził echo delikatnego dotyku matki, co skojarzyło mi się z satynowym lśnieniem kasztana w kolczastej łupinie.

- Kiedy tylko możemy - odpowiedział. - Jeśli nie jest zbyt zimno. Prognoza na jutro nie jest wspaniała, ale Max byłby bardzo rozczarowany, gdybyśmy nie poszli. - Najwyraźniej w moich oczach odmalowała się taka tęsknota, że aż się roześmiał. - Ty chyba też.

- Nie mogę się doczekać - powiedziałam, zarumieniona.

Adam uściśnął moje palce u stóp.

- I ja. I Max, jak się dowie.

Więc jednak warto było zrezygnować z wyjazdu na Ibizę.

26

Wysłałam od Adama koło drugiej. Broda paliła mnie, otarta jego zarostem, a oczy piekły z niewyspania. Kiedy opadłam na siedzenie w taksówce, usiłując uporządkować wydarzenia tego wieczoru, zdałam sobie sprawę, że jednak musiałam być bardziej pijana, niż sądziłam, bo nie mogłam się pozbyć przekonania, iż wracam do domu, do Kena, a nie do małego pustego mieszkanka nad stawem. Nadal nie miałam wyrzutów sumienia - choć być może potrzebowałam czasu, żeby do mnie dotarło, co zrobiłam. Na razie ze smutkiem myślałam o naszym dużym, pustym domu, jego ciemnych oknach i nieruchomym powietrzu. Gdyby Holly żyła, w tym domu byłoby życie. Gdyby Holly żyła, wszystko byłoby inaczej.

Zasnęłam, ledwie dotknąwszy głową poduszki. Obudziłam się dopiero o dziesiątej, kiedy oślepił mnie promień słońca, a nieznanome żółte zasłony w kwiaty zaczęły łopotać na wietrze wpadają-

cym przez otwarte okno. Przyśnił mi się nasz ślub: najlepszy dzień mojego życia. We śnie znowu poczułam tamtą radość i jej resztką została we mnie, jak sen w oczach. Gardło mi się ścisnęło na myśl, że tak czyste uczucie jest już dla mnie stracone - najwyraźniej na zawsze.

A to była taka prawdziwa, wręcz nieopanowana radość. Jakbym bez lęku skakała pod niebo na trampolinie. Nie pamiętałam dokładnie całego ślubu, w sensie narracyjnym, ale tylko chaos bezładnych wspomnień, jakby ktoś pociął ten dzień ma milion przenikających się chwil, z których każdą można wyjąć i obejrzeć z bliska. To dość makabryczne porównanie, lecz kojarzyło mi się to ze skazańcem, którego oddane medycynie ciało pocięto na tysiąc cienkich jak papier pierścieni, sfotografowano i wprowadzono do komputera, by uzyskać trójwymiarowy obraz ludzkiego ciała, wewnątrz i na zewnątrz.

Czasami, kiedy usiłowałam sobie przypomnieć ślub, potrafiłam tylko przywołać wspomnienie nieludzko niewygodnej bielizny, na którą pochopnie pozwoliłam się namówić stylistce. W stringach byłabym dużo szczęśliwsza, ale ona wcisnęła mi coś, co w gruncie rzeczy było bardzo drogimi obciskającymi majtasami, które wpijały mi się w talię i ścisnęły pośladki. Ale miałam też inne wspomnienie - czułość na widok dwóch obrączek, tulących się do siebie w fioletowym aksamitnym pudełeczku w dłoni drużby; jedna była masywna, jak silny pierworodny bliźniak; druga delikatna, jak jego słabszy braciszek. Zapomniałam słów przysięgi, ale nie stłumione kaszlnięcia, szepty zebranych i bardzo liberalnego księdza, który zgodził się dać nam ślub w kościele, choć Ken był rozwiedziony. Miał zwyczaj co chwila zdejmować okulary dla podkreślenia wagi słów. A potem znowu je wkładał.

Ken powiedział, że tamtego dnia był jak zahipnotyzowany; stracił własną tożsamość, pochłonięty przez tę chwilę. Małżeństwo z Michelle zawarł w urzędzie stanu cywilnego, więc twierdził, że dla niego to też był pierwszy raz. Ten poprzedni się nie liczy, powiedział lojalnie. Wiedział, że wszyscy nasi przyjaciele i krewni są obecni i obserwują nas, kiedy idziemy do i od ołtarza, ale nie zarejestrował żadnej z uśmiechniętych twarzy. Ja przeciwnie: starannie się im przyglądałam, analizując, gdzie usiedli, co włożyli, jak dalece szczerą jest ich radość. Sprawdziłam, czy Michelle nie

wpadnie do kościoła, protestując swoim wysokim, łamliwym głosem - i choć wiedziałam, że wyjechała do Ameryki i tam ponownie wyszła za męża, ta podświadoma myśl utkwiła gdzieś w głębi mózgu jako ulotna, lecz straszna możliwość.

Wszystko to było dla mnie nowe i to mnie tak cieszyło w tym starym kościele. Świeży film w starym aparacie; lilie w pączkach, lśnienie naszych obrączek, oszałamiająco białe koszule odzwierciedlonych, świeżo umyte włosy Kena. Wszystko to obwieszczało: NOWY POCZĄTEK - nowy liść, nowe wspólne życie, nowy rodzaj czystej radości. Mama jeszcze żyła i razem z matką Kena płakała przez całą ceremonię. Mnie także chciało się płakać, kiedy pomyślałam o tacie i o tym, że to on powinien prowadzić mnie do ołtarza, nie brat. Ken nie zauważył płaczących matek ani ciągle szepczącego chórzysty. Ani tego, że dałam druźbie znak, by przyniósł nam książkę z hymnami, a on mi podał miętówkę.

Choć żadne z nas nie przypominało sobie ani słowa z kazania, oboje pamiętaliśmy jego radę: zawsze się wspierajcie, nigdy nie ponizajcie się nawzajem w obecności innych. Bądźcie wobec świata jak mur bez jednej rysy. I byliśmy, wychodząc tryumfalnie z kościoła, mąż i żona. Ja czułam się już niemal ciężarna, już widziałam się w ciążyowej sukience. Wiedziałam, że będziemy fantastycznymi rodzicami.

Później, na przyjęciu, upiłam się i zapomniałam o wszystkich rozmowach, jak niemowlę, który pławi się w nastroju chwili i zapomina o jednym radosnym wydarzeniu, kiedy spotka następane. Prawie nie rozmawiałam z Kenem, choć ciągle na niego patrzyłam. Chciałam tylko sprawdzić, czy i on czuje tę radość.

Radość była wszędzie. W przedzielonych kamiennymi kolumnami oknach, w brylantach starych szybek, nieomal pękających pod jej ciśnieniem. Uchodziła, niewidzialna, z sykiem przez niezbyt malownicze zaplecze budynku, gdzie kucharki wyrzucały odpadki. Byłam ciekawa, co myślą inni goście, czy też czują tę radość, czy też myślą cynicznie: „Więc Ken się znowu ożenił, patrzcie państwo”. Ale ja czułam tylko radość, obecną w każdym moim ruchu. Czułam ją, kiedy wbiliśmy gruby stalowy nóż w twardą polewę i miękkie ciasto owocowe; płynęła ze słów zapomnianych przemówień; była nawet w tryumfie mojego siusiania, kiedy podniosłam sukienkę i oparłam rozpalone czoło o chłodną białą ścianę toalety.

Później oboje zgodziliśmy się, że cała ta uroczystość była pod pewnym względem zwycięstwem. Tak jakby udało nam się osiągnąć coś nadzwyczajnego i niezwykłego. Prawdziwe życie, prawdziwe emocje, myślałam wtedy. Nadal tak myślę.

27

Przyzwyczałam się do mojego małego mieszkanka. Po paru dniach zaczęłam się dziwić, w jaki sposób ja i Ken wypełniamy przestronne wnętrza naszego wiktoriańskiego domu; i dlaczego uważamy, że potrzebujemy tych pokoiw pełnych nieużywanych rzeczy: płyt, których nigdy nie słuchamy z wyjątkiem paru ulubionych, DVD, których nawet nie rozpakowaliśmy, książek, których nie przeczytaliśmy, tych wszystkich nietkniętych słoików z kaparami i owocami w syropie. Co najmniej połowy ubrań nigdy nie wkładaliśmy, więc po co nam one? Tak jakbyśmy wyposażyli dom dla jakiejś innej pary, kto wie, może ludzi, jakimi chcieliśmy być. Rodziców, którzy gotują, słuchają muzyki i potrzebują całej kolekcji ubrań do całodziennych zajęć z dziećmi. Im dłużej o tym myślałam, tym bardziej docierała do mnie sztuczność naszego związku. Nasz dom był jak dekoracje do serialu o trzydziestolatkach z klasy średniej - mieliśmy wszystkie potrzebne rekwizyty, umieszczone dokładnie tam, gdzie trzeba: rolki i skutery w garażu, wino w piwnicy, walizki na strychu, narzędzia ogrodnicze w szopie - ale sam dom był martwy. Naszła mnie ochota, żeby zadzwonić do domu i zostawić wiadomość na sekretarce - tylko po to, żeby na chwilę ożywić głuchą pustkę tego pomieszczenia.

Lubiłam moje nowe, małe pokoje. O wiele łatwiej było mi zrobić te dwa kroki, żeby dotrzeć do łazienki, zamiast schodzić po schodach i wędrować długim korytarzem. Przeniesienie herbaty z kuchni do salonu było kwestią pięciu nędznych kroków. To mieszkanie jest na tyle małe, że może pomieścić moje uczucia, zrozumiałam, gdy tymczasem w domu szaleją i snują się one po korytarzach i licznych schodach niczym duchy, a moja rozpacz zwisa jak pajęczyna z abażurów i obrazów. Przez chwilę zastanawiałam się, czy zdołałabym namówić Kena do zmiany domu na

mniejszy i położony na wsi - a potem roześmiałam się głośno. Ken nie potrafił nalać płynu do zmywarki, co dopiero zmienić dom. A gdybyśmy się przeprowadzili na wieś, byłby ze mną o dwie godziny krócej, bo musiałby dojeżdżać.

Siedziałam skulona w jedynym fotelu, patrzyłam na kaczki za oknem, bijące się o średnio jadalne okruchy, jakie rzucał im jakiś berbec, i myślałam o Adamie. Nie powinnam go znowu całować. To nie było w porządku w stosunku do niego i Kena - choć bardziej wstydziłam się tego, że wykorzystałam Adama, żeby zbliżyć się do Maksa. Przecież tak naprawdę nie zdradzam Kena. Nie chcę mieć romansu...

Ale potem przypominałam sobie pocałunek i jak Adam na mnie patrzył oczami nieruchomymi i przejrzyście błękitnymi; i ciężar jego ciała na moim, i jak zapragnęłam przylgnąć do niego jak do koła ratunkowego. On na mnie działał, to pewne, i chyba nie chodziło mi tylko o Maksa. Ale czy ośmielę się sprawdzić, co będzie dalej?

Nie, nie wolno mi. Przepraszę, wytłumaczę, że go lubię, ale chcę się z nim tylko przyjaźnić, i że to się więcej nie powtórzy. Kocham Kena. A Adama lubię za bardzo, żeby go skrzywdzić.

Moja torebka zaświergotała; podskoczyłam nerwowo. Wyplątałam się z fotela, wyjęłam komórkę, przypadkowo przewróciłam wielki kubek z ciepłąwą herbatą, która rozlała się szarą plamą na kremowym dywanie. Wytarłam go szmatą; przyszło mi do głowy, że ostatnio często coś wycieram. Jednocześnie odczytałam SMS-a.

DZIEŃ DOBRY KOCHANIE, ZADZWONIĘ PÓŹNIEJ, MAM NADZIEJE ZE PRÓBY IDA DOBRZE, TU B. GORĄCO, CAŁUJE, KEN

Próby. Muszę trochę popracować nad tą historią. Ludzie wkrótce zaczną pytać o moją rolę, a ja nawet nie wiem, jak nazywa się serial. Łatwo jest zmylić tropy - wszystkie seriale są właściwie takie same - romanse w ściśle odmierzonych odstępach czasu, bracia bliźniacy, maszyny podtrzymujące życie i nieślubne dzieci - ale musiałam ustalić pewne podstawowe fakty, żeby mi się nic nie poplątało. I muszę powiedzieć Vicky i Lil. Po plecach przebiegł mi nieprzyjemny dreszczyk na myśl, że muszę okłamać najbliższe mi osoby, ale potem pomyślałam: i co z tego! Za to idę popływać z Maksem! Przestałam się martwić o kłamstwa, a zaczęłam zasta-

nawiać, czy powinnam ogolić nogi. Spojrzałam na niskie szare chmury w nadziei, że pogoda nie zrobi się na tyle paskudna, by trzeba było odwołać wyprawę.

Wrzuciłam mokrą ścierkę do zlewu - to łatwe, nawet od okna w salonie - wzięłam notes i pióro. Ręce pachniały mi starą ścierką, zapach kłamstwa, pomyślałam i postanowiłam ich nie myć. Teraz muszę się przyzwyczać do tego zapachu, bo będzie przy mnie zawsze. Lepiej uznać go za czynnik zewnętrzny.

Jaki tytuł może mieć serial? Uznałam, że najlepiej będzie go wymyślić, wtedy popuszczę cugle własnej wyobraźni bez strachu przed zdemaskowaniem. Nie przypominałam sobie, żebym powiedziała komukolwiek, jak nazywa się serial, do którego startowałam: *Merryvale*. Przejrzałam listę możliwości, z których każda za bardzo przypominała już istniejące tytuły: *Avondale* był fajny, ale zbyt podobne do *Emmerdale*. *Brewster Street* spodobał mi się, lecz *Walcon Square* również, tyle że nie mogłam użyć słowa street ani square, ponieważ za bardzo przypominały *Coronation Street* i *Albert Square*. Kurczę, nie jest łatwo. W końcu postanowiłam jednak wrócić do prawdziwego tytułu: *Merryvale*. Mało prawdopodobne, żeby ktoś znajomy zobaczył ten serial, a nawet gdyby, to po prostu powiem, że szybko wywalili mnie w pracy, a ja za bardzo się wstydziłam, żeby się przyznać.

Dzwonek komórki oderwał mnie od tych męczących rozterek.

- Halo?

- Cześć, kochanie, to ja. - Połączenie było kiepskie i przez jedną sekundę myślałam, że to Adam. - Dostałaś mojego SMS-a?

- O, cześć, kotku. Dostałam, dzięki.

- Możesz rozmawiać? Nie jesteś na próbie?

- Nie, w niedzielę nie pracujemy. Siedzę w pokoju. Za oknem jest staw, a pies mojej gospodyni ciągle wskakuje do niego i straszyc kaczkę.

- Więc musisz mieszkać daleko od Bristolu. Powiało wsią.

- Hm. Nie, właściwie nie. Może kiedyś to była wieś, teraz to przedmieście. A co u ciebie?

- To, co zwykle. Sale konferencyjne. Kolacje. Za dużo drinków zbyt późnym wieczorem w hotelowym barze.

- Z kim? - Zaraz, chwileczkę. Nie mam prawa do tego podejrzliwego tonu.

- Głównie z Marcusem Brittanem. Menedżerem The Cherries. - Ken roześmiał się pod nosem.

- C o ?

- A, nic. Marcus opowiada świetne historie. Kiedyś pracował w Mudd Club, wiesz, w Nowym Jorku w początkach lat osiemdziesiątych. W blacie baru mieli zatopione mapy drogowe i wdychali kokainę z autostrad. Początkujący zwykle wybierali L.A. do San Diego, czyli niedaleko, ale zaawansowani potrafili zrobić drogę z Denver do Chicago! Niesamowite.

- Mmm - mruknęłam, zastanawiając się, dlaczego wszystkie nasze rozmowy telefoniczne tak wyglądają. Dlaczego nie mogliśmy mówić o czymś ważnym? Potem przyszło mi do głowy, że skoro jest tam menedżer The Cherries, to i one tam są, plus tamto chude babsko. Wyobraziłam sobie, jak siedzą rankiem we trójkę w hotelowym barze, chleją tequile i ryczą ze śmiechu na myśl, że można wdychać kreski kokainy z największych autostrad w USA. Czy Ken potrafi się oprzeć urokowi kakaowej skóry i trzech młodych dziewczyn, które chcą być sławne? Nie wiem, co ja bym na jego miejscu zrobiła. Cholera, przecież nie potrafię się oprzeć nawet brzuchatemu, brodatemu nauczycielowi garncarstwa, który ma odciski na dłoniach.

- Więc już skończyliście próby?

- Aha. Wczoraj. Poszło świetnie. Dostałam sporo tekstu, więc muszę się wziąć ostro do roboty. Jutro zaczynamy próby kamerowe.

- Jaka jest twoja bohaterka?

- Trochę puszczalska. Noszę rudą perukę i wysokie obcasy, więc wcześniej czy później po prostu muszę się potknąć i skrócić kostkę.

- Koledzy mili?

- Chyba tak. Paru lowelasów, facetów ze starej szkoły, którzy się mają za Bóg wie co. Parę przemyślanych dzieciaków. Ale reżyser jest w porządku, bardzo zdolny.

- Mam nadzieję, że niezbyt pociągający.

- Gej. Oczywiście. Nie martw się, kochanie - powiedziałam, ściskając kciuki na szczęście. Nagle za nim zatęskniłam. Szkoda, że jednak nie pojechaliśmy na tę Ibizę! Brakuje nam okazji, żeby się wspólnie zabawić, pomyślałam niewesoło. No tak, ale on ma okazję się bawić w hotelowych barach i modnych restauracjach. Z innymi.

- Vicky się odzywała?
- Nie. - Przynajmniej tu nie muszę kłamać.
- Zadzwońisz do niej?
- N i e .
- To kiedy wracasz?
- Najwcześniej w czwartek. Ale potem mam wolne aż do wtorku. Będziesz w weekend?

Zawahał się.

- Mniej więcej. Nie zapominaj, że mam ten turniej tenisowy w sobotę, a potem przyjęcie.

- Mogę przyjść?

Kolejna pauza, za długa.

- Jasne.

A to spadaj na bambus, pomyślałam. Nagle poczułam się całkowicie samotna, pomiędzy dwoma domami, w nicości.

- Nieważne.

- Nie bądź taka. Powiedziałem, że możesz przyjść.

- Niespecjalnie się ucieszyłeś.

- Daj spokój, nie kłóćmy się. Wiem, że ci trudno, kiedy mnie nie ma. Coś ci powiem. W piątek wieczorem pójdziemy na kolację, dobrze? A w niedzielę do kina, i może na obiad w River Cafe.

- Dobrze. Przepraszam. Tęsknię, to wszystko.

- Ja też. Oho, muszę lecieć, ktoś puka.

Ciekawe, kto.

- To na razie. Cześć, kochanie, zadzwoń jutro.

- Cześć, kotku.

28

Szkoda, że po raz pierwszy od wielu dni nie było słońca, ale mnie to nie przeszkadzało. Byłam szczęśliwa i pod szarym niebem, siedząc na przetartym pasiastym ręczniku Adama, na trawiastym zboczu w pobliżu małego baseniku.

Adam brodził w nim w długich szortach, podtrzymując Maksa dłonią wsuniętą pod brzuch. Max wierzał niezdarnie, wyposażo-

ny w dmuchane rękawki i dość sfatygowane koło ratunkowe. Wyglądał jak blada smużka, tak ulotna, że biała piana wzburzonej wody wydawała się bardziej konkretna od niego. Kąpielówki miał tak malutkie, że ledwie je było widać, mgnienie granatowego nylonu. I choć Adam go podtrzymywał, serce wyskakiwało mi z pierśsi i okrywałam się gęsią skórą za każdym razem, gdy gładka głowa chłopca chowała się pod wodą.

- Wejdziesz? - zawołał do mnie Adam, machając ręką z uśmiechem.

Skrzywiłam się żartobliwie i wskazałam na gęste chmury, ciężkie od powstrzymywanego deszczu. Ale wstałam, poprawiłam biustonosz i podeszłam. Było ciepło i duszno, ale brak słońca jakoś przeszkadzał.

- Woda ciepła! - zaszczebiotał Max. - Patrz, co umiem!

Zatkał nos, zamknął oczy i zanurkował pod wodę. Wyłonił się niemal natychmiast, dysząc. Woda spływała po jego zamkniętych powiekach, a włosy rozdzielił przedziałek równy jak zamek błyskawiczny.

Zaczęłam bić brawo.

- Świetnie! Ja tak nie potrafię!

Weszłam do basenu; ciepława woda musnęła pieszczołtliwie moje uda. Basen był niemal pusty; tylko dwie trzylatki, bawiące się w gotowanie zupy w kubelku, i kobieta w zaawansowanej ciąży, siedząca na szerokich schodach i bawiąca się w łapki z berbeciem w pieluszce do pływania. Odwróciłam oczy od jej wielkiego brzucha i przyłapałam Adama na przyglądaniu się moim sutkom, które nagle ożyły. On też szybko odwrócił oczy. Ale nie byłam obrażona. Przyglądał się bardziej z ciekawości niż obleśnie.

Powitał mnie przyjaźnie jak zawsze, ale nie próbował mnie pocałować - tylko w policzek. I nie robił nic, co by nawiązywało do wczorajszej nocy. Może byłam zbyt oficjalna. A może on też tego żałował. Jeśli tak, to moje życie stałoby się dużo łatwiejsze.

Zatkałam nos i uklękałam w wodzie przed Maksem, udając, że nie mogę się zmusić do zanurzenia głowy.

- Jesteś znacznie odważniejszy ode mnie - powiedziałam, tkwiąc w wodzie po szyję. Nasze oczy znajdowały się na równym poziomie. Spojrzał na mnie spokojnie, po czym położył mi na głowie małą moką rączkę, jakby mnie błogosławił.

- Pomogę ci - powiedział poważnie i nacisnął.

Pozwoliłam mu się wepchnąć pod wodę, po czym uwolniłam się i opłynęłam go. Połaskotałam go pod kolanami. Nad powierzchnią rozległ się stłumiony pisk, a woda zakotłowała się wokół mnie, gdy Max rzucił się do ucieczki. Popłynęłam za nim, nadal pod wodą, obróciłam się wokół własnej osi jak foka. Za rzadko pływam, pomyślałam. Nie ma to jak uczucie wolności, które ma się w wodzie, nawet jeśli woda ma tylko pół metra głębokości.

Max ukrył się za Adamem, krzycząc:

- Kryjówka! Tatuś jest kryjówką!

Tak to jest z Adamem, pomyślałam. Jest kryjówką. Bezpieczną ucieczką przed wszystkim, co nieprzyjemne i groźne. Wyjątkowy człowiek. Zasługuje na kogoś lepszego niż ja, podstępna zamężna baba, która łąże za każdym razem, gdy otwiera usta.

Zawstydziłam się. A jednocześnie coś przesunęło się po moich łopatkach i zrobiło mi się luźno wokół biustu, jakby stanik poczuł się tak zde gustowany moim zachowaniem, że postanowił się oddalić.

- O - jęknęłam, a potem: - Ratunku. Stanik mi się rozwiązał.

Panicznie usiłowałam złapać troczki, bo już widziałam, jak ratownicy odprowadzają mnie w kajdanach za obnażanie się przed dziećmi.

- Pozwól - odezwał się Adam, stając za mną i związując troczki w kokardkę na moim karku. Zrobił to bardzo łagodnie; jego ręce musnęły najwyższy krąg jak podmuch ciepłego powietrza. Czułam, że mi się przygląda, ocenia mój kark, plecy i pupę powoli i z wyraźną aprobatą, ale to mi nie przeszkadzało. Tak było dobrze.

Deszcz zaczął wreszcie padać; wielkie krople plaskały wokół nas, co uradowało Maksa, a mnie sprowokowało do kolejnego dygotu. Już nie mogę się zatrzymać, pomyślałam. Pragnęłam Adama jeszcze bardziej niż wczoraj. Nie mogłam się przyznać ani wycofać. Stojąc po uda w chlorowanej wodzie, pragnęłam Adama bardziej niż jakiegokolwiek człowieka na świecie. Max stał obok, łapał krople na język, i on także miał w tym swój udział. Chciałam być tym deszczem, padać wokół nich, otoczyć ich; i w tej chwili postanowiłam, że świadomie nie będę mieć wyrzutów sumienia o to, że okłamuję Kena i Adama. Życie ma swoje dziwne zakręty, a kto wie, jak to się wszystko

skończy. Może Adam i ja znudzimy się sobą po dwóch tygodniach. Za daleko zaszłam, żeby się teraz wycofywać. Musiałam się upewnić.

Adam chyba zobaczył coś w moich oczach, bo jedną ręką ujął dłoń Maksa, a drugą moją, jakby był to najbardziej naturalny test na świecie. Ruszyliśmy biegiem po ręczniki, plecaki i ubrania i uciekliśmy do zadaszanej kafejki. Max marudził, że jeszcze nie chce wychodzić, i choć cudnie było trzymać Adama za rękę, zaproponowałam, że z nim wrócę. Ale rozległ się cichy pomruk grzmotu i ratownik dmuchnął w gwizdek, wypraszając wszystkich z basenu dla dorosłych i dla dzieci.

- Nie możemy wrócić, bo piorun mógłby w ciebie uderzyć - wyjaśniłam.

- To boli?

- Tak. Piorun trafiłby w wodę i usmażyłby cię jak frytkę. Trudno, może niedługo znowu wrócimy.

- Czy piorun boli bardziej niż zastrzyk? - spytał, krzywiąc się, kiedy rozrzuciliśmy nasze rzeczy na krzesłach wokół pustego plastikowego stolika.

Skinęłam głową.

- Ale na pewno nie bardziej niż chemioterapia - dodał, siadając na wolnym krześle.

Jego ręcznik zwisał na podłogę, taplając się w czyjejs rozlanej coli. Spojrzałam na wstrząśniętą twarz Adama i zrobiło mi się go tak żal, że nie wiedziałam, co powiedzieć, więc tylko pochyliłam się i podniosłam przemoczony ręcznik.

- Czy ktoś chce się czegoś napić? - spytałam.

- Soczek jabłkowy! - rzucił entuzjastycznie Max. - I chipsy! Mogę?

- Możesz - powiedział Adam. - Dzięki. Ja poproszę kawę.

Kiedy stałam przy kontuarze, zamawiając frytki i napoje, w mojej torebce rozdzwoniła się komórka. Popędziłam ku niej i odebrałam, zanim zdążyła się przełączyć na pocztę głosową.

- To ja, Vicky. Gdzie jesteś?

- O... Vicky? Wszystko w porządku?

Nagle musiałam usiąść, wstrząśnięta perspektywą jednoczesnego zajęcia się dwoma różnymi segmentami mojego życia. Plastikowe krzesło przyłgnęło mi do zziębłych gołych ud; Max przysunął się do mnie i od niechcienia położył mi zimną rączkę na nodze, tak jak wte-

dy, kiedy zrobiłam im kolację. Przykryłam ją własną ręką i uściśniłam, znowu czując tę niewytłumaczalną falę radości w samym środku zdenerwowania. Tyle emocji - to mężczy, a teraz jeszcze Vicky. Miałam nadzieję, że nie dzwoni z awanturą; rozmowa w ogrodzie wskazywała, że jesteśmy bardzo dalekie od dobrych stosunków.

Zdołałam się owinąć jedną ręką sarongiem aż po pachy, ale mokre bikini nadal ziębiło mi siedzenie.

- Trzeci raz dzwonię na twoją komórkę, zostawiłam też dwie wiadomości w domu. Rozmawialiśmy o spotkaniu, więc właśnie próbuję się umówić. I tyle.

- Wybacz. Nie słyszałam telefonu. Jestem... jestem na basenie.

Nie bardzo się palisz do tego spotkania, pomyślałam, ale pamiętałam, że pogodzenie się zawsze przychodzi jej z trudem. Nie mówiła szczególnie serdecznie, ale przynajmniej w jej głosie nie było tego lodowatego chłodu, co poprzednio. Spojrzałam na Adama, który szybko przebierał Maksa z mokrych slipek w szorty i bluzę. Zerknął na mnie, unosząc brwi. Moja przyjaciółka, powiedziałam bezgłośnie. Skinął głową.

- Poczekaj chwilę - poprosiłam, wyjęłam portmonetkę i skinęłam na Maksa.

- Max, chcesz zapłacić jak dorosły? Tatuś pomoże ci przynieść picie i resztę, ale możesz zapłacić. - Podałam mu pięciofuntowy banknot. Oczy mu się zaświeciły wobec tak odpowiedzialnego zadania. Byłam z niego tak strasznie dumna, kiedy pomaszerował boso do lady, że prawie zapomniałam o Vicky.

- Przepraszam, Vicky. - Zdumiewające, jak ta niewielka fizyczna odległość między nami pomogła mi złapać dystans do naszej kłótni. Myślałam, że powie mi o swojej aborcji; i w tej chwili, kiedy Max podał nieśmiało piątkę matronie w kraciastym fartuszku i wyciągnął łapkę po resztę, naprawdę mnie to nie obchodziło. Tak jakby Vicky i jej dzieci znalazły się o milion kilometrów ode mnie. Byłam tu, gdzie chciałam być.

Patrzyłam, jak Adam niesie kawy i sok, a Max dzierży torbę chipsów. Adam był owinięty pasiastym ręcznikiem, ale z jego szortów nadal kapąła woda. Miałam znowu przeprosić Vicky i zaproponować Adamowi, żeby się przebrał, a ja popilnuję Maksa, ale moja przyjaciółka miała już dość mojego roztargnienia.

- Słuchaj, muszę z tobą porozmawiać.

- Może nie teraz - rzuciłam, tak daleka od niej, że musiałam sobie przypomnieć, że to Vicky, moja druhna, Vicky, niedoszła matka chrzestna Holly, Vicky, najlepsza przyjaciółka odkąd skończyłam osiemnaście lat. Dzieliłyśmy się wszystkim, od perfum i tamponów po tragedie, których żadna z nas nie mogła wspomnieć bez łez. A jednak ludzie wyrastają z przyjaźni. To się zdarza.

- A kiedy?

Chłód znowu wrócił do jej głosu, a to mnie trochę otrzeźwiło. Zastąpiła chyba na moją uwagę?

- Nie, przepraszam, teraz. Bateria mi siada, więc może mnie nagle rozłączyć. Wszystko w porządku?

Pociągnęłam łyk syntetycznego cappuccino, które podał mi Adam, i sparzyłam się w język. Łzy napłynęły mi do oczu. Max położył przede mną resztę, rozpromieniony i tryumfujący. Pokazałam mu podniesiony kciuk.

Deszcz się rozpadał, a zimny wiatr wdierał się do kafejki. Pomyslałam tęsknie o suchym ubraniu.

- Nie usunę - rzuciła Vicky.

- Wspaniale - powiedziałam ostrożnie. Nie chciałam się narazić na zarzut, że tryumfuję. - I jak się z tym czujesz?

Pauza. W dawnych, przedmacierzyńskich czasach, taka chwila milczenia oznaczałaby, że Vicky zaciąga się papierosem. To już przeszłość.

- Przygnębiona. Ale czasem też zachwycona, a już zwłaszcza teraz, kiedy już się przyzwyczałam do tej myśli. Boję się, że to mogą być bliźniaki. Ale przede wszystkim żałuję, że się z tobą pokłóciłam. Och, nic dziwnego, że tak na mnie naskoczyłaś za to, że choćby pomyślałam o aborcji. Wybaczysz?

- Oczywiście. I przepraszam, że naskoczyłam.

Adam wycierał łydki, udając, że nie słucha. Max śpiewał piosenkę; potem napchał usta chipsami i śpiewał dalej, prychając okruchami. Adam i ja parsknęliśmy śmiechem; szybko udałam, że kaszlę, żeby Vicky się nie rozłączyła.

- Tęsknię z tobą. Więc, co do tego dnia w spa... nadal jest aktualny? Peter opiekuje się dziećmi. Może we wtorek? Mogę wyjechać tylko na dzień i muszę wrócić na noc, ale bardzo bym chciała.

- Hm, no tak, oczywiście... Byłoby świetnie. Ale widzisz, dostałam rolę.

Kolejny duch papierosa.

- Naprawdę? W czym?

Tylko ostrożnie, pomyślałam, tylko nic nie pomył. To, co powiem Vicky, musi stanowić przeciwieństwo tego, co powiedziałam Adamowi. Kiedy jestem w Gillingsbury, mam być niby w Bristolu, ale Adam uważa, że kiedy jestem w domu z Kenem, to naprawdę jestem w Bristolu... aaaa! W głowie mi się zakręciło. Wstałam.

- Zaraz wracam - szepnęłam do Adama i oddaliłam się od nich, stanęłam pod płóciennym daszkiem, biegnącym wzdłuż brzegu dużego basenu. Deszcz bębnił w niego głośno, więc musiałam podnieść głos, ale kiedy odwróciłam się z niepokojem, sprawdzając, czy mnie słychać, Adam zniknął w łazience, prowadząc za sobą Maksa.

- W serialu. Zdjęcia w Bristolu. Pamiętasz tamten casting? Strasznie długo do mnie nie dzwonili. Wynajęłam tam mieszkanie. To znaczy: tu. Już jestem w Bristolu. Wskoczyłam na chwilę na basen, a teraz wracam i wkuwam tekst.

Postanowiłam gadać bez końca, żeby nie przerywała mi niewygodnymi pytaniami.

- To fajna rola. Nie główna, ale ma parę przyzwoitych kwestii. A reszta obsady jest miła. Peter nie wspominał, że mam pracę? Ken mu powiedział, kiedy on nas wtedy odwiedził. Pamiętasz, mówiłam ci, że przyszedł, a myśmy właśnie świętowali, ale upuściłam szampana i wtedy pojawił się Peter... - skończył mi się oddech.

- Kurczę. Gratulacje - powiedziała Vicky, ale czy to przez kiepskie połączenie, czy przez deszcz, nie potrafiłam rozpoznać jej tonu.

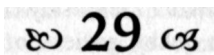
- Więc w środę wrócę. Może do spa wyskoczmy w przyszłym tygodniu? - Jeśli pójdziemy do spa, nie będę pić. Bo rozmowa w barze byłaby katastrofą - Vicky siedziałaby przy jednym dozwołonym kieliszku, a ja wysuszyłabym resztę butelki i całkiem bym się zaplątała w sieci kłamstw. A ona w pół godziny wydobyłaby ze mnie wszystkie tajemnice, z wprawą masażystki rozluźniającej napięte mięśnie.

- Doskonale. Pójdziemy do tego modnego Ivy Spa. Już się nie mogę doczekać wieści o serialu - powiedziała tym samym nieodgadnionym tonem.

Pożegnałyśmy się, a kiedy włożyłam telefon do torebki, zobaczyła Adama i Maksę stojących przy wyjściu. Podeszłam. Obaj uśmiechnęli się szeroko.

- Zabraliśmy twoje rzeczy - powiedział Adam. - Przebierz się może, a potem pojedziemy do domu.

Kiedy wyłoniłam się z przebieralni, nadal tam byli, czekali na mnie, jakby nie mogło być inaczej.



Następnego wieczoru pięć po ósmej otworzyłam drzwi Smaku Orientu - wyprostowana, uśmiechnięta, z lśniącą falą włosów na ramionach. Ken nadal był w Singapurze. Byłam wolna.

Adam siedział przy małym stoliku pod oknem. Patrzył na mnie. Ogolił się i przystrzygł brodę. Miał świeżo wyprasowaną koszulę, czarne dżinsy i szeroki uśmiech. Cieszyłam się, że nie włożył nic eleganckiego; po moim dość wyzywającym stroju z tamtej sobotniej nocy postanowiłam ubrać się bezpretensjonalnie - w ulubione dżinsy Replay, sandały na koturnach i różowy podkoszulek z cekinami.

Na mój widok Adam wstał, wyciągnął ramiona i delikatnie mnie przytulił, całując w policzek. Moje cekiny cicho zgrzytnęły o jego guziki. Jeszcze nigdy żaden brodaty mężczyzna tak mi się nie podobał - oczywiście, z wyjątkiem George'a Clooneya, i poczułam niepohamowane dżgnięcie żądz na myśl o tym zaroście, ocierającym się o moje wrażliwe ukryte zakamarki nagiego ciała... Weź się w garść, kobieto, powiedziałam do siebie ze zgrozą. To chyba naturalne, że tyle myślę o seksie, skoro Ken od tak dawna nie potrafił się do niego zmusić - ale na pewno nie powinnam fantazjować na temat Adama. Nie mogę go mieć i kropka. Choć pewnie właśnie dlatego tak go pragnęłam.

Obok nas pojawił się zadziwiająco chudy chiński kelner.

- Czy mogę przyjąć zamówienie? - spytał klasycznym rozlazłym akcentem z Wiltshire, zawieszając długopis nad bloczkiem.

Adamowi zadrgały usta, ale zdołał spojrzeć kelnerowi w oczy.

- Poproszę piwo Singha.

- Przypuszczam, nie ma zinghi. Tylko carrrrrrlberg.
- Może być.
- Dla mnie to samo - dodałam. - I krewetkowe krakersy.

Kelner znowu zniknął. Adam i ja uśmiechnęliśmy się do siebie w przyćmionym świetle restauracji. Malutka lampka na stoliku rzucała mętny blask na nasze twarze - okna były zasłonięte ciężkimi drewnianymi żaluzjami, więc w środku panował wyjątkowy mrok. Nawet nie zauważyłam, że obok nas siedzi jeszcze kilka par.

- Dziwna akustyka - szepnęłam. - Posłuchaj...

Oboje nadstawiliśmy uszu i zaczęliśmy chichotać, słysząc zwielokrotniony dźwięk zucia, jakby gdzieś pożywiało się stado bydła. Nikt się nie odzywał, jakby wszyscy pokłócili się ze wszystkimi tuż przed naszym przyjściem. Pomimo ciemności w chińskiej knajpie zauważyłam, że na talerzu sąsiada znajdują się kluski z lśniącem smażonym jajkiem. To miejsce miało w sobie coś surrealistycznego.

- Byłeś tu już? - spytałam z zaciekawieniem. Ulżyło mi, kiedy pokręcił głową.

- Pamela mi poleciła tę knajpę - powiedział z pewnym zażenowaniem. - Choć nie wiem, z kim tu mogła przyjść. Może z matką. Od czasu do czasu zabiera ją na obiad. Ale jedzenie nie wygląda specjalnie efektownie, co? - Znowu spojrzeliśmy na kluski sąsiada, pływające się w niepokojącej kałuży tłuszczu.

Chudy kelner pojawił się z piwem i krakersami. Złożyliśmy zamówienie, starannie unikając jakichkolwiek klusek. Potem, ponieważ ciężkie milczenie w restauracji nie sprzyjało potocznej rozmowie, zamilkliśmy, spoglądając sobie w oczy w dość bezwstydnym sposób.

- Masz piękne oczy - odezwał się Adam nieśmiało znad krakersa. - Bardzo niebieskie.

- Prawdę mówiąc, są zielone - odparłam. - To twoje są niebieskie. I śliczne. - Zerknęłam z ukosa na parę przy najbliższym stoliku. Niemal się spodziewałam, że zrobi się im niedobrze od naszych ckliwych spostrzeżeń. Ale mężczyzna rozpoczął dźwięczny monolog o najlepszych posiłkach, jakie jadł; jego żona kiwała poważnie głową. Inni goście także z ociąganiem zaczęli rozmawiać, jakby ktoś dał im pozwolenie.

- Dobrze się z tobą rozmawia - ciągnął Adam. - Ale niewiele mówisz o sobie. Wydaje mi się, że cię dobrze znam, lecz nic o tobie nie wiem... to dziwne.

- Hm... - mruknąłam, przełamując ostatniego krakersa na pół i zbierając wszystkie siły. - Co byś chciał wiedzieć?

Adam przełamał drugi kawałek krakersa na połowę, którą zostawił w koszyku.

- Czy w tajskich i chińskich knajpach funkcjonują jakieś niepisane zasady, w myśl których zjedzenie krakersów do końca jest wyjątkowo niegrzeczne? - dodałam, usiłując odwlec przesłuchanie. - Ludzie zawsze tak robią, zauważyłeś? Zostawiają resztki tego ostatniego, zamiast go zjeść.

- Grzeczni ludzie - dodał Adam, podając mi koszyk z maleńką resztką krakersa, wielkości dużego okrucha. Roześmiałam się i włożyłam ją do ust.

- Dziękuję.

- Opowiedz mi o sobie. Byłaś zamężna?

Ponieważ spytał tak wprost, łatwiej było mi odpowiedzieć zgodnie z prawdą. Do pewnego stopnia.

- Tak. Z niejakim Kenem. Przez sześć lat.

Niech mnie nie pyta, kiedy się rozstaliśmy.

Ale Adam tylko spojrzał wyczekująco.

- Co się stało?

- No... Nie wiem. Po prostu się rozpadło, stara historia. On dużo podróżuje. Podróżował. Pracuje dla wielkiej firmy nagraniowej i kiedy nie pracuje, nie pracował, to grał w tenisa. To fan tenisa.

- Nie mieliście dzieci?

Przełknęłam z wysiłkiem, jakby kawałki krakersa wbiły mi się w gardło. Ściany knajpki były wyklejone obligatoryjną tapetą z zielonymi i srebrnymi wystrzyganymi wzorami. W wyobraźni zobaczyłam Holly, około ośmiomiesięczną, pocierającą pyzatymi policzkami o te miękkie kształty i zaśmiewającą się ze szczęścia.

- Nie. W tym właśnie problem. Chyba. Mieliśmy... miałam parę poronień, a potem straciliśmy dziecko przy porodzie. Holly.

Po raz pierwszy zdołałam to powiedzieć głośno, i choć po plecach przemaszerowały mi mrówki i zabrakło mi oddechu, to przecież się przemogłam.

- Współczuję - powiedział.

Pociągnęłam łyk piwa, ale moja warga i tak zadrgała, uderzając o szkło, jakbym chciała wydobyć z niego dźwięk.

- Dziękuję. To... bardzo dużo jak na jedno małżeństwo.

Wziął mnie za rękę, splótł nasze palce, potarł kciukiem o moją dłoń, a potem zaczął obracać pierścionki, aż dotarł do tego na serdecznym palcu.

- Nadal nosisz obrączkę - powiedział. Poczulałam, że na twarz wypełza mi rumieniec. - Aleja też.

Stuknął swoją obrączką o moją. Miałam wrażenie, że duchy naszych partnerów stanęły nad stolikiem, bardzo niezadowolone. Dwie obrączki, czworo ludzi, jedno bardzo nieczyste sumienie.

Zabrakło nam słów i po raz pierwszy milczenie zaczęło mi ciążyć. Nasz sąsiad powiedział:

- I oczywiście był też ten Żniwiarz w Altrincham. Znakomity koktajl krewetkowy i bardzo rozsądne ceny...

Spojrzałam na chińskiego smoka na ścianie koło naszego stolika. Miał złote wyszczerzone zębiska, przesadnie wielkie policzki i kły oraz pomalowane sprayem uszy, z których farba łuszczyła się jak z bardzo starych drzwi.

- A jak wygląda sytuacja z mamą Maksa? - spytałam w końcu. - Jeśli nie chcesz mówić, to nie szkodzi.

Skrzywił się i też spojrzał na smoka. Pomyślałam, że rzeczywiście nie zechce, ale jednak zaczął mówić. Nie patrzył mi w oczy, choć nadal trzymał moją rękę.

- Właściwie bardzo długo nam się układało. Aż Max zachorował. Choć po drodze zdarzały się wpadki. Na przykład pieniądze. Nie zarabiam dobrze, a Marilyn pracowała w kancelarii prawniczej jako sekretarka. Było nam trudno spłacić raty za dom i kupować wszystko to, czego potrzebował Max. Więc kiedy odkryto jego chorobę, postanowiliśmy, że to ona powinna zarabiać, ile tylko może, bo ma pracę na pełny etat. Ja wziąłem bezpłatny urlop i praktycznie wprowadziłem się do szpitala, żeby z nim być. Spałem tam, a właściwie mieszkalem przez cały tydzień - miesiącami. Marilyn oczywiście nas odwiedzała i zostawała z nim w weekendy, żeby mnie odciążyć. Ale w konsekwencji przestaliśmy spędzać razem czas. Kiedy usiłowaliśmy się spotkać, rozmawialiśmy tylko o najnowszej metodzie leczenia i o tym, jak reaguje na nią Max. Jego choroba zdominowała nasze życie.

- Tak, rozumiem - powiedziałam. Nasze kciuki spotykały się jak w tańcu. Kelner przyniósł talerze, ale tylko rzuciliśmy na

nie okiem, żeby sprawdzić, czy nie ukrywają się na nich smażone jajka.

- Potem zdałem sobie sprawę, że Marilyn bardzo pije. Nie mogę jej winić, stres był straszny, ale to kolejny powód, dla którego się ode mnie odsunęła. W końcu przestaliśmy ze sobą rozmawiać. Zacząłem mieć do niej pretensje, że się posypała, kiedy Max tak bardzo potrzebował naszej siły. Oczywiście, to też nie poprawiło sytuacji. W końcu Max miał przeszczep szpiku...

Przeszył mnie dreszcz, niemal seksualny.

- ...a potem okazało się, że choroba się cofnęła. Tydzień później Marilyn spakowała walizki i odeszła. Nie mogłem w to uwierzyć.

- Pewnie strasznie tęskniłeś - powiedziałam ze współczuciem.

- Nie, nie chodziło o to. Prawdę mówiąc, w ogóle nie tęskniłem. Nie mogłem uwierzyć, że go tak zostawiła, po tym wszystkim, co przeżył. Byłem wściekły.

- Jak Max to przyjął?

- Tak jak myślisz - był załamany. Ale po tym, co przeżywał przez te dwa lata, przyzwyczał się do bólu i rozczarowania. Przez parę tygodni płakał co noc, a potem stopniowo przestał o nią pytać. Teraz, to dziwne, prawie o niej nie wspomina.

- Gdzie ona teraz jest?

- Wszędzie. Podróżuje. Powiedziała, że musi pozbierać myśli. - Parsknął z goryczą. - Dostajemy pocztówki z najróżniejszych miejsc. Ukrywam je przed Maksem, bo tylko mu przypominają o jej nieobecności. Zdaje się, że teraz mieszka z matką w Leeds. Ostatnio napisała, że tęskni za Maksem jak szalona, ale nie chce go zdenerwować, przyjeżdżając po tak długiej nieobecności. Powiedziałem jej matce, że może przyjechać, ale od tego czasu minęły trzy miesiące i nic.

- Faktycznie, dziwne. Nie mogę zrozumieć, jak można opuścić własne dziecko. - Zwłaszcza tak wspaniałe, jak Max, pomyślałam.

Adam nagroził mnie bladym uśmiechem.

- Oto moja żałosna historia. Zacznijmy jeść, zanim to całkiem wystygnie. Nie znoszę zimnego sosu słodko-kwaśnego, wtedy po prostu czuć w nim plastik.

- Oboje mamy żałosne historie, nie sądzisz?

Adam uśmiechnął się szerzej.

- W takim razie może powinniśmy się trzymać razem.
- Jak te kluski.
- Właśnie.

Nie zauważyłam, kiedy cofnął rękę, ale teraz znowu splótł swoje palce z moimi.

- Jesteś wspaniała - rzucił nagle. - Mógłbym na ciebie patrzeć cały dzień. Tak się cieszę, że się spotkaliśmy.

Do oczu napłynęły mi łzy; talerz zjedzeniem rozplynał się za mgłą.

- Ja też - wykrztusiłam i nagle zdałam sobie sprawę, że wcale nie myślę o Maksie.

30

- Masz ochotę na spacer po plaży?

Zerknęłam podejrzliwie na Adama. Nigdy nie byłam mocna z geografii, ale jeszcze do niedawna Gillingsbury nie leżało na wybrzeżu.

- Morze jest niedaleko. Dwadzieścia minut samochodem. Wypiłem tylko dwa piwa, a Max może pobyć u mamy do rana. Co sądzisz? Uwielbiam szum morza. Pewnego dnia zamieszkam na plaży.

Przed oczami stanęła mi głupia wizja: we dwoje budujemy chatkę ze strzechą i ogromnym paleniskiem, taką, w jakiej zamieszkałam w Irlandii z Kenem. Stała tuż koło trasy wycieczkowej i za każdym razem, kiedy się kochaliśmy, musieliśmy starannie zasłaniać okna, za którymi nieustannie przesuwali się turyści z rozwianymi włosami. Spodobało mi się, że nie ma tam samochodów. To dobrze zrobi słabym płucom Maksa, no i to nadmorskie powietrze...

- Bardzo chętnie - powiedziałam.

Rzeczywiście, na miejsce dotarliśmy po dwudziestu minutach. Adam zatrzymał samochód na pustym, wietrznym parkingu.

- Tam jest ścieżka - powiedział, wskazując na plażę. - Na szczęście księżyc jest wielki, a noc pogodna, nie zgubimy się.

Wysiadłam z samochodu i moje włosy natychmiast stanęły pionowo, jakby ktoś podłączył mnie do generatora van de Graaffa.

Wiatr nanosił piasek na parking, zasypywał go na obrzeżach. Trzy latarnie rzucały słabe, acz niesamowite bursztynowe światło, zmieniające piasek w czyste złoto. Przypomniałam sobie, z czego według Maksa zrobione są latarnie: z metalu, gorącego oleju i czegoś jeszcze... zapomniałam czego, ale musiałam się uśmiechnąć. Czegoś, co ma związek z chmurami.

- Co cię tak bawi? - spytał Adam, zamykając samochód.

- Przypomniałam sobie, jak Max powiedział, z czego są zrobione latarnie - wyjaśniłam, a on się uśmiechnął.

- Tak. Nie wiem, skąd bierze te dziwne pomysły. Na naszej jezdni pojawiła się wielka dziura, a Max uznał, że to kret tu kopał, a potem wybuchł, jak to Max określił, „z bardzo cichym trzaskiem”, i tak powstała owa dziura...

Mogłabym słuchać opowieści o Maksie przez cały dzień.

- Surrealizm - powiedziałam. - Jakbyś mieszkał z Vitem Reevesem i Bobem Mortimerem. No, wiesz: „Nadchodzi ta pora nocy, kiedy lubię wkładać batonika pod wiewiórkę”.

Oboje parsknęliśmy śmiechem i ruszyliśmy ciemną ścieżką. Adam wziął mnie za rękę i szliśmy w milczeniu, a księżyc oświetlał nam drogę. W pobliżu nie było żywej duszy, a dopiero dochodziła dziesiąta. Na chwilę puściłam rękę Adama, żeby zapiąć kurtkę, po czym znowu ją ujęłam.

- Dlaczego twoje ręce są takie ciepłe? - spytałam, kiedy delikatnie zaczął rozmasowywać moje lodowate palce. - Tu jest strasznie zimno.

Zmartwił się.

- Za zimno? Możemy wracać.

- Nie, nic mi nie jest - uśmiechnęłam się. - Niesamowity księżyc, co? I tyle gwiazd. Nie tak, jak w Londynie.

Ruszyliśmy równym krokiem, wielkimi susami sadząc po stromym zboczu. Czułam się trochę dziwnie - ten spacer bardziej niż nasze spotkanie w restauracji przypominał randkę. Pomyślałam o mętym niebie nad naszym domem w Hampton, o tym, jak stałam boso w ogrodzie, w objęciach Kena. To, co brałam za gwiazdy, okazywało się samolotami, krążącymi nad nami jak drapieżniki.

- Tęsknisz za Londynem? - spytał Adam, a ja mogłam z czystym sumieniem pokręcić głową i powiedzieć, że nie. Oczywiście, pomijając fakt, że nadal tam mieszkam.

Był odpływ; słyszeliśmy cichy szmer fal.

- Szkoda, że nie są większe - odezwał się Adam. - Ale przynajmniej łatwiej się chodzi po plaży.

- Za ciemno, żeby rzucać kaczki? Uwielbiam to. To moja ulubiona zabawa.

- Moja też. Sprawdźmy na miejscu.

Ledwie nasze stopy dotknęły piasku, poczułam ten dawno zapomniany dreszcz przyjemności, który zawsze mnie przenikał przy pierwszym kroku na plaży. Wyobraziłam sobie piasek wsypany się do butów i zapragnęłam iść bosą, ale było bardzo zimno. Poza tym piasek zastąpiła wkrótce gruba warstwa dużych kamieni. Znowu pomyślałam o Kenie; jak mnie drażniło, kiedy wracał z kortu i zdejmował buty, z których sypała się lawina czerwonych kamyczków, tak że nasz dywan zaczynał przypominać kuwetę.

Ale Ken wydawał się bardzo daleki, niemal abstrakcyjny, jakbym go sobie wymyśliła. Tej nocy świat należał wyłącznie do Adama i do mnie. Byliśmy jego jedynymi mieszkańcami; zapomniałam o mężu tak łatwo, że aż mnie to zaniepokoiło.

- Tak jakby całe niebo było tylko dla nas - powiedziałam.

Nie chciałam być sentymentalna, naprawdę tak uważałam. Adam stanął, położył mi ręce na ramionach i pocałował mnie tak niespodziewanie, że z wrażenia połknęłam gumę do żucia. Wargi miał ciepłe i suche, smakowały morską solą. Wciągnęłam w nozdrza ten jego wspaniały zapach leśnych dzwonek. Objęłam go i przysunęłam się, otworzyłam usta. Jego język musnął mnie powoli i z rozmysłem, sięgając o wiele głębiej niż wtedy, po imprezie. Miałam wrażenie, że już się kochamy i jęknęłam; ten dźwięk wydarł mi się z gardła i pofrunął z wiatrem. Poczułam się zagubiona.

- Och, Anno - powiedział ze smutkiem, jakby wyczuwał, że nie mogę do niego należeć. - Jesteś taka wspaniała.

- Ty też - odparłam i poczułam, że dygoczę. - Jesteś niesamowity.

Znowu mnie pocałował; kamienie pod moimi stopami zakołysały się lekko. Straciłam równowagę i zatoczyłam się do tyłu. Chwyił mnie mocniej i przyciągnął, jak rybę na wędce. Jego szerokie plecy były wspaniałą osłoną przed wiatrem - choć na szczęście na plaży nie wiało tak jak na ścieżce. Jego ciepło zaczęło mnie rozgrzewać.

- Nie potrafię wyrazić, jak pięknie jest cię całować - powiedział, uśmiechając się. Obsypał mój policzek lekkimi pocałunkami. - Czuję się jak sakramencki lubieżnik.

Roześmiałam się. Sakramencki lubieżnik. Ten anachronizm zabrzmiał przedziwnie. W ustach kogokolwiek innego byłby trochę śmieszny, ale wypowiedziany przez Adama podniecił mnie. Odkąd poznałam Adama, usłyszałam od niego sporo pociągająco niemodnych słów, niesamowicie seksownych: lubieżnik, brzuszek, psiakostka... Wymawiał je tak pogodnie, że cała się rozplętałam. Ken powiedziałby: napalony, brzuch, cholera - bardziej twardo, oficjalnie.

- Mógłbym cię całować całą noc - mówił Adam. - Marzyłem, żeby cię znowu pocałować.

I całowaliśmy się, całowaliśmy, całowaliśmy, aż zapomniałam o zimnych rękach i wsunęłam je pod sweter Adama, dotknęłam jego ciepłych pleców, a on podskoczył i omal nie stracił równowagi. Z zemsty wsunął dłonie w moje dzinsy i objął pośladki - ale przynajmniej on miał ciepłe ręce.

- To niesprawiedliwe - mruknął. - Pupę masz zimną jak moje ręce.

Znowu się całowaliśmy i zapomniałam o Kenie. Zapomniałam, że jestem mężatką. Nie czułam się już zagubiona - poczułam się znaleziona.

Kiedy odsunęłam się, żeby zaczerpnąć powietrza, przestraszył mnie jakiś ruch. Spojrzałam przez ramię Adama, niemal spodziewając się, że wytyka nas palcami grupa chichoczących nastolatków albo patrzy z niesmakiem ktoś, kto wyszedł z psem na spacer, ale nadal byliśmy sami. Poruszały się fale przyływu, migotały ku nas srebrzystą ścieżką; małe strużki wody wiły się w piasku jak krew tętniąca w moich żyłach i wypełniająca tę zaniedbaną część mojego ciała.

- Lepiej uważajmy, bo utoniemy. Nie chcę, żeby nogi mi tak zmarzły jak tyłek - powiedziałam.

Adam zaprowadził mnie w głąb plaży, na kamienie.

- Może się na chwilę położymy? - zaproponował, odrobinę podstępnie.

Spojrzałam bez przekonania na kamienie, ale przynajmniej były suche, więc pozwoliłam się delikatnie położyć. Czułam się jak Deborah Kerr w *Stąd do wieczności*, zwłaszcza gdy wyrzuciłam spod głowy kawałek rozdeptanego plastikowego kubka. Miałam

nadzieję, że nie ubabrę się plamami nafty. Delikatna pewność siebie Adama niesamowicie mnie podniecała. Pomimo potwornego zimna i niewygodnych kamieni, aż trzęsłam się z pożądania i dziwnego, nerwowego podniecenia.

Znowu wsunął mi dłoń w dżinsy, tym razem z przodu. Rozpiął guzik i zamek błyskawiczny; poczułam jego palce w swoim pełnym oczekiwania wnętrzu. Zaskoczył mnie, ale nie miałam zamiaru oponować. Choć zachowywaliśmy się jak para napalonych nastolatków, jego czułość i prawdziwa namiętność mnie poruszyły, bardzo łatwo przyszło mi zapomnieć o zimnym powietrzu i gniotących kamieniach i zatonać w dawno zapomnianym uczuciu czystej rozkoszy. Nie przyszło mi nawet do głowy, żeby się sprzeciwić, kiedy rozpiął spodnie i sięgnął po moją rękę, choć potem mnie zaskoczył. Może i wyrażał się staroświecko, ale na pewno nie miał takich obyczajów. Myślałam, że jestem za stara na taką grę wstępną, nie wspominając już o zimnej, kamienistej angielskiej plaży. Ale to było jak nieklamana swoboda - szukanie czystej rozkoszy, a nie obsesyjne myślenie o robieniu i traceniu dziecka za każdym razem, kiedy zaczynało się myśleć o seksie.

Kiedy wróciliśmy do samochodu, wysmagani wiatrem i - jeśli o mnie chodzi - lekko oszołomieni, odchyliłam osłonę przeciwsłoneczną i spojrzałam w lusterko. Pamiętałam atlasowe muśnięcia jego penisa i pomyślałam, że dotykając go, zmieniłam się w inną kobietę. Cudzołożnicę. We Francji czy Hiszpanii nikt by nawet nie mrugnął okiem; w Nigerii zakopano by mnie w ziemi po szyję i ukamienowano - takimi kamieniami, po których się tarzaliśmy. Zmieniłam się wewnętrznie i - zdecydowanie - zewnętrznie: czerwony nos, białe policzki, dzika płatanina włosów, rozmazany eyeliner, a szminka z brokatem kompletnie zjedzona. Stałam się kobietą, która już nigdy nie będzie mogła powiedzieć, że dochowała wierności mężowi. Nie poszliśmy na całość, ale była to akademiczna różnica. I teraz pragnęłam Adama jeszcze bardziej.

Zerknęłam na niego z ukosa, na te jego spokojne niebieskie oczy. Uśmiechnął się do mnie, jakbym była najpiękniejszą kobietą na świecie. W słabym świetle jego policzki i usta były usiane małymi gwiazdkami brokatu z mojej szminki. Miał teraz coś ze mnie, tak jak jego syn.

Cztery dni później siedziałam w innej chińskiej restauracji, w innym mieście, z innym mężczyzną. Nadal miałam na biodrze siniak po ostrym kamyku, choć z twarzy znikło już zaczerwienienie po kłującym zaroście Adama. A jednak jakimś cudem - może to siła woli, może niedowierzenie - nie czułam się niewierna. Naprawdę nie. Seks bez penetracji na zimnej plaży o dziesiątej wieczorem wydawał mi się czymś, co nie mogło się przydarzyć mnie, Annie Sozi. Spotkało to Annę Valentine, która uśmiechała się na wspomnienie ciężaru Adama i błękitu jego oczu, kiedy znieruchomiały z rozkoszy.

Ten drugi mężczyzna, mąż Anny, także splótł swoje palce z moimi. Dlaczego? Nigdy nie miał do tego przekonania. Palce miał dłuższe, ciemniejsze i szczuplejsze, jak serdelki, w porównaniu z parówkami Adama. Mimo woli pomyślałam, że nie pasują tak dobrze do moich. Zamówiliśmy kluski; lżej strawne, cieplejsze i dwa razy droższe od tych, które nasz sąsiad smakosz zamówił w Smaku Orientu. Piliśmy doskonale schłodzone chablis, z eleganckich kieliszków, a nie carrrrlsberga; kelner mówił z pekińskim, a nie wsiowym akcentem, w menu deserów nie było wściekle kolorowych fotografii specjalów i miałam wrażenie, że szef kuchni prędzej popełniłby seppuku nożem do mięsa, niż podałby posiłek ze smażonym jajkiem.

A jednak nie mogłam się otrząsnąć z upiornego poczucia, że nie jestem na swoim miejscu, że byłam dużo szczęśliwsza w knajpie z papierowymi obrusami i makabryczną tapetą. Nawet kiedy Ken spojrział mi w oczy i powiedział: „Jesteś taka piękna”, to samo zdanie wydawało się... prawdziwsze w ustach Adama. Przeraziło mnie, że natychmiast zaczęłam myśleć o Adamie i o tym, że to on powinien siedzieć naprzeciwko mnie. I że w ogóle nie czułam wyrzutów sumienia. I że nagle wszystko, na czym zbudowałam swoje życie - trwałość przysięgi małżeńskiej, stabilność ładnego domu i kochającego męża - znikło jak podczas trzęsienia ziemi, a z ruin wyłonili się czekający na mnie Adam i Max.

- I jak praca?

Zostały nam dwa ostatnie krakersy - suche i chrupkie, brązowe krakersy podane w porcelanowej czarce, a nie cienkie i białe paskudztwa z glutaminianem sodu, w tandetnym wiklinowym koszyczku - ale nie mogłam znieść tego małego rytuału. Podałam mu jedną, a sobie wzięłam drugą. „Jak praca” - to zabrzmiało, jakby mnie uważał za prostytutkę. I pewnie nie byłam lepsza.

- Świetnie - powiedziałam, wyobrażając sobie wszystko z ukłuciem żalu: nowe twarze, dekoracje, skłębione niczym kable nieznanne nazwiska, prawdziwe i zmyślane. Kamery, garderoba, jedzenie. Szkoda, że nie dostałam tej roli. - Chyba w porządku. Na pewno idzie mi lepiej niż mojemu serialowemu mężowi. Straszny - tak często zmienia tekst, że reżyser zaczął rzucać scenariuszem.

- Jak się nazywa?

- Kto? Mój mąż? Adam. To znaczy jego postać, a sam aktor... Len Smith. Mam nadzieję, że nie będę się musiała z nim całować, bo jest ohydny. Ma brodę i świńskie oczka. Reżyser ma na imię Sebastian. Mamy być rodziną, która wprowadza się do nowego mieszkania: ja, Adam i bliźniaki.

- Prawdziwe dzieci?

- Oczywiście.

Ken zamilkł i odwrócił oczy. Poczulałam jego smutek. Postanowiłam oszczędzić mu tej troski.

- Nic nie szkodzi. Daję sobie radę. Sebastian mówi...

Co? Co mówi Sebastian? I czy w ogóle takie imię mu przydzieliłam? Nagle straciłam pewność, choć wydawało mi się, że niecałą minutę temu wymieniłam właśnie to imię. Przypomniałam sobie, że tak go opisałam Kenowi: nowy modny reżyser, który zrobił parę świetnych reklam. Ale nie pamiętałam, czy dałam mu imię. Oblał mnie rumieniec wstydu i zrobiło mi się ciężko na sercu. Zdrada wiała się pode mną, ugiwała jak kamienie na plaży pod Adamem. Wspomnienie Holly - przywołane pośrednio, przez bliźniaki, wreszcie mi uświadomiło, jak straszliwie okłamuję męża. Paskudne kłamstwa. Jakbym bekała mu w twarz.

To było zbyt obrzydliwe, żebym mogła temu stawić czoło. Zaszłam za daleko, żeby się cofać. Zepchnęłam tę zgrozę w głęb

umysłu i zacisnęłam zęby; będę musiała się stać tak dobrym kłamcą, by nie dać się przyłapać. To wszystko. Na razie.

Przynajmniej nie musiałam się martwić, że wpadnę przez szczegóły - Ken nie miał głowy do takich detali. Ale na wypadek, gdyby Adam był inny, przeprosiłam, poszłam do łazienki, znalazłam w torebce rachunek za benzynę i napisałam na jej odwrocie: MAŻ: ADAM. AKTOR: LEN SMITH, BRODATY, ŚWIŃSKIE OCZKA. REŻYSER: SEBASTIAN. Po powrocie do Wealton zapiszę to porządnie na moich karteczkach i dzięki temu się nie pogubię.

Wróciłam do stołu, licząc, że temat się wyczerpał, ale Ken akurat postanowił, co zdarzało mu się rzadko, zainteresować się moim życiem. (Choć, by oddać mu sprawiedliwość, naprawdę musiał się do tego zmusić, bo od czasu, gdy czytałam tekst reklamy topionego serka, minęło półtora roku, a potem zapadła długa cisza).

- Masz dużo tekstu?

- Sporo - wyznałam, bawiąc się pieprzniczką. - Dziwne, znowu muszę wkuwać tekst.

- Jeśli chcesz, żebym cię przepytał, daj znać - powiedział, sprawnie ładując pałeczkami do ust ryż z groszkiem i nie roniąc ani jednego ziarenka. Adam i ja woleliśmy widelce. Tak jest dużo prościej.

- O... dzięki. Ale nie martw się. Łatwiej mi to robić, kiedy jesteś w pracy.

- To brzmi dość dwuznacznie - uśmiechnął się. - Nie chcę sły-
szyć tego zdania wyjętego z kontekstu.

Zarumieniłam się, wściekła na samą siebie. Potem zaczęłam się niepokoić o scenariusz. Ken pewnie spodziewa się, że go zobaczy w domu? Jak mogę się uczyć, skoro nie mam z czego?

- Choć właściwie - powiedziałam powoli - Lil zaproponowała, że mogę się uczyć u niej. Wiesz, jaki śliczny jest jej salon z widokiem na ogród. Może skorzystam? Powinnyśmy spędzić razem trochę czasu, nawet jeśli będę tylko siedzieć i wkuwać. I wiesz, wolę nie przynosić scenariusza do domu. Jeśli będę go miała pod ręką, nie oderwę się.

- Dobry pomysł. Nie chcę, żebyś mnie zdradzała ze scenariuszem.

Miałam ochotę spytać, co za różnica, kiedy i tak go nie ma w domu, ale oparłam się pokusie.

- Próboweś łososia? - spytałam zamiast tego. - Pyszny.

Nagle przed oczami stanęła mi wizja Adama, całującego mnie na kamienistej plaży i zadygotałam z niechcianej rozkoszy.

- Co się stało? Śmierć cię przeskoczyła? - spytał Ken, wkładając do ust duży kawał łososia.

Skinęłam głową, nadal myśląc o rękach Adama na moim zziębniętym tyłku. I zaczęłam się zastanawiać, kiedy znowu spotkam się z nim i Maksem.

CZEŚĆ
TRZECIA

- Nie wolno mi niczego, na co mam ochotę - jęknęła Vicky.

Stałyśmy w holu Ivy Beauty Spa, przeglądając listę zabiegów, którą podała nam recepcjonistka w białym fartuchu. Od tego szarego dnia na basenie z Maksem i Adamem minęły prawie dwa miesiące, ale w końcu udało nam się ustalić dzień i zarezerwować miejsce. Udawałam, że trudno mi się wyrwać z planu, ale tak naprawdę nie chciałam się oddalać od Adama i Maksa ani na jeden dzień. Adam i ja byliśmy parą, czemu nie mogłam się nadziwić - i to w znaczeniu „prawdziwego” związku, na co wskazywały wszystkie znaki na ziemi i niebie. Kiedy odwiedzałam Kena, rozpaczliwie tęskniłam za nim i Maksem.

- To niesprawiedliwe. Mogę znieść, że nie wolno mi pić i palić, ale kiedy zabrania mi się nawet zdrowych rzeczy, jak solarium i odtruwające kompresy... No to po co się wysilać?

Pomyślałam, że lepiej jej nie tłumaczyć, o co chodzi z tą ciążą. Zresztą, chyba już się zdążyła zorientować.

- Solarium nie jest zdrowe - zauważyłam.

- Jest. Człowiek się po nim dobrze czuje i dobrze wygląda, więc jest zdrowe.

- Człowiek się poci, dostaje klaustrofobii i raka skóry.

Prychnęła.

- Nie ma z tobą żadnej zabawy.

- Usiłuję ci poprawić humor.

- Ha, ha. To co wybierasz?

Nie bardzo miałam ochotę na odtruwające algi na całe ciało, które tak się spodobały Vicky, zanim dowiedziała się, że są niedozwolone dla kobiet ciąży. Denerwowała mnie. Tak, chciałam odbudować naszą przyjaźń, ale nie zamierzałam jej pozwolić na kowanie mnie przez cały dzień tylko dlatego, że jest jej ciężko.

Cokolwiek sądziła, miała w sobie mały cud, i jeśli potrafiła tylko jęczeć, to nie wiedziałam, czy zdołam to znieść.

- Chyba jednak wezmę algi. Może przez ten czas pójdziesz popływać?

Przewróciła oczami i nadęła się.

- Może nie.

W końcu zgodziła się na hennę, manikiur i pedikiur, natomiast ja zdecydowałam się na algi i indyjski masaż głowy. Dostałyśmy białe puszyste szlafroki, związane paskami w ścisłe miękkie paczki i poszłyśmy się przebrać.

W przebieralni zerknęłam na nią. Nie widziałam jej bez ubrania od lat, chyba od urodzenia Pata. Zawsze była bardzo szczupła - nie chuda, jak ja, lecz z delikatnymi i jędrnymi wypukłościami, których jej zazdrościłam z całego serca. Teraz te wypukłości stały się kanapowymi pufami, a tyłek zaczął wyraźnie przypominać półkę. Było już widać ciążę, ale brzuch jeszcze się nie wyduł. Na tym etapie jego rozmiar można było przypisać łakomstwu albo słabym mięśniom.

Vicky zauważyła mój wzrok.

- Nie patrz na moje okropne ciało - rzuciła, pospiesznie wkładając szlafrok i opasując się.

- Nie jest okropne - odparłam, także wkładając szlafrok.

- Jest. Jest odrażające. Nienawidzę każdego centymetra. Teraz mam tłuszcz nawet na plecach, pod paskiem stanika.

- Vicky, słowo daję, że masz świetne ciało. Po prostu jesteś w ciąży i tyle.

Prychnęła.

- Pomyśl, w jakim będzie stanie, kiedy małe z niego wyskoczy.

Kiedy małe z niego wyskoczy. Nie miałam pojęcia, jak zazdrościłam jej tej pewności.

- I tak wolałabym mieć twoje ciało. Przynajmniej jest kobiece. Ja nadal wyglądam jak chłopiec. Nic dziwnego, że w jasełkach zawsze grałam główną rolę męską.

- No i co z tego? To chyba dobrze? Ja po tej ciąży będę się nadawać tylko do roli końskiego zadu.

Odwróciłam się od niej i wrzuciłam funta do szafki. Serce schowało mi się w jednorazowe majtki, które nam przydzielono. Jeśli ten dzień ma być pełen jej jęków nad własnym losem, to zacznę żałować, pomyślałam boleśnie. Powinnam siedzieć w Gillingsbu-

ry, pomagać Maksowi robić ryżowe ciasteczka na jutrzejsze zajęcia z gotowania.

Po masażu Vicky się rozchmurzyła; ległyśmy w ośmiokątym pokoju pełnym leżaków, z plastikowymi kubkami wody z cytryną i chłodnymi kompresami na oczach. Jakaś macierzyńska pani w białym uniformie otuliła nas grubymi pasiastymi kołdrami i zostawiła nam sterty „Hello” i „OK!” do czytania. Co przy tych kompresach sprawiało niejaki problemy.

- Mmm. Mogłabym przywyknąć - odezwała się Vicky.

- Dziwnie, co? Kobieta w białym fartuchu otula cię kołdrą. Kiedy ostatnio ktoś ci to zrobił?

- Ćśśś - odezwała się jedyna poza nami kobieta w pomieszczeniu. Vicky i ja zdjęłyśmy po jednym kompresie i przeszłyśmy ją straszonym spojrzeniem. Była to starsza pani z tak sztywną trwałą, że loczki nie spłaszczają się nawet, kiedy leżała. Ale ona też miała kompresy na oczach i nie zauważyła naszego spojrzenia.

- Tu nie biblioteka - rzuciła Vicky głośno.

Zachichotałam, a starsza pani prychnęła. Na szczęście w tej samej chwili drzwi się uchyliły i kosmetyczka zawołała:

- Pani Turner? Pora na następny zabieg.

- I dobrze - oznajmiła wyniośle pani Turner. - W tym hałasie nie sposób odpocząć.

Wymaszerowała z pokoju jak Margaret Thatcher w szlafroku. Zanim zamknęła za sobą drzwi, Vicky zawołała:

- Do zobaczenia, pani Durner. Mam nadzieję, że następny zabieg to lewatywa, ty stara wiedźmo.

Rozchichotałyśmy się jak dzieci. Nie, pomyślałam, to jednak był dobry pomysł. Vicky musi się na chwilę oderwać od swojego życia i trochę rozweselić.

Ja pewnie robiłam to samo - z Adamem i Maksem. A jednak tak do tego przywykłam, że to właśnie londyńskie życie z Kenem zaczęło mi się wydawać dodatkiem do normalnego...

- Vicky - odezwałam się, siadając i zdejmując kompresy. Nie były już chłodne, zwiędły, przybierając kształt moich powiek. - Muszę ci coś powiedzieć.

Ona także się poderwała, zaalarmowana moim tonem. Kompresy spadły jej z oczu jak łuski, choć nie byłam pewna, czy rzeczywiście chce jej mówić wszystko.

- Co ?

Nie, nie mogłam. Za długo zwlekałam. Ten sekret utknął we mnie. A może po prostu nie mogłabym znieść jej oburzenia, że nie powiedziałam jej wcześniej. Wycofałam się.

- Ja... ja... nie jestem szczęśliwa z Kenem - rzuciłam.

To prawda, pomyślałam. To musi być prawda, w przeciwnym razie nie pozwoliłabym sobie na sytuację z Adamem.

- Z jakiegoś konkretnego powodu?

Położyłam się na poduszce w papierowej poszewce i spojrzałam na sztuczny bluszcz, oplatający kolumnę na środku pomieszczenia.

- No, wiesz. Za dużo gra w tenisa, pracuje do późna, nigdy nie rozmawia o niczym poza swoją pracą. Nawet nasze życie towarzyskie - to, co z niego zostało - ma związek z jego pracą. Wiesz, kolacje z artystami lub agentami, pokazy, koncerty.

- Przecież byłoby gorzej, gdyby nie miał pracy. Przynajmniej bardzo dobrze zarabia. A ty zawsze lubiłaś się spotykać z tymi ze społami i tak dalej.

- Wiem. Ale... no... ludzie się zmieniają. Nie chcę przez całe życie być posłuszną żoną dyrektora.

- Może zaczniesz grać w tenisa?

Prychnęłam. ,

- Na Boga, tak by powiedziała moja matka. Musiałabym ćwiczyć latami, żeby dorównać Kenowi. Poza tym, nie znoszę z nim grać, bo po dwóch minutach się nudzi, a potem zaczyna wzdychać, kiedy wybijam piłkę za kort, czyli bez przerwy.

- Staracie się o dziecko?

Nie spojrzała na mnie. Przeglądała „Hello”; strony furkotały we mgle sztucznej opalenizny, wybielonych zębów i ostentacyjnych mebli - za szybko, żeby zdołała coś dostrzec. Stąd wiedziałam, że interesuje ją moja odpowiedź.

- Nie. Już ze sobą nie sypiamy.

- Co... wcale?

- Nie robiliśmy tego od miesięcy. On wychodzi wcześniej i wraca bardzo późno. W weekendy gra w tenisa. Nawet, gdybyśmy chcieli, nie mamy szansy. Prawdę mówiąc, on nawet...

Chciałam powiedzieć „nie może”, ale potem zrozumiałam, że Ken byłby wstrząśnięty, gdyby wiedział, że omawiam jego problemy seksualne z przyjaciółkami.

- ...się tym nie przejmuję - dokończyłam.

- Ale chcesz zająć w ciążę?

Vicky odrzuciła magazyn i położyła się na boku. Ja też, i znalazłyśmy się twarz w twarz, jak uczennice z internatu, szepczące po zgaszeniu światła.

- Nie. Tak. Tak. Ale to skomplikowane. I... boję się. Ken też.

Vicky wzięła mnie za rękę. Jak dobrze było znowu się jej zwierzać.

- To naturalne, że się boisz, kto by się nie bał? Czy możesz z kimś o tym porozmawiać? Na przykład z jakimś terapeutą? Co z tą kobietą, z którą się spotykałaś?

Pokręciłam głową. Nie chciałam z nikim o tym rozmawiać, bo nikomu nie mogłabym powiedzieć całej prawdy. Nagle poczułam, że jestem zupełnie sama.

- Porozmawiaj przynajmniej z Kenem. Znajdzie dla ciebie czas, jeśli mu powiesz, że ci to potrzebne. Na pewno. On za tobą szaleje.

W oczach stanęły mi łzy. Pomyślałam o Maksie, który wisi w ogrodzie na drabinkach, głową do dołu, zaczepiony kolanami o najwyższy szczebel, zanosząc się szalonym śmiechem przy każdym wymachu w przód i w tył. Trawnik był wyłysiały i wydeptany - za dużo biegania, za wiele meczów. Trawa w ogrodzie moim i Kena była gęsta i bujna, przetykana chwastami, nietknięta.

Potem pomyślałam o Adamie - takim, jak wczoraj w nocy, kiedy kochał się ze mną z taką czułością, że mogłabym umrzeć z rozkoszy. Czułam jego ciężar na mnie, jego kolano rozsuwające moje nogi, gdy patrzył mi przez cały czas w oczy. Adam także za mną szalał.

- Chyba już za późno - odezwałam się, po raz pierwszy wypowiadając głośno tę myśl, która od paru tygodni spoczywała uśpiona w mojej głowie.

Drzwi otworzyły się i weszła nasza „pielęgniarka”.

- Pani Sozi, pora na następny zabieg.

- Proszę cię, nie mów takich rzeczy - szepnęła Vicky, kiedy wstałam, oszołomiona własnymi słowami. - Jesteście dla siebie stworzeni, na pewno to jakoś załatwicie... Słuchaj, porozmawiamy później, dobrze? Idź na te algi, a potem mnie znajdziesz.

Uśmiechnęłam się do niej. Nasza przyjaźń przynosiła mi ulgę; ona i fakt, że zatoczyłyśmy koło i teraz to ona mi pomaga. Na-

wet jeśli nie byłam pewna, czy ma rację, zrobiło mi się lżej na duszy.

- To na razie - powiedziałam i pozwoliłam poprowadzić się korytarzem do małego pokoju, gdzie powitała mnie kolejna krzepka pracownica. To miejsce przypomina mi *Lot nad kukulczym gniazdem*, pomyślałam. Wszystkie te siostry Ratchett, które tu komendują nami, potulnymi jak owce w białych wełnianych ubrankach. Rozbieramy się - to właśnie kazano mi zrobić - kładziemy, wstajemy, odpoczywamy, rozciągamy się... po tym doświadczeniu nie zdołam dojść do siebie przez wiele dni. No, ale przynajmniej zaczęłam rozmawiać z Vicky.

Rozmawiać o tym, że Ken i ja się rozchodzimy.

- Proszę to włożyć - rozkazała moja aktualna dręczycielka, podając mi bardzo małe, bardzo brzydkie papierowe majtki. Na identyfikatorze miała wypisane „Marie-Rose” i była o wiele za młoda, żeby mną tak pomiatać.

- Teraz panią zmierzę, żeby sprawdzić, ile centymetrów pani straci pod koniec.

Nie wiedziałam, że muszę tracić centymetry, ale kiedy stałam przed dużym lustrem, w wyjątkowo brzydkiej jednorazowej bieleźnie, a dwunastoletnia kosmetyczka rysowała po mnie czarnym markerem - bicepsy, talia, uda, biodra, kolana i mierzyła mnie centymetrem, po czym zapisywała „odczyty” w notesie - pomyślałam: no, może przydałoby się schudnąć. Nigdy nie pozbyłam się tej obwisłej skóry na brzuchu. Kiedy się pochylałam, składała się w małe fałdki, których przedtem tam nie było. Czulałam się jak kawał wołowiny, który zaraz zostanie okrojony.

Łatwiej było myśleć o ciele niż o przyszłości. W tej chwili mało by mnie obeszło, gdyby całe moje ciało pomarszczyło się i obwisło jak u szczeniaka shar-pei, gdyby tylko ktoś mi poradził, co robić: jak mam to wszystko rozwiązać, nie raniąc nikogo.

Marie-Rose podeszła do wiadra, w którym w brązowej obrzydliwej mazi pływało parę rolek bandaży.

- A teraz panią obandażuję tymi oto bandażami namoczonymi w błocie z Morza Martwego. Jest ono pełne minerałów i witamin, które wyciągają toksyny i zbędne płyny, choć, niestety, nie pachnie zbyt ładnie, prawda? Zostawimy to przez godzinkę. Dzięki te-

mu pani skóra stanie się śliczna i miękka, a potem panią znowu zmierzymy i okaże się, że straciła pani sporo centymetrów, jak je już dodamy.

Nadal nie wyglądała na osobę, która już umie dodawać. Mimo to sprawnie zrobiła ze mnie mumię spowitą w ciepłe, brązowe, śmierzące bandaże. Przy tej pracy wystawiała język z kącika ust i marszczyła brwi jak przedszkolak oklejający balon masą papierową.

- Gotowe! - oznajmiła w końcu, odchodząc na parę kroków, by obejrzeć swoje dzieło. Podała mi jakieś nylonowe szmatki i plastikowe sandały.

- Proszę to włożyć i się rozluźnić. Dam pani znać, kiedy nadejdzie pora, by to zmyć.

Nylonowa szmata okazała się jakąś ohydną wariacją na temat dresów. Włożyłam ją na gwałtownie stygnące bandaże. Wyglądałam nieskończenie obrzydliwie.

- Co, mam tak wyjść?

Skinęła głową z cieniem szyderczego uśmiešku w kącikach prężnych młodych ust.

- Za jakąś godzinkę panią znajdę.

Miałam ochotę ją spytać, czy wie, że nazywa się tak samo, jak sos do krewetek, ta tania mieszanina keczupu i majonezu, ale zmilczałam i kaczym krokiem wróciłam do sali wypoczynkowej. Pod bandażami błoto sływało mi po nogach w plastikowe sandały i mlaskało przy każdym kroku. Piękne kobiety w nieskazitelnych szlafrokach chichotały na mój widok i marszczyły nosy, kiedy je mijałam. Czułam się jak potwór z bagien - i tak też pachniałam.

Znalazłam Vicky wyciągniętą w pięknej pozie na leżaku. Czytała gazetę i popijała rumiankową herbatkę, rozcapierzając palce, żeby nie uszkodzić schnącego cynobrowego lakieru; między palcami stóp miała separatory z gąbki. Na mój widok, kiedy wtoczyłam się ponura i ubłocona, ryknęła śmiechem.

- Śliczny dresik - zauważyła.

- Spadaj - warknęłam.

- Z doskonale dopasowanymi żelowymi sandałami.

- Mało śmieszne.

- Bardzo śmieszne. Zwłaszcza że wzięłaś ten zabieg tylko po to, żeby mnie wkurzyć, nie?

Usiadłam z młalszaniem na leżaku obok. Wokół moich stóp zaczęła się tworzyć brązowa kałuża.

- Tak, to pewnie twoja karma, co? Teraz tego żałuję. Wyglądam jak istota z kosmosu, a to błoto robi się lodowate. Lepiej, żeby poskutkowało, bo będę zła. Nie wspominając już o upokorzeniu. To jedno powie ci wszystko: papierowe gacie.

- O rany - kwiknęła Vicky. Po chwili jej ramiona przestały się spazmatycznie kołysać. - Przepraszam - spoważniała i odłożyła gazetę. - Wróćmy do tego, o czym rozmawialiśmy. Szkoda, że tak sądzisz.

Chciałam dokończyć tę rozmowę i już. Chciałam się komuś zwierzyć, nawet jeśli nie mogłam powiedzieć całej prawdy.

- Nie wiem, co robić.

- Porozmawiać z nim!

- Nie chcę.

- Dlaczego?

- Bo... bo... bo to nie ma sensu.

- Ależ ma. Jeśli nie jesteś szczęśliwa, musisz mu powiedzieć.

- Zacznie się usprawiedliwiać, a potem się zamknie.

- Ale lepiej wyciągnąć to na światło dzienne.

Westchnęłam.

- Rzecz w tym, że nawet nie wiem, co mam mu powiedzieć. - Wzdrygnęłam się mimowolnie. - To jakaś tortura. Ja tu zamierzam!

Vicky podała mi swoją herbatkę.

- Masz, rozgrzejesz się. Tylko uważaj na moje paznokcie.

Objęłam delikatną porcelanę; rozgrzała mnie tak jak Adam na plaży. Miałam ochotę opowiedzieć Vicky o Adamie i Maksie. Nie mogłam.

- Kiedy między tobą i Peterem się nie układało - powiedziałam ostrożnie - czy kiedykolwiek myślałaś... no, wiesz, o mężczyznach?

Vicky dobierała słowa z takim samym rozmysłem jak ja.

- Jak to? O dawnych chłopakach?

- No, czy podobali ci się obcy faceci? Nie myślałaś o tym, że do końca życia nie pocałujesz już nikogo innego?

- Tak. Jak wszyscy, nie? Ale potem myślałam o tym, co mam dzięki temu małżeństwu: pewność, te dzieci... eee, to znaczy, przepraszam...

- Nie szkodzi.

- ...i że nie muszę się rozbierać przed obcym.
- Dziesięć minut temu właśnie to zrobiłam - rzuciłam. Chciałam to obrócić w żart, ale się nie udało.

- Tak, lecz to co innego, chyba że chcesz się przeorientować i zacząć romans z kosmetyczką.

Wzdrygnęłam się.

- Dzięki, ale nie.

- No to co, poznałaś kogoś, kto ci się podoba, czy jak?

- Nie. Nie, skąd. To tylko takie ogólne spostrzeżenie. Przygnębia mnie, że nie myślę już o Kenie, a tylko jego mam do dyspozycji.

- To przejdzie. Czasami nie mogę znieść dotyku Petera. A potem nie mogę się nim nasycić.

Rozwinęłam moją tak zwaną hipotetyczną myśl.

- Ale gdybyś poznała kogoś, do kogo by cię naprawdę ciągnęło? Nie zastanawiałaś się, jak by to było sypiać z kimś innym?

- Oczywiście. Ale nie sypiam.

- Nawet gdybyś wypila sześć koktajli, Peter wyjechał z kolegami, a twoja matka by pilnowała dzieci?

- Nawet. A ty tak?

Spojrzałam na nią z zażenowaniem.

- Boję się, że tak.

- Och. Nie, na pewno nie, za dobrze cię znam. Kusiłoby cię, ale koniec końców nigdy nie zdradziłabyś Kena. - Skrzywiłam się. Znowu mój ulubiony frazes. - Przecież jest niewiarygodnie przystojny, bogaty, odniósł sukces i uwielbia cię, po co miałabyś chcieć kogoś innego?

Jej wiara we mnie jednocześnie zachwyciła mnie i przygnębiła. Zamilkłyśmy, ukołysane szmerem wody ciurkającej z rozmaitych małych fontann i wodospadów oraz przyciszonymi głosami pań w pewnym wieku, które przyjechały na dzień relaksu i rozmów o salonach, nieudolnych mężach i botoksie. Vicky zaraz potem zasnęła z otwartymi ustami i nadal rozcapierzonymi palcami. Było mi za zimno i niewygodnie, żebym mogła pójść w jej ślady - i liczyłam minuty do chwili, kiedy pojawi się Marie-Rose Ratchett i znowu będzie mi ciepło.

W końcu mnie uratowała i poprowadziła - nadal mlaskającą przy każdym kroku - do sali tortur. Kiedy odwinęła ostatni bandaż, dygotałam jak w febrze i mało mnie obchodziło, że aby do-

sięgnąć bandaży na kostkach, musiała praktycznie wtulić twarz w moje krocze. Dopiero kiedy zmyła ze mnie ostatnie ślady błota, zaczęło mi się robić ciepło, choć i wtedy musiałam stać nago, a Marie-Rose przeprowadzała ostatnie pomiary. Oznajmiła tryumfalnie, że straciłam cztery centymetry.

- Już lepiej - powiedziałam do Vicky, znów otulona puszystym szlafrokiem. - Znowu czuję kończyny. Ale to było wyjątkowo nieprzyjemne.

- A teraz nie czujesz się wspaniale?

- Skórę faktycznie mam ładną i miękką. I straciłam cztery centymetry, choć nie jest tak dobrze, jak brzmi, bo pół centymetra ubyło mi z talii, jedna czwarta z każdego ramienia i tak dalej. Trochę to naciągane, jeśli chcesz wiedzieć.

- Dziś będziesz spała jak dziecko.

- Zdrzemnęłaś się pod moją nieobecność?

Vicky przeciągnęła się jak kot.

- Mmm, było bosko. Jak to miło zasnąć, kiedy ani Crystal, ani Pat nie skaczą mi na głowę co pięć minut. Już za to jedno warto było zapłacić.

- Powinnyśmy to częściej powtarzać.

- Na częściej mnie nie stać. Nie jest tu tanio, prawda?

Dźgnęło mnie sumienie; narosło sporo tematów, którymi się ramimy. Dla niej było to wszystko, co miało związek z dziećmi. Dla mnie pieniądze, nawet jeśli nie wspominałam o nich bezpośrednio. Miałam zmienić temat, ale Vicky mnie uprzedziła.

- No, powiedz wreszcie coś o pracy! Nawet o niej nie pisnęłaś. Naprawdę, nie martw się, że będzie mi przykro. Cieszę się, że znowu pracujesz i chcę znać każdy szczegół.

- Och, to nic takiego. Tandetna opera mydlana na kablówce. Nie znalazłam jej nawet w regionalnym programie.

- Nie przesadzaj! Praca to praca. A te seriale są nieźle płatne, co?

- Ten na pewno nie - powiedziałam, krzywiąc się. Znowu pieniądze.

- Jaki ma tytuł?

Nie pozostało mi nic innego, jak spojrzeć jej w oczy i zebrać wszystkie siły. Jedna oznaka słabości i rzuci się na mnie jak terier na szczura, wydrze prawdę zębami ostrymi jak brzytwy.

- *Merryvale*. Nazywa się *Merryvale*, od nazwy wioski. Gram

żonę, która wprowadza się wraz z rodziną do wioski i prowadzi pocztę.

Kiedy zaczęłam, poszło już z górki. Przez całe dorosłe życie opowiadałam Vicky akcję najróżniejszych seriali - zawsze opowiadałyśmy sobie przegapione odcinki *EastEnders* albo *Coronation Street*. Wmówiłam sobie, że teraz robię to samo. Vicky słuchała chciwie i przerwała mi tylko raz, powtórzywszy: „Dzieci?“, tym samym tonem, co Ken, kiedy usłyszał o bliźniakach.

- Ale masz szczęście - westchnęła, kiedy przekazałam jej wszystko, co zapamiętałam z prawdziwego *Merryvale*, plus parę zmyślonych anegdot o moich rzekomych kolegach.

- Nie wiem, czy długo pociągnę - oznajmiłam. - Podpisałam kontrakt na sześć miesięcy, a jeśli widzowie nie polubią rodziny, pójdziemy pod nóż. Co mnie specjalnie nie martwi. Cholernie trudno jest wyjeżdżać na pół tygodnia... Jak myślisz, kiedy wrócisz do pracy? - spytałam, rozpaczliwie usiłując odciągnąć ją od *Merryvale*, zanim się wyda.

- Bóg jeden wie. Na pewno nie wcześniej, niż kiedy dzieci pójdą do szkoły. Włącznie z tym - poklepała się smętnie po brzuchu.

- Czyli za co najmniej pięć i pół roku. Cholerna radocha.

- Mogłabyś wrócić wcześniej. Gdybyś zaangażowała au-pair.

- Już o tym rozmawiałyśmy, nie ma sensu dłużej męczyć tematu - warknęła.

Pewnie to moja wina. Jestem zbyt natrętna.

- Przepraszam - powiedziałam pokornie. - Pójdziemy popływać?

Reszta dnia upłynęła nam w mgielce lenistwa i zabiegów. Zjadłyśmy sałatkę z kielkami, a ja oblałam się sokiem marchwiowym, który zostawił jaskrawą plamę na mojej koszulinie. Któraś siostra Ratchett przyniosła mi czystą, żebym nie obrażała nieskazitelnej klienteli (choć pewnie już to zrobiłam, bryzgając błotem przez nogawki dresów). Vicky trzy razy zapadła w drzemkę, a ja dwa razy pływałam w basenie. O piątej byłyśmy wykończone, ale czułyśmy się czyste.

To był dobry dzień. Nie pisnęłam ani słówka o Adamie i Mak-sie, ale pomimo wszystkich kłamstw o serialu, które sprzedałam Vicky, czułam że znowu jesteście blisko.

Okazuje się, że kłamstwo przychodzi łatwo. Trzeba się tylko przyłożyć.

Zdrada.

To rzeczownik, który może oznaczać różne straszne rzeczy. Kiedy budziłam się w łóżku Adama, w jego mocnych, ciepłych objęciach, jakoś nie mogłam pogodzić tego straszego słowa z tym, co robiłam. Czułam, że po raz pierwszy od lat naprawdę żyję. Może to wrażenie spotęgowała konieczność ciągłej czujności, pilnowania, żeby nic mi się nie wymknęło, żebym się nie zdradziła. To wyostrzyło moje zmysły i, jak sądziłam, dodało naszemu seksowi dodatkowego wymiaru. Ale im dłużej się to ciągnęło, tym większą sprawiało mi przyjemność - być może perwersyjną. Podniecało mnie to, że muszę zachować tajemnicę, i małe rytuały, które opracowałam, żeby zacierać ślady, na przykład to, że w Gillingsbury nigdy nie miałam przy sobie dowodu osobistego i płaciłam tylko gotówką, żeby Adam nie zobaczył mojego prawdziwego nazwiska na karcie kredytowej. Niepięknie to o mnie świadczyło, ale nie zamierzałam niczego zmieniać. Uznałam, że muszę darować sobie moralność - ale jeśli nikt nie ucierpi, to jest to tylko moja sprawa.

Trudno uwierzyć, ale spędziłam tak sześć miesięcy, a Ken jakby niczego nie podejrzewał. (Zdołałam nawet spędzić Boże Narodzenie z Maksem i Adamem; w Wigilię zadzwoniłam do Kena, że w ostatnim dniu zdjęć złapałam wrednego wirusa. Mieliśmy się spotkać na bożonarodzeniowym obiedzie u jego mamy, a wiedziałam, że jej nie zawiedzie, skoro obiecał, że przyjdzie. Więc powiedziałam mu, że wiszę nad muszlą klozetową w „Bristolu”, a on poszedł sam do mamy. Potem powiedziałam Adamowi, że w drugi dzień świąt muszę być u cioci Lil - co było prawdą - i wszystko się udało).

Obojętność Kena na moje „drugie” życie dała mi jakby pozwolenie na dalszy ciąg. Poza tym, uważałam, że Ken prawdopodobnie ma własne tajemnice; że wygodnie jest mu nie wypytywać mnie zbyt dokładnie, bo wtedy, na zasadzie wzajemności, zaczęłabym z niego wyciągać informacje. Ale był jeden paskudny moment w walentynki, kiedy kazał sekretarce wysłać kwiaty do Bristolu,

a ona zadzwoniła na moją komórkę, żebym podała adres. Musiałam przypomnieć sobie, co wymyśliłam parę miesięcy temu, z kodem pocztowym Bristolu włącznie. A potem zadzwoniłam do Kena i zaczęłam mu wylewnie dziękować za piękne kwiaty. Zgodnie z moimi obawami, zdziwił się.

- Kurczę. Alex właśnie powiedziała mi, że ci ludzie z kwiaciarni nie mogą wysłać kwiatów, bo ten adres nie istnieje.

Byłam na to przygotowana i roześmiałam się beztrzesko, gorąco dziękując dobremu losowi, że przypadkiem jestem aktorką, a nie księżową.

- Pewnie pomylili zlecenia. Dostałam je, siedzę i właśnie się im przyglądam. Są piękne, bardzo dziękuję.

Rzeczywiście, patrzyłam na kwiaty, ale nie był to wspaniały bukiet, jaki przysłałby mi Ken, lecz mały, obwisły pęczek pierwiosnków, które Max zerwał wprost z trawnika.

Ken ani razu nie zaproponował, że odwiedzi mnie na planie. Nie wyraził też chęci poznania moich „przyjaciół” z serialu. Raz powiedział, że chciałby dostać nagranie któregoś odcinka, ale nie drażył kwestii i nie martwiły go moje efektowne okrzyki, że znowu zapomniałam. Wyjeżdżał częściej niż dotąd i często nie widywaliśmy się przez trzy tygodnie. (Rzecz jasna, nie starczyło mu czasu na urlop, który miał wziąć przed Bożym Narodzeniem). Zaczęłam się zastanawiać, czy w ogóle by zauważył, gdybym się wyprowadziła z domu. Po rozmowie o kwiatach odłożyłam słuchawkę, bardzo zmartwiona. Moje życie z Kenem stało się bardziej skomplikowane niż z Adamem i Maksem - jedyną inicjatywą Kena w moim walentynkowym prezencie było wyciągnięcie karty kredytowej i wręczenie jej sekretarce - to ona wszystko zaaranżowała. Pomyślałam o jej zwięzłym, gibkim ciele w obcisłych bluzeczkach i minispódniczkach i zaczęłam się leniwie zastanawiać, czy to czasami ona nie ma coś wspólnego z faktem, że Ken nie wnika w moje prywatne sprawy.

- Dzień dobry, kochanie - mruknął mi do ucha Adam pewnego mroźnego marcowego poranka, kiedy definitywnie postanowiłam odejść od Kena.

Uwielbiałam to, jak się ze mną budził - kończyła przy kończeniu, jakby chciał przeciągnąć moje ciało wraz ze swoim. Nie dla Adama był natychmiastowy pęd do łazienki, pospieszne wkładanie

ubrania i wyjście, zanim jego połowa łóżka zdąży ostygnąć. Dzięki Maksowi, który miłosiernie nie budził się przed ósmą, Adam nigdy nie wychodził z łóżka przez co najmniej pół godziny po przebudzeniu. Zwykle najpierw się kochaliśmy, niespiesznie, lecz namiętnie i gorąco. Odwracał mnie, obejmował i wchodził we mnie od tyłu.

Kiedy kończyliśmy i leżeliśmy w postkoitalnej drzemce, fałszywy śpiew obwieszczał początek nowego ranka Maksa. Wkrótce potem drzwi się uchylały, przesuając się ze świstem po dywanie, a potem łóżko było pełne Maksa, jego kościstych ramionek i nóg, chichotów i przewracania się na mnie, żeby dostać się w ukochane miejsce w środku.

Kiedy po raz pierwszy wszedł do sypialni, w której się niedawno kochaliśmy, skrzywił się.

- Fuuu, co to za zapach?

Zarumieniliśmy się, bo poczuliśmy to samo, co on: ciepły, drożdżowy zapach nasienia i potu. Ale jakoś spodobało mi się, że to powiedział. To wszystko wchodziło w pakiet rodzinnej intymności.

Na ogół opowiadał nam żart - ten sam. Przez pierwsze trzy czy cztery razy nas śmieszył, ale po tygodniu codziennej recytacji śmiaaliśmy się już z samego faktu, co jeszcze bardziej zachęcało Maksa.

- Co będzie, kiedy puści się piosenkę country od tyłu?

- Nie wiemy. Co będzie, kiedy puści się piosenkę country od tyłu? - recytowaliśmy jak mantrę.

W tym miejscu zawsze zaczynałam chichotać, zanim jeszcze zaczął, a kiedy kończył, płakałam już ze śmiechu.

- Twoja ukochana wróci, twój pies nie umrze, twój samochód się nie zepsuje i... (tu dramatyczna pauza, a potem puenta podana z przerażającym amerykańskim akcentem, przy wtórce grożenia palcem)... już nie pada!

Ale tego marcowego poranka Max nie opowiedział nam dowcipu. Nie obudził się też ze śpiewem. Przyszedł bez słowa i zakopał się w swoim ulubionym miejscu.

- Jak się czujesz, stary? - spytał zmartwiony Adam.

- Gardło mnie boli. I oczy.

Dotknęłam jego głowy.

- Jest trochę gorący.

Adam także sprawdził czoło.

- No, właśnie się obudził.

- Ale wczoraj nie czuł się zbyt dobrze, prawda? A w jego klasie tłumy dzieciaków chorują na grypę.

- Nie chcę dziś iść do szkoły - oznajmił Max słabym głosem, rozkoszując się naszą troską. - Będzie WF, a ja nie chcę WF-u.

Adam westchnął.

- No dobrze. Dziś mam jednodniowy kurs w Marlborough i nie mogę go odwołać. Przyjdzie dwudziestu słuchaczy. Słuchaj, czy przypadkiem...

- Oczywiście. I tak miałam się dziś uczyć tekstu, ale już dużo umiem. - Rozpromieniłam się ze szczęścia na myśl, że mogę spędzić z Maksem cały dzień. Będę mu przynosić zimne napoje i grać w gry planszowe. Najwyraźniej nie jest bardzo chory; to nic takiego, czego nie można by uleczyć aspiryną. A choć akurat postanowiłam opuścić Kena, to i tak nie mogę teraz popchnąć sprawy do przodu, bo mój mąż jest w Los Angeles.

- Jesteś boska - powiedział Adam z ulgą, całując moje włosy. - Dobra, stary - zwrócił się do syna - możesz spędzić dzień w domu. Ale żadnej telewizji i najwyżej dwie gry wideo, jasne?

- Nie martw się - wtrąciłam - na to nie będzie czasu, no nie, Max? Będziemy za dobrze się bawić.

- Kocham cię - oznajmił Max, przytulił się i objął mnie za szyję.

Wtuliłam się w jego senną ciepłą skórę i poczułam, jak zawsze, kiedy to mówił, że teraz poznałam prawdziwe szczęście.

- Max jest rzekomo chory, pamiętaj - powiedział Adam z udaną surowością.

- Ale musimy go rozbawić, nie? - zawołałam za nim, kiedy poszedł do łazienki. Max znowu się przytulił, ciepły i senny, a ja podziękowałam Bogu, że mam ich obu.

Później, kiedy Adam już odjechał, do ostatniej chwili wydając rozkazy i instrukcje, Max i ja usiedliśmy przy stole w kuchni, mając przed sobą dziewiczą przestrzeń dnia. Max włożył szlafrok ze Spidermanem i kaptur, które dałam mu na Gwiazdkę. Włosy mu sterczały, a oczy wydawały się ogromne w bladej twarzy. Zaczął od niechcenia gryzmolić na odwrocie pisma z college'u. Był trochę nieobecny i cichy, ale nie martwiłam się za bardzo.

- Chcesz płatków, skarbie?

Pokręcił głową.

- Winogron?

To samo.

- Banana?

- Nie jestem głodny.

- Co rysujesz?

Podeszłam i usiadłam, patrząc na chwiejny kształt, tu i tam upstrzony kropkami.

- Kapę.

- C o ?

- Kapę. Świata. Patrz, to biegun północny. - Pokazał mi kropkę na dole strony. Wzięłam kredkę i starannie napisałam obok BIEGUN PÓŁNOCNY. Nagroził mnie słabym uśmiechem.

- A to?

- To nasz dom.

Napisałam NASZ DOM, trochę na południe od bieguna północnego. Wskazał znowu, bawiąc się coraz lepiej.

- To praca tatusia. Tu umierają ludzie. Tu żyją koniki. A tu - dziabnął kredką w najbardziej wysunięty na południe rejon mapy - to prawdziwe, prawdziwe, najprawdziwsze niebo.

Posłusznie wykaligrafowałam PRAWDZIWE, PRAWDZIWE NAJPRAWDZIWSZE NIEBO. Mój ulubiony punkt znajdował się w środku kraju i było to miejsce o nazwie: PIKNIK? JAK BĘDZIE SŁONCE. Było położone w pobliżu stacji kolejowej, graniczącej z SADEM GDZIE ROBI SIĘ JABŁKA, a niedaleko MIESZKAJĄ 3 MAŁE ŚWINKI.

- Fantastyczna mapa - powiedziałałam dziesięć minut później, kompletnie pochłonięta naszym zadaniem. - Tatusiowi się spodoba. A co to jest?

- Biegun południowo-wschodni - powiedział Max, ale jego głos brzmiał jak szept, a kiedy na niego spojrzałam, omal nie wyskoczyłam ze skóry. Na jego białych policzkach pojawiły się raptem dwie czerwone kropki, jakby prosto z jego „kapy”, a oczy miały błędne spojrzenie. Odsunął mapę.

- Nie czuję się dobrze - wyznał i oparł się o mnie.

Wzięłam go na ręce i zaniiosłam do salonu, na sofę.

- Leż, kochanie. Przyniosę kołdrę i termometr. Chcesz wody?

Jakby mnie nie usłyszał. Wymamrotał tylko:

- Nie narysowaliśmy domu mamusi.

Pobiegłam na górę, jakby u nóg zaczęły mi wyrastać skrzydła paniki. Na podeście musiałam się oprzeć o ścianę, żeby się opanować.

- Spokojnie, spokojnie, spokojnie - powtórzyłam. - To tylko wirus, wirus, wirus. Nic mu nie będzie. Aspiryna. Lekarz? Może. Najpierw aspiryna.

Chwyliłam koldrę z jego łóżka i runęłam do łazienki, gdzie znalazłam aspirynę i elektroniczny termometr. Po namyśle zwilżyłam ręcznik zimną wodą, pospiesznie go wykręciłam i pogalopowałam na dół.

Max jęczał cicho. Poruszał rękami przed twarzą, zaciskając ręce, jakby usiłował odpędzić coś irytującego. Źrenice miał ogromne, a skóra nabrała koloru intensywnego różu. Zapalenie opon, pomyślałam z gardłem ściśniętym z przerażenia. A jeśli to zapalenie opon albo objawy powracającej białaczki? On może umrzeć, o Boże, tylko nie to...

Zdarłam z niego szlafrok i podniosłam bluzkę piżamy, szukając wysypki. Nie znalazłam nic, tylko bladą skórę, spoconą i rozpaloną. Drżącymi rękami włożyłam mu do ucha termometr i wcisnęłam zielony guzik. Trzydzieści dziewięć i cztery kreski. O, niedobrze, wysoka temperatura, ale czy niebezpieczna? Nie miałam pojęcia.

Wygrzebałam z torebki komórkę i zadzwoniłam do Vicky. Nie odpowiedziała. Włączyła się poczta głosowa. Pobiegłam do kuchni i zadzwoniłam do lekarki Maksa, której numer wisiał na korkowej tablicy. Zajęte. Spróbowałam znowu. Dalej zajęte. Wybrałam numer Lil.

- Halo?

- Ciociu, pomocy, to sytuacja awaryjna. Nie wiem, co robić.

Ledwie wypowiedziałam te słowa, zdałam sobie sprawę, że takich samych użyła, dzwoniąc do mnie, kiedy zobaczyła mnie za oknem i zapragnęła znowu zwabić do swojego życia. Pamiętam, jak się wtedy przestraszyłam - ale to wydawało się tak dawno temu... I strach też był z zupełnie innej ligi.

- Anna? Co się stało, kochanie?

- Ja... bo... pilnuję małego chłopca, Maksa. Nagle podskoczyła mu temperatura, ma trzydzieści dziewięć i cztery kreski. Numer jego lekarki jest zajęty. Mam zadzwonić na pogotowie? Nie wiem, co robić!

Usłyszałam, jak Lil wciąga powietrze. Wydech. To krótkie milczenie jednocześnie zdenerwowało mnie i uspokoiło.

- Nie trać spokoju. Musisz być spokojna. Na pewno nic mu nie będzie. Ile ma lat?

- Pięć.

- W tym wieku dzieci często dostają gorączki. Musisz go ochłodzić.

Przypomniałam sobie mokry ręcznik, który zostawiłam na kołdrze, porzuconej na podłodze w salonie.

- Mam ręcznik - rzuciłam, popędziłam i zdjęłam go z kołdry, na której zostawił oskarżycielski mokry ślad. Zwymyślałam się za bezmyślność i położyłam Maksowi na czole. Max ciągle jęczał i chwycił powietrze.

- Co ma na sobie?

- Piżamę. Mam mu zdjąć? Cały się spocił!

- Umyj go. Pierś i głowę.

Przycisnęłam ręcznik do wątlej piersi chłopca. Po paru chwilach kontaktu z jego skórą ręcznik stał się ciepły. Max wydał dziwny dźwięk, podniósł się i wymiotował na mnie cienką strużką żółtawego płynu.

- Wymiotuje! - Panika w moim głosie gwałtownie narastała. Słyszałam ją - przeraźliwą, nieznaną.

- Anno! Słuchaj! - Lil mówiła teraz ostro. - To bardzo ważne, musisz zachować spokój. Rób, co mówię. Weź ręcznik, umyj chłopca i znowu zmierz mu temperaturę. To prawdopodobnie tylko wirus. Nic mu nie będzie.

Max patrzył na mnie przekrwionymi oczami. Był tak ufny, że serce omal mi nie pękło.

- Nie jestem bardzo zdrowy, prawda? - wymamrotał, po czym opadł na poplamione poduszki sofy i odwrócił głowę, jakby sygnalizował, że to jego ostatnie słowo w tej kwestii. Bolesnie przypomniał mi Adama.

- Nie, kochanie. Ale nie martw się, zaraz zrobimy tak, że poczujesz się lepiej - powiedziałam, odgarniając mu z czoła mokre włosy. Nieprzytomna niemal tak jak on, znalazłam w kuchni ścierkę, przyniosłam i wytarłam z grubsza wymiociny, zaczynając od buzi i ciała. Potem zmierzyłam mu temperaturę.

- Prawie czterdzieści - wyszeptałam do telefonu, nie wierząc, że to się dzieje naprawdę. Tylko nie znowu, Boże, błagam. Nie mój Max.

- Doskonale. Zadzwoń znowu do lekarza, a jeśli nie będziesz się mogła połączyć, pora wezwać karetkę. Zważywszy, na co chorował... to tak na wszelki wypadek. To on, prawda? Ten chłopczyk, który dostał twój szpik?

Nie byłam w stanie rozeźmiać się z jej przenikliwości. Wydałam dźwięk, który trochę przypominał łkanie, a trochę westchnienie. Od początku wiedziała.

- T a k .

- No, to do roboty. Później zadzwoń i powiedz, co się dzieje. Obiecujesz?

- Tak. Cześć.

Do lekarza dodzwoniłam się zaraz potem. Najtrudniej było wytłumaczyć recepcjonistce, o co mi chodzi, ale mniej więcej się udało. Kazała czekać przez około sto lat, a potem rzuciła energicznie:

- Doktor Lark zaraz przyjedzie. Zna Maksa.

Zanim usłyszałam dzwonek do drzwi, byłam niemal w hysterii. Kolana ugiwały się pode mną i prawie dygotałam z wysiłku, by nie pokazać Maksowi mojej paniki. Byłam pewna, że umrze i mogłam myśleć tylko o jednym: jak ja to powiem Adamowi?

- Jest lepiej? - spytała lekarka. Była młodsza, niż się spodziewałam, mniej więcej w moim wieku, w eleganckim kostiumie i z surową fryzurą, w której wyglądała bardziej jak maklerka niż lekarz.

Pokręciłam głową, niezdolna do wydobycia głosu. Wskazałam sofę.

- Cześć, Max - powiedziała głosem jednocześnie kojącym i rzeczowym. - To ja, doktor Lark. Kiepsko się czujemy, co? Biedny... Pozwól, że cię zbadam.

Podniosła go, bezwładnego jak szmaciana lalka, nie zważając na odór wymiotów. Na widok mokrego śladu jego ciała na poduchach kanapy zaczęłam płakać jeszcze bardziej i musiałam się odwrócić, choć Max był zbyt rozgorączkowany, żeby cokolwiek dostrzec. On też płakał - ciche miauknięcia, bolesne i zagubione. Omal nie przewróciłam się z rozpaczy.

- Spesh - szepnął. - Gdzie Spesh?

Odwróciłam się, a on spojrzał na mnie, obiegił mnie spojrzeniem, jakbym tańczyła.

- Zaraz przyniosę, kochanie. - Pobiegłam na górę, podniosłam tygryską z podłogi przy łóżku i zbiegłam jak burza. Palce Maksu zacisnęły się przez chwilę na przedniej łapce Spesha, ale potem wypuściły go na podłogę, gdzie leżał, zapomniany.

Wydawało mi się, że zaledwie dwie minuty wcześniej leżeliśmy w łóżku, nie mogąc się doczekać wspólnego dnia. Życie nagle odwróciło się i runęło na mnie, akurat teraz, gdy znowu poczułam się szczęśliwa, kiedy wydawało mi się, że nawet jeśli sytuacja z Kenem się popsuje, jestem tu, gdzie chcę być, i wszystko skończy się dobrze.

- Jeśli jeszcze nie zadzwoniła pani po jego ojca, to lepiej to zrobić - odezwała się doktor Lark, chowając termometr do torby. - Ten chłopczyk nie jest zdrowy.

W głowie zakręciło mi się z niedowierzania, przerażenia i mdłości. Tak samo czułam się po śmierci Holly. Spojrzałam na swój brzuch, spodziewając się, że nadal jest rozciągnięty i sflaczały, opróżniony i zbędny, jak dowód kłęski. Boże, błagam cię, tylko nie znowu.

34

Dziewięć godzin później kryzys - przynajmniej jeśli chodzi o Maksę - już minął. Max spał spokojnie we własnym łóżku na piętrze, w czystej piżamie, pod kołdrą w świeżej poszwie, tuląc Spesha. Kiedy Adam wrócił do domu tuż po obiedzie, Maks nadal był błydy, czasem kaszlał, ale temperatura spadła i już nie wymiotował.

- To tylko wirus - potwierdziła doktor Lark, doprowadziwszy mnie na skraj zawału rozkazem zadzwonienia do Adama. - Nic poważnego. Musi odpocząć, dużo pić i brać aspirynę. Za parę dni będzie zdrow jak ryba.

Czego nie można było powiedzieć o mnie. Czułam się jak emocjonalny wrak, jakbym przez te dziewięć godzin postarzała się o dziewięć lat. Zadzwoniłam do Adama, wytłumaczyłam sekretarce ze szkoły, w której miał zajęcia, że to wyjątkowa sytuacja i należy go natychmiast sprowadzić. Wyrwała go z sali i przywlokła do telefonu. Przerażenie w moim głosie sprawiło, że nieszczęśliwiek z miejsca wybiegł ze szkoły, zostawiając mnóstwo starszych

pań z gwaszami i akwarelami, zrządzających, że nie dostały tego, za co zapłaciły. W ciągu godziny wrócił do domu - choć zadzwoniłam na jego komórkę i powiedziałam, że Max wraca do zdrowia i jednak nie ma powodów do niepokoju.

Nie ma powodów... no, to raczej kiepsko opisuje moje uczucia tego dnia. Myślałam, że Max umiera. I że Adam przyjedzie za późno, a ja będę musiała mu powiedzieć, że to moja wina. Tata, Holly, a teraz Max - nie mogłabym tego znieść. Wyobraziłam sobie, jak podaję Spesha Adamowi; jak jego dobra twarz zapada się, a on odwraca się do mnie plecami. Już widziałam pogrzeb Makska i zaczęłam się zastanawiać, jakiego środka uspokajającego będę potrzebowała, żeby to przeżyć.

Adam coś do mnie mówił. Spojrzałam na niego; poruszał ustami i patrzył na mnie, ale nie potrafiłam zrozumieć jego słów.

- C o ?

Podszedł i objął mnie.

- O, kochanie, ciężko to przeżyłaś, co?

Ostatnie zapasy sił mnie opuściły. Trzymałam się w garści, dopóki Adam nie wrócił do domu - dla nas obojga - ale te jego kochane objęcia zupełnie mnie rozmiękczyły. Kolana ugięły się pode mną.

- Myślałam... że on umrze.

- Ćśśś, kochanie, już dobrze. Nic mu nie będzie. Dobrze zrobiłaś. Postąpiłbym tak samo. Nie martw się.

Przez rozdzierające łkanie dotarło do mnie, że Adam uważa, iż przepraszam go za zbyt gwałtowną reakcję, za to, że go tak przeraziłam i ściągnęłam do domu, gdy wystarczyło dać Maksowi aspirynę i pozwolić mu się przespać.

- Nie, nie rozumiesz. Myślałam, że on umiera!

- Wiem, wiem. Przez ciebie przeżyłem trudną chwilę. Ale nic mu nie jest.

Nagle ogarnęła mnie furia. Miałam ochotę nim potrząsnąć. Głaskał mnie po głowie, ale cofnęłam się gwałtownie. Pasma moich włosów zaplątało się między jego palcami, łącząc nas tym dziwnym węzłem.

- Nie o to chodzi! Nie dlatego jestem zdenerwowana! - Dlaczego zawsze jesteś tak cholernie spokojny?, pomyślałam. Zapragnęłam mu powiedzieć o wszystkim, wykrzyknąć, jaki jest głupi, że spotyka się ze mną od sześciu miesięcy i nawet nie kojarzy, że nie widział

moich kart kredytowych ani prawa jazdy; że tak, jak Ken, nigdy nie zajrzał do internetu i nie przekonał się, że nie gram w żadnym serialu, bo rolę Triny w *Merryvale* dostała jakaś inna aktorka.

Nagle przestało mi się podobać, że mężczyźni są tacy ufni, nie kwestionują niczego, kiedy kochają. Ogarnęła mnie furia, że są tacy głupi, łatwowierni - albo, w przypadku Kena, że tak mało go obchodzi moje życie, nawet nie próbuje wykrzesać z siebie zainteresowania. Kobieta nigdy by nie pozwoliła, żeby duża część życia jej partnera pozostała nieznanym terenem. Gdyby Adam lub Ken (co bardzo mało prawdopodobne) zapragnęli grać w serialu, zażądałabym, aby pozwalali się odwiedzać na planie, zapraszałabym ich kolegów na kolacje, przeglądała programy telewizyjne w poszukiwaniu wzmianek o serialu. Chciałabym znać każdy zwrot akcji, każdą zmianę kostiumów i każdą sklejkę montażową.

Jak to możliwe, że żaden z nich nie zauważył, że żyję w kłamstwie? Że zwabił mnie tu Max? Niezależnie od siły moich obecnych uczuć do Adama, nie zaplątałabym się w ten romans, gdyby nie Max.

- Hej, kochanie, co się dzieje? Spokojnie.

Ale ja się zupełnie posypałam. Nie mogłam mówić przez te szloch, czkawkę i smarkanie - nigdy nie potrafiłam płakać jak dama. Sztuczność mojego życia uderzyła mnie jak siekiera, zburzyła tak, jak fala niszczy pracowicie wzniesiony zamek z piasku, zacierając jego istnienie.

- To przez Maksa - wyszłochałam, kuląc się na sofie z twarzą w dłoniach. - To przez niego tu jestem.

- Jak to?

Ogarnęła mnie pogarda do samej siebie. Ależ byłam żaloszna i samolubna. Zamiast rozwiązać moje problemy z Kenem, uciekłam i przyczepiłam się jak pijawka do Maksa i Adama. Max nie był moim dzieckiem. Tak, pomogłam uratować mu życie, ale tylko przez przypadkową zgodność krwi i szpiku.

Adam przykucnął przy mnie jak psycholog. Usłyszałam podwójne chrupnięcie jego kolan, obrzydliwie głośne.

- Proszę cię, powiedz coś.

- Nie nazywam się Anna Valentine - wybełkotałam z twarzą w oparciu sofy, skulona w pozycji płodowej, jak zawstydzone dziecko. - Tylko Anna Sozi. To ja dałam szpik Maksowi.

W pokoju zapadła cisza. Tylko z kuchni dobiegało stukanie balsemowej czapki Maksa, wirującej w bębnie pralki.

- Jak to? - spytał w końcu Adam. - Dlaczego nie...

Głos mu zamarł.

- Przyniosę brandy - powiedział.

Poszedł do kuchni bardzo ostrożnie, jakby moje słowa były żywymi ładunkami wybuchowymi, minami, ukrytymi pod dywanem. Ale zanim wrócił, rozległ się dzwonek u drzwi.

- Nie zwracaj na to uwagi - zawołał.

Niepotrzebnie, bo nie miałam najmniejszego zamiaru otwierać drzwi w tym stanie. Ale natręt zadzwonił jeszcze raz.

- A, spadaj - mruknął Adam.

W jego głosie brzmiał twardy ton, który mi się nie spodobał. Dlaczego mu powiedziałam w taki sposób? Pomimo całej hysterii odezwała się we mnie drążąca niepewność, która dowiodła, że źle to rozegrałam; wybrałam zły sposób i złą porę.

Nastąpiła chwila ciszy. Adam wyjął z szafki dwie szklanki, a ja zdołałam się uspokoić. Miałam zatkany nos, tętniące skronie i powieki jak balony. Rozpaczliwie pragnęłam brandy, już teraz czułam jej płomień w gardle, rozgrzewający i uspokajający.

- Chyba... - Dzwonek znowu wpadł Adamowi w słowo. - Och, do diabła, muszę otworzyć. Jak tak dalej pójdzie, Max się obudzi.

- Nie patrzył mi w oczy.

Usłyszałam, że potrącił okrycia na wieszaku w wąskim korytarzyku. Pisnęły drzwi. Potem cisza. Początkowo myślałam, że gość zrezygnował i odszedł, a Adam spogląda za nim i zastanawia się, czy zawołać. Ale potem rozległ się kobiecy głos:

- Mama zawiadomiła mnie natychmiast po twoim telefonie... Jak on się czuje? Nie zaprosisz mnie?

Serce mi się ścisnęło. Tylko nie ta cholerna Pamela. Dlaczego, do diabła, Adam zadzwonił do jej matki? Pewnie usiłował skontaktować się z Pamelą, a kiedy to się okazało niemożliwe, zadzwonił do jej matki. Nie zdawałam sobie sprawy, że jest mu tak bliska i to mnie wkurzyło jak diabli. A teraz przybiegła i pewnie nie uwolnimy się od niej przez cały wieczór. Zerwałam się z sofy - nie mogłam jej stawić czoła w takim stanie - i popędziłam na górę do łazienki w nadziei, że Adam ją zatrzyma, dopóki nie doprowadzę się do porządku.

Ochlapałam twarz zimną wodą, przypudrowałam nos, wyszczotkowałam włosy. Zauważyłam w nich pierwsze srebrne nitki. Oczy miałam przekrwione i zapuchnięte, a cerę poznaczoną plamami. Nacisnęłam obrzękniętą skórę pod lewym okiem; odzyskała kształt dopiero po pewnym czasie. Zauważyłam małe zmarszczki, których przedtem tam nie było.

Starzeję się, pomyślałam z rozpaczą. Może nigdy nie będę miała własnego dziecka. Z każdym miesiącem będzie coraz trudniej, a za parę lat - za późno. Wyobraziłam sobie, jak nieliczne pozostałe komórki jajowe toczą się beznadziejnie jajowodami niczym kiepsko wyważone kule, które nie mają szans przewrócić choćby jednego kręgła.

Wysłam z łazienki i na palcach zakradłam się do sypialni Maksa. Spał już spokojniej, zagubiony w snach. Pogłaskałam go po włosach i otuliłam dokładniej kołdrą. Poruszył się, kiedy pocałowałam jego policzek i wydał dziwny głuchy jęk, niemal skrzypnięcie. Przypomniałam sobie na wpół świadomą reakcję, kiedy sama byłam dzieckiem; łagodny pocałunek w nocy wynosił mnie na powierzchnię snu, tylko na tyle, żebym poczuła uczucie całującego mnie rodzica. Potem znowu zapadałam głęboko w sen z bezpieczną świadomością, że jestem kochana.

Musiałam sobie przypomnieć, że nie jestem matką Maksa. Kiedy zamykałam drzwi, by nie obudził go przenikliwy głos Pamela, walczyłam już z tępą, przygniatającą depresją i strachem, że wszystko popsułam.

Byłam absolutnie pewna, że to Pamela zadzwoniła do drzwi, dlatego kiedy jej nie poznałam, przyszło mi do głowy, że przeszła na dietę i ufarbowała włosy. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że jest też dużo wyższa. I chyba nie włożyłaby dzinsów? Potem spojrzałam na jej twarz i pojęłam, wstrząśnięta, że to wcale nie Pamela. Podobny głos, ale ta kobieta była młodsza i bardziej atrakcyjna. Miała okrągłe, miękkie rysy, jak chmura z twarzą. Kogoś mi przypominała, ale nie potrafiłam skojarzyć.

- Anno - odezwał się Adam, wyciągając do mnie rękę, choć nadal nie patrzył mi w twarz. Podeszłam i stanęłam obok niego, ramię w ramię, podświadoma demonstracja praw własności.

- To Marilyn, moja... hm... matka Maksa. Marilyn, to moja dziewczyna Anna.

Obie spojrzałyśmy na siebie. Ona była chyba równie zaskoczona jak ja, ale potem podniosła brodę i opuściła powieki, kiwając nieufnie głową.

- Witam - rzuciła.

Jej przypominająca chmurę twarz zlodowaciała, straciła łagodne kontury.

Skinęłam głową, świadoma rumieńca, który rozpalił mi twarz i spłynął niżej. Czułam się gorsza od niej, zapuchnięta od płaczu, roztrzęsiona, ale co gorsza, jak winowajczyni, zdemaskowana i czekająca na sąd.

- Zrobiłeś remont - powiedziała, choć nie oglądała ścian. Patrzyła na swoje zdjęcie z Maksem.

- T a k . Zabrałiśmy się do tego, eee... trzy miesiące temu? - Adam spojrział na mnie pytająco, a ja poczułam jedynie wstyd.

- Całkiem ładnie - oznajmiła. Potem odwróciła się do mnie. - Adam powiedział mi, że to tylko wirus - powiedziała głosem pełnym pogardy, którą do siebie czułam.

Nadal nie mogłam mówić. Adam przytulił mnie; byłam wdzięczna za jego życzliwość.

- Biedna Anna ciężko to przeżyła. Max czuł się źle, a wiesz, jaki to przerażający widok.

Jednym gestem zdołał ustawić siebie i ją - doświadczonych opiekunów - w opozycji do mnie, rozhisteryzowanej idiotki, która wszystkich poderwała do galopu z powodu głupiej gorączki.

Adam musiał się chyba tym zająć, choć nie pamiętam, kiedy i jak, ale nagle znaleźliśmy się na sofie, pijąc od dawna oczekiwaną brandy. Nawet nie zauważyłam, że wyszedł do kuchni. W mojej szklance znalazły się dwie kostki lodu, które grzechotały jak kolana Adama i chłodziły moje dłonie przez szkło.

Ciekawe, czy Marilyn ze mną rozmawiała, kiedy Adam przygotowywał drinki. Chyba nie. Za to zaczęła mówić, gdy tylko Adam włożył jej szklankę w rękę. Mówiła do niego, jakby nie było mnie w pokoju. Czekałam z rozpaczliwą nadzieją na jakieś dobre słowo, na kojący dotyk dłoni Adama na moim kolanie - ale nic się nie stało. Mogłam się uznać za niewidzialną.

Zdołałam przedrzeć się przez posthisteryczną mgłę i migrenę i zaczęłam słuchać Marilyn. Miała jednocześnie napastliwy i bezbronny głos i cały czas spoglądała na mnie znacząco, jakby pytała: „Czy naprawdę musimy rozmawiać przy niej?”

- ...wiem, że minęło wiele miesięcy... przepraszam, że nie pisałam, naprawdę uważałam, że tak będzie lepiej dla Maksa... co z oczu, to z serca... musiałam poukładać myśli...

Znam to uczucie, pomyślałam, mrugając z wysiłkiem, by wyostrzyć wzrok, bardziej zamglony, niż powinien być. Adam siedział bez ruchu koło mnie, wpatrując się w żonę z napięciem. Nigdy nie czułam się bardziej odległa od niego.

Ona nie jest nawet jego byłą żoną, pomyślałam. Jest tak samo jego żoną, jak ja jestem żoną Kena. Dziwne, że do tej pory naprawdę nie przyszło mi to do głowy. Oparłam się o sofę, walcząc z opadającymi powiekami. Czułam się, jakby ktoś zrzucił mi kowadło na głowę.

Marilyn wstała i podeszła do półki. Wzięła fotografię, na której widniała z Maksem. Zostawiła za sobą smugę zapachu, kwietnego i duszącego. Stłumił zapach wymiocin, ale spotęgował mój ból głowy.

- Nie mogę się doczekać, kiedy go zobaczę - powiedziała. - Mój synek. Tak bardzo za nim tęskniłam.

Zarejestrowałam brzeżkiem świadomości, że choć ma długie nogi, to jej tyłek jest wielki i obwisły. Usiłowałam sobie wyobrazić ją w łóżku z Adamem, ale - na szczęście - nie mogłam. Natomiast zobaczyłam ich podczas narodzin Maksa: ją, fioletową i dyszącą, jego przytrzymującego jej nogi i krzyczącego: widzę główkę! A potem z uśmiechem spoglądających na siebie, kiedy Max pojawił się na świecie z kończynami jak czerwone macki i buzią ułożoną w małe zaskoczone „o”. Oto jego rodzice.

- Mamusia? - Max pojawił się nagle u szczytu schodów, z takim samym wyrazem twarzy, jaki właśnie zobaczyłam w wyobraźni: oszołomienia, zdumienia i szczęścia. - Mamusia! Wróciłaś! Moja mamusia!

Marilyn rzuciła się ku schodom. Max zaczął chwiejnie schodzić, spotkali się w połowie schodów - wielka płatanina rąk i nóg. Marilyn głośno szlochała, Max śmiał się i płakał, głaszcząc i tuląc, tuląc i głaszcząc swoją matkę. Odwróciłam się do Adama. Po policzkach płynęły mu łzy.

- Adam - szepnęłam. Czułam, że nie mogę otrzeć mu tych łez, że to już nie wypada. - Chyba wrócę do domu.

Sam je otarł.

- Dobrze.

- Nie, naprawdę - dodałam, jakby chciał mnie zatrzymać. - Musicie poważnie porozmawiać. A ja też nie za dobrze się czuję. Mam straszną migrenę. Możesz wezwać taksówkę?

- Oczywiście. - Wstał, zbyt szybko, wziął telefon i wybrał przycisk, pod którym zakodowany był numer korporacji. Nie odrywał oczu od żony i dziecka, ściskających się na schodach.

- ...tak, do Wealton. Jak najszybciej - rzucił do słuchawki.

Poczułam się okropnie. Marilyn siedziała na schodach z Maksym na kolanach, głaskała go po włosach i trzymała w ramionach. On spojrzał na mnie przez balustradę, ale nie odwzajemnił mojego uśmiechu. Był oszołomiony szczęściem, jakby mój pocałunek sprawił, że obudził się w nowym dziwnym świecie, gdzie nagle spełniły się jego najgorętsze marzenia.

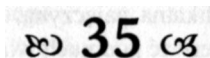
- Przyjedzie za parę minut - powiedział Adam.

- Dobrze - odparłam sztywno.

Tylko Adam mnie pożegnał, ale jego pocałunek w policzek był chłodny.

- Porozmawiamy o... o tym kiedy indziej - oznajmił zdecydowanie.

Drzwi zamknęły się za mną i zostałam sama.



Podróż do Wealton upłynęła mi we mglistym korowodzie ciemnych drzew i zbyt jasnych latarni, które raziły oczy. Słuchałam taksówkarza jednym uchem. Usiłował mnie bezskutecznie wciągnąć w rozmowę; miałam wrażenie, że kłuje mnie szpilką, żeby wywołać reakcję. Mówił chyba o tym, że stracił palec wskazujący, co zaprezentował mi z dziwną dumą.

- Pewnia się pani dziwi, co się stało - powiedział rozwlekłym akcentem z Wiltshire. - To było w łacie, na palu, jak z bratem zwoziłem zbażę. - Przez jedną ogłupiałą chwilę zastanawiałam

się, jak się zwozi zboże na palu, ale nie chciało mi się spytać. W końcu kierowca spojrział w lusterko, zobaczył lzy spływające bezgłośnie po mojej twarzy i dał mi spokój.

Zastanawiałam się, gdzie Marilyn będzie dziś spać. Adam nie miał gościnnego pokoju. Pewnie zaproponuje jej swoje - nasze - łóżko, a sam przenocuje na sofie. Albo ona położy się z Maksem, pomyślałam z zawiścią, która ukłuła mnie przez mgłę zmęczenia. Widok Maksa w niskim wąskim łóżeczku, wtulonego w nią jak znak zapytania, zarzucającego chude rączki i nóżki na jej obfite kształty był, o dziwo - boleśniejszy niż myśl o niej i Adamie w małżeńskim łożu - co stanowiło kolejną możliwość.

Potem zaczęłam się zastanawiać, czy Adam jej powiedział, kim jestem, a jeśli tak, to w jaki sposób: ze zdumieniem i wdzięcznością czy z niesmakiem, urażony moim podstępem. Na szczęście byłam zbyt chora, żeby się nad tym zastanawiać. Zwłaszcza że miałam mu jeszcze wiele do powiedzenia.

Otworzyłam drzwi mieszkania; poczułam zapach wynajętego lokum. Mieszkałam tu od pół roku, a nadal nie czułam się u siebie. Początkowo cieszyłam się swobodą; teraz miałam wrażenie, że jestem bezdomna. Zrzuciłam buty i runęłam na łóżko, nadal ubrana. Bolało mnie wszystko, od stóp do głów. Dygotałam, w głowie łomotała krew. Zamierzałam wstać i znaleźć środek przeciwbólowy, ale bolało mnie tak, że gdybym się poruszyła, zwymiotowałabym. Przez jakiś czas leżałam nieruchomo, myśląc o Marilyn i Adamie, o Vicky i Peterze, i o moim Kenie - czy jeszcze mogę go nazywać swoim? Związek to delikatna pajęczyna, misterna sieć zaufania, tak cienka, że może ją zerwać podmuch wiatru - a jednak rzucamy się w nią beztrąsko i dziwimy się, kiedy pęknie.

Ken mi ufał. To dlatego nie pytał o moje życie i pracę - bo nigdy nie przyszło mu do głowy, że mogłabym go okłamać. Wcześniejsza pogarda, z jaką myślałam o nim i Adamie, znikła, a na jej miejscu pojawił się głęboki, pulsujący wstyd. Gdybym tylko potrafiła się oprzeć Adamowi po tym pierwszym uścisku. Uścisk to takie nic - a do czego doprowadził? Właściwie mieszkamy ze sobą. Wtedy to mi się wydało takie łatwe, takie słuszne: pozwoliłam mu trzymać mnie w objęciach, czułam siłę jego ramion i jego obcy zapach, pożądany dotyk nieznanymi dłońmi, łagodnie sięgających pod mój kardigan i głaszczących skórę.

W jednej chwili poczułam się tak, jakbym nie miała żadnych zobowiązań. Cała pajęczyna mojego życia z Kenem znikła, przez jakiś czas w ogóle nie istniała. Szybka przyjemność. A może coś ważniejszego: pierwsza prawdziwa świadomość miłości? Skąd mam wiedzieć?

Leżałam w łóżku, dygocząc, przez parę godzin, a potem nagle gorączka zaczęła mnie zżerać. Ubranie przykleiło się do ciała. Nie mogłam się pozbyć myśli o Kenie. Czułam potrzebę, by go zobaczyć. Nie chciałam go krzywdzić. Nie pragnęłam jego, ale powrotu do starych kojących zwyczajów - żeby przyniósł mi miednicę, bym mogła zwymiotować (bo z pewnością mnie to nie ominie), by pogłaskał mnie po włosach i podał szklankę zimnej wody, tak jak to było po poronieniach. Ale nie było go. Zostałam zupełnie sama.

W końcu zasnęłam, ciągle w ubraniu, niemal wdzięczna, że za bardzo się rozchorowałam, by sobie uświadomić, jak bardzo jestem nieszczęśliwa.

Następnego dnia nie obudziły mnie jak zwykle szczekanie psów, kwakanie kaczek i ostre promienie słońca, lecz dzwonek telefonu. Sięgnęłam po komórkę, oszołomiona i nadal chora, i zdałam sobie sprawę, że nie wiem, czyj głos chciałabym usłyszeć - Kena czy Adama. Pewnie ten i ten. Gdyby któryś z nich poprosił o wydruk połączeń z mojego telefonu, wszystko by się wydało: w rubryce PRZYCHODZĄCE i WYCHODZĄCE widniałyby numery: KEN, ADAM, KEN, ADAM, ADAM, KEN, do wód na istnienie Drugiego.

Ale nie był to żaden z nich.

- Anno, kochanie, tu ciocia Lil.

Jej głos spłynął na mnie jak lawendowa woń jej wełnianego kostiumu i drożdżowy zapach ręczników.

- Dzwonię, żeby spytać, jak się czuje ten chłopczyk. Miałas mi powiedzieć...

Rozpłakałam się słabo, z wdzięczności, że jest ktoś, kto o mnie myśli, kto chce ze mną rozmawiać. Kto mi pomoże.

- Co się stało?

- Nic. Nic, Lil, wszystko dobrze, z Maksem wszystko dobrze. Przyszła lekarka i powiedziała, że to tylko paskudny wirus.

- Więc o co chodzi?

- Och, Lil - załkałam. - Zupełna katastrofa.
- Powiedz, kochanie. Opowiedz mi.
- Nie mogę rozmawiać. Zaraziłam się od Maksa. Leżę w łóżku i czuję się strasznie. Ale bardzo chcę się z tobą spotkać.
- Więc do mnie przyjedź. Jak tylko poczujesz się lepiej. Obiecuj.
- Obiecuję - powiedziałam, czując się minimalnie lepiej. - Przyjadę, jak tylko będę mogła usiąść za kierownicą.

Ale minęło parę dni, zanim poczułam się na tyle dobrze, żeby pojechać do Lil. A potem wszystko się zmieniło. Miałam jej do opowiedzenia już zupełnie inną historię.

Symptomy grypy ustąpiły, ale nie mogłam się do końca pozbyć dolegliwości - wymiotowałam tak często, że ze zdartego gardła wydobywało się tylko skrzeczenie. Nieustannie gnębiły mnie wymioty. Zaczęłam się zastanawiać, czy w ten sposób nie objawiają się opóźnione wyrzuty sumienia.

Ken właśnie wrócił z długiej podróży do Australii i na Daleki Wschód. Często dzwonił na moją komórkę, pełen troski, tymczasem z moich ust kłamstwa bluzgały tak często jak wymioty. Dwa dni zdjęć - dobra okazja, żeby nauczyć się tekstu - reżyser przysłał kwiaty. Pomyslałam, że na to zasłużyłam. Wyobraziłam sobie Kena w cieniu opery w Sydney, pod błękitnym niebem antypodów, jak toczy bulwersująco drogie rozmowy z komórki na komórkę (bo powiedziałam, że w mieszkaniu nie ma telefonu stacjonarnego) tylko po to, żeby usłyszeć kłamstwa... To było straszne. I czułam się strasznie.

Potem zadzwonił ten, na którego czekałam; ten, do którego nie odważyłam się zadzwonić - Adam. Chciał porozmawiać. To Adama pragnę, zdałam sobie sprawę, kiedy tylko wypowiedział moje imię. Więc jednak nie Kena. Moje uczucia do niego były skomplikowane, skażone poczuciem winy, obowiązku, nawyku. Adama kochałam.

- Wiem, że musimy porozmawiać - powiedziałam. Znowu było mi niedobrze. - Kiedy?

Umówiliśmy się na następny dzień, koło kanału.

- Tak - odezwał się grzecznie Adam, patrząc przed siebie. - Tak dla jasności: doprowadziłaś do spotkania ze mną, podałaś fałszywe nazwisko, bo czułaś się zbyt odpowiedzialna za Maksa, by wyjawić, że to ty dałaś mu szpik. Bo gdyby umarł, winiłabyś siebie.

Kiedy to ujął w ten sposób, moje zachowanie wyglądało na absolutny egoizm i zarozumiałstwo.

- Hm... tak. Mniej więcej. Choć to nie takie proste. A Valentine to moje nazwisko sceniczne - rzuciłam w rozpacz, myśląc o małej białej trumience Holly, a potem o kleistym vol-au-vent na stypie taty.

Szliśmy powoli wzdłuż kanału, ścieżką biegnącą pod zwisającymi gałęziami wierzb i wśród wielkich, krzaczastych pokrzyw. Wyobraziłam sobie, jak Max smaga je patykiem, jego chudziutkie gole łydki narażone są na parzący dotyk. Jeśli nasz związek ma mieć przyszłość - choć po powrocie Marilyn nie miałam wielkich nadziei - musiałam powiedzieć Adamowi także o Kenie. I o tym, że tak naprawdę nie gram w serialu. Koniec tajemnic.

- Możesz trochę zwolnić? Jeszcze nie wróciłam do siebie... - Staralam się nie mówić napastliwie, ale nie wiem, czy mi się udało. Czułam się ohydnie, jakby ktoś odciągnął krew z moich nóg i nasypał do żył trocin. Na tafli wody wylądowała kaczka; spod jej łapek bryznęły fontanny wody. Tęskniłam za kojącym dotykiem Adama, ale jego ręce były poza moim zasięgiem, wciśnięte głęboko w kieszenie dżinsów.

Zatrzymał się i spojrzał na mnie. Bardzo chciałam, żeby spytał: „Co jeszcze przede mną ukrywasz?”, żeby mogłam nabrać oddechu i wyrecytować całą listę kłamstw. W porządku alfabetycznym lub chronologicznym, jeszcze nie zdecydowałam. Było ich za wiele.

- Wiesz, że cię kocham - powiedział i przez chwilę zastanawiałam się, czy nie oceniłam sytuacji źle. Może on mi się oświadczy?

Skinęłam głową. Zawsze kiwałałam głową, kiedy wyznawał mi miłość. Choć ja też go kochałam, jakoś nigdy nie zdołałam się zmusić do wypowiedzenia tych dwóch słów - to by było zbyt wiele. Parę razy wymamrotałam: „Ja ciebie też”, ale pomimo bólu w jego błękitnych oczach, nigdy nie mówiłam tego pierwsza.

- Te pół roku było niesamowite - ciągnął, a ja znowu zaczęłam się wahać. - Jesteś piękna. Tak dobrze do siebie pasujemy - seksualnie, duchowo, na co dzień. Jesteśmy dopasowani, nie sądzisz? I spędziliśmy wspólnie chwile.

Weselne dzwony nad grobem naszego związku. Nie mogłam pozwolić mu mówić dalej. Musiałam mu powiedzieć.

- Stop - rzuciłam. - To nie wszystko. Jest coś więcej. Posłuchaj.

Usiedliśmy na ławce, nie dotykając się ani nie patrząc na siebie. W głowie mi się kręciło, ale zmusiłam się do spokoju.

- Zanim powiem ci resztę - dotknęłam jego kolana - chcę ci powiedzieć, że mówię to tylko po to, byśmy mogli być ze sobą dalej. Wiem, że masz zobowiązania wobec Marilyn, ale wam się nie ułożyło i jeśli nadal tak będzie, to...

Ale co mogłam powiedzieć? Że będę czekać? W domu, z Kenem? O cholera, Kenowi też będę musiała się przyznać. Skończę jako samotna staruszka i dobrze mi tak.

Adam lekko ścisnął moje palce i cofnął rękę.

- Pamiętasz, jak tędy szliśmy? - spytałam z uśmiechem, który przypominał trochę grymas. Usiłowałam odwlec tę brzydką chwilę i przywołać miłe wspomnienia. Było to krótko po epizodzie na plaży, kiedy odkryłam, że Adam ma zamiłowanie do improwizowanego seksu; pewnej pochmurnej nocy, niedaleko miejsca, w którym teraz siedzieliśmy, ruszył ścieżką pod wygodną wierzbę. Przyparł mnie do szorstkiej kory, podniósł spódnice, zsunął mi majtki i najpierw zaczął pieścić palcami, a potem językiem. Klęczał przede mną z rękami na moich pośladkach, wtulając we mnie twarz. Pamiętam dotyk jego języka, rozpalonego w chłodnym nocnym powietrzu, i dreszcz strachu na myśl, że padnie na nas światełko szybko zbliżającego się roweru albo zauważą nas kochankowie, zmierzający tu w tym samym celu.

- J a k mógłbym zapomnieć? - spytał, ale nadal się nie uśmiechał. - Powiedz mi tę resztę.

Jeszcze nigdy w całym moim życiu nie miałam tak trudnego zadania.

- No... - zamilkłam. - Nie mogę.

Spojrzałam na niego błagalnie.

- Tak źle?

Skinęłam głową. Westchnął, a ja poczułam w gardle gorzki smak żółci.

- Przepraszam - rzuciłam, popędziłam w parzące pokrzywy i zwymiotowałam.

Adam poszedł za mną. Poglaskał mnie po plecach. Jego dotyk przyjąłam z wdzięcznością. Wzięłam zmiętą chusteczkę, którą mi podał, wytarłam usta i wygrzebałam z kieszeni dzinsów powygnany listek gumy do żucia. Usunął odrobinę posmak z moich ust.

- Cholerny wirus - mruknęłam. - Teraz wiem, jak czuł się Max.
- Powiedz mi, proszę. Nie mogę tego znieść. Po prostu powiedz.
Zaczęłam od nowa.

- Hm. To, co mówiłam o twoim liście i mojej rozpaczliwej potrzebie, by poznać Maksa, było prawdą. I to, że za bardzo się bałam, by wam powiedzieć, kim jestem. - Chwyciłam go za ramię. - Nigdy nie zamierzałam cię wykorzystać ani skrzywdzić. I z całą pewnością nie chciałam cię uwieść... Po prostu się stało. I tak, przynajmniej, że Max był przyczyną, dla której nawiązałam tę znajomość, ale tylko dlatego, że tak bardzo go kocham. Widzisz... bardzo chciałam mieć rodzinę. I tak was polubiłam, że nie mogłam z was zrezygnować. Choć powinnam.

W końcu na mnie spojrzeli. Dwaj rowerzyści w obcisłych jak druga skóra kombinezonach przemknęli obok nas, zostawiając za sobą rozkołysane pokrzywy.

- Dlaczego powinnaś?

Zaczęłam się bawić obrączką. Obracałam ją, przyglądałam się jej niemal obojętnie, a moje łzy kapwały na nią powoli. Potem zauważyłam, że straszna prawda zaczyna docierać do Adama.

- Proszę... nie mów, że nadal jesteś mężatką.

- Przepraszam - szepnęłam przez zaciśnięte zęby.

Wyprostował się, oparł na ławce.

- Niech zgadnę. Kiedy myślałam, że pracujesz, byłaś z mężem.

Moje zawstydzone milczenie potwierdziło jego słowa.

Adam potarł brodę.

- To kiedy miałaś czas, żeby pracować, skoro dzieliłaś go między męża i kochanka?

- Nie pracowałam - przyznałam bardzo cicho. - Nie miałam tej roli.

Usta Adama zadrżały; wydawało mi się, że się rozpłaczę. To przeze mnie, pomyślałam. To ja sprawiłam mu tyle bólu - po tym, przez co przeszedł z Maksem i Marilyn. Na myśl o tym, że będę się musiała przyznać także Kenowi, zapragnęłam umrzeć. Musiałam się mocno trzymać ławki, żeby nie wstać i nie ruszyć prosto w ciemne leniwe wody kanału. Zostałabym w nich tak długo, aż byłoby za późno, i nie musiałabym się już tak czuć.

- Kocham cię - powiedziałam po raz pierwszy. - Naprawdę. Naprawdę cię kocham. Moje małżeństwo jest już skończone. Było

skończone od wielu miesięcy. Tylko nie miałam odwagi, żeby mu to powiedzieć. Tylko ciebie chcę. Proszę, uwierz mi. Nie mówiłabym ci tego, gdybym nie chciała być z tobą tak naprawdę. Dziś pojedę do domu i mu powiem. Daję ci słowo, jeśli tylko uznasz, że mamy szansę...

- Daruj sobie - rzucił twardym, obcym głosem. - Oszczędź sobie tłumaczeń, i temu biednemu facetowi też. Nie życzyłbym tego najgorszemu wrogowi. Twój mąż, kimkolwiek jest, na pewno na to nie zasługuje.

Zerwał się, chwycił za gałąź, usiłując ją złamać, ale gibka wierzba tylko się wygięła, więc tylko odarł ją z liści i rzucił je na ścieżkę. Wyglądałoby to komicznie, gdyby nie wyraz jego twarzy.

- Nie mogę uwierzyć, jak efektownie to rozwaliłaś - odezwał się wreszcie, niemal konwersacyjnym tonem.

- Ani ja. - Rozpłakałam się. - Dałabym wszystko, żeby to odwrócić.

Po ścieżce przebiegł duży pies w brązowo-białe łaty. Za nim pędził zasapany starszy pan. Zwolnił, jakby po to, by zamienić z nami parę uprzejmych słów, ale pospiesznie zmienił zdanie.

- Proszę cię... - szepnęłam.

- Marilyn chce, żebyśmy spróbowali jeszcze raz. Więc może dobrze się składa. Nie chciałem z tobą zrywać, ale skoro widzę, że w ogóle nie jesteś moja, nie ma powodu tego robić.

- Nie będziesz z nią szczęśliwy - zaryzykowałam, wciąż płacząc.

Odwrócił się gwałtownie. Po raz pierwszy podniósł na mnie głos.

- J a k śmiesz! Po tym, co mi powiedziałaś? Kim jesteś, żeby mi mówić, co mi da szczęście? - Twarz mu się ściągnęła. - Myślałem, że znalazłem kobietę, z którą będę szczęśliwy. Ależ ze mnie piramidalny, łatwowierny idiota. A ty potrafisz tylko kłamać i zdradzać. Chciałbym, żebyś nie istniała. Nie, nie chciałbym, ze względu na Maksa. Ale żałuję, że cię poznałem.

Miał rację, nie powinnam tego mówić. Ale zabolalo mnie, bardzo zabolalo, kiedy usłyszałam, że wołałby mnie nie znać.

- Teraz wszystko się zgadza - powiedział cicho, rwąc na kawałki liść wierzby. - Byłaś taka cudowna, tak fantastycznie zajmowałaś się Maksem i chyba naprawdę była między nami prawdziwa

namiętność. Ale kiedy usiłowałem rozmawiać o przyszłości, wykręcałaś się i zmieniałaś temat... początkowo myślałem, że jesteś tylko ostrożna, że boisz się zranienia, ale potem nabrałem przekonania, że ten związek jest bardziej jednostronny, niż mi się zdawało. Zacząłem myśleć, że mnie nie kochasz.

Ależ Kocham!, chciałam powiedzieć. Wykrzyknąć to tak głośno, żeby wystraszyć kaczki, zatrząść szybami w klasie Maksa. Chciałam, żeby Max wiedział, że jego ojciec zmienił moje życie, uszczęśliwił mnie, sprawił, że znów się polubiłam, zaczęłam patrzeć w przyszłość. Ale było za późno i Adam już mi nie wierzył. Nic dziwnego.

Odwróciłam wzrok, spojrzałam na rząd wysokich, niezidentyfikowanych drzew kołyszących się na horyzoncie. Przykre, ale nikt oprócz ludzi ze starszego pokolenia nie umie już chyba rozróżniać drzew i ptaków, może jedynie te najbardziej popularne. Max i Crystal wiedzą, kim są Kylie Minogue i Britney Spears, ale nie potrafiliby rozróżnić dębu od sykomory albo strzyżyka od wróbla... Lil na pewno rozpoznałaby drozda na wiazie z odległości stu kroków.

Łatwiej było myśleć o Lil i drzewach, niż o Adamie, obejmującym Marilyn zamiast mnie.

- Przepraszam - powiedziałam, wycierając łzy obiema rękami.
- Ja naprawdę nie chciałam. Życzę ci szczęścia z Marilyn...

- Dziękuję. Chyba będziemy szczęśliwi. Zmieniła się. Przystała pić, studiuje. Powiedziała, że chciała wrócić, jeszcze zanim zadzwoniłem do jej mamy. Naprawdę chce spróbować. Dla Maksa. Nie może się nim nacieszyć. A on jest taki szczęśliwy, że znowu ją ma...

- Oczywiście - odparłam równie uprzejmie. Czuję, że zatraszkują się za mną żelazne drzwi, zamykając mnie w moim prywatnym więzieniu. - Ale nadal będę mogła się spotykać z Maksem?

Gardło ścisnęło mi się ze strachu, że się nie zgodzi.

- Nie wiem.

- Proszę.

Zawahał się.

- No... dobrze. Ze względu na niego. Po tym, co mu zrobiła Marilyn, ciężko by przeżył twoje zniknięcie. Ale niech to będzie pod moją nieobecność.

Nagle naszła mnie gwałtowne pragnienie, by go uścisnąć, chwycić w objęcia. Już teraz tęskniłam za kształtem jego solidnego, godnego zaufania ciała. Tak bardzo kochałam to ciało - miał rację, że jesteśmy do siebie dopasowani.

- Chciałabym się z nim pożegnać przed odjazdem, jeśli pozwolisz.
- Chcesz powiedzieć: przed odejściem do męża?

Zagryzłam wargę.

- Wracam, żebym mu powiedzieć, że to koniec.

I mówiłam to szczerze. Nie mogłam dalej żyć z Kenem ze świadomością, że tak kocham innego.

- Możesz dziś odebrać Maksa ze szkoły, jeśli chcesz.

Wyciągnął z kieszeni dzinsów zbitą w kłęb chusteczkę i zdołał ją rozprostować na tyle, żeby wytrzeć nią nos. Wyglądał staro i żałośnie; czerwone obwódki wokół oczu sprawiały, że był jeszcze smutniejszy. Potem mnie objął, oficjalnie, jakby to była konieczna formalność.

Oparłam głowę na jego ramieniu.

- Dziękuję - powiedziałam, zastanawiając się, jak zniosę świadomość, że po raz ostatni zobaczę, jak Max wypada z klasy z naręczem prac, książek, strojów do pływania, a mimo to tańczy na wielkim żółtym wężu namalowanym na asfalcie boiska, skacze po jego numerowanych segmentach, i samo jego istnienie jest cudem.

Zawsze wyobrażałam sobie, że odbieram Holly ze szkoły, czekam na nią z grupką innych rodziców na boisku. Czułam taką wielką radość, gdy Max rzucił się pędem w moje objęcia, kiedy odprowadzałam go do domu, czasami z kolegą, a potem dawałam mu sok i biszkopty, przygotowywałam kolację i namawiałam, żeby zrezygnował z wafli i skusił się na brokuły. Mały rytuał robienia siusiu i mycia rąk przed posiłkiem, wydzielania godzin przed telewizorem i kleju z brokatem. Czułam się jak prawdziwa matka.

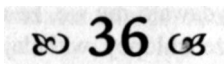
Będzie mi tego brakować. I będzie mi brakować tego człowieka, który nadal trzymał mnie w ramionach, a jego broda drapała mnie w czubek głowy. Zamknęłam oczy i pomyślałam o Kenie. Może powinnam przynajmniej spróbować naprawić nasze małżeństwo; przyzwyczać się znowu do brązowych, nie niebieskich oczu, do tenisa zamiast kreskówek, do samotnych nocy zamiast radosnego chaosu obrządku kolacja - kąpiel - łóżko. Tak strasznie się bałam życia na własny rachunek. Może, pomyślałam, mog-

łabym trochę nagiąć prawdę, żeby oszczędzić jego uczucia? Może powinnam mu powiedzieć, że Adam był jedynie moim przyjacielem, a mieszkanie wynajęłam, żeby być blisko Maksa? Ale na samą myśl o dalszych kłamstwach poczułam szorstki dotyk pętli na szyi. Musiałam zacząć mówić prawdę, choćby nie wiem ile mnie to kosztowało.

Adam opuścił ręce i odsunął się ode mnie. Spojrzał na zegarek.

- Lepiej chodźmy. Zadzwońię do Marilyn i powiem, żeby dziś nie szła po Maksa, bo ty go przyprowadzisz. A potem wyjedziesz, tak?

Zabrzmiało to jak rozkaz. Straciłam jego i Maksa.



Zwykle, czekając na Maksa po szkole, stałam w grupce z innymi mamusiami; wiele z nich przyprowadzało mniejsze dzieci, usiłujące prysnąć z wózeczków albo śpiące w nosidelkach, przytulone do nadal rozciągniętych brzuchów. Po raz pierwszy od śmierci Holly nie czułam nienawiści do matek; ponieważ stałam się niemal jedną z nich, nauczyłam się nad nimi litować. Nie dlatego, że narzekały na nieprzespane noce i nieistniejące życie seksualne, ale ze względu na widoczne ślady ich cierpienia - fioletowe cienie pod oczami, których nie miały czasu zamaskować, rozciągnięte, lecz wygodne ubrania, rozczochrane włosy, nieszczęśliwe miny, kiedy raczkujące dzieci nie zwracały uwagi na ich słowa. Rozmawiałyśmy od niechcienia o pogodzie, owsikach, przeziębieniach, ciastach. Uwielbiałam to do szaleństwa.

Ale tego ostatniego dnia stanęłam z dala od nich. Miło byłoby kontynuować tę grę, jednak za bardzo się bałam, że nie zapanuję nad sobą. Niesprawiedliwie wyobraziłam sobie ich karcące słowa: „Patrzcie na dziewczynę taty Maksa - Max nawet nie jest jej, a ona nie może sobie poradzić... powinna spróbować wytrzymać z trojgiem!”. Choć mogłyby się zorientować, że Marilyn wróciła i może by się nade mną użalały. Pewnie by pomyślały: no cóż, tyłek mi obwisł aż po kolana, ale przynajmniej mam własnego męża i dziecko.

Włożyłam ciemne okulary, choć słońce ukryło się za grubą warstwą szarosinych chmur, i wbiłam spojrzenie w salę, z której Max powinien wyjść o trzeciej. Nad drzwiami widniała wielka litera D, co oznaczało, że literą tygodnia jest D i klasa będzie rozmawiać o Dywanach, Drzwiach i Dyniach. Ze względu na Maksa miałam nadzieję, że nie w tym samym zdaniu.

Wyszedł jako szósty. W myślach wypowiadałam imiona jego kolegów, którzy wyłonili się pierwsi. Zastanawiałam się, jak się im będzie wiodło i było mi smutno, że może nigdy ich nie zobaczę. Pierwszy był Dominik - anielska buzia, jasne włosy cherubinka, usta jak łuk Kupidyna, ale za długi jęzor i ręce. Potem Natalie, kochana dziewczynka. Parę razy odwiedziła Maksa, który uznał ją za swoją przyjaciółkę i potajemnie zerkał na jej brązowe mysisie ogonki, kiedy wydawało mu się, że nikt nie widzi. Choć to ona powiedziała mu, że chłopcy wkładają ptaszki w gniazda dziewczynek, żeby zrobić dzieci, więc może nie jest z niej takie niewiniątko. Po niej wyszły razem Katy, Gracie i Amy, zbyt zarozumiałe, żeby zadawać się z kimś takim jak Max.

Potem pojawił się Max, obładowany niczym koń pociągowy, podobnie jak inne dzieci, ale zbyt roztargniony i zdenerwowany, żeby skakać po namalowanym wężu.

- Anna! - krzyknął, rzucił się na mnie i zaczął płakać. - Patrz.

Odciągnął dolną wargę i pokazał mi ząb w dolnej szczęce, który tego ranka zaczął się ruszać, a teraz trzymał się na cienkiej skórce.

- Panna Taylor chciała mi go wyjąć, ale ja nie chciałem - załkał. Objęłam ramionami jego chude ciało, niemal zadowolona, że płacze, bo to dawało mi pretekst, żeby go przytulić. We włosach miał bryzgi niebieskiej farby, na krawacie jogurt, a za paznokciami coś czarnego. Przemknęło mi przez myśl, czy go nie porwać; uciekłabym z nim i zaczęła nowe życie. Tylko ja i on.

- Trzeba tylko troszenieńkę pociągnąć i wyjdzie - szepnęłam. - Mam to zrobić?

- Nie - rzucił, wrywając mi się. - Mamusia to zrobi w domu.

Puściłam go. Wiedziałam, że trzeba mu dać trochę czasu. Modliłam się, żeby nikt nie zaczepił nas w drodze do bocznego wyjścia. Wlokłam się w ślimaczym tempie za kobietą trzymającą za rączkę malucha o płaczących się nogach. Nie mogłam nawet rozmawiać z Maksem, żeby spytać, jak mu minął dzień, co zwykle robiłam.

- Czy to piątek?
 - Nie, kochanie - zdołałam wyrzucić. - Środa.
 - A moglibyśmy mieć Ciasteczkowy Dzień w środę, tylko raz?
- spytał z nadzieją, choć bez przekonania.

Wyszliśmy na ulicę; Max wskoczył na niski murek wzdłuż domu starców i zaczął po nim iść z rozłożonymi rękami jak po linie. Znowu zapomniał o zębem.

- Dobrze. Tylko raz - zgodziłam się.
- Chcę piernik! - krzyknął z radości.
- A co z zębem? Nie będziesz mógł gryźć.

Staął, zdruzgotany. Potem odwrócił się ku mnie. Stojąc na murku, mógł mi niemal spojrzeć prosto w oczy, a kiedy spoważniał, był tak podobny do Adama, który zaledwie godzinę temu tak samo odwrócił się do mnie na ścieżce, że aż zabrakło mi tchu.

- Więc możesz.
- Co mogę?
- Wyrwać mi ząb. Proszę. Nie będę płakać, jeśli dostanę piernik i przyjdzie do mnie zębowa wróżka. - Podsunął mi otwartą buzię i wypchnął ząb językiem.

Pomyślałam o rozmowie, jaką parę miesięcy temu podsłuchałam na jednym z przyjęć Kena. Siedziałam na końcu stołu, uwięziona pomiędzy inną żoną dyrektora i jakimś radiowcem, nie słuchając ich rozmowy, lecz usiłując się włączyć w dyskusję, którą Ken prowadził z atrakcyjną rudą.

- Trzeba chwycić kciukiem i palcem wskazującym, przez chusteczkę, i wykręcić - wyjaśniała poważnie kobieta, a ja strasznie chciałam się dowiedzieć, o czym mówi. W końcu uznałam, że z jakiegoś powodu wyjaśniała, w jaki sposób wyrывa się mleczne zęby i zrozumiałam, że to będzie jeden z tych strzępków informacji, jakie gromadziłam w nadziei, że kiedyś mi się przydadzą. I choć potem Ken wyjaśnił, że rozmawiali, jak się pozbyć brudzącego pyłku z lilii - trzeba usunąć pręciki - uznałam, że to doskonała metoda usunięcia ruszającego się zęba.

Ząb Maksa kołysał się tuż przed moim nosem. Wzięłam głęboki oddech, żeby pozbyć się mdłości, chwyciłam mały biały prostokąt i szarpnęłam. Jeszcze nigdy w życiu nie zostałam dopuszczona do takiej intymności. Przez ułamek chwili czułam opór; Max pobladł. Po chwili wyjęłam ząb, a w dziurze zaczęła się zbierać krew.

- Proszę! Twój pierwszy mleczny ząb. Ależ jesteś dzielny i dorosły!

- Krew! KREW MI LECI! - jęknął, łapiąc się za usta.

- Wypluj, kochanie. Wyplucz usta wodą i też wypluj. - Pomogłam mu zejść z murka i podałam butelkę z wodą. Teraz zaczęłam żałować tej zaimprovizowanej ekstrakcji. Nie miałam nawet chusteczki, rany boskie. Powinnam poczekać do powrotu do domu - ale wtedy Marilyn by mi go odbiła. A tak przynajmniej ta chwila będzie już zawsze moja. To ja jestem osobą, która wyrwała Maksowi pierwszy mleczny ząb.

Jedna z przechodzących matek - mama Natalie - zatrzymała się przy nas.

- Wszystko w porządku? - spytała, bardziej mnie niż Maksa.

- Nie ma pani chusteczek? Właśnie wyrwałam mu ząb i krwawi bardziej, niż powinien - powiedziałam. Max odebrał mi ząb i pokazał go Natalie, która okazała odpowiedni zachwyt.

- To pierwszy? - spytała mama Natalie, podając małą paczkę chusteczek. Nie pamiętałam jej imienia, ale też nie bardzo mnie to interesowało.

- Aha - oznajmiłam i rozpromieniłam się z taką dumą, jakby zębowa wróżka zostawiła funta pod moją poduszką.

- Ooo. Wspaniale, co? Natalie nie może się doczekać, kiedy zaczną jej wypadać!

Podałam Maksowi chusteczkę; przyłożył ją do dziąsła, choć już przestało krwawić.

- No, to chodź, kupimy ciasteczko - powiedziałam. - Mam przechować twój ząb?

Podał mi go jak jubiler przekazujący wyjątkowo cenny brylant. Owinęłam zakrwawioną okruszynę w chusteczkę.

- Dziękuję - powiedziałam do mamy Natalie, a ona uśmiechnęła się wesoło.

- Nie ma za co. Dobra robota, Max. Do zobaczenia jutro.

No, mnie na pewno nie zobaczysz, pomyślałam, przybita, gdy odchodziła z mojego życia, z Natalie pchającą wózek z małym braciszkiem.

Max załomotał pięściami do drzwi. Zawołał do nisko położonego otworu na listy:

- Mamo! Maaaa - mooo! Wiesz co?

Głos miał stłumiony, bo wsadził piernik do buzi, żeby uwolnić rękę.

Ale to Adam otworzył nam drzwi, a mnie serce zabiło mocniej; był taki swojski w koszuli w kratę i dżinsach, ze zmarszczkami wokół oczu i z szerokim uśmiechem, który był przeznaczony już tylko dla Maksa - bo zniknął, kiedy Adam spojrział na mnie.

- Gdzie mamusia? - Max przebiegł obok niego. - Muszę pokazać mamusi A n n a - W i e - C o .

- Mamusi nie ma, kochanie, poszła do Tesco - powiedział Adam.

Max posmutniał i odłożył na stół piernik, tracąc zainteresowanie nim.

- Pokaż tatusiowi - podsunęłam, podając mu cenną chusteczkę.

Rozwinął ją powoli, niespokojnie śledząc twarz ojca spojrzeniem wielkich błękitnych oczu i czekając na stosowną reakcję w miarę, jak coraz bardziej rozwijał bibułę.

- M a x ! To chyba nie jest twój... - zaczął Adam, przenosząc spojrzenie z okrwawionego zęba na szczerbę w uśmiechu syna.

- Anna mi go wyjęła, żebyś mógł zjeść piernik! - oznajmił rozpromieniony chłopiec.

Adam chwycił go w objęcia.

- Ależ fantastycznie! Trzeba będzie go włożyć pod poduszkę dla zębowej wróżki, prawda?

- Wisiał na jednej nitce, a on mnie o to prosił - odezwałam się. Nie chciałam, by pomyślał, że przydybałam Maksa wbrew jego woli, jak w scenie z dentystą w *Maratończyku*. - Jeśli pozwolisz, skocz na górę. Muszę zabrać parę drobiazgów, zanim sobie pójde.

- Dlaczego? Dokąd idziesz?

Max chwycił mnie za ramię. W jego głosie zabrzmiała panika. On wie, pomyślałam.

Kucnęłam przy nim.

- Max. Teraz, kiedy twoja mamusia wróciła... no, nie pomieścilibyśmy się wszyscy.

- Mogłabyś zamieszkać u mnie - powiedział, tuląc się do mnie. Oddałam mu uścisk.

- Dziękuję, kochanie, ale to by się nie udało. Widzisz, wyprowadzam się z mojego mieszkanka i wracam do... - omal nie powie-

działam „mojego dawnego domu” - ...tam, gdzie kiedyś mieszkałam. Ale obiecuję, że będę pisać, przysyłać e-maile i rozmawiać z tobą przez telefon, a jeśli mamusia i tatuś pozwolą, może czasami będziemy gdzieś wyjeżdżać na jeden dzień? Na przykład do zoo albo do parku. A w wakacje mógłbyś mnie nawet odwiedzać i zostać na noc.

Nie martwiłam się o to, co powie Ken. Do tego czasu pewnie już od dawna nie będziemy razem.

- Wyjeżdżasz? - Max był przerażony. - Nie, proszę, nie!

Adam się odwrócił. Przytuliłam Maksa, zapamiętując dotyk tego chudego ciała. Nic mi nie przychodziło do głowy. Po paru chwilach delikatnie oderwałam go od siebie.

- Chcesz pomóc mi się spakować?

- Nie - burknął i uciekł do swojego pokoju.

- To było okropne - mruknęłam do Adama, ale on także uciekł, do kuchni.

Max trzasnął drzwiami. Poczułam się kompletnie samotna.

Powrót do sypialni Adama także był straszny. Spędziłam tam tyle nocy, tak dobrze znałam wszystko: przekrzywioną japońską grafikę na ścianie, której nikt nie wyprostował, starą sosnową komodę ze śladami po kornikach, ściany w kolorze pudrowego błękitu - sami je pomalowaliśmy. A teraz na mojej poduszce leżała niedbale rzucona koszula nocna Marilyn, a z jej otwartej walizki sypały się na podłogę rajstopy i podkoszulki. Rozzłościło mnie, że Adam nie oszczędził mi tego widoku. Usłyszeć, że wraca do Marilyn to jedno, a zobaczyć tego dowody - całkiem co innego. Adam pojawił się w progu, jakby słyszał moje myśli.

- Przepraszam - powiedział. - Nie jest tak, jak wygląda - spałem na sofie na dole. Powiedziałem jej, że nie będziemy razem sypiać, dopóki jestem z tobą. To by nie było fair wobec was obu.

- Mam nadzieję, że będzie wam razem dobrze - mruknęłam, wygrzebując moje traktory z jego szafy. Na podszewkach nadal miały zaschnięte błoto po wycieczce, jaką wspólnie odbyliśmy na wieś. Nawet zagłądanie do szafy wydawało mi się teraz wścibstwem. - Zastługujesz na szczęście.

Mówiłam to szczerze, ale zabrzmiało fałszywie. Jakbym usiłowała mu wynagrodzić to, co powiedziałam na ścieżce przy kanale.

Adam usiadł na łóżku.

- Szczęście - powiedział. - Nie wiem. Hm. Może mógłbym być szczęśliwy, choć moje serce należy do kogoś innego. - Chwycił mnie za rękę i pociągnął na łóżko obok siebie. - Boże, dlaczego...?

Wybuchłam płaczem, przyciskając do piersi buty. Kołysałam się przepelniona bólem.

- Przepraszam, bardzo cię przepraszam.

Pogłaskał mnie po włosach.

- Nie płacz. - Delikatnie przewrócił mnie na plecy; materac ugiął się pod nami. - Ostatni pocałunek - powiedział, scałowując lzy, spadające krętymi ścieżkami za uszy.

Nasze języki się spotkały, słone i namiętne; ogarnęło mnie niezdecydowanie. Może gdybym bardziej o niego walczyła, błagała, żeby dał mi drugą szansę... ale nie, on już nie był mój. A raczej nigdy nie był.

Z pokoju Maksa rozległ się dźwięk małego zaprogramowanego keyboardu, grającego bardzo szybką melodię. Usiadłam i odsunęłam Adama. Musiałam natychmiast wydmuchać nos, poza tym, gdybym dalej go całowała, po prostu musiałabym się rozebrać i pójść z nim do łóżka. A wtedy nigdy bym nie odeszła.

- To chyba wszystko - powiedziałam, biorąc buty, stanik do joggingu i kosmetyczkę z British Airways, którą trzymałam w łazience. Zauważyłam, że po butach na dywanie zostały ślady błota i pomyślałam z nadzieją, że Marilyn się wścieknie. - Zostawię ci adres Lil, więc jeśli coś znajdziesz, odeślesz, dobrze?

- Jasne - powiedział żałośnie, siadając i przesuwając dłonią po włosach.

Wzięłam rzeczy pod pachę i wyjęłam chusteczkę z pudełka na kominku. Czułam się niezręcznie, jakbym brała coś z cudzego domu. Wydmuchałam nos i rzuciłam chusteczkę do kosza. Leżał w nim zgnieciony rysunek Maksa. Pomyślałam nieźyczliwie o Marilyn. Ja nigdy nie wyrzucałam żadnego jego dzieła, choćby najmniej udanego - miałam ich całą grubą teczkę. Najbardziej lubiłam mapy, które rysował, kiedy był chory. „Kapy”.

- Max - zawołałam, stając pod jego drzwiami. - Już wychodzę, kochanie. Wyjdiesz i pocałujesz mnie na do widzenia?

Trzymaj się, pomyślałam, jeszcze tylko chwilę. Miałam nadzieję, że nie mam czerwonych oczu. W pokoju Maksa zrobiło się cicho.

- Max... proszę...

Wiedziałam, że nie powinnam wchodzić. Znowu byłam obca.

Usłyszałam szelest, potem szmer drzwi przesuwanych po dywanie. Max wyszedł ze Speshem pod jedną pachą i piłką futbolową pod drugą. Nie wyłączył keyboardu, który emitował bardzo szybką wersję kolędy.

Podsunał mi Spesha pod nos. Miał buzię wygiętą w podkówkę. Pocałowałam matowe futerko na tygrysim nosie.

- No to cześć, Spesh - odezwałam się, udając wesołość. - Opiekuj się Maksem, dobrze?

- Nie. Możesz go wziąć.

Usta same mi się otworzyły, a z pokoju dobiegł okrzyk zaskoczenia. Adam pojawił się obok mnie.

- Oddajesz Annie Spesha?

- Chcę, żeby go miała. To moja najukochańsza rzecz. Dlatego - oznajmił rzeczowo Max. W oczach lśniły mu łzy.

- Nie mogę - powiedziałam, usiłując oddać tygryśka. - Max, tylko nie Spesh.

- Nie lubisz go?

- Kocham go. Kocham ciebie. Wiem... wiem, jak ty go kochasz. Będziesz za nim bardzo tęsknić!

- Za tobą będę tęsknić bardziej - odparł Max tak dorośle, że nagle zobaczyłam go jako mężczyznę - te same oczy, głęboki głos, zarost, wielkie stopy... będzie łamać serca dziewczyn na prawo, lewo i centralnie, tak jak w tej chwili złamał moje.

- Na pewno?

- Tak. Ale mogę go odwiedzać, jak będę do ciebie przyjeżdżać, prawda?

- Naturalnie. - Spojrzałam pytająco na Adama. Skinął głową i zmierzwił włosy syna.

- Kochanie, jesteś bardzo miły. Anna na pewno chętnie się zaopiekuje Speshem.

- Będę o tobie myśleć za każdym razem, kiedy na niego spojrzę - zdołałam wykrztusić przez zaciśnięte gardło. - Bardzo dziękuję.

Upuściłam mój skromny dobytek na podłogę - włącznie z ukochaną zabawką Maksa - uklękłam, a Max rzucił mi się w ramiona. Adam znowu odszedł, a ja pomyślałam: jasne, teraz naprawdę muszę odejść. Przeciąganie tej chwili będzie jeszcze bardziej bolesne.

W tej samej chwili w drzwiach wejściowych zgrzytnął klucz i zaszeleściły reklamówki. Max wyrwał się z moich objęć i zbiegł po schodach, nadal trzymając piłkę.

- Mamusiu, mamusiu, wiesz co? Ząb mi wypadł! - krzyknął, a ja zostałam sama, z pustymi ramionami i bólem w łonie.

Już go nie zobaczyłam. Kiedy wkrótce potem opuszczałam dom, grał na dworze w piłkę z Marilyn. Przez otwarte tylne drzwi słyszałam ich radosne domysły, czy zębowa wróżka przyfrunie, czy wejdzie do jego pokoju i ile da mu za ząb. Max jakby zapomniał, że odchodzę.

37

Tego samego popołudnia pojechałam do domu - bardzo powoli, otepiała od smutku i koktajlu ze strepsilsów i witaminy C. Wszystkie te pożegnania drogo mnie kosztowały i byłam słaba jak nowo narodzone kocię. Oddalając się od Wealton ze Speshem na fotelu pasażera, miałam dziwne, jakby puste uczucie straty i żalu. Coś jak skrzyżowanie żałoby z wrazeniem, jakiego się doznaje, gdy po wspaniałych wakacjach opuszcza się to miejsce, wiedząc, że zapewne nigdy już się tu nie wróci. I choć Adam powiedział, że mogę się spotykać z Maksem, wyczułam, że nie będzie to łatwe - a na dłuższą metę dla wszystkich zainteresowanych będzie lepiej, jeśli do tego nie dojdzie.

Zostawiłam Dorze wiadomość, że rezygnuję z mieszkania. Będę tam musiała wrócić z furgonetką, by przewieźć moje rzeczy. Bałam się, że nie dam rady tak szybko spotkać się z Adamem i Maksem. A raczej ujrzeć Marilyn w pełnych prawach Matki i Żony.

Nie mogłam od razu spojrzeć Lil w oczy, więc najpierw poszłam do domu. Chciałam się rozpakować, ale energii starczyło mi tylko na to, by wczłgać się do kolejnego pustego zimnego łóżka. Czułam się jak nomada. Rzygający nomada, dodałam w myślach dziesięć minut później, kiedy gnałam pędem do łazienki. Może

mdliło mnie na myśl o tym życiu: zdrada, niestabilność, dom zbudowany na lodzie. Tak jakby nagle runęła na mnie fala. No, już się stało. Nie będzie Maksa i Adama, koniec z oszukiwaniem. Reszta mojego życia wypełni się tutaj. Straszne.

Włożyłam koszulę nocną i właśnie miałam się położyć, udręczona i pragnąca tylko snu, kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi. Zignorowałam go. Zadzwonił znowu. Wyglądało na to, że prześladowają mnie ludzie obsesyjnie dzwoniący do drzwi. Westchnęłam ciężko i zesłam na dół.

Otworzyłam drzwi, przytrzymując się ich, żeby nie upaść. Spodziewałam się, że to listonosz albo może Vicky lub Lil, ale na progu stał obcy mężczyzna i patrzył niepewnie na moją tandetną nylonową koszulę. Ken nienawidził jej z całego serca. Kupiłam ją na targu za 5,99, żeby nosić po urodzeniu Holly; doszłam do wniosku, że nie będzie mi żal, jeśli ją zachłapię mlekiem, krwią czy czymś innym. Okazało się, że nie mogę się z nią rozstać. Tak się elektryzowała, że ilekroć ją włożyłam, razłam Kena prądem. Ken mówił, że jest uszyta z jakiegoś specjalnego materiału, odstraszaającego seks, co kwitowałam śmiechem, choć w duchu uważałam, że Ken nie potrzebuje jakoś specjalnie odstraszać seksu, wystarczy, by spojrział na mnie.

- Anna?

Mężczyzna miał jakieś sześćdziesiąt lat, wielkie brzuszysko i siwe włosy, zaczesane do tyłu w sposób, który coś mi przypominał. Wyglądało na to, że mnie zna. Spojrzałam na niego z namysłem.

- Przepraszam, że cię zaskakuję. Minęło prawie dwadzieścia lat. - Nagle wyszczerzył zęby, niemal drapieżnie. W mojej głowie zapaliła się żaróweczka.

- Greg? Dobry Boże, to naprawdę ty? Nie poznałam. - Byłam tak zmęczona, że nie zdołałam z siebie wydusić nic poza zdumieniem, ale jemu mój brak entuzjazmu jakoś nie zrobił różnicy. Rozłożył szeroko ramiona, ale ja nie drgnęłam.

Greg. Człowiek, który miał mi odebrać dziewictwo. Przyjacieli taty, przez niego doprowadziłam ojca do zawału serca. Greg, którego po pogrzebie szczerze nie chciałam więcej widzieć. Moje życie stało się żalonym mętlikiem, ale przynajmniej nie było w nim nieudanego małżeństwa z Gregiem.

- Tak, to naprawdę ja! Wpadłem na twojego brata za ladą z artykułami skórzanymi na Oxford Street. Dał mi twój adres. Nic ci nie mówił? Ładna koszulka, nawiasem mówiąc.

Skinął głową w stronę mojego wielkiego dekoltu. Zastłoniłam go, przeklinając brata w duchu.

- Długo tam pracował?

- Hm. Trochę - odrzekłam. - Teraz wyjechał na rok do Europy.

- Więc się nie ożenił? Spytałem, ale zareagował tak, jakbym powiedział coś śmiesznego. Nieprzyjemny rozwód? Chciał trochę odetchnąć?

- Nie. Jest gejem.

Greg otworzył usta, tak szeroko, że zobaczyłam wszystkie jego liczne plomby, błyszczące jarmarcznie pomiędzy szarymi zębami.

- Gejem? Znaczy, homo? Niemożliwe! Przecież jak był mały, miał tę śliczną dziewczynę?

Westchnęłam. Tego, pomyślałam, naprawdę można mi było oszczędzić.

- Tak, miał różne dziewczyny. Ujawnił się dopiero po dwudziestce. Teraz ma miłego chłopaka.

Greg wyglądał, jakby niebo spadło mu na głowę.

- Homo - niewiadomo! Mały Oliver... kto by pomyślał... No, teraz to ma jakiś sens... Ale co by powiedział jego ojciec?

- Jestem pewna, że tata chciałby jego szczęścia, tak jak mama i ja - wycodziłam. Było mi trochę dziwnie stać na progu domu w nylonowej koszulce i omawiać życie seksualne mojego brata, podczas gdy całe moje życie legło w gruzach.

- Aha. No. Co tam. Nie przyszedłem cię wypytywać o brata. Muszę z tobą porozmawiać - oznajmił. Jego twarz pokryły zmarszczki powagi.

Rany boskie, pomyślałam, co znowu?

- Tak? - spytałam zduszonym głosem. - O co chodzi?

- Mogę wejść?

Zawahałam się.

- To nie najlepszy moment. Mam grypę i strasznie się czuję.

Znowu zmierzył mnie spojrzeniem od stóp do głów.

- Tak, wyglądasz paskudnie - rzucił radośnie.

Obraziłam się. I kto to mówi? On, z tym piwnym brzuszyskiem i siwymi włosami? Miał uszy starca, z wyrastającymi z nich wło-

sami i tak dalej; i dołek w brodzie, który dawniej wyglądał słodko, a teraz przypominał ranę, jakby ktoś regularnie dłubał w nim śrubokrętem. Wzdrygnęłam się na myśl o tym, co robiliśmy na kuchennej podłodze moich rodziców. Niedobrze mi się robiło na myśl, że tak mi zawróciły w głowie dzinsy i trampki.

Odsunęłam się i niechętnie zaprowadziłam go do kuchni. Włączyłam czajnik i wskazałam wysoki stółek przy blacie. Usiadł na nim; jego wielki zad przykrył całe siedzenie stołka; przypominał mi o Peterze, który przyszedł porozmawiać ze mną o mojej kłótni z Vicky. Powinnam do niej zadzwonić i wkrótce spotkać się z Crystal, pomyślałam z poczuciem winy. Od tego dnia w spa minęło wiele miesięcy i jeszcze bardziej się od siebie oddaliśmy. Nie wiedziałam, czy naszą przyjaźń da się jeszcze uratować. Nie chciałam się z nią kontaktować ze strachu, że przejrzy moje kłamstwa, a byłam niemal pewna, że ona trzyma się z daleka ode mnie, bym nie wtrącała się do spraw jej ciąży. Teraz chyba niedługo rodzi, pomyślałam z bolesnym spazmem, prawie jak porodowy skurcz.

Spodziewałam się, że Greg wyciągnie paczkę silk cutów, zapali i dopiero potem spyta, czy może, ale jego dłonie nadal leżały na blacie, niespokojne i rozdygotane. Pamiętałam ich dotyk na moich piersiach i wokół talii. Nadal były to ręce palacza, ze stwardniałym żółtym odciskiem na palcu wskazującym. Znowu zrobiło mi się niedobrze.

- Już nie palisz? - spytałam.

Zrobił zadowoloną minę.

- Od ostatniego papierosa minęło dwa i pół roku - oznajmił dumnie. - Rzuciłem razem z piciem.

- Gratulacje - powiedziałam uprzejmie. - Kawa czy herbata?

- Herbata, kochanie. Trzy łyżeczki cukru.

Ciekawe, czy dalej byłby taki... grubiański, gdyby nadal przyjaźnił się z tatą. Teraz, kiedy na to patrzę, przyjaźń rodziców z nim i Jeanette wydawała się trochę dziwna. Nie mieli zbyt wiele wspólnego. Mama lubiła ogród, Jeanette - bingo. Tata grał w golfa, Greg wołał snookera. W ich znajomości było zdecydowanie coś z *Abigail's Party* - miłe wieczory z mdlącymi drinkami z lat siedemdziesiątych i przekąskami. Papierowe obrusy, sukienki z etaminy, szerokie krawaty. Ciekawe, co ich do siebie przyciągało. Mieliśmy wielu innych sąsiadów, z którymi rodzice mogliby

się zaprzyjaźnić. Choć trudno powiedzieć, żeby byli wolni od grzechu fatalnych krawatów i angielskich haftów...

Przypomniałam sobie ze wstydem, jak go uwiodłam, jak go podpuszczałam, a on wierzył, że inicjatywa należy do niego. Teraz wydało mi się to obleśne, choć wtedy łudziłam się, że to romantyczne i namiętne. Spojrzałam na niego, na siwy kłąb włosów na piersi, wyglądający przez wycięcie koszulki i pomyślałam: o, błędy młodości... A potem przypomniałam sobie o swojej obecnej sytuacji i pomyślałam: o, błędy dorosłości.

To wszystko jego wina, pomyślałam, nienawistnie wrzucając dwie torebki herbaty do kubków. Gdyby nie powiedział tacie o nas, tata by nie umarł, byłam tego pewna. Gdyby tata nie umarł, nie bałabym się tak o życie Maksa. Utrata Holly była straszna, ale jeszcze straszniejsza była myśl, że mój szpik mógłby zawieść Maksa. Że mogłabym być odpowiedzialna za śmierć trzech osób. Dlatego właśnie okłamałam Adama. A teraz go straciłam.

- Jak ci się wiedzie? - spytał ze wzrokiem wbitym w marmurowy blat, jakby moja odpowiedź była ostatnią rzeczą, którą chciałby usłyszeć. - Poza grypą, rzecz jasna.

- Świetnie - warknęłam i niemal walnęłam kubkiem, stawiając go przed Gregiem. Szurnęłam cukiernicą w jego stronę. - Po prostu świetnie. Moje życie to jedno pasmo... - Chciałam powiedzieć „sukcesów”, ale z moich ust niespodziewanie padło: „...nieszczęść”. - Moje życie to pasmo nieszczęść - powtórzyłam złamanym głosem.

Muszę przyznać, że Greg spojrzał na mnie z troską.

- Co się stało, kochanie?

- Przepraszam - jęknęłam, siadając na stołku obok niego. - Nie musisz wysłuchiwać moich problemów - i prawdę mówiąc, nawet nie chcę ci o nich mówić. Przez tę grypę jestem trochę przybita. Pojawiłeś się w nieodpowiedniej porze, to tyle. Nic mi nie będzie.

Pogłaskał mnie ze współczuciem po ramieniu, a ja ledwo przełknęłam łzy na myśl, że naprawdę straciłam Adama i Maksa.

- No! - rzucił energicznie. - Słyszałem, że jesteś aktorką. To świetnie. Zawsze tego chciałaś, prawda? Pamiętam, jak grałaś w tej szkolnej sztuce, takiej dziwnej, o gangsterach, prawda? Miała taki śmieszny tytuł.

- *Kariera Artura Vi* - powiedziałam i zdołałam się uśmiechnąć.

- Bertolta Brechta. Ja grałam główną rolę - Ui.

- No właśnie, właśnie. Byłem dumny jak cholera. Miałem ochotę powiedzieć wszystkim, że jesteś moją dziewczyną. Tylko nie mogłem, no nie?

Pomyślałem o Adamie, że nigdy nie poznał mojej rodziny i przyjaciół. I już nie pozna. Biedny Adam - był tym drugim i nawet o tym nie wiedział. Jestem zwyczajną bigamistką. Nic dziwnego, że był taki zdruzgotany, kiedy się dowiedział.

Spojrzałam na zdjęcie Kena - małego chłopca, niewiele starszego od Maksa, z wielkim szczupakiem, który miał więcej zębów od niego. Ten mały chłopczyk nie miał pojęcia, że poślubi kobietę, która go zdradzi. Zrobiło mi się ich żal. Obaj zasługiwali na kogoś lepszego.

- Jak się ma Jeanette? - spytałam słabo.

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Rozwiedliśmy się dziesięć lat temu. Odeszła z barmanem z bingo.

- O. Przykro mi. Przeżyłeś to?

Otarł czoło dłonią.

- Ledwie. Posypałem się. Nie potrafię tego wyrazić...

Gdzie było to twoje uwielbienie dla żony, kiedy usiłowałeś mi zdjąć majtki, pomyślałam.

- Dowiedziała się o nas? - Zawsze się nad tym zastanawiałam. Doszłam do wniosku, że nie. Moja matka by przecież coś wiedziała.

- Tak. Powiedziałem jej po pogrzebie twojego taty. Kiedy poszłaś na uniwersytet. Miałem wyrzuty sumienia.

Spojrzałam na niego ze zdumieniem.

- Naprawdę? Myślałam, że nie powiedziała mojej mamie.

- Nie powiedziała. Ta kobieta to perła. Powiedziała: „Eileen już dość przeszła. Straciła męża. Nie musi wiedzieć, że jej córka puszczała się z żonatym mężczyzną, który jest od niej dwa razy starszy”.

- Ale przecież były przyjaciółkami.

Teraz to Greg na mnie spojrzał.

- No właśnie. Nie chciała, żeby twoja mama cierpiała. Nikomu nie pisała ani słowa.

Poczułam szacunek dla Jeanette, którą zawsze po cichu lekceważyłam za straszne kwieciste, szerokie suknie, brwi wyskubane do gołej skóry i staranne ondulacje. To przecież niewiarygodnie krwista ploteczka, zwłaszcza że ona była tą pokrzywdzoną. Ja na jej miejscu nie zdołałabym się opanować.

- Potem żyliśmy jeszcze przez jakiś czas razem, choć ona nie potrafiła mi już zaufać. Szczerze mówiąc, myślałem, że już to przetrwaliśmy, kiedy zjawił się ten... Ricky. - Wypluł to imię jak spleśniałą truskawkę.

Ken także już nigdy mi nie zaufa, jeśli opowiem mu o Adamie. Nie mogę mu powiedzieć. Po prostu nie mogę. Odsunęłam od siebie herbatę.

- Bardzo mi przykro, ale nie czuję się dobrze. O czym chciałeś ze mną porozmawiać?

Chciałam, żeby sobie poszedł. Pragnęłam wrócić do łóżka, do mojego schronienia, jedyne miejsce, gdzie mogłam się ukryć. Moje życie jest bardzo smutne, skoro nie ma w nim pokus silniejszych od miękkich poduszek i ucieczki w sen. Szkoda, że nie dostałam tej roli. Gdybym miała regularną pracę, nie starczyłoby mi czasu na obsesyjne myślenie o Maksie i Adamie. Całą energię poświęciłabym na uczenie się prawdziwego tekstu, a nie na wy-myślaniu kłamstw.

- No tak. Widzisz, chodzi o to, że od dwóch i pół roku nie piję.

- Alkoholu? - spytałam jak idiotka.

Skinął głową.

- Chodziłem na spotkania AA. Dwanaście Kroków, wiesz?

Wyobraziłam go sobie na twardym drewnianym krześle w kręgu innych drewnianych krzeseł, jak dzieli się swoimi uczuciami.

- Cholerny cud. Nie sądziłem, że ktoś zdoła mnie powstrzymać od picia, ale to naprawdę działa. I o wiele lepiej się czuję. Tracę kilogramy. Cera też mi się poprawiła. - Poklepał żartobliwie sine policzki i mrugnął do mnie.

Rany boskie, pomyślałam, przyglądając się jego potężnemu brzuchowi i szarej cerze; jeśli teraz wygląda lepiej, to w jakim stanie musiał być wcześniej?

- Znasz program Dwunastu Kroków? - spytał.

- Nie osobiście. Ale coś słyszałam. Chyba trzeba odkryć siłę wyższą, czy coś takiego.

- Właśnie. To Krok Drugi. „Wierzimy, że Moc większa od nas samych może nam przywrócić zdrowe zmysły”. Teraz jestem przy Kroku Dziewiątym. Chodzi o przeproszenie wszystkich, których skrzywdziłem przez alkoholizm. Czyli również ciebie.

- Mnie?

- Aha. Wiesz, że zawsze lubiłem sobie popić. I źle się stało, że się do ciebie dobieierałem, kiedy byłaś w szkole. Naturalnie, nie wspominając o tym, co zrobiłem Jeanette.

- Naturalnie - powiedziałam słabo.

- A potem ta sprawa z twoim tatą. Nie powinienem tak się ciębie czepiać. Łatwiej było wypić parę drinków i zapomnieć o wszystkim.

„Sprawa z moim tatą”. Dość dziwnie określił śmiertelny zawał, do którego doprowadził. Pomyślałam o pogrzebie taty, o dwóch gęsiach, które przeleciały nad naszymi głowami, gęgając radośnie i wrzaskliwie, kiedy staliśmy nad małą jamą w ziemi, czekającą na jego prochy. Pamiętam, że Greg i Jeanette też tam byli, ale nie potrafiłam spojrzeć im w oczy. I że wyrwałam rękę Jeanette, kiedy dotknęła mojego łokcia, jakby chciała przeprowadzić mnie przez ulicę.

Zatęskniłam za tatą; ból był długi i pulsujący jak podczas miesiączki. To niesprawiedliwe. I za mamą też, choć jej śmierć nie była takim szokiem.

Greg znowu mówił, choć go nie słuchałam.

- Przepraszam, co? - musiałam spytać.

- Pytam, czy mi przebaczysz - powtórzył i spojrzał mi w oczy. Po raz pierwszy zobaczyłam tego Grega, który kiedyś tak bardzo mi się podobał i z którym chciałam być. - Mam nadzieję, że twój tata też by mi wybaczył to, na co sobie pozwoliłem. To był mój kumpel.

W oczach stanęły mu łzy. Mnie też. Jednocześnie wyciągnęliśmy do siebie ręce - siedemnaście lat za późno. Nie rozpoznawałam zapachu Grega. Przypuszczam, że bez dymu i alkoholu nie był już taki sam. Ale przez chwilę zamknęłam oczy i znowu miałam osiemnaście lat, kiedy moim najważniejszym problemem było to, czy pozwolić, by mi zdjął majtki. Innymi słowy, czy go „tam” wpuścić.

- Cieszę się, że jednak tego nie zrobiliśmy - powiedziałam. - Pewnie byłoby jeszcze gorzej.

Poczułam, że skinął głową.

- Tak, ja też się cieszę, choć bardzo tego chciałem. Mam nadzieję, że oddałaś się komuś, kto był bardziej ciębie godny, kochanie.

Wzdrygnęłam się. Nie nazwałabym tak Colina Baxtera, który studiował wtedy na trzecim roku aktorstwa. Po zbyt wielu drin-

kach w studenckiej knajpie spędziliśmy jedną noc w moim pokoju. Mniej utkwiła mi w pamięci ze względu na szalę namiętności, a bardziej przez ból (mój), pretensjonalność (jego), kaca (naszego) i widok jego szarych gatek kołyszących się malowniczo na dzióbku czajnika, bo taki widok powitał mnie następnego ranka. Gdyby nie poczucie winy z powodu taty, Greg byłby o wiele lepszym kandydatem do tej sprawy.

- I co?

- Co „co”?

- Przebaczysz mi?

- Nie mam ci czego przebaczać. Nigdy nie winiłam o to ciebie, tylko siebie. Przez cały czas - szepnęłam.

Spojrzał na mnie zaskoczony.

- Dlaczego, kochanie?

Teraz przyszła kolej na mnie, żeby popatrzeć z zaskoczeniem.

- Bo gdybyś mu nie powiedział, że rzucasz Jeanette dla mnie, pewnie by nie dostał zawału. A zrobiłeś to przeze mnie.

- O, kochanie - powiedział i objął mnie.

Nie miałam nic przeciwko temu. Oparłam podbródek na jego ramieniu, bo w tej chwili wydawał się prawie jak mój ojciec.

- Naprawdę tak myślałaś? Przez te wszystkie lata? Przecież ja mu nie powiedziałem. Zanim zacząłem, już trzymał się za serce... To nie miało nic wspólnego z nami.

Nie wierzyłam własnym uszom.

- Przysięgasz, że mu nie powiedziałeś?

Potrząsnął zaciekle obwisłymi policzkami.

- Daję słowo. Nie pisałem ani słóweczka. Tylko przyniosłem piwo. Odwróciłem, się, żeby podać mu kufel, a on bach na podłogę.

Mój żołądek wyrzucił koziołka.

- Przepraszam - wymamrotałam, zeskakując pospiesznie ze stołka. - Będę wymiotować. Znowu.

Kiedy wróciłam po jakimś czasie, Greg wpatrywał się w samotną roślinę na parapecie kuchni - nieszczęsny wyschnięty drapak, obasypany chorobliwą wysypką. Ken i ja nie potrafililiśmy opiekować się roślinami. Powoli wysychały na naszych oczach, a potem ich szczątki jeszcze przez jakiś czas tkwiły w domu, choć powinniśmy je wyrzucić. Za każdym razem, gdy odwiedzałam Lil i widziałam jej rośliny, aż błyszczące zdrowiem, o gładkich, jędrnych, ciemno-

zielonych liściach, przypominałam sobie, że muszę podlać nasze - ale kiedy wracałam do domu, przeważnie o tym zapomniałam.

- Wszystko w porządku?

Skinęłam głową. Choć przez miętowy smak pasty do zębów nadal czułam słabą gorycz wymiotów, mój żołądek wreszcie się uspokoił.

- Tak. Prawdę mówiąc, od dawna nie czułam się tak dobrze.

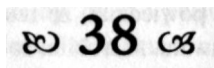
- Nadal nie powiedziałaś, że mi wybaczasz.

Uśmiechnęłam się.

- Oczywiście, że wybaczam. Bardzo się cieszę, że przyszedłeś.

Znowu się uścisnęliśmy, krótko, lecz serdecznie. Zdałam sobie sprawę, że przebaczyłam i jemu, i sobie.

To był początek.



Po odejściu Grega poczułam ukojenie nie tylko w brzuchu, w „brzusku”, jak powiedziałby Adam. W zamęcie minionych dni i tygodni wydarzyło się wreszcie coś pozytywnego, coś definitywnego: pod śmiercią taty pojawiła się gruba kreska. To taka dawna historia - dziwne, jak długo się za mną ciągnęła. Ale to było zamknięcie sprawy, uwolnienie z pętli wyrzutów sumienia.

Zdarłam z siebie naelektryzowaną koszulę nocną i poszłam pod prysznic. Leniwie patrzyłam, jak krople odbijają się od moich barków i rąk, od brzucha, w którym nie rosło nic prócz żalu. Potem włożyłam letnią sukienkę i sandały, związałam nadal mokre włosy i naniosałam na policzki tyle różu, żeby ukryć bladłość.

W końcu, wyszykowana, pojechałam do Lil. Byłam zdenerwowana; czułam, że Lil wydobędzie ze mnie prawdę z taką samą łatwością, z jaką odbiera rodzące się dzieci... ale nawet nie zaczęłam się przygotowywać na to, czym może się okazać ta prawda.

- Cześć, kochanie - zawołała Lil, już od progu chwytając mnie w swoje kojące objęcia.

Ja też ją objęłam, z ulgą poczułam znajomy kształt chudych łopatek pod cienką wełną, wciągnęłam w płuca jej zapach. Kiedy

mnie puściła, zabrałam z jej ganku dwa kartony mleka, śliskie i chłodne, i podałam jej.

- Oj, mleczarz bardzo się dziś spóźnił. Myślałam, że będę musiała ci podać czarną herbatę, ale teraz już po kłopotcie. Wejdz.

Usiadłam na moim zwykłym miejscu w kuchni, a ona zaczęła przygotowywać herbatę. Co chwila obrzucała mnie przenikliwym spojrzeniem, analizując mój zmęczony wygląd.

- Już wyzdrowiałaś?

Z powątpiewaniem pokiwałam głową.

- Chyba tak. Dziś rano wymiotowałam, ale już się czuję lepiej. To się pojawia i znika.

- Byłaś u lekarza?

- Nie. Po co? Powiedziałyby, że to wirus i muszę odpocząć.

Lil podała mi filiżankę ze spodeczkiem. Przechyliła nad nim duży porcelanowy imbryk, z którego dziobka pociurkał brązowy strumyk parującej herbaty. Miała ręce spokojne jak skała; z niemal łapczywą przyjemnością chłonęłam ten stały, niezmienny widok: Lil nalewająca herbatę. Podała mi karton z mlekiem, pusty dzbanuszek i cukierniczkę z kostkami cukru i srebrnymi szczypczykami. Od lat nigdzie nie widziałam szczypczyków do cukru.

Zastanawiałam się, czy powiedzieć jej o odwiedzinach Grega, żeby trochę złagodzić wyznanie zdrady, które na pewno ze mnie wyciśnie. Przyznać się jej, że od dawna jestem dziewczyną, która zabiera cudzych mężów. Śmieszne, że nigdy dotąd tak o sobie nie myślałam. Ale kiedy otworzyłam usta, Lil mnie uprzedziła:

- Słuchaj, czy przypadkiem, jakimś cudem, nie jesteś w ciąży?

Roześmiałam się bezmyślnie.

- Nie, skąd, Ken i ja nie...

I urwałam w połowie zdania, z kartonem rozdziawionym tak samo, jak moje usta. Ken i ja nie. Adam i ja tak. Środki ostrożności, jakie podejmowaliśmy, były, łagodnie mówiąc, niedbałe.

- Kochanie... wszystko w porządku?

Ręka zatrzęsła mi się tak bardzo, że musiałam odstawić mleko. Kiedy, do cholery, miałam ostatnio miesiączkę? Dlaczego tego nie zauważyłam? Czy to w ogóle możliwe? Nie, na pewno nie. Piersi mnie nie bolały. Nie swędziały mnie łydki, co w moim przypadku zawsze było pewną oznaką ciąży. Owszem, wymiotowałam, ale przy Holly mnie tak nie mdliło...

- Nie, to niemożliwe. To tylko ten sam wirus, którego złapał Max.
- Ale u niego to trwało dwanaście godzin, prawda? A twój ciąg-
nie się od wielu dni.

- Po prostu gorzej to przechodzę. Gardło mnie boli i w ogóle
wszystko. Nie chodzi tylko o mdłości.

Lil pogłaskała mnie po rękę.

- A może skoczysz do apteki i kupisz test? Tak dla spokoju, jeśli
masz jakieś wątpliwości. Na przykład teraz.

Jak dobrze, że mnie nie oceniała. Że nie pytała o to, co było
oczywiste: skoro nie sypiam z Kenem, to jak mogę choć przez
chwilę brać pod uwagę ewentualność ciąży? Widziała w moich
oczach, że to dla mnie całkiem realna możliwość.

- Dobrze - powiedziałam.

Byłam w ciąży. A jakże. Siedziałam na zamkniętym sedesie w sta-
roświeckiej kwiecistej łazience Lil i gapiłam się z niedowierzaniem
na różową kreskę na białej pałeczce. Tym razem było zupełnie ina-
czej niż poprzednio, gdy okazywało się, że plemnik i jajeczko się
połączyły. Za pierwszym razem była to czysta radość. Za drugim:
dużo radości, trochę strachu. Za trzecim: po połowie. Za czwartym:
no, czwarta była Holly. Kiedy się o niej dowiedziałam, byłam już
prerażona, ale ten strach stopniowo topniał, w miarę jak rósł mój
brzuch - z miesiąca na miesiąc moja trwoźna radość rozkwitała tym
bardziej, im bardziej stopy znikają z zasięgu mojego wzroku.

Ale to... co ja mam właściwie czuć? Chyba nic oprócz ślepej
paniki. Pomyślałam o Vicky i po raz pierwszy zaczęłam rozumieć
jej stan. Strasznie pragnęłam dziecka - ale nie tak! Nie chciałam
być samotną matką, nie chciałam sprawić Kenowi bólu. Już posta-
nowiłam, że przyznam się do Adama i zmyślonej pracy, ale jak
mam mu powiedzieć o tym? Okropnie się zdenerwuje. I to może
przekreślić wszelką szansę pogodzenia. On się ze mną rozwiedzie,
nie ma się co łudzić, i nawet nie mogę mu mieć tego za złe.

Jakoś wcale mnie nie zaskoczyło, że za wszystkie moje przewi-
ny i oszustwa zostanę sama. Adam już mnie rzucił, a nie zamierza-
łam szantażować go dzieckiem - zakładając, że tym razem go nie
stracę. Poza tym Max potrzebował swojej prawdziwej matki. Wła-
ściwie niemal mi ulżyło, jakby Bóg wziął sprawy we własne ręce.
Oparłam się o rezerwuar, wyczerpana rozpaczą i rozterkami.

Lil zapukała delikatnie do drzwi.

- Mogę wejść?

Powoli wstałam i otworzyłam drzwi.

- Jestem w ciąży - oznajmiłam.

Spojrzałyśmy na siebie. Pomyślałam, że pomimo swego położniczego doświadczenia Lil nie wie, co to znaczy pozytywny wynik testu ciążowego, ten pierwszy moment olśnienia. Wyobraziłam ją sobie pięćdziesiąt lat temu, kiedy była w moim wieku i rozpaczała tak jak ja, przy każdej miesiączce. Była wówczas szczupłą, śliczną kobietą z kasztanowymi kędziorkami i zmarszczkami od śmiechu, w schludnych bluzkach i bieliznie z fiszbinami. Na pewno było jej do twarzy w uniformie położnej.

Wtedy nie było tych sprytnych testów ciążowych. Musiała się orientować tylko na podstawie krwawień, które złośliwie wracały co miesiąc. Musiała kupować pękate podpaski zamiast dziergać dziecięce ubranka. Słuchać cierpliwie licznych kobiet, które rozpaczały z powodów cierpienia przy porodzie, bólu przy karmieniu piersią, ciężkiego losu matki. To dopiero musiało być trudne.

Mój tata był dla niej chyba tym, kim Max dla mnie - zastępczym dzieckiem, ukochanym siostrzeńcem. Zawsze miałam wrażenie, że jest jej bliższy niż jej siostrze, a jego matce. Śmieszne, mnie także Lil była bliższa niż własna matka.

- Chodź do kuchni, zaparzyłam świeżą herbatę - powiedziała, delikatnie wyprowadzając mnie za łokieć z łazienki. Tak bardzo się cieszyłam, że przy mnie jest.

- Więc to nie Kena - odezwała się niemal konwersacyjnym tonem, kiedy znowu przeszłyśmy przez rytuał nalewania herbaty. Wrzuciła mi dwie kostki cukru, choć wiedziała, że nie słodzę.

Pokręciłam głową.

- To będzie dla niego cios - szepnęłam. - Chciałam go zostawić dla Adama, ojca Maksa, lecz teraz nie z tego. Ale i tak zamierzałam się przyznać do Adama i Maksa, żeby zobaczyć, co z tego wyniknie, czy Ken nadal chce ze mną być. Ale dziecko? To milion razy gorsze od zdrady. Tak bardzo pragnął być ojcem.

- Nadal chcesz być jego żoną?

- Naprawdę nie wiem. To by pewnie zależało od jego reakcji, bo nie wiem, czy ja bym mogła być jego żoną po tym, co zrobiłam, nawet gdyby mnie chciał.

- A co się stało z tobą i tym drugim?

Westchnęłam; nie mogłam opanować łez, które stanęły mi w oczach.

- Przede wszystkim wróciła żona Adama. Zatelefonował do niej w panice, kiedy Max złapał tego wirusa. To wszystko moja wina, bo narobiłam zamieszania. Wtedy ona przyjechała, akurat kiedy powiedziałam Adamowi, że Max dostał szpik ode mnie. Następnie poinformowałam go, że nadal jestem żoną Kena... no i mnie rzucił. Trudno się dziwić. On i jego żona Marilyn postanowili spróbować jeszcze raz. Dla dobra Maksa.

Spojrzałam na oprawiony w ramki, wyszywany krzyżykami alfabet nad lodówką, ale był tak zamazany, że nie rozróżniałam liter. Tęskniłam za Maksem do bólu, niemal fizycznego. Lil podała mi chusteczkę. Wytarłam nos, myśląc: jeśli urodzę jego przyrodniego brata lub siostrę, to może będzie mi wolno go widywać? To tyle na temat kwestii, że nie mogę urodzić tego dziecka. Jeszcze nigdy nie miałam takiego zamętu w głowie.

- Tego dnia, kiedy Max zachorował - odezwałam się powoli - naprawdę zrozumiałam, ile dla mnie znaczyli, znaczą. Tak strasznie chciałam należeć do ich rodziny; a kiedy Adam zaczął się do mnie zalecać, nie potrafiłam go odepchnąć. Wszystko było takie idealne... choć nie spodziewałam się, że tak się w nim zakocham. I chciałam być blisko Maksa, czuć przy nim.

- Jest takie przysłowie: kto uratuje człowieka, staje się za niego odpowiedzialny. Tak się teraz czujesz?

- Tak. To stare chińskie przysłowie. Już mi przyszło do głowy i chyba tak uważałam, choć nieświadomie. Max był - jest - dla mnie jak syn.

- A co z Kenem? Naprawdę nic nie podejrzewa?

- Nie sądzę. Chyba nie. Albo też ma romans i pasowało mu, że mnie nie ma. Nie rozmawialiśmy o tym, co każde z nas robi, kiedy nie jesteśmy razem.

Lil zmarszczyła brwi.

- To by było dla ciebie wygodne, co? Naprawdę myślisz, że on kogoś ma?

Zamilkłam, a potem ze wstydem pokręciłam głową.

- N i e .

- Jak, na Boga, miałaś czas dla tych dwóch mężczyzn i jeszcze na serial?

Wbiłam wzrok w podłogę. Zaczyna się. Nabrałam powietrza w płuca. Z jakiegoś powodu do tego było mi się trudniej przyznać niż do zdrady.

- Nie ma żadnego serialu. Wszystko zmyśliłam. Kiedy Ken myślał, że jestem na zdjęciach, byłam z Adamem. I odwrotnie.

W jej oczach pojawiło się zaskoczenie - i surowość. Miałam ochotę schować się pod stół i tam zostać, skulona ze wstydu, tak jak to robiłam w dzieciństwie. Zapadła długa, bardzo długa cisza.

- Jak zareagował Adam na wiadomość, że jesteś w ciąży?

Pomyślałam o jego jasnyniecznych oczach; wyobraziłam sobie, jak by się otworzyły szeroko z zachwytem, gdybym tylko dowiedziała się dwa tygodnie wcześniej. Przez chwilę moje serce także zabiło radośnie. Jestem w ciąży! Może tym razem to dziecko ze mną zostanie...

Dwa tygodnie wcześniej ta ciąża byłaby dla mnie powodem, by zostawić Kena i rozpocząć nowe życie, z nową rodziną. Byłabym jej prawowitym członkiem, nie przyszywanym dodatkiem... Ale potem przypomniałam sobie, że i tak musiałabym wyznać Adamowi, że go oszukałam. Może wiedząc o dziecku, byłby bardziej wyrozumiały. A może nie. Teraz to już bez znaczenia.

- Och, Lil, proszę cię, pomóż - jęknęłam, nie odpowiadając na jej pytanie, bo nie umiałam. - Nie wiem, co robić.

- Najpierw musisz powiedzieć Kenowi.

- Wiem. On mi nigdy nie wybaczy.

- Może wybaczy. Musisz tylko zdecydować, czy mówisz mu po to, żeby ci wybaczył i dalej z tobą był, czy tylko wyjaśniasz, dlaczego między wami już nic nie będzie.

- Tak - powiedziałam słabo. - Ale tak okropnie go potraktowałam... jego i Adama... - Głos zaczął mi się łamać. - Ja tylko chciałam mieć rodzinę...

Lil pogłaskała mnie ze współczuciem.

- No, to potrwa, oczywiście. Nie możesz się spodziewać, że Ken przywyknie do tej świadomości z dnia na dzień. Może zgłosisz się do poradni?

- Żeby się pogodził, że ma w domu dziecko innego mężczyzny?

To nie w jego stylu. Nigdy na to nie pójdzie. Nie, muszę mu powiedzieć, żeby mógł się ze mną rozwieść.

Zadzwoił telefon. Obie słuchałyśmy, jak na sekretarkę nagrywa się wiadomość; starsza pani mówiła długo i nieśmiało o podziale obowiązków przy układaniu kwiatów w kościele. Wydawało mi się, że czyta rozkład z kartki. Lil cmoknęła niecierpliwie.

- Kochana Edith. Zawsze tak robi. Muszę jej powiedzieć, żeby mi to po prostu wysłała, ale ona sądzi, że nie mogę się dowiedzieć absolutnie wszystkiego w chwili, gdy rozkład zostanie wydrukowany. Niektóre biedne starowinki mają takie puste życie.

Zdołałam się zmusić do bladego uśmiechu. To była bardzo pożądana pauza, jak przerwa na reklamę w bolesnym dramacie mojego życia - w tej chwili bardzo bym chciała, żeby było puste do tego stopnia, by obchodziło mnie układanie kwiatów w kościele. Edith recytowała skrzypiącym głosem rozmaite daty i staroświeckie chrześcijańskie imiona, jak Ivy, Doris i Marjorie, aż w końcu skończyła się kasetka i głos zamilkł w pół słowa.

- Dzięki Bogu - westchnęła Lil i wróciła do pytania, które zostawiłam bez odpowiedzi. - A co z Adamem? Kiedy mu powiesz o dziecku? Myślisz, że wtedy przemyśli, czy dalej być z żoną?

- Nie wiem. Nie sądzę. Za bardzo go zraniłam. No i to nie fair w stosunku do Maksa. Ani w ogóle. Ona jest matką Maksa... Nie, nie powiem mu, przynajmniej nie teraz. W pewnym momencie trzeba będzie to zrobić, ale nie chcę, by myślał, że szantażuję go dzieckiem.

Do tej pory postępowałam jak egoistka, pomyślałam. Raz zmuszę się do altruizmu. Max potrzebuje mamy. Przypomniałam sobie piosenkę, którą mi kiedyś zaśpiewał. Nauczył się jej w szkole; z furią pomyślałam wtedy o jego jasnowłosej, pyzatej nauczycielce - sama była prawie dzieckiem - która wykazała się takim brakiem wrażliwości. Musiała wiedzieć, że Marilyn zostawiła Maksa.

Piosenka, śpiewana fałszywym, dziecięcym głosikiem, brzmiała następująco:

Na niebie setki gwiazd
na ziemi setki miast,
a w morzu setki ryb sobie płyną.
A ty jesteś moją mamą jedyyyyną.

Na koniec rozpromienił się z zadowolenia, ale zaraz potem spochmurniał.

- Gdzie jest mamusia? - spytał takim tonem, jakby się zastanawiał gdzie ją zostawił, a Marilyn była zgubionymi okularami do pływania albo dawną ulubioną zabawką, która spadła pod łóżko i była już niemal zapomniana.

- Nie wiem, kochanie - odpowiedziałam, odgarniając mu włosy z twarzy. - Ale ja jestem. I kocham cię.

Nie powinnam tego mówić, nie miałam prawa. Max miał tylko jedną mamę i nie byłam nią ja.

- Czy bierzesz pod uwagę aborcję, żeby uratować małżeństwo?

Aborcja. Samo to słowo wywoływało dreszcze. Lil na pewno nie owijała słów w bawełnę - rzucała je jak surowe kawały mięsa.

- Nie - odrzekłam. - W żadnym wypadku.

W tej chwili żyję w potwornym chaosie. Przede wszystkim muszę się pozbyć wszystkich tych tajemnic. A aborcja byłaby najgorszą z nich. Poza tym nigdy w życiu nie pozbyłabym się dziecka z własnej woli. Nie ma mowy. Sama myśl o tym była wstrętna - wyrzec się tej szansy po tylu latach rozpaczliwego czekania? Nie wspominając już o hipokryzji. Obraziłam się na Vicky za samo rozważanie podobnego kroku.

- Cieszę się - powiedziała Lil. - Ale Adam ma prawo wiedzieć.

- Tak, powiem mu. Jak tylko miną te trzy miesiące, a najlepiej dopiero po urodzeniu dziecka... na wszelki wypadek.

Nie ma sensu zrzucić takiej bomby na dom Adama i Marilyn, kiedy ta ciąża może się skończyć tak samo, jak cztery poprzednie. Poza tym, będą mieli czas, by popracować nad swoim związkiem, beze mnie, wiszącej nad nimi jak cień.

- Ale Kenowi powiesz wcześniej, prawda?

Westchnęłam. Już teraz zaczęłam się bać.

- T a k , będę musiała to załatwić. Nie zniosę tych sekretów ani chwili dłużej.

Tak było. Po miesiącach kłamstw, które przychodziły mi bez trudu, czułam się zatruta. Chciałam się oczyścić ze względu na moje małżeństwo, pozbyć się duszącego mnie jadu. Chciałam poznać swój los.

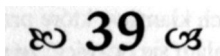
- Czy kiedy mnie wyrzuci z domu, mogłabym zamieszkać z tobą? Lil objęła mnie ramieniem.

- On cię nie wyrzuci. Ale jeśli tak zrobi, to oczywiście możesz.
- Nawet gdybym chciała z nim zostać, on by nigdy nie zniósł dziecka innego mężczyzny.
- Już mówiłaś. Ale to się zdarza.
- Naprawdę?
- Tak. Moja przyjaciółka Betty z chóru... umarła w osiemdziesiątym dziewiątym, ale jej mąż nadal czci jej pamięć, po tylu latach. Okazało się, że od początku wiedział, iż najmłodszy syn nie jest jego. Od lat miała kochanka. Prawdziwym ojcem był ojciec chrzestny chłopca.
- Czyli wiedział jeszcze przed narodzeniem dziecka?
- Najwyraźniej. Więc widzisz, że to możliwe, jeśli związek jest na tyle silny, by to wytrzymać.
- To nie ma sensu. Nie w moim przypadku. Gdyby mój związek był silny, to by się w ogóle nie wydarzyło.
- Może. A może nie.

Czułam się trochę dziwnie, roztrząsając z Lil moje paskudne sprawy osobiste, ale wiedziałam, że ona jest bardziej obiektywna niż, powiedzmy, Vicky. W pewnej chwili będę musiała przyznać się także jej, ale dopiero wtedy, gdy los mojego małżeństwa zostanie przypieczętowany. Nie zniosę ingerencji kolejnej osoby.

Lil zajęła się podlewaniem miniaturowej różyczki na kuchennym parapecie. Trzymała malutką, idealnie wypolerowaną mosiężną konewkę z długim smukłym dzióbkiem; na jej powierzchni widziałam odbicie twarzy Lil. Przypominałam sobie, jak zobaczyłam zniekształcone odbicie moje i Adama w chromowanej powierzchni czajnika i jaka spełniona się wtedy czułam.

- Będę się za ciebie modlić, kochanie. Na pewno wszystko będzie dobrze - odezwała się energicznie Lil, ale nie wiedziała, że patrząc na jej odbicie w konewce i widząc, iż pomimo dziarskiego tonu boi się dokładnie tak jak ja.



Ken patrzył na zdjęcie przedstawiające Adama, Maksa i mnie. Po raz kolejny pożałowałam, że postanowiłam się wspomóc „rekwi-

żydami". To milczące, wystudiowane zamyślenie sprawiło, że zdjęcie zaczęło przypominać dowód rzeczowy, oglądany przez potępiających mnie przysięgłych.

Musiałam nieustannie sobie przypominać, że mam oddychać. W całej tej sytuacji było coś niewiarygodnie surrealistycznego. Żałowałam, że nie ma tu Lil, ale to oczywiście było niemożliwe. Musiałam załatwić to sama. Przez ostatnie dwa dni zastanawiałam się - i to nie raz - czy przyznałabym się, gdybym nie była w ciąży. Wiem, że nie mogłabym dłużej żyć z tymi kłamstwami - choć może wyznając prawdę, nadal myślałabym tylko o sobie. Może Ken wolałby nic nie wiedzieć?

Na razie był bardzo spokojny, choć na widok zdjęcia jego brązowa twarz poszarzała jak popiół; tak, jakby jedno dmuchnięcie mogło ją rozproszyć, obrócić w proch, unieść pod niebo. Przeraziło mnie to bardziej, niż gdyby rzucił się na mnie z wrzaskiem.

Oddał mi zdjęcie, a mnie ręka trzęsła się tak bardzo, że z trudem je przyjęłam. Nie można było opacznie zrozumieć tego, jak na siebie patrzyliśmy na zdjęciu.

- Tak - odezwał się. - To ten chłopiec?

- Max.

- A jego ojciec obejmuje cię z jakiejś konkretnej przyczyny?

Przełknęłam ślinę. Tak myślałam, że nie obędzie się bez sarkazmu. Ken mówił tonem, którego używał, jak sądzę, wyrzucając pracowników za kradzież.

Upuściłam zdjęcie, sięgnęłam do pudełka i podałam mu Spesha, starego tygryska Maksa. Ken wziął go za jedno ucho z niesmaką, który nawet w tych okolicznościach wydał mi się obraźliwy.

- A to co?

- To... to Spesh. Ukochana zabawka Maksa. Był z nim w szpitalu. Dlatego jest taki sponiewierany.

Przez twarz Kena przemknęło zaniepokojenie, a moje serce stopniało. Nawet w środku tego zamieszania martwił się o zdrowie Maksa.

- Dlaczego go dostałaś? Max chyba nie...

- Nic mu nie jest. Dostałam Spesha, bo... - gardło miałam tak zaciśnięte, że głos mi zachrypl - ...Max mi go dał. Powiedział, że jestem dla niego wyjątkowa, więc da mi to, co najbardziej kocha. Czyli Spesha.

- Bo uratowałaś mu życie.

Spojrzałam w ciemnobrązowe oczy Kena.

- Nie. On nie wiedział, że to ja uratowałam mu życie. Ani Adam, jego ojciec, choć teraz już wie.

- Nie rozumiem. - Ken oddał mi Spesha.

- Nie znali nawet mojego prawdziwego nazwiska. Myśleli, że nazywam się Anna Valentine... Po prostu strasznie chciałam go poznać - zaczęłam.

Miałam dziwne wrażenie, że przerywa się we mnie tama i informacje, które ledwie kapąły, zaczynają płynąć szeroką falą. Zaczyna się, pomyślałam. Nie ma odwrotu. Jak wtedy, gdy odeszły mi wody. A to było jakieś dziesięć kroków od miejsca, w którym znajdowaliśmy się teraz. Tego dnia świat się zmienił, nie tylko dla mnie i Kena, lecz dla wszystkich: Holly urodziła się 11 września 2001.

A potem umarła, razem ze wszystkimi tymi niewinnymi ludźmi. A kiedy było po wszystkim i siedzieliśmy oszołomieni koło basenu pełnego zimnej turkusowej wody, poczułam się winna za moją rozpacz. I choć wiedziałam, że mam prawo czuć taki ból, jakiś nieracjonalny głos mówił mi, że powinnam oplakiwać raczej ludzi z tamtych dwóch budynków i ich rodziny. Żony patrzące, jak ich ukochani mężowie skaczą z okien. A nie jednego noworodka.

Może nigdy nie pozwoliłam sobie na prawdziwą żalobę.

Ale nie mogłam przypomnieć Kenowi tego dnia. Nie w tej chwili. Wciąganie w to Holly byłoby nie w porządku, jakbym się usprawiedliwiała. Choć może gdybyśmy częściej o niej rozmawiali, nie musiałabym tłumaczyć tego, co usiłowałam wytłumaczyć. Nie musiałabym patrzeć, jak przez twarz Kena przebiegają dziesiątki emocji, przeważnie bolesnych.

I choć bardzo się starałam skupić na innych rzeczach - na opadających płatkach róż z wazonu, strużkach wosku, zastygłych na świecach, na przewróconej doniczce w ogrodzie, z której wyglądały pierzaste korzenie i ziemia - nic nie mogło mi przysłonić bólu w oczach Kena. Bólu, którego byłam jedyną przyczyną.

Ken czytał pocztówkę z Johnem McEnroe, usiłując pojąć słowa, które wypisałam drukowanymi literami, bo nie starczyło mi odwagi, żeby je wypowiedzieć: MÓJ SERIAL NIE ISTNIEJE, NIE DOSTAŁAM ROLI, ZMYŚLIŁAM WSZYSTKO. KIEDY UDAWAŁAM. ŻE PRACUJĘ, BYŁAM Z ADAMEM I MAKSEM.

Było mi go żal. Znając go, wiedziałam, że jego cierpienie wynika głównie z tego, że został rogiaczem, że mi nie wystarczał, że go oszukałam. I choć nie rozumiał jeszcze, o co w tym wszystkim chodzi, byłam pewna, że tak właśnie myśli.

Tyle bólu, a jeszcze nie powiedziałam mu, że jestem w ciąży. Ten dzień włókł się bez końca, jakby blade marcowe słońce świeciło bez przerwy przez trzydzieści sześć godzin. Modliłam się, żeby zaszło, bo mogłabym pójść do łóżka i schować się pod kołdrę. Zapaść w sen zimowy, dopóki nie urodzi się moje dziecko, a wtedy zacząć życie na nowo. Dziecko było najważniejsze.

- Więc odchodzisz do tego Adama - powiedział Ken, przyglądając się rozmazanemu ptasiemu gówienku na szklanym dachu studia. Ogrzewanie było włączone; duszące powietrze plus wyrzuty sumienia sprawiły, że czułam mrowienie we włosach. Po twarzy Kena spłynęła strużka potu; przez chwilę wydawało mi się, że to łza. Ale choć oczy miał czerwone, nie płakał. Rzadko mu się to zdarzało. Po śmierci Holly powiedział mi raz: „Nie jestem zbyt dobry w płaczu przy ludziach”, a ja pomyślałam, że to dziwne, jakby płacz był umiejętnością, którą należy doskonalić aż do mistrzostwa.

- Nie. Między mną i Adamem nic już nie ma.

Nagle zapragnęłam położyć mu rękę na kolanie, zarzucić mu ramiona na szyję i błagać, żeby mi wybaczył - ale nie miałam odwagi. Kos szukał robaków na zwirowanej ścieżce, nie zdając sobie sprawy, że wredny kot sąsiadów skrada się wzdłuż płotu, pożerając go wzrokiem. Nienawidziłam bydlaka.

- To dlaczego mi to mówisz? Zadałaś sobie tyle trudu, żeby tak długo to przede mną ukrywać. Myślałem, że takie wyznanie to ostatnie, czego sobie życzysz.

- Nie mogę już znieść tych kłamstw.

- Więc skończyłaś z Adamem?

Zawahałam się.

- No... Niezupełnie. Powiedziałam mu, że jestem mężatką.

Ken roześmiał się, okropnie sztucznie.

- A on cię rzucił, tak? Więc uznałaś, że lepszy wróbel w garści, nudny pracoholik, którego żoną przypadkiem jesteś. Co za żenada, nie? Co za przykrość, że głupio przyrzekałaś być moją żoną, póki śmierć nas nie rozłączy. Teraz pewnie żałujesz, co?

- Nie - powiedziałam, myśląc, że to jednak trochę niesprawiedli-

we. Przecież Ken przyrzekł to samo swojej pierwszej żonie. - Nie żałuję. Żałuję tylko... - Po policzkach potoczyły mi się łzy, spadły na matowe, wyłysiałe futerko Spesha. Nie mogłam ich już dłużej powstrzymać, a słowa zaczęły się ze mnie wyrwać nagłymi porywami. - ...Tylko żałuję wszystkiego. Dzieci. Holly. Tego, że nie mogę z tobą o nich porozmawiać. Tak nie powinno być. Holly miałaby teraz półtora roku. Gdyby tu była, do niczego by nie doszło.

Więc jednak musiałam ją w to wciągnąć.

- Więc to moja wina, bo nie rozmawiamy o Holly?

- Nie! Nie oskarżam cię... choć tak często wyjeżdżasz, a to niełatwe...

Znowu ten martwy śmiech.

- Właśnie się zastanawiałem, kiedy wypłynie temat mojej pracy.

Przełknęłam ślinę. Kusiło mnie, żeby zrobić mu awanturę, wykrzyzczyć, że poślubił pracę, a nie mnie, ale musiałam zachować spokój, jeśli chciałam, by Ken zrobił to samo. Obrzucanie się zarzutami w niczym mi nie pomoże.

- I tylko dlatego mi to mówisz? Bo chcesz być wobec mnie uczciwa? Byłoby mi łatwiej, gdybym się nie dowiedział.

Wysłałam gorącą modlitwę do Boga i mojego Anioła Stróża, żeby się zlitowali i pomogli głupiej i słabej ludzkiej istocie, jaką jestem. I Kenowi także pomóżcie.

- Dowiedziałbyś się, wcześniej czy później. - Sięgnęłam do pudełka i podałam mu ostatnią widokówkę: Andre Agassi.

JESTEM W CIAŻY. TO DZIECKO ADAMA.

Ken zerwał się z krzesła z jękiem tak gwałtownym, że zabrzmiał niemal jak krzyk. Zaczął drzeć pocztówkę. Jeszcze nigdy nie słyszałam takiego hałasu i mam nadzieję, że nigdy więcej nie usłyszę. Kos uciekł w panice; koci ogon zniknął zza płotu.

Myślałam, że Ken mnie uderzy i chyba nawet tego chciałam, gdyby to mogło mu pomóc. Jednak się rozplakał i rzucił we mnie strzępkami pocztówki. Zrzucił tekturowe pudełko ze stołu, rozsypał moje biedne żalosne rekwizyty. Kawalek włochatej nogi Agassiego upadł na mój rękaw; strzepnęłam go.

- Przepraszam - rzuciłam w panice. - Bardzo, bardzo przepraszam. Ja nie chciałam, daję słowo. Miałam zamiar tylko poznać Maksa, a potem wszystko wymknęło się spod kontroli...

Ken podarł widokówkę do końca. Stał dokładnie naprzeciwko

mnie, z rękami zaciśniętymi w pięści, twarzą pociemniałą z wściekłości i żalu, tak nie na miejscu w radosnym blasku słońca. Kiedy się wreszcie odezwał, mówił opanowanym szeptem.

- Spakuj walizki i wynoś się z tego domu, ty szmato. Nie chcę cię więcej widzieć. Koniec z nami.

Zjawiłam się u Lil ze Speshem w jednej ręce, torbą w drugiej i, niewątpliwie, pustym spojrzeniem. Do kompletnego wizerunku uchodźcy brakowało mi jeszcze maski gazowej na szyi.

Torbę spakowałam wcześniej, w ponurym przewidywaniu wyroku Kena: piżama, kosmetyczka, ubranie na zmianę. Przypomniałam sobie, jak pakowałam torbę do szpitala, kiedy miałam urodzić Holly - choć miałam rodzić w domu, zawsze istniała możliwość, że zostanę szybko przewieziona na pogotowie. I tak się stało, choć wtedy było już za późno, a Holly już nie żyła.

No, ale przynajmniej miałam własną szczoteczkę do zębów.

Lil wpuściła mnie bez słowa, smutna, i stanęła u stóp schodów, podczas gdy ja minęłam ją i poszłam prosto do pokoju. Był już dla mnie przygotowany: dyskretne pudełko chusteczek na szafce nocnej i mały bukietek kwiatków z ogrodu w wazonie na komodzie. Pokój był zbyt schludny, zbyt biały i kwiecisty na emocje, jakie miałam w nim wylać, jakby najgorszym nieszczęściem, jakie się w nim wydarzyło, było zostawienie w nim przez dwa tygodnie niestartego kurzu.

Usiadłam na łóżku zasłanym szenilową kapą i płakałam tak długo, aż poczułam się całkowicie wyschnięta i pusta - wyzuta ze wszystkiego z wyjątkiem mojego dziecka, którego fasolkowe ciało wypuszczało właśnie piórka kończyn i oczy jak u kijanki z wielką bezkształtną głową. W tamtej chwili szczerze wierzyłam, że jedynie dla niego warto pozostać przy życiu.

Lil usiadła obok mnie. Tuliła mnie i odchodziła tylko po to, żeby przynieść czystą chusteczkę albo filiżankę herbaty. Bardzo długo nie zamieniłyśmy ani słowa.

Na kominku stała mała figurynka: pastereczka rozpościerająca porcelanowe spódnice w tańcu radości, z marzącym uśmiechem i nieskazitelnymi kędziorkami. Zachwycałam się nią od dzieciństwa. Pamiętam, jak ją brałam, kiedy Lil nie patrzyła, trzymałam smukłe, chłodne ciało i z rewerencją gładziłam powiewną suknię i twarde gruzełki włosów, rozgrzewające się od mojego dotyku. Pa-

stereczka miała bardzo drobne, bardzo czerwone usteczka i plamki rózu na policzkach, nie większe od łepków szpilek. Strasznie chciałam ją dostać. Bez przerwy sugerowałam Lil, że powinna mi ją dać. Kilka razy posunęłam się nawet do potajemnego przesmuglowania jej do mojego domu, do zakurzonej kryjówki pod łóżkiem, skąd wyciągałam ją potajemnie w nocy. Jednak poczucie przyzwoitości zawsze zwyciężało i podczas następnej wizyty u Lil i Normana znowu odstawiałam ją na miejsce. W moim domu nigdy nie wyglądała tak samo - za bardzo dręczyły mnie wyrzuty sumienia.

Co się stało z moim sumieniem? Jako dziecko miałam tak wyraźne poczucie tego, co dobre i złe. Myślałam, że z wiekiem będzie się umacniać, a nie zmarnieje do tego stopnia, żebym w końcu nie wiedziała, czy niedobrze jest sypiać z mężczyzną, który nie jest moim mężem; żebym przez swój egoizm zrujnowała życie wielu osobom. Kiedy byłam mała, rozpaczliwie chciałam dorosnąć. Teraz dorosłam i niczego bardziej nie pragnęłam niż radości czerpanej z uśmiechu pastreczki i czarno-białych zasad, które można naginać, ale których nie wolno łamać.

Kiedy wreszcie zdołałam wydobyć z siebie głos, wskazałam pastreczkę i powiedziałam ochryple:

- Regularnie kradłam ci ten bibelot.

Lil pogłaskała mnie po włosach z uśmiechem.

- Wiem, kochanie. Norm i ja żartowaliśmy z tego. Prawie mieliśmy nadzieję, że zaczniesz nam wysyłać od niej pocztówki, tak jak robią ludzie, którzy kradną ogródkowe krasnale. Mówiliśmy: „Ciekawe, dokąd pojechała tym razem”, i wyobrażaliśmy sobie, że niczym Julie Andrews kręci się na górze w Szwajcarii, czy w jakiejś dolinie, i śpiewa.

- Przepraszam. Stała pod moim łóżkiem.

- Zawsze odnosiłaś ją bez jednego zadrapania, więc nie miałam ci tego za złe.

- Nadal tęsknisz za wujkiem Normanem?

Skinęła głową, patrząc na pastreczkę.

- Codziennie.

- Był twoją pokrewną duszą?

Kiedyś myślałam, że moją pokrewną duszą jest Ken. Ale potem poznałam Adama i straciłam tę pewność. Teraz w ogóle nie wiedziałam, czy pokrewne dusze istnieją.

- Tego nie wiem. Był moim przyjacielem, towarzyszem... obrońcą, chyba. Bardzo go kochałam. Nie potrafię powiedzieć nic więcej.

Nabrałam dziwnego wrażenia, że Lil bardzo wiele pomija milczeniem.

- Wierzysz, że każdy ma idealnego partnera dla siebie?

Spojrzała mi w oczy.

- Tak. Ale myślę także, że miałaś niewiarygodne szczęście, mogąc ich odnaleźć. Ja... ja mojego znalazłam, ale był mężem innej kobiety.

Wstrzymałam oddech.

- Żyje?

- O, nie. Umarł w latach sześćdziesiątych. Jego żona została później moją przyjaciółką. Może ją nawet pamiętasz - Doreen. Oczywiście, nigdy się nie dowiedziała o mnie i Lawrensie. To by ją zabiło.

- Miałś romans, będąc z wujkiem Normanem. - Nie wierzyłam własnym uszom.

Znowu skinęła głową, a w jej oczach zobaczyłam tę młodą kobietę, którą była, w rozterce, pragnącą tego, którego nie mogła mieć.

- Oczywiście, nie było to nic łóżkowego, nie tak, jak w obecnych czasach. Pocałowaliśmy się może dziesięć razy. Ale widywaliśmy się latami, aż do jego śmierci. On był dla mnie stworzony. Marzyłam, że Norman lub Doreen uciekną z kimś innym, żebyśmy mogli być razem. Ale żadne tego nie zrobiło, a Lawrence i ja nie chcieliśmy ich skrzywdzić.

Położyłam jej rękę na ramieniu.

- Jakie to smutne.

Wygładziła spódnicę na kolanach charakterystycznym gestem.

- Ależ skąd - rzuciła energicznie. - Norman był dla mnie bardzo dobry. Byłam bardzo szczęśliwa, jeśli nie liczyć... tamtego. Teraz to już historia starożytna.

- Ale on się nie dowiedział?

- N i e .

- Ken wie już o mnie i Adamie... Zniszczyłam wszystko.

Lil wzięła moją twarz w dłonie i lekko uściśnęła policzki.

- Tego jeszcze nie wiesz. Ta jego gwałtowna reakcja nie oznacza jeszcze, że później nie zmieni zdania. Nie wiadomo - za parę tygodni, miesięcy czy nawet lat. Tylko z niego nie rezygnuj, jeśli tak czujesz. Jeszcze będziecie razem.

- Ale ja nie chcę z nim być - wykrztusiłam żałośnie. - Chcę Adama, a on mnie nie. Nie mogę się zadowolić Kenem tylko dlatego, że Adam mnie nie chce. To nie fair wobec Kena.

- Nawet gdyby ci wybaczył? Powiedziałas mu prawdę, teraz musisz mu dać czas, żeby doszedł z sobą do ładu. Potem oboje postanowicie, co zrobicie ze swoim życiem, wspólnym czy osobnym...

Ziewnęłam, nagle ogarnięta powalającym zmęczeniem. Byłam zdruzgotana, pusta i chciałam tylko spać.

Lil odgarnęła mi włosy z twarzy.

- Przykryj się tą kapą, kochanie, i śpij. Teraz musisz dużo wypoczywać, prawda?

Wstała, zabrała puste filiżanki i wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi. Zostałam sam na sam z pasteczką. Jej malowane oczy pozostały szeroko otwarte, spoglądały na mnie pobłaźliwie, jakby mówiąc: „No, tym razem ci się naprawdę udało”. Moje zamknęły się po chwili. Echo słów Lil: „Przykryj się kapą”, znowu zabrzmiało mi w głowie. Tak strasznie chciałam zobaczyć „kapę” Maksa - tę, na której znajduje się PRAWDZIWE PRAWDZIWE NAJPRAWDZIWSZE NIEBO, LOTNISKO I MIEJSCE GDZIE ROBI SIĘ BAJKI.

Potem zasnęłam. Śniłam o moim dziecku; miałam małego jasnowłosego synka, braciszka Maksa. Wyglądał jak Max. Spoglądał na mnie przez sztachety niskiego płotu, gaworząc i chichocząc. Wskazał mi samolot, przelatujący po błękitnym przestworze nieba. Zdałam sobie sprawę, że leci nim Ken, w kolejną podróż służbową, a może po prostu opuszczając moje życie na dobre.

- Przepraszam - powiedziałam jeszcze raz, ale to słowo brzmiało za słabo. Samolot widniał na „kapie” Maksa jako ruchoma linia kropkowana, jaką czasami w filmach pokazuje się trasę przelotu. Minął DOM WIELKIEGO ZŁEGO WILKA, potem NASZ DOM i sunął ku TU UMIERAJĄ LUDZIE.

Kiedy obudziłam się po pięciu godzinach, pasteczką nadal się uśmiechała.

- Proszę cię, zostań - powiedziałam do mojego dziecka, kładąc ręce na brzuchu. Skoro nie mogłam się widywać z Maksem, chciałam zobaczyć jego brata.

CZEŚĆ
CZWARTA

Siedem miesięcy później

George Valentine przyszedł na świat drogą cesarskiego cięcia. Ten pomysł podsunął mi mój położnik, a ja zgodziłam się bez wahania. Spodobało mi się, że będę znać dokładną datę i godzinę jego przyjścia na świat. Nie wiadomo dlaczego wydawało mi się, że w ten sposób margines błędu będzie mniejszy.

Nie mogłam się nadziwić, że poszło tak szybko, sterylnie i bezboleśnie. Poczułam, że mój brzuch się otwiera, jakby był w nim zamek błyskawiczny, a potem dziwaczne wrażenie dłoni gmerających w moim ciele, ale patrzyłam nie na pochylone nad moim brzuchem, obleczone w zielone ubrania sylwetki, lecz na trzymające mnie za ręce Vicky i Lil, po obu moich stronach, spoglądające na mnie zaniepokojonymi oczami znad masek. Czułam się jak doświadczalny szczur, ale wiedziałam, że dopóki nie utracę z nimi kontaktu wzrokowego, zdołam opanować fale przerażenia.

W cichości ducha martwiłam się, że obecność Lil przypomni mi o narodzinach Holly, ale nie, tak się nie stało. Było zupełnie inaczej. I nie poradziłabym sobie bez niej, bez linii życia jej chłodnej, szczupłej dłoni. Nie mówiła wiele, rzucała tylko skąpe słowa otuchy. Mówienie zostawiła Vicky.

Z kolei Vicky nie mogła przestać mówić; jej maska kołysała się miarowo, aż ten ruch zaczął mnie hipnotyzować. Wraz z półroczną Chloe towarzyszyła mi podczas wizyt kontrolnych. Tymczasem Kudłaty Pietrzyk pilnował pozostałych dzieci - wyjątkowo bez sprzeciwu. Naprawdę wziął się w karby, odkąd Chloe przyszła na świat. Ograniczył dni pracy do czterech tygodniowo, żeby Vicky miała cały jeden dzień tylko dla siebie. Nie wiem, czy pomógł im

pouczający przykład mnie i Kena, ale teraz wyglądali na dużo szczęśliwszych.

- Szkoda, że nie wiedziałam, jakie łatwe to cesarskie cięcie; nie rodziłabym inaczej. Żadnych strzemion. Żadna akuszerka nie musi wylawiać z basenu mojej kupy... To było takie cholernie upokarzające, i choć miałam już skurcze co trzydzieści sekund, i tak zdążyłam umrzeć ze wstydu. A po trzech porodach dno mojej miednicy zrobiło się jak zapadnia. Zawsze myślałam, że po cesarskim cięciu mięśnie brzucha nie dochodzą do formy, ale to nieprawda, spójrz choćby na Victorię Beckham, brzuszek ma jak deska...

Brzuszek. To słowo zawsze przypominało mi o Adamie. Nigdy o nim nie zapomniałam - jak bym mogła, kiedy lekarze wydobywali ze mnie jego dziecko? Nadal strasznie tęskniłam za nim i Maksem, ale przez parę ostatnich miesięcy wszystkie moje siły oddałam rosnącemu George'owi.

Vicky nadal nie mogła zamknąć buzi:

- Mój brzuch wygląda strasznie. Kiedy kładę się na boku, on kładzie się obok mnie jak szczeniak, czy coś w tym rodzaju. Jak odczekasz sześć tygodni, to razem zrobimy milion brzuszków, poczekaj tylko, to będzie tortura... Maluchy mogą się bawić razem, a my będziemy ćwiczyć. Chloe potrzebuje kolegi. Już wyrosła ze swoich zabawek. Śmieszne, teraz pół roku wydaje się gigantyczną przepaścią między nimi, a potem w ogóle zniknie. Poza tym biedna mała Chloe potrzebuje sprzymierzeńca w swoim wieku, bo Crystal i Pat torturują ją, kiedy tylko spuszczą ich z oczu...

Początkowo miałam jej powiedzieć, żeby się wreszcie zamknęła, ale po chwili poczułam, że jej słowa przynoszą mi dziwną ulgę, bo kiedy ich słucham, przestają zwracać uwagę na to, że ktoś mi szpera w brzuchu. Teraz dotarło do mnie, że Vicky nie opowiadała mi dotąd o swoich porodach ani o przyszłej przyjaźni naszych dzieci ze strachu, że mnie zdenerwuje albo że znowu się nie uda. To dobry znak, pomyślałam.

Potem Vicky wreszcie się przymknęła, bo lekarze zaczęli wyciągać mojego synka, podnieśli go, przecięli pępowinę i zobaczyłam go po raz pierwszy, sinego i zakrwawionego, jak Holly, ale obu-

rzonemu i protestującemu przeciwko grubiańskiemu wtargnięciu w jego spokój i ciszę. Małeńkie rączki boksowały powietrze. Wtedy zrozumiałam, że nic mu nie grozi. Wrodził się w matkę, pomyślałam, na pewno spodoba mu się sen. Potem położyli mi go na piersi, a on natychmiast się uspokoił. Spojrzał mi w oczy, jakby mówił: „No co, warto było na mnie czekać?”.

- Och - załkała Vicky. Po jej masce potoczyły się łzy. - Chłopczie! Chłopcy zawsze tak patrzą na matki. On już cię uwielbia... Och, nie mogę uwierzyć! Gratulacje. Jest doskonały.

A George tylko patrzył na mnie przeciągle. Na policzku miał plamkę mojej krwi; uśmiechnęłam się na myśl o innych plamach krwi, które pojawią się w przyszłości, jego, nie mojej, kiedy, jak to chłopak, będzie chodził poobijany i pokaleczony. Upadki z drzewa, bójkę na boisku, wypadki na rowerze. Przestałam się uśmiechać, bo znowu zjawiała się myśl, która nigdy nie opuszczała mnie na dobre - że może, uchwaj Boże, spotka go poważny wypadek albo ciężka choroba... ale kiedy zobaczyłam go w swoich ramionach, prawdziwego, namacalnego, pomyślałam: e tam, a może nie? A jeśli tak, to go uratuję, tak jak Adam uratował Maksa. Razem przetrwamy wszystko. Cokolwiek się zdarzy, mój syn będzie człowiekiem o własnej woli, z własnym życiem, a ja tego nie zmienię. Mogę tylko przy nim trwać. Wiedziałam, że tak będzie.

- Cześć, syneczku - powiedziałam do niego. - Poznaj swoją cioteczną prababcię.

Podalam go Lil, która przygarnęła go do piersi, ostrożnie tuląc jego chude nóżki. Oderwałam spojrzenie od jego kostek, mniejszych niż kulki do gry, i nadal giętkich goleni - to we mnie urosły! - i patrzyłam, jak po twarzy Lil spływają łzy, a ona tuli swój pobrużdżony policzek do mięciutkiej czerwonej buzi.

Mój syneczek. Miał oczy Adama.

Anna Valentine
C/o Rosemead
21 Seymour Road
Hampton TW11

Adam Ferris
43 Hardcourt Road
Gillingsbury, Wiltshire

31 października 2003 r.

Drogi Adamie,

Mam nadzieję, że nie zdenerwuje Cię mój list i że dobrze Ci się układa z Makssem i Marilyn. Proszę, powiedz Maksowi, że tęsknię za nim i jego e-mailami. Wiem, że nie pisałam do niego od wielu miesięcy, ale... przyczyna tego stanu rzeczy jest także powodem, dla którego piszę ten list... i którą wyjaśnię później. Powiedz mu, że bardzo bym chciała poznać jego obecne wyniki we flipera i że pytam, ile zębów mu wypadło. I że Spesh czuje się doskonale. Śpiąca ze mną w nocy i codziennie pilnuje mojego łóżka.

Mieszkam z moją cioteczną babką Lil - od dnia naszego ostatniego spotkania. Rozeszłam się z mężem, czekamy na rozwód. Siedem miesięcy temu powiedziałam mu o Tobie i Maksie i zareagował mniej więcej tak jak Ty. Ale teraz jest już dobrze. Lil była dla mnie kochana i spędzam dużo czasu z moją najlepszą przyjaciółką Vicky i jej dziećmi. Nie pracuję, ale razem z Vicky zamierzamy za parę miesięcy założyć kurs aktorski dla dzieci - Wigwamową Dramę.

Ken, mój już wkrótce były mąż, znalazł sobie nową dziewczynę. Nazywa się Nadine, ma dwadzieścia siedem lat i jest tenisistką (Ken szaleje za tenisem. Czy mówiłam Ci, że nienawidzę w to grać?), szczupłą, opaloną i wspaniałą - Ken wariuje ze szczęścia. A ja cieszę się razem z nim, aż mnie to dziwi. Potraktowałam go ohydnie, należy mu się coś dobrego. Był na mnie wściekły, kiedy

mu powiedziałam, ale odkąd jest z Nadine, zrobił się bardziej przyjazny. Musimy regularnie rozmawiać o finansach, sprzedaży domu i tak dalej, i teraz jest o wiele przyjemniej, bo Ken potrafi już się zachowywać w cywilizowany sposób. Ale, podobnie jak Ty, nie wybaczył mi do końca.

Tęsknię za Tobą. Myślę o wszystkim, co robiliśmy razem i - możliwe, że patrzę na to wszystko przez różowe okulary, choć nie sądzę - zdaję sobie sprawę, że byliśmy dla siebie stworzeni. Wiem, że nie powinnam tego mówić, ale tęsknię za wszystkim: za tym, jak się przy Tobie budziłam, jak się kochaliśmy, jak bawiliśmy się z Makssem. Chciałam tylko znaleźć się w Twojej rodzinie. Codziennie słyszę Twoje słowa: „Nie mogę uwierzyć, jak efektywnie to rozwalitaś”. I miałaś rację. Rozwaliłam wszystko, prawda? Zachowałam się jak kompletna idiotka, nie mówiąc Ci prawdy od samego początku. Cóż. Nie powiem już nic więcej - i tak pewnie czujesz się zażenowany, a tego nie chcę. Choć za Tobą tęsknię, **Z** całego serca życzę Ci szczęścia i wiem, że zawsze byłam natrętem. Niezależnie od tej sprawy ze szpikiem, nie miałam prawa wpychać się na miejsce Marilyn. Przepraszam Cię.

Teraz muszę Ci o czymś powiedzieć... pamiętam ten list, który do mnie napisałeś. Powiedziałeś, że uratowałam Maksowi życie. Powiedziałeś, że piszesz go, płacząc, i że nie mogłoby być inaczej. Ja teraz także płaczę - nad tym, co mam Ci do powiedzenia. Płaczę, bo muszę Ci to powiedzieć w liście i dlatego, że wszystko zepsułam, „rozwaliłam”.

No więc... najlepiej będzie chyba ograniczyć się do suchych faktów: urodziłam dziecko. Twoje dziecko. Nazywa się George Adam Valentine i niedługo skończy czwarty tydzień. Jest absolutnie zachwycający i bardzo podobny do Ciebie (Valentine to moje panieńskie nazwisko).

Nie mówiłam Ci, że jestem w ciąży: trochę dlatego, że chciałam, żebyś miał szansę rozpocząć nowe życie z Marilyn, bez komplikacji, które wniosłabym w Wasze życie; trochę dlatego, że nie chciałam - i nie chcę - żebyś brat za nas odpowiedzialność; a trochę dlatego, że bałam się, by znów nie powtórzył się koszmar. Nawet gdybym donosiła ciążę, coś mogłoby się nie udać przy porodzie, tak jak z Holly. Nie mogłabym Ci powiedzieć, a potem „od-powiedzieć”.

Ale wszystko się udało. George jest zdrowy i śliczny, a ja czuję się dobrze. Niczego od Ciebie nie chcę, Adamie, więc nie czuj się zobowiązany nawet do odpowiedzi na ten list, jeżeli nie masz ochoty. Rozumiem, że to może być za trudne dla Marilyn, a i tak narobiłam już dość kłopotów. Może chcecie mieć więcej dzieci - może Marilyn już jest w ciąży. Ale masz prawo wiedzieć, że masz drugiego syna.

Nie załączam zdjęcia, bo to by było trochę jak szantaż emocjonalny - choć jeśli jesteś ciekaw, jak wygląda, wystarczy napisać, a przysłę Ci parę z tych kilkuset tysięcy fotek, które trzasnęłam do tej pory... moje biedne dziecko myśli pewnie, że matka ma aparat fotograficzny przyrośnięty do nosa.

Ala poważnie mówiąc: nie mówię Ci tego, bo czegoś od Ciebie chcę. Wiem, że zrobiłam coś niewybaczalnego i że Cię skrzywdziłam. Zrozumiem, jeśli nawet nie odpiszesz. Może kiedy George będzie większy, zechcesz się z nim skontaktować, ale to wszystko zależy od Ciebie i, jak powiedziałam, zrozumiem, jeśli nie będziesz miał na to ochoty.

Przez cały czas myślę o Tobie i Maksie. Straszne narozrabiałam, ale mimo wszystko uważam, że oboje przekazaliśmy sobie najpiękniejszy dar - ja oddałam Ci Maksa, a Ty dałeś mi George'a. Jak napisałeś w liście, mogłabym zapełnić te kartki samymi podziękowaniami, ale i tak nawet w części nie wyraziłabym mojej wdzięczności.

*Z miłością
Anna*

80 42 03

- Ciociu, patrz, George ma gluty w obu nosach!

- Hm, wiesz, Crystal, nos to on ma tylko jeden. Zobaczmy, co da się z tym zrobić.

Wyjęłam z rękawa chusteczkę i usiłowałam oczyścić zaskorupałe zielone nozdrza George'a, ale były tak małe i zatkałe, że wszystkie wysiłki poszły na marne. Mój syn był ohydnie przezię-

biony i, trzeba przyznać, nie wyglądał najkorzystniej. Zerknął na mnie ze zmęczeniem spod różowych powiek, a jego spojrzenie mówiło wyraźnie: „Bardzo cię proszę, daj mi wreszcie spokój”.

- Ten kurz pewnie też mu nie pomaga - dodałam z niepokojem w stronę tyłka Vicky. Stała na drabinie w domu, w którym kiedyś mieszkaliśmy z Kenem, i za pomocą miotełki z piór eksmitowała rodzinę pajaków z plafonu pod sufitem.

Przyszła razem z Crystal, żeby pomóc mi wysprzątać dom. Był wystawiony na sprzedaż od pięciu miesięcy i żywa dusza się nim nie zainteresowała. Agent handlu nieruchomościami, który zadzwonił do mnie na numer Lil, użył słowa „sfatygowany”, co zapewne oznaczało „niechlujny”. Ken i ja nigdy nie dbaliśmy o niego, gdy tu mieszkaliśmy, a co dopiero po wyprowadzce. Ale dziś po południu miała się zjawić klientka - kobieta, która już sprzedała swój dom i zależało jej na kupnie, więc postanowiłam zaprezentować go z najlepszej strony.

Bardzo chciałam kupić sobie za moją połowę pieniędzy jakieś mniejsze lokum w pobliżu - Lil była fantastyczna, ale dojrzałam do większej niezależności, odkąd wydobrzałam po porodzie i mniej więcej się zorientowałam, o co chodzi z tym macierzyństwem.

Ken zachował się bardzo rozsądnie podczas rozvodu i przy paru okazjach przyznał, że potrzebuję przyzwoitego lokum dla siebie i „dziecka”, choć nie zdołał się zmusić do nazwania George'a po imieniu, a tym bardziej do zobaczenia go.

- E, nie martw się - zawołała Vicky. - Trochę kurzu nie zrobi mu różnicy. Crystal, może pobawisz się z George'em w salonie? Tam jest już odkurzone.

- Nie chcę, bo mnie obsmarka - oznajmiła Crystal, patrząc ze wzdrganą na biednego George'a. - Chcę dalej koloryzować!

Klepnęła mnie jakąś książeczką. Wzięłam ją.

- Co kolorujesz? Ładne.

- Nieładne, to król Szczur z Dicka Whittingtona. Patrz, tu jest zdjęcie mamusi.

- Zobaczmy...

Crystal zaczęła przewracać z ważną miną kartki programu przedstawienia, aż znalazła czarno-białe zdjęcie matki, o wiele młodszej, całej w kędziorkach i dołeczkach, z podpisem: VICKY DYER, Fairy Bow Bells.

Roześmiałam się.

- Makabryczne przedstawienie. Z którego to roku?

Stojąca na szczycie drabinki Vicky wyciągnęła szyję.

- Z dziewięćdziesiątego czwartego. Prawie o tym zapomniałam. Znalazłam to pod sofą - pewnie przeleżało tam parę lat. Pomyślałam, że Crystal będzie się miała czym zająć. Z tyłu są wszystkie rzeczy, jakie lubią dzieci: labirynty, rebusy i tak dalej.

Przeczytałam tekst pod zdjęciem Vicky.

Studia: Vicky studiowała na wydziale aktorskim uniwersytetu w Reading, w 1989 r. otrzymała nagrodę im. Laurence'a Oliviera dla najbardziej obiecującego debiutu w teatrze za rolę w *Widoku z mostu*. Teatr: *Tylko bez seksu - jesteśmy Anglikami!* (Bournemouth Pier), *Komedia pomyłek* (Theatre Royal, Nottingham), *Matka Gąska* (Derby Playhouse)... i tak dalej, i tak dalej. Dojechałam do końca listy. Telewizja: role w *Holby City*, *The Bill*, *A Touch of Frost...* normalka.

- Średnia kariera, co? - odezwała się Vicky ponuro.

Wyobraziłam sobie własny spis dokonań: Anna studiowała na wydziale aktorskim uniwersytetu w Reading. Jej droga zawodowa była dość nieefektywna, żadnych nagród, choć udało się jej z powodzeniem oszukać męża i kochanka, wmawiając im, że gra w telewizyjnym serialu.

Przypomniałam sobie tę ślepą, gorączkową panikę i kłamstwa, całe miesiące przeżyte ze świadomością, że to się musi wydać, że w pewnym momencie będę musiała wybrać; ten fakt krążył jak rekin pod powierzchnią mojej świadomości, dręczył i niepokoił, kiedy wszystko wydawało się takie wspaniałe. Nie mogłam znieść myśli, że mogłabym stracić Adama i Maksa, ale tak samo niewyobrażalne było przyznanie się Kenowi, że kłamałam i oszukiwałam, że porzucam jego i życie, które z takim wysiłkiem wspólnie zbudowaliśmy... Konieczność wyboru między dwoma dobrymi mężczyznami, których kochałam - każdego inaczej i z innych powodów - i którzy nie zasługiwali na tak paskudne potraktowanie. To było okropne.

Potem spojrzałam na George'a w foteliku samochodowym - jego cudowne pызate policzki kołysały się, kiedy Crystal go kołysała - i moje serce stopniało. Mimo wszystko zdołałam przeżyć ten straszny okres. Kiedy wyznałam prawdę Kenowi, niebo nie spadło

mi na głowę, a on nie rozpadł się na kawałki. I choć nadal mnie to bolało, jakoś żyłam bez Adama i Maksa. Do tego dochodziła ulga płynąca z faktu, że nie muszę już kłamać. W znacznie lepszym humorze dokończyłam mój spis dokonań: Anna grała Davine w *Butterfmgger*, wystąpiła w *Nędznikach*, *The Bill...* ale jedyną rolą jakiej naprawdę pragnęła, była obecna: rola matki George'a, wiek: cztery miesiące.

- Moim zdaniem to całkiem niezła kariera - odpowiedziałam. - Nie zapominając o trojgu wspaniałych dzieciach i bliskim rozpozczęciu Wigwamowej Dramy. Powinnaś być z siebie dumna - obie możemy. Chcesz herbaty?

Vicky spojrziała na zegarek.

- Dzięki, ale musimy już zmykać. Powiedziałam, że zwolnię Petera o trzeciej, żeby mógł trochę popracować. Po całym ranku z Patem i Chloe pewnie już chodzi po ścianach.

- Dziękuję za pomoc - powiedziałam, ściskając ją i Crystal. - Ja jeszcze wypoleruję kołatkę i skrzynkę na listy i też dam sobie spokój. Chcę wrócić do Lil w porze drzemki George'a, żeby napisać e-maile. Muszę się skontaktować z moim księgowym - ciągle te sprawy rozwodowe - i napisać do Maksa.

Vicky delikatnie wytarła smużkę kurzu z mojego policzka.

- Napisał do ciebie?

Pokręciłam głową. Ból wzbierał we mnie jak lzy.

- Już od dawna nie. Nie odpowiedział na cztery ostatnie maile. Ciągle sobie powtarzam, że w szkole ma dużo roboty, ale najprawdopodobniej Adam opowiedział Marilyn o George'u, a ona postanowiła, że Max musi o mnie zapomnieć. Nie mam jej tego za złe, skądże znowu. Nawet gdybym już nigdy nie zobaczyła Adama, sama świadomość, że George jest jego synem, musi ją doprowadzać do szału.

- Więc Adam także nie daje znaku życia?

Wyjęłam George'a z fotelika i postawiłam go na dywaniku w salonie, by odkurzyć balustradę bez lęku, że będzie wdychał kłęby zbierającego się od lat kurzu. I żeby Vicky nie zobaczyła mojej twarzy. List do Adama wysłałam ponad trzy miesiące temu i nie dostałam odpowiedzi.

- Nie, ciągle ci powtarzam, że nic z tego nie będzie. Naprawdę się tego nie spodziewam. Nawet gdyby chciał, przecież wiedział-

by, że to zdenerwuje Marilyn. Nie szkodzi. Mam George'a, to mi wystarczy. W pełni.

I tak było. George był dla mnie błogosławieństwem, na które nie zasługiwałam. Chciałabym mieć Adama, ale to by było pewnie za dużo szczęścia.

Zadzwoiła moja komórka, zostawiona w samochodowym foteliku George'a. Wyplątałam ją spomiędzy jego tłustych nóg.

- Halo?

- Cześć, kochanie, to ja. Dzwonię, żeby... - głos Lil ucichł nagle i zmienił się w płataninę niezrozumiałych syków i bełkotów. Wychwyciłam „dzwoni”, „przyjedzie” i „domu”, ale na tym koniec sukcesów. Połączenie się zerwało.

CMoknęłam niecierpliwie. Ken zawsze się wściekał na nędzny zasięg na naszej drodze. Nie znosił prowadzenia ważnych negocjacji z menedżerami zespołów na środku ulicy albo w ogrodzie, tuż koło sterty kompostu.

Usiłowałam oddzwonić, ale numer Lil był zajęty.

- No cóż - powiedziałam do Vicky, która włożyła już rączki Crystal w rękawy płaszczyka, a teraz zbierała flamastry. - Zadzwoi znowu, jeśli to pilne. Dzięki, że przyszedł. I, Crystal, dziękuję, że tak świetnie zajęłaś się George'em.

Crystal rozpromieniła się w dumnym uśmiechu.

- Ale go nie pocałuję - zastrzegła się - bo się zarazę.

Uznałam, że lepiej nie wypominać jej, iż to on zaraził się od niej.

Pomachałam im, wyniosłam George'a na korytarz, z dala od przeciągów, dałam mu zabawki i zabrałam się do polerowania mosiężnych okuć na drzwiach frontowych. Od dawna - pewnie od lat - nikt tego nie robił. Po paru chwilach ręce zrobiły mi się czarne, a na czoło wystąpił pot. Z głębi domu dochodziło grzechotanie i mlaskanie, co upewniło mnie, że u mojego syna wszystko gra.

Mój syn. Prawo do tych dwóch słów niemal rekompensowało mi wszystko, co się wydarzyło. Cudownie było wiedzieć, że on tam jest, że istnieje; że mogę z nim rozmawiać przez drzwi, wyobrażając sobie jego piąstki, zaciśnięte na grzechotce, którą bezlitośnie obrabiał bezzębnymi działkami. Pomyślałam o tych niezliczonych razach, kiedy przechodziłam samotna przez te

drzwi, żałując, że nie dźwigam dziecka zamiast martwego ciężaru pełnych reklamówek czy - gorzej - pustych rąk. Nie będę tęsknić za tym domem. Zbyt wiele smutnych wspomnień. Nie mogłam się doczekać, kiedy ja i George kupimy sobie własny domek.

Na schodkach leżała już mała stertka poczerwiałych szmat, a ja zaatakowałam energicznie mosiężny numer na drzwiach. Kiedy cyfry znowu zaczęły błyszczeć, przyjrzałam się im z satysfakcją. Mój syn czuł się doskonale. Mój dom był czysty (powiedzmy), mój były mąż wyglądał na szczęśliwego, a ja byłam gotowa do następnego etapu mojego życia. Nie wiedziałam, jaki będzie, poza tym, że nie znajdzie się w nim miejsce na kłamstwa.

Od narodzin George'a okropność tego, co zrobiłam Kenowi i Adamowi - i Maksowi - dotarła do mnie mocniej niż wtedy, kiedy tkwiłam zaplątana w oszałamiającą sieć kłamstw. Nie winiłam żadnego za to, że tak zareagowali. To było tak straszne, że gdybym nie miała George'a, który ciągle mi o tym przypominał, pozwoliłabym sobie uznać, że wszystko to wydarzyło się komuś innemu.

Przestałam polerować, poszłam do domu i pocałowałam George'a, klękawszy przy jego foteliku i odsunawszy od niego ubrudzone ręce.

- Wszystko w porządku, kochanie? Mamusia zaraz wraca. Tylko skończę z tymi drzwiami, a potem wrócimy do cioci Lil.

Żwir na ścieżce zgrzytnął pod czymiś stopami. Cholera, pomyślałam, prostując się i robiąc minę do George'a, który roześmiał się, cały zasmarkany, zaciekłe gryząc zabawkę. To agent, a ja jeszcze nie sprzątnęłam drabinki ani przyrządów do czyszczenia. Zamierzałam stąd zniknąć, kiedy będzie oprowadzać potencjalną klientkę - nie chciałam patrzeć, jak krzywi się na próchniejące framugi okienne, ani słuchać, jak mruczy wyniośle: „To trzeba będzie odnowić” i „Właściciele się rozstali... tak, na pewno przyjmą taką ofertę”.

- Przepraszam - powiedziała, pochylając się, by zabrać sprzed drzwi stertę brudnych gałganów. - Sądziłam, że przyjdzie pan...

Zamilkłam z rękami pełnymi tłustych czarnych kłębow. To był Adam.

Gdyby nie jego znajome oczy, miałabym kłopot z rozpoznaniem go. Schudł, bardzo krótko obciął włosy i zgolił brodę.

- Cześć - wyjąkałam. Czułam się, jakby w gardle utkwiała mi szmata do polerowania. Wyglądał olśniewająco i to mnie kompletnie rozbiło. Miał na sobie swoje stare spłowiałe lewisy i wystarczył sam widok jego twardych ud, żeby moje mięśnie nabrały przeświadczenia, iż są ciałem płynnym. Nawiedziło mnie niestosowne wspomnienie: my, kochający się w letnim upale, spoceni; nasze piersi lepiły się do siebie z łagodnym plaskiem, jakby fale biły o kamienisty brzeg.

Uśmiechnął się do mnie z wahaniem.

- Cześć. Przepraszam, że zjawiam się tak niespodziewanie. Babcia ci nie powiedziała? Wysłała mnie tutaj.

- Zadzwoiła, ale nie słyszałam, co mówi. W tym domu nie ma już telefonu stacjonarnego, a zasięg jest bardzo kiepski.

Nadal paraliżował mnie potężny koktajl emocji: nieśmiałość, wstyd, szok, pożądanie - wystarczyło jedno spojrzenie i już go pragnęłam.

George kichnął i zagaworzył za drzwiami. Nie wiedziałam, jak ich sobie przedstawić. Bałam się, że usiądę, tak bardzo trzęsły mi się kolana. A jeśli Adam powie, że nie chce poznać George'a, bo to go przerasta? Może przyjechał tylko dlatego, że nadal jest na mnie zły. Albo - gorzej, dużo gorzej - może chodzi o Maksa. A jeśli przyjechał powiedzieć, że Max...

Jednak usiadłam, bardzo ciężko, na schodkach, nie przejmując się, że moje dzinsy pokryją się tłustymi czarnymi plamami.

- Powiedz, że Maksowi nic nie jest - wybuchłam, nagle całkowicie pewna, że Adam przyjechał właśnie dlatego.

Ale Adam rozpozgodził się i odruchowo wyciągnął do mnie rękę, po czym opuścił ją z zażenowaniem.

- Nie, wszystko dobrze, nie martw się.

Zapadło długie milczenie, ciężkie od napięcia i domysłów.

- Nieźle to wygląda - odezwał się wreszcie Adam, wskazując lśniący metal na drzwiach. - Czyli... to jest twój dom?

- Już niedługo - odparłam, wrzucając gałgany do worka na śmieci, leżącego obok na schodkach. - Ktoś zaraz przyjdzie, żeby go obejrzeć. Kupuję dom dla siebie i George'a... - Nagle naszło mnie okropne podejrzenie. - Dostałeś chyba mój list, prawda?

Oparł się o ścianę przy drzwiach, spojrzał na mnie z odrobiną wstydu. We włosy zaplątała mu się sucha gałązka wisterii. Kusiło mnie, żeby ją wyjąć.

- Tak. Bardzo przepraszam, że nie odpisałem. Najpierw chciałem sobie poukładać parę rzeczy, żeby nie działać impulsywnie.

- O, nie przejmuj się, nic się nie stało - oznajmiłam fałszywie i lekko, jakby wyrażał skruchę za rozlanie herbaty na dywan. Wstydziałam się, że to on mnie przeprasza, choć to ja powinnam przeproszać jego, pewnie do końca życia. Teraz, gdy ustaliliśmy już, że Maksowi nic nie jest, byłam pewna, że Adam jest na mnie zły i przyjechał, by powiedzieć, że zniszczyłam mu życie. Czułam się tak okropnie, jakby już wypowiedział te oskarżycielskie słowa. Instykt podpowiadał mi, żebym zabierała George'a i w te pędy uciekała.

George odkaslnął delikatnie, jakby chciał zwrócić na siebie uwagę.

- Tak... - odezwał się Adam, nagle z uśmiechem, który zatrzymał moją gonitwę czarnych myśli. - Czy mogę... to znaczy, czy to on? George?

On się naprawdę uśmiechał. To był cudowny ciepły uśmiech Adama, ten sam, za którym tak tęskniłam. Nagle głos utkwiał mi w gardle.

- Tak, tak, oczywiście, przepraszam. Akurat jest strasznie przeziębiony, dlatego chowam go przed przeciągami. Poczekaj, tylko umyję ręce, są czarne... nie, właściwie idź sam, a ja umyję ręce...

Wstałam. Miałam ochotę chwycić go za kolana i błagać, żeby mi wybaczył, żeby pokochał mojego syna tak, jak kiedyś kochał mnie.

Ale tylko otworzyłam łokciem drzwi i ukazałam George'a, mrugającego oczkami w nagłym promieniu słońca. Adam ukląkł przed nim niemal z rewerencją, opierając swoje duże ręce po obu stronach fotelika w instyktownie opiekuńczym geście.

- Cześć, George - powiedział.

Uzucie w jego głosie złamało mi serce. Pochylił się, żeby go pocałować, a wtedy George kichnął potężnie i obryzgał mu smarkami całą twarz.

- Przynajmniej dobrze, że nie masz brody - powiedziałam, śmiejąc się i płacząc. Spojrzałam na szerokie ramiona Adama, pochylającego się nad George'em jak anioł stróż. Zasłaniał mojego syna, ale byłam absolutnie pewna, że George jest z nim bezpieczny. Właściwie nawet dobrze, że nie widziałam ich twarzy, kiedy się po raz pierwszy zobaczyli. Chciałam, by to była ich prywatna chwila, żeby nawiązali kontakt nieskażony tym, co kiedyś zrobiłam.

- Masz jakąś chusteczkę? - spytał Adam z dziwną zduszoną czkawką.

Przyniosłam papierowy ręcznik i umyłam zatłuszczone ręce w zlewie, nie zwracając uwagi na to, że zostawiam w zlewie czarne mydliny - to tyle na temat sprzątanania - po czym popędziłam z powrotem, nie chcąc utracić ani sekundy.

- Mogę go wziąć na ręce? - spytał.

- Oczywiście. - Podałam mu ręcznik i pochyliłam się, żeby rozpiąć uprząż. Ale Adam już zdążył go podnieść na wysokość swojej twarzy. Wpatrywał się w niego z niemal boleśnie intensywną miłością. George zagulgotał z zachwytu wobec nieoczekiwanego uwolnienia, machając rączkami i nóżkami.

- On jest fantastyczny. - Adam przytulił George'a do piersi, gładząc kciukiem jego plecy.

Przypomniałam sobie, że mnie też tak gładził i poczułam nowy skurcz żalu, z którym stopniowo nauczyłam się żyć. Ale ta chwila nie należy do mnie, pomyślałam, patrząc na nich dwóch. Byłam wdzięczna, że Adam tu jest i tuli swojego syna. Patrzyłam, jak po jego policzkach płyną łzy, spadające na puszek na główce George'a i zapragnęłam zapamiętać ten obraz na zawsze. Byli jak misterna mozaika, kawałeczki lśniących rozbitych emocji, wtkniętych w szary cement sytuacji, idealne naśladowanie rzeczywistości. To, co niegdyś było rozbite, teraz zostało złożone, inaczej, lecz na zawsze.

Niech to będzie na zawsze, poprosiłam w myślach.

- Powiedziałaś, że się kogoś spodziewasz? - spytał Adam i po raz pierwszy spojrzął mi w oczy. Usiłowałam się pozbierać. Wyobrażałam sobie, jak wyglądam: ze śladami łez na zakurzonej twarzy, z czarnymi paznokciami, w brudnym ubraniu... ale potem nagle do mnie dotarło, że to nie szkodzi. Adam widział we mnie matkę George'a, nie zwracał uwagi na moją atrakcyjność. W dziwny sposób sprawiło mi to ulgę.

- Tak. Przyjdzie agent z klientką. Nie chcę, żeby mnie tu zastali. Tylko schowam drabinę i odkurzacz i... ile masz czasu? Chcesz pójść na spacer? Wózeczek George'a jest w samochodzie.

I znowu ten szeroki uśmiech Adama.

- Byłoby wspaniale.

Dziesięć minut później szliśmy aleją wśród bezlistnych kasztanów w parku, rodzice wiozący swoje nieszczęsne dziecko po wybojach zamarzniętej ziemi w zimny lutowy dzień. Tak bardzo tego pragnęłam i tak często wyobrażałam sobie taką scenę... Nie należała mi się, ale kiedy świeże powietrze wywołało różowe rumieńce na policzkach George'a, a powieki zaczęły mu się zamykać od wysiłku wpatrywania się w nas, pomyślałam: dobre i to.

Przyszło mi do głowy, że po raz pierwszy mam szansę porozmawiać z Adamem zupełnie szczerze. Tak wiele chciałam mu powiedzieć - i o tyle zapytać - że przez chwilę nie mogłam w ogóle nic wykrztusić. Szliśmy w milczeniu, wpatrując się w naszego syna, który powoli odpłynął w sen.

- Czy Max wie, że się ze mną spotkałeś? - wykrztusiłam wreszcie. - Czy w ogóle mnie pamięta?

- Oczywiście, że pamięta. Przepraszam, że ostatnio się nie odzywał, ale Marilyn uznała...

- Nie martw się. Potrafię sobie wyobrazić, co uznała Marilyn.

- Więc: nie. Nie powiedziałem Maksowi, że do ciebie jadę. W przeciwnym razie też by chciał pojechać. Został u Marilyn na weekend.

Adam zerknął na mnie z ukosa, czekając na moją reakcję.

- Został u...

Wargi mu zadrgały, ale nie potrafiłam rozpoznać, czy ze smutku, czy z rozbawienia. Odchrząknął.

- T a k . H m... nie ułożyło się nam. Tuż po Gwiazdce wyprowadziła się do Southampton. To tylko trzydzieści kilometrów od nas, więc wciąż widuje się z Maksem. Pytaliśmy go, czy chce z nią zamieszkać, ale wolał zostać ze mną.

Stanęłam tak gwałtownie, że omal nie obudziłam George'a.

- Rozstaliście się?

Nogi znowu mi się rozdygotały. Ścisnęłam czarną gumę rączki wózka tak mocno, że lekko się ugięła, jak te od stresowujące piłeczki, które Ken regularnie przynosił do domu, promocyjne czerwone piłeczki z logo zespołu. Te artykuły reklamowe były jak relikty z dalekiej przeszłości.

Adam i Marilyn się rozstali.

- Bardzo, bardzo się staraliśmy, ale oboje widzieliśmy, że to się nie uda, a robiliśmy to tylko dla Maksy. Myśleliśmy, że tak trzeba, ale na dłuższą metę żadne z nas nie byłoby szczęśliwe. Max też. Więc daliśmy sobie czas do Gwiazdki. Ale prawda jest taka, że nasze małżeństwo przestało istnieć już po jej pierwszym odejściu.

- O. - Nie wiedziałam, co powiedzieć. Pomyślałam o George'u, wyjętym ze mnie jak z rozpiętej torby, i o mojej fioletowej bliźnie. - Żałuję, że nie widziałeś narodzin George'a - palnęłam i od razu skłękłam się za te nieestosowne i samolubne słowa.

- Ja też. - Adam położył rękę na mojej dłoni i pogłaskał ją delikatnie. - Przepraszam.

- Przecież to moja wina. Nie powiedziałam ci. Nie powinnam tego mówić. Przykro mi, że nie wyszło ci z Marilyn. Wiem, że chciałeś naprawić to małżeństwo.

Adam potarł brodę, jakby szukał nieistniejącego zarostu. Nie puścił mojej ręki; nawet dotyk jego ciepłych palców budził moje pożądanie.

- No, chciałem i nie chciałem. Nie mogłem o tobie zapomnieć. W tym problem.

- I nie mogłeś mi wybaczyć.

- Tak napisałaś w liście. I owszem, przyznaję, że początkowo sądziłem, że nie będę mógł ci wybaczyć. Ale czas mijał i coraz częściej myślałem o tym, co było między nami, i jak bliski był ci Max. I o tym, co naprawdę do ciebie czułem. Zdałem sobie sprawę, że zareagowałem zbyt gwałtownie. Nie chciałaś mnie zranić. Na pewno.

- Nie chciałam.

- Przez jakiś czas byłem zły, przynajmniej tak sądziłem. Ale tak naprawdę byłem bardziej zły na siebie niż na ciebie. Najpierw za to, że dałem się oszukać, tak to wtedy widziałem. Potem za to, że pozwoliłem ci odejść.

- Naprawdę?

- Tak. Im dłużej o tym myślałem i im bardziej Max i ja za tobą tęskniliśmy, tym bardziej zdawałem sobie sprawę z tego, że byłaś bardzo... hm, odważna.

Roześmiałam się boleśnie.

- Nigdy nie sądziłam, że ktoś mnie tak nazwie.

- Byłaś odważna. Straciłaś dziecko, bałaś się zbliżyć do Maksa, bo jego także mogłabyś stracić, a jednak przyjechałaś i poznałaś go. Nas. Teraz wszystko rozumiem, dlaczego tak się przeraziłaś jego chorobą tego dnia, kiedy wróciła Marilyn.

- Myślałam, że umrze - powiedziałam, i na samo wspomnienie w oczach stanęły mi łzy.

- Sama jedna dźwigałaś na swoich barkach odpowiedzialność za jego życie. Nie miałem o niczym pojęcia. Przyjechałaś do nas zaledwie parę miesięcy po śmierci Holly; rana była jeszcze świeża. A ja nieustannie chwaliłem się Maksem, jaki to jest wspaniały. Miałem Maksa - dzięki tobie - a ty nie miałaś Holly... Ale oddałaś się nam bez słowa.

Plakałam tak bardzo, że długo nie mogłam nic powiedzieć.

- Ale te wszystkie kłamstwa - wykrztusiłam wreszcie.

Łzy paliły moje zlodowaciałe policzki; miałam wrażenie, że dopiero teraz naprawdę oplakuję Holly; jakby wszystkie poprzednie łzy były tylko wprawkami.

Adam wziął mnie w ramiona.

- Nikt nie jest doskonały. Wszyscy popełniamy błędy. A moim zdaniem, choć nie wiem, czy cokolwiek jest warte, nadal jesteś niewiarygodnie odważna. Zniosłaś ciężę i poród bez partnera, i to po tym, co przeszłaś - do tego trzeba mieć charakter.

Wstrząśnięta, wytrącona z równowagi tą niezasłużoną pochwałą, odsunęłam się i zajęłam sprawdzaniem, czy George jest dobrze otulony.

- Nadal lunatykujesz?

Wytarłam nos w odświeżającą chusteczkę George'a i spojrzałam na niego z zaskoczeniem.

- Ja nie lunatykuję.

Ale gafę palnął, biedny, pomyślałam. Pomylił mnie z Marilyn.

- Owszem. Przynajmniej lunatykowałaś parę razy, kiedy z nami mieszkiałaś. Budziłem się w środku nocy i musiałem ruszać na poszukiwania. Zwykle siedziałaś w pokoju Maksa, koło jego łóżka, pod ścianą.

Pamiętałam, że raz usiadłam pod ścianą w pokoju Holly, czytając list Adama, ale nie przypominałam sobie żadnych nocnych wizyt u Maksa.

- Trochę się martwiłem, że Max się obudzi i zobaczy cię, a przecież nie wiedział, że śpisz.

- Och. Przepraszam. - W głowie mi się męciło, byłam przerażona i nadal płakałam. - Dlaczego rano mi nie powiedziałeś?

Odrzucił oczy, a głos mu trochę zadrżał.

- Zawsze chciałem. Ale problem w tym, że w nocy byłaś taka... nieszczęśliwa, jak obca osoba. Często płakałaś, a czasem coś mówiłaś, głównie o Holly. Potem budziłaś się rano, jak zwykle wesoła i cudowna, i wydawało mi się, że powiedzenie ci o wszystkim byłoby... no, okrucieństwem. Tak bardzo kochałem nasze poranki... Może myślałem, że lepiej będzie, by twoja podświadomość uporała się z tą rozpaczą; nie chciałem cię w to wciągać także za dnia... Zresztą, nie wiem. Pewnie źle postąpiłem. Ale nie powinnaś przepraszać; to ja cię przepraszam. Wiedziałem, jak bardzo cierpiełaś, a nigdy nie spróbowałem z tobą porozmawiać.

Przez park dmuchnął lodowaty powiew; gałęzie zadygotały, a moje uszy zdrętwiały z zimna. Adam stanął, żeby zapiąć kurtkę. Pochylił się nad suwakiem, a jego głos był stłumiony. Zabrzmiało głośniejsz, gdy się wyprostował.

- Przepraszam, że nie skontaktowałem się z tobą wcześniej, ale musiałem mieć pewność, że z Marilyn już koniec, że naprawdę nie mamy szansy. Myślałem o tym jeszcze przed nadejściem twojego listu, ale nadal czekałem. Minęły święta. Musiałem się upewnić, że Max upora się z ponownym odejściem Marilyn. I chciałem się zastanowić nad tym, co do ciebie czuję. Nie spieszyć się i sprawdzić, czy to prawdziwe uczucie, a nie poczucie odpowiedzialności.

Przesunął rękami po moich rękach aż do szyi; przypominałam sobie, że te ręce zawsze mnie jakby podtrzymywały: obejmowały moje piersi, otaczały talię, trzymały pośladki. Sprawiały, że się nie rozpadłam. Szczęściarz George mógł się cały zmieścić w tych rękach.

Nie mogłam mówić. Zdołałam tylko podnieść brwi.

- Wiesz, co zrobiłem w dniu, kiedy przyszedł twój list? - ciągnął Adam. - Poszedłem nad kanał, gdzie wtedy rozmawialiśmy, usiadłem na ławce - na tej, za którą zwymiotowałaś - i płakałem. Parę godzin. Czytałem list w kółko i płakałem bardziej niż wtedy, kiedy Max się rozchorował. Omal nie zamarłem. Tak bardzo cię

pragnąłem. Chciałem wskoczyć do samochodu, od razu, pojechać do ciebie, zabrać cię z George'em, przywieźć do domu i nigdy nie pozwolić wam odejść...

Znowu wytarłam oczy.

- A teraz? - spytałam w nadziei, że znam odpowiedź.

Przez chwilę milczał.

- Przyjechałem, żeby ci to powiedzieć: tęsknię za tobą. Tęsknię, bo w pokoju robi się jaśniej, kiedy wchodzisz. Bo wszyscy, którzy cię poznają, są tobą zafascynowani. Byłem taki dumny, kiedy się z tobą pokazywałem. Brakuje mi patrzenia na ludzi, którzy patrzą na ciebie z podziwem. To mnie kręciło, bo wiedziałem, że to ja wrócę z tobą do domu. Byłem szczęśliwy, że Max tak cię uwielbia i że obu nas umiesz rozśmieszyć. Nie śmialiśmy się tak od twojego odejścia, i za tym także tęsknię. Tęsknię za twoim pięknym ciałem i za kształtem twoich ust, kiedy wypowiadasz pewne słowa, i że zawsze śpiewasz razem z radiem...

- Jakie słowa? - Moje ręce same objęły go w pasie i wsunęły się w kieszenie jego dżinsów. Wreszcie zdołałam opanować łzy. - Kształt moich ust, kiedy mówię jakie słowa?

Udał, że się zastanawia.

- Hm. Powiedz: „tak”.

- Tak... - Nie miałam wrażenia, że moje usta zachowują się jakoś wyjątkowo.

- Mmm, o to chodzi. To jedno z nich. Teraz powiedz: „Adamie”.

- Adamie - powtórzyłam posłusznie.

- Wyglądasz bardzo seksownie, kiedy mówisz „Adamie”. Powiedz: „chcę”.

- Chcę...?

Założył mi za ucho pasmo włosów, zajrzał w oczy z uśmiechem. Ledwie mogłam oddychać z wrażenia. Zerknęłam na George'a, ale był pogrążony w swoich malutkich snach, a z jego ust unosiły się obłoczki oddechu, jakby oddawał je mnie.

- Dobrze. Teraz powiedz: „...zawsze być z tobą”.

Otworzyłam usta, lecz on ciągnął dalej:

- Tak strasznie za tobą tęskniłem. Chcę, żebyście oboje byli ze mną, ty i George. Możemy spróbować jeszcze raz? Może zgodziłabyś się przeprowadzić do Gillingsbury, ale jeśli nie chcesz, to może Max i ja moglibyśmy tu przyjechać...

Objęłam go tak mocno, że oboje omal nie runęliśmy na ziemię. Musiałam się przytrzymać wózećka. George machnął rączką i zachrapał, ale się nie obudził.

- Tak, Adamie, chcę zawsze być z tobą - powiedziałam powoli i dobitnie.

Przypomniałam sobie pierwszą kolację, jaką przygotowałam dla Adama i Maksa. Makaron rurki, schłodzone wino i lepki blat stołu. Ciepłe ciało Adama koło mnie. I te wszystkie tygodnie potem. Max zarzucający chude ramionka na moją szyję, budzenie się każdego ranka ze świadomością, że jestem na swoim miejscu.

- I bardzo chciałabym się przeprowadzić do Gillingsbury - dodałam. Przed oczami przemykały mi radosne wizje. Vicky mogłaby nas odwiedzać wraz z dziećmi. I Lil. Byłaby zachwycona Maksem. Miałam nadzieję, że Vicky się nie obrazi, ale założę w Gillingsbury własną Wigwamową Dramę, to będzie filia. Zobaczyłam nas wszystkich, rozmawiających w domu Adama. W naszym domu. Vicky i Adam pogrążeni w rozmowie. Crystal komenderująca Maksem i Patem. Chloe i George jeżdżący paznokietkami po siatce kojca i zaśmiewający się z cichego świstu. George będzie miał na sobie stare śpioszki Maksa. Za duże, będą zwisać na stopach, którymi George będzie radośnie wierzgał...

Znaleźliśmy się przy wyjściu. Jakiś samochód zatrzymał się na pasach przed bramą, przepuszczając nas. Przez otwarte okna buchała piosenka, jak rozgrzane powietrze - Jackie Wilson *Najśłodsze uczucie*. Muzyka gonila za nami, kiedy szłam, trzymając Adama za rękę. Rzęsy naszego dziecka drgały lekko na policzkach. Na drugą stronę jezdni dotarliśmy już inni: jako nowa, rączkująca rodzina. Czulałam się jak złożona na nowo, porcelanowe skorupy, które ktoś ułożył w kształt piękny i trwały.

- Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę Maksa - powiedziałam z zachwytem.